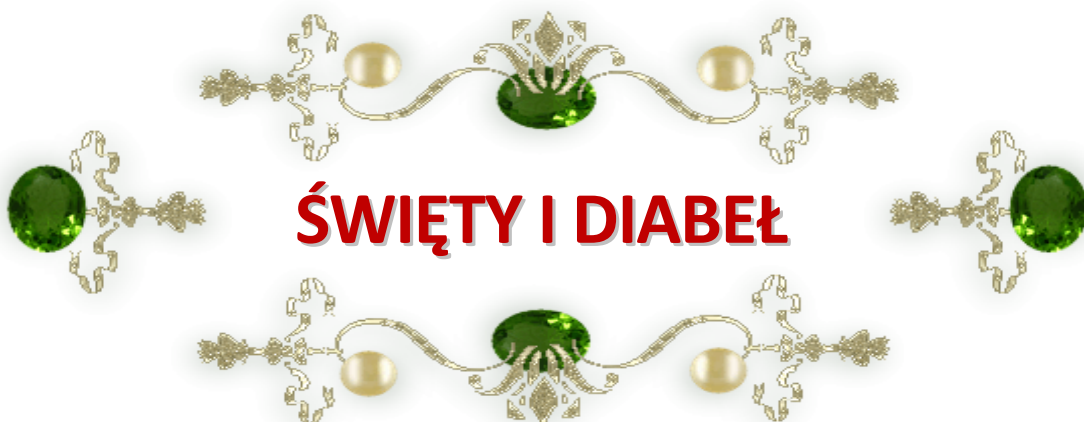




WILHELM HUENERMANN



# ŚWIĘTY I DIABEŁ



**ŻYCIE ŚWIĘTEGO JANA VIANNEY, PROBOSZCZA Z ARS**  
Tytuł wydania francuskiego: „*Le Vainqueur du Grappin*”





## SPIS TREŚCI



«BEZ ŻADNEGO WYKSZTAŁCENIA (1786) .....	3
TROSKI I ZMARTWIENIA (1790-1791) .....	6
KAZANIE W KUCHNI (1792) .....	12
ŚWIATŁO BOŻE W CIEMNOŚCIACH (1794-1798).....	17
PIOTR W OKOWACH (1799-1802) .....	22
BRAMA SIĘ OTWIERA (1804-1805).....	27
PŁONĄCY KRZEW (1806).....	31
U GROBU ŚWIĘTEGO FRANCISZKA REGIS (1806) .....	37
GROM Z JASNEGO NIEBA (1807-1809).....	40
ZBIEG (1809-1810).....	43
TUŁACZ (1810-1811).....	49
WYDALONY I PRZYJĘTY Z POWROTEM (1811-1814) .....	52
KU SZCZYTOM (1814-1815) .....	57
NOWY WIKARY (1815-1818) .....	61
PRZYBYCIE DO ARS (1818).....	69
ŚWIATŁO I CIEMNOŚCI (1818).....	76
DIABELSKI TANIEC (1818) .....	84
ANIOŁ I DIABEŁ (1818-1821) .....	88
GŁUPI CZY ŚWIĘTY (1822).....	94
DIABEŁ SIĘ WŚCIEKA (1823-1824) .....	99
«ECCE HOMO» (1826-1827).....	105
POMOCNIK MURARSKI - SPOWIEDNIKIEM (1828-1830) .....	113
CUDOWNE ARS (1831-1837) .....	117
WIELKA POKUSA (1839-1840) .....	122
CUD MAŁEJ ŚWIĘTEJ (1843) .....	125
DWUKROTNA UCIECZKA (1843) .....	130
POD KRZYŻEM (1846-1849).....	136
WIZJONER Z LA SALETTE (1850-1852).....	141
MUCET Z GRONOSTAJAMI (1852-1853).....	145
OSTATNIA UCIECZKA (1853-1854).....	148
KORONA MATKI BOŻEJ I KRZYŻ KSIĘDZA PROBOSZCZA (1854-1855) .....	152
DZIESIĘCIORO Z JEDNEGO PRZEDZIAŁU (1856).....	156
ZNAK MADONNY (1857-1858) .....	164
OSTATNI AKT (1859).....	168
BEATYFIKACJA I KANONIZACJA, PROBOSZCZA Z ARS .....	172



## «BEZ ŻADNEGO WYKSZTAŁCENIA (1786)»

Ksiądz wikary Blanchon otworzył księgę chrztów parafii Dardilly, zamocował pióro w kałamarzu i spróbował go najpierw na marginesie gazety, zaczął pisać pięknym, kaligraficznym pismem: *«Jan Maria Vianney, ślubny syn Mateusza Vianneya i Marii Beluse, jego małżonki, urodzony dnia 8 maja 1786 roku, został tego samego dnia ochrzczony przeze mnie, niżej podpisanego wikariusza parafii. Ojcem chrzestnym był stryj, Jan Maria Vianney, zamieszkały, w Dardilly, a matką chrzestną Franciszka Martinon, małżonka wyżej wymienionego Jana Marii Vianneya. Oboje, jak zgodnie wyznali, bez żadnego wykształcenia».*

— Bez żadnego wykształcenia — zauważył z przekąsem ksiądz wikary. Pisząc ostatnie słowa aktu chrztu jeszcze raz spojrzął na zakłopotaną minę pocziwych wieśniaków, którzy oświadczyli przed nim, że nie potrafią podpisać się w rejestrze.

— Bez żadnego wykształcenia — mruknął pod nosem. Oczywiście, miał nieco żalu do swego biskupa, że wysłał jego, młodego wikariusza, którego błyskotliwa wymowa mogła przynieść zaszczyt niejednej ambonie wielkowiejskiej, na wieś, do ludzi prostych, prawie analfabetów, Do czego może służyć cała sztuka retoryki na ambonie w Dardilly? Na przykład ostatniej niedzieli ojciec chrzestny Jana Marii, Vianneya usnął w czasie kazania. — Bez żadnego wykształcenia — z pewną satysfakcją odnotował ksiądz wikary w księdze chrztów.

Pomimo pięknego wiosennego dnia czoło młodego księdza było zachmurzone. Wtem usłyszał pukanie do drzwi pokoju. Był to ksiądz proboszcz Jakub Rey, którego dobroć odbijała się w zawsze roześmianych i pełnych zadowolenia oczach.

Powoli otworzył tabakierkę, zażył szczyptę tabaki, a następnie wielką czerwoną chustką strzepnął jej resztki z niezbyt czystej sutanny. — Zażyj no i ty — odezwał się do księdza wikarego. — Przecież ksiądz proboszcz dobrze wie, że nie zażywam. — Nie będzie to wielkim grzechem, jeżeli ksiądz nauczy się zażywać tabakę, mój drogi — odrzekł proboszcz z dobrotliwym uśmiechem. — Może wtedy ujrzy ksiądz świat w bardziej przyjaznych barwach. Jak można być tak ponurym i pochmurnym w taki piękny poranek? Czy przypadkiem nie ma ksiądz jakichś kłopotów?

— Nic poważnego — odrzekł z pewnym wahaniem ksiądz Blanchon. — Tak jest, wiem, co cię boli. Nie czuje się ksiądz, dobrze wśród rolników i hodowców bydła.

— O to właśnie chodzi — wycodził przez zęby ksiądz wikary, pokazując proboszczowi ostatnie słowa, jakie zapisał w rejestrze: <bez żadnego wykształcenia>. — Przyjdzie człowiekowi schłapieć wśród tych analfabetów!

— Dziękuję za komplement — odrzekł śmiejąc się proboszcz. — Trzydzieści już lat jestem proboszczem w Dardilly. Czy ksiądz naprawdę myśli, że to coś złego, jeżeli wiejski proboszcz z biegiem czasu trochę schłapieje? „Być wszystkim dla wszystkich”, powiedział święty Paweł. Innymi słowy: być chłopem dla chłopów. Nic to księdzu nie za szkodzi, gdy czasem uprzytomni sobie, że pod amboną w Dardilly mamy tylko oraczy i pastuchów.

Słowo Boże trzeba im głosić w taki sposób, by mogli je zrozumieć. Ostatniej niedzieli jeszcze niektórzy zdrzemnęli się na kazaniu księdza, bo było zbyt mądre i górnotne.

—, Co ksiądz proboszcz ma do zarzucenia moim kazaniom? — zapytał młody ksiądz, nieco urażony. — Opracowuję je bardzo starannie. Niech ksiądz proboszcz popatrzy! — I pokazał dwa opaste tomy, wykładając je na stół.

— Tak jest, widzę patentowanych autorów, słynnych kaznodziejów. Niech jednak ksiądz pomyśli, że pod amboną w Dardilly stoi nie król Francji, ale prości wieśniacy, którzy do kościoła przychodzą prosto ze stajni. A zatem powinien ksiądz sobie przeczytać uważnie dzieje Dawida i Goliata.

—, Co to ma wspólnego z moimi kazaniem? — zapytał ksiądz Blanchon, nieco zdziwiony. — Nic a nic. To tylko, że młody pastuch z Betlejem chciał przywdziać zbroję Saula, i okazało się, że nie mógł w niej kroku zrobić. Może się to snadnie zdarzyć i słudze Pańskiemu, gdy zechce przywdziać togę kaznodziei królewskiego. Z procą i paroma kamyczkami Dawid wspaniale wywiązał się z zadania. Niech się ksiądz nie obraża, księżu kochany. Z początku ja robiłem dokładnie to samo, ale potem moich patentowanych kaznodziejów schowałem głęboko w bibliotece. Za to przede wszystkim zacząłem się uważnie przyglądać moim wieśniakom, i z miejsca sprawy potoczyły się znacznie lepiej. Małe kamyczki, rzucane z wysokości ambony, trafiały prosto w serca, gdy tymczasem musiałem strasznie komicznie wyglądać, wymachując mieczem wielkiej wymowy na wiejskiej ambonie.

Proboszcz serdecznie roześmiał się z żartobliwego porównania, aż łzy potoczyły mu się po pulchnych, czerwonych policzkach, — Niech ksiądz wybaczy — mówił dalej proboszcz, widząc zasępioną minę swego wikarego. — Wiem, że gdyby miał ksiądz o mnie pisać do naszego biskupa, prawdopodobnie dodałby także: bez żadnego wykształcenia. Mniejsza o to. Wiem jednak i to, że nie jest ksiądz do tego stopnia przekonany, by twierdzić, że nasza kochana wioska Dardilly jest bez żadnego wykształcenia. Nasza epoka szczyci się swoją wiedzą filozoficzną. Oby tylko miała więcej serca! Jeżeli czego, to, dzięki Bogu, nie serca brakuje naszym wieśniakom, a zwłaszcza Vianneyom, o których ksiądz zrobił tę adnotację w księdze chrztów. Bez tej osławionej kultury umysłowej lepiej oni wychowują dzieci, niż gdyby studiowali Emila Rousseau'a, który nie umiał sobie poradzić ze swymi dziećmi i oddał je do domu podrzutków. Prawdziwa pobożność i bojaźń Boża znaczą więcej przy wychowaniu dzieci aniżeli cała mądrość wielkich pedagogów.

—, Gdy o to chodzi, nie przeczę, księżu proboszczu. — A zatem zgoda między nami. Niech ksiądz podziękuje Bogu, że posłał go, jako duszpasterza do takiej dobrej parafii. Czy ksiądz myśli, że nasi prałaci we fioletach czy w purpurze są szczęśliwsi od nas, biednych wiejskich proboszczów? W każdym razie moja niewykształcona wioska jest mi droższa niż okazałe towarzystwo dworu królewskiego.

— W końcu nie ma to nic wspólnego z moją osobą — odrzekł zmieszany ksiądz wikary. — Przecież ja nigdy prałatom nie zazdrościłem zaszczytów. — Prawie tak samo mówił lis, patrząc na winogrona, których nie mógł osiągnąć — odparł śmiejąc się proboszcz. — Ale, księżo wikary, chodźmy odwiedzić Vianneyów i złożyć im życzenia z okazji chrztu.

Ciężko wzdychając ksiądz wikary wyszedł za proboszczem, i obaj skierowali się ku fermie Vianneyów. Po drodze ludzie radośnie ich pozdrawiali, a dzieci wybiegały im naprzeciw i wyciągały do nich swe brudne rączyny.

— Niech ksiądz nie wdepnie w krowieniec — ostrzegł proboszcz, gdy weszli na podwórze. — Szkoda byłoby twojej pięknej sutanny. Mateusz Vianney serdecznie powitał gości, wyciągając do nich swe stwardniałe od pracy dłonie. — Przede wszystkim dziękuję za ochrzcenie syna — zwrócił się do księdza wikarego. — Pan Bóg dał wam piękny owoc tej wiosny — zagadnął proboszcz. — Tak jest, księżo proboszczu. Toteż dziękuję za niego z głębi serca.

Następnie zaprosił obydwu duchownych do izby, gdzie rodzice chrzestni oraz kilkoro krewnych siedziało przy szklaneczce czerwonego wina. — Tak trochę święcimy narodziny nowego dziecka Bożego — próbował tłumaczyć się ojciec. — Wino jest z mojej winnicy i dlatego, jeśli wam to nie ubliży, będę niezmiernie zaszczycony, gdy wypijecie po szklaneczce. Dobry rok dał nam Pan Bóg.

— Chyba nie trzeba nam tego dwa razy powtarzać — odparł zadowolony proboszcz. I obaj księża zajęli wskazane im miejsca. — Wszyscy we wsi wiedzą, że wy, Mateuszu, macie najlepsze wino w całej okolicy. Widać, że wiele troski poświęcacie winnicy — dodał po pierwszym haście. — Plebańska winnica nie może się równać z waszą.

Serdeczność proboszcza w jednej chwili rozviała pierwsze zażenowanie i, jak to zwykle bywa między wieśniakami, rozmowa potoczyła się o roli i dobytku, o owocach i winie, a stary proboszcz zabierał głos z taką znajomością rzeczy, że parafianie uznali go za prawdziwego znawcę.

—, Jakie to szczęście mieć proboszcza, który tak dobrze, jak ksiądz, zna się na gospodarce — wyznał ojciec chrzestny, któremu wino bardziej niż kiedykolwiek rozwiązało język. — Można sądzić, że ksiądz jest jednym z nas.

— Mój wikary rzeczywiście uważa, że lada dzień stanę się chłopem na dobre — odrzekł ksiądz, mrugając porozumiewawczo do swego konfratra, który nie wiedział, gdzie oczy podziać. — Ksiądz księdzem, a chłop zawsze będzie chłopem — wtrącił szybko Mateusz Vianney, któremu uwaga młodszego brata nie przypadła zbyt do gustu.

— O, trochę chłopskiego rozumu przyda się i księdzu — odparł śmiejąc się proboszcz. — A teraz chodźmy obejrzeć waszą fermę. Z dumą oprowadzał Mateusz Vianney gości po stajni i oborze. Proboszcz podziwiał i chwalił dobytek, zapasy zboża i paszy, oraz to, że sprzęt gospodarski lśnił czystością.

— Błogosławieństwo Boże jest nad wami, ale wy także swoją pracowitością na nie zasługujecie. — Najważniejszego dokonuje Pan Bóg — odrzekł skromnie wieśniak.

Potem znowu wrócili do domu. Mateusz Vianney zaprowadził księżę do izby sypialnej, gdzie leżała jego żona, trzymając w ramionach noworodka. — Oto moje dziecko, księżę proboszczu! — rzekła wieśniaczka, unosząc nieco nowego obywatela ziemi. — A to wy, księżę wikary, ochrzciliście go dzisiaj... Pobłogosławcie go, księżę proboszczu, i wy także, księżę wikary, bardzo proszę...

Obaj księża uczynili znak krzyża świętego na czole i sercu noworodka, który zaczął przeraźliwie krzyżeć. — Z takim głosem pewnego dnia może zostać dobrym proboszczem — zauważył, śmiejąc się radośnie, proboszcz z Dardilly.

— O, księżę proboszczu — jęknęła czerwieniąc się kobieta. Nie wyznała jednak nikomu, że to właśnie było jej skrytym marzeniem, gdy tylko poczuła rodzące się pod sercem nowe życie. I dlatego to jeszcze przed urodzeniem ofiarowała dziecko Matce Bożej.

Z wieży kościelnej rozległ się głos dzwonu. — Odmówmy Anioł Pański — zaproponowała kobieta, i zaraz głośno rozpoczęła modlitwę: — *Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi...* Księża w milczeniu podążyli na plebanię. Dopiero, gdy przyszli do domu, proboszcz odezwał się do wikarego: — I co ksiądz myśli? Czy naprawdę ci ludzie są bez żadnego wykształcenia?

— Ma ksiądz rację, księżę proboszczu. Już tego nigdy nie powiem. — Zawsze dobre i pobożne serce ma większą wartość w oczach Bożych niż cała wiedza.

## **TROSKI I ZMARTWIENIA (1790-1791)**

Od dwóch już dni deszcz bębnił o szyby okienne. Maria Vianney była w kuchni i kąpała w balii najmłodsze dziecko. Z powodu krzyków malca nie dosłyszała pukania do drzwi. Kiedy podniosła znad balii głowę, ujrzała Andrzeja Leloux, starego domokrażcę, który otwierał już swoje pudło. Był tak przemoczony, że woda ściekała mu z ubrania.

—, Co za wściekła plucha! — stwierdził otrząsając się. — Nikt by psa za drzwi nie wygnał. Ale co zrobić, trzeba jakoś żyć. Przydałby się na rozgrzewkę jakiś kieliszek wódki. — Filiżanka gorącego mleka zrobi to samo — odrzekła pani Maria. — Mam właśnie nastawione na ogniu. Zanim skończę kąpanie małego, niech się pan tymczasem ogrzeje przy kominku.

— Widać, że on także nie lubi wilgoci — zauważył żartując przybysz. — Tak, ale i on dostanie tylko mleka a nie wódki — odparła żartem kobieta. — Co tam nowego w świecie?

— O, nastały teraz wspaniałe czasy, moja droga pani. Byłem wczoraj w Lyonie. Co za cudowne widowisko odbyło się w mieście? Ustawiono olbrzymi posąg. W jednej ręce trzymał włócznię, na której grocie zawieszono czerwoną czapkę, taką jak u nas wielu nosi w karnawale. O, tak... Tu pan Andrzej w lewą rękę chwycił miotłę, włożył na nią czapkę i

podniósł wysoko w górę, w prawą zaś wziął formę od ciasta i zaczął nią uroczyście wymachiwać. — Tak wyglądał. Tylko zamiast formy od ciasta trzymał wieniec obywatelski.

— Równocześnie starał się przybrać postawę pełną powagi, aż się pocziwa kobieta zaczęła głośno śmiać i zapytała, czy w mieście karnawał obchodzą w pełni lata. — Czy pani nie wie, że jutro mamy 14 lipca? — zapytał Leloux, odkładając «włócznię» i «wieniec». — I cóż z tego? —, Co?! Przecież to rocznica wzięcia Bastylji. Lud zerwał więzy i ma teraz swoją konstytucję, rozumie pani?

— A posąg? — Posąg, przedstawia uzyskaną wolność. Wokół niego zgromadził się pięćdziesięciotysięczny tłum ludzi. Nawet u jego stóp jeden z księży odprawił mszę. Potem odbyła się zabawa na wolnym powietrzu. Wino lało się strumieniami i nikt nie musiał płacić. Wieczorem były sztuczne ognie. — I to wszystko w czasie ulewnego deszczu? — Tak entuzjastycznie święcono wolność i konstytucję, że nikt nie zwracał uwagi na ulewę.

Nie wiem, co w rzeczywistości może oznaczać konstytucja. — To, dlatego, że wy, kobiety, wcale nie znacie się na polityce — odpowiedział z rezygnacją domokrażca. — Czy przypadkiem nie potrzebuje pani czegoś ładnego: koronek, lepszego mydła czy delikatnych perfum? — zapytał, przechodząc na teren spraw handlowych..., W tej samej chwili w sąsiedniej izbie dały się słyszeć dziecięce głosy. To Jaś i Małgosia, jego młodsza siostrzyczka, zaczęli krzyczeć jedno głośniej od drugiego.

— Oho, muzyki to tu nie brak — zauważył domokrażca, — Co się stało? — zapytała matka, otwierając drzwi do sąsiedniej izby. Na progu "pojawił się Janek, trzymając oburącz różaniec z dużych paciorków, zaś jego mała, półtoraroczna siostrzyczka uczepliła się go z drugiej strony.

— To mój różaniec — beczał chłopiec. — Mnie go dałaś, mamusiu. — Gosia chce różaniec — piszczała dziewczynka.

— A, to ci paradne — roześmiał się domokrażca. — Wszyscy uroczyście święcą powszechne braterstwo, a tu się biją o różaniec. — Chodź no tu, Janek — rozkazała surowo matka. Chłopczyk gwałtownym szarpnięciem wyrwał swój skarb z rąk siostrzyczki, która ciężko upadła na podłogę, wydając zdwojone krzyki.

— Janku, czy ty bardzo kochasz Pana Jezusa? — Tak, mamusiu — odrzekł chłopczyk, kryjąc twarz w matczynym fartuchu. — I na pewno chcesz Mu sprawić przyjemność? — Tak, mamusiu. — A więc nie płacz już dłużej i daj różaniec Małgosi.

W jednej chwili ustał szloch, a następnie spod fartucha ukazała się ręka, podająca siostrzyczce różaniec. Ta przez chwilę zawahała się, a potem rzuciła się i pochwyciła pożądany przedmiot. — No, dobrze, już dobrze — rzekła wieśniaczka, której spojrzenie wy pogodziło się. — Nic nie rozumiem — wyznał zdziwiony Andrzej Leloux. — Tak, ale za to rozumie pan konstytucję.

Dopiero teraz dzieci zauważyły obcego. Janek, zmieszany, wyszedł spod matczynego fartucha, a Małgosia zaraz włożyła paluszek do buzi, lecz skarbu z rąk nie wypuściła.

— Proszę bardzo — rzekła kobieta, podając handlarzowi mleko. — Stokrotne dzięki — odrzekł, wypijając duży haust, domokrażca. — Nigdy nie widziałem tak posłusznego dziecka. Ale do rzeczy. Co pani u mnie kupi?

—, Jeśli nie ma pan nic innego oprócz mydełek, koronek i perfum, to może pan spakować swój towar. — Ależ mam jeszcze inne rzeczy. Niech pani patrzy. Oto posążki wolności, teraz bardzo modne. — Nie potrzebujemy. — Może niebiesko-biało-czerwone kokardy? — Niech je sobie pan przypnie do kapelusza. Czy nie ma pan różańca?

— Nie, różańca nie mam. Ale mam piękną, niebiesko - biało-złotą figurkę Matki Boskiej. Z drzewa, nie z gipsu. Czy pani odpowiada? — Niech pan pokaże, zobaczę.

Janek, który zdążył już otrzeć tzy w matczynej fartuch, podszedł i wyciągnął rękę po figurkę. — O, jaka śliczna! — I niedroga. Puszczę ją pani za dwa franki. — To bardzo drogo — zawahała się kobieta. W końcu jednak wyjęła z szuflady dwie srebrne monety i wręczyła je handlarzowi mówiąc: — Dobrze, biorę ją.

Potem dała figurkę chłopcu, który pochwycił ją drżącymi z przejęcia rączynami. — To dla ciebie, ponieważ oddałeś swój różaniec Małgosi. -- Dla mnie? — Wyjął Janek. — Tak, dla ciebie. — I Gosia nie będzie miała prawa mi jej odebrać? — Ani Małgosia, ani nikt inny. Ona wyłącznie należy do ciebie. — Dziękuję, mam, dziękuję! — zawołał chłopak uszczęśliwiony, ściskając mocno swój skarb, jakby chciał go bronić przed całym światem.

Od tego czasu nie rozstawał się nigdy z figurką. Podczas jedzenia stała przed nim na stole. Gdy spał, znajdowała się w pobliżu łóżka, a gdy się modlił, trzymał ją w rękach. Nawet zabierał ją ze sobą do kościoła. Jednym słowem, nie rozstawał się z nią nigdy.

Towarzyszyła mu nawet na polu. Kasia, jego starsza siostra, pomogła mu urządzić w cieniu wiązu mały ołtarzyk. Tam też umieszczał swój cenny skarb. Następnie siadał lub klękał i ze złożonymi rękoma wpatrywał się w nią, nie pozwalając się wytrącić ze skupienia niewczesnym poszczekiwaniami Belła, którego nie interesowały nabożeństwa ani święte figury. Zazdrośnie strzegł swego skarbu. Pewnego dnia niepostrzeżenie wymknął się z kuchni. Matka przeszukała cały dom. Jakiś bolesny niepokój ją ogarnął. Gdzie mogło podziać się dziecko? Żeby tylko nic złego mu się nie stało!...

Wybiegła na podwórko. Przeglądnęła szopę na drzewo, a następnie stóg słomy za domem. Nagle oczy jej padły na studnię... Niedawno ją naprawiano i nie zdążono jeszcze jej przykryć. A więc dziecko mogło wpaść do studni. Z niepokojem obejrzała powierzchnię wody, lecz nic nie zauważyła. Nie przestawała go przy tym wołać po imieniu. W końcu otworzyła drzwi do stajni i... zobaczyła swego synka, jak klęczał na mierzwiie pomiędzy wołem i osłem. Na żłobie postawił figurkę i głośno odmawiał



wszystkie modlitwy, jakie tylko umiał. Chyba betlejemscy pasterze nie okazali większej pobożności, gdy klęczeli przed żłóbkiem Chrystusa leżącego między wołem i osłem.

— Dziecko moje, ile napędziłeś mi strachu! Przecież zupełnie dobrze możesz modlić się przy nas i nie musisz uciekać do stajni, nie mówiąc mi o tym. Sam Bóg tylko wie, jak bardzo cię szukałam. Nie mogła pozbyć się myśli o niepokoju Matki Najświętszej, gdy ta szukała niegdyś po ulicach Jerozolimy zagubionego Jezusa. Czyżby Pan Bóg i jego powoływał do swojej szczególniejszej służby?...

— Nie zrobię już tego nigdy więcej — zapewnił chłopczyk, zarzucając matce rękę na szyję. I dodał drżącym głosem: — Mamo, czy teraz światło Boże zgasło w moim sercu?

— Nie — odpowiedziała matka, uśmiechając się przez łzy. — Przecież nie chciałeś źle zrobić. Ale uważaj, żebyś w przyszłości nie sprawiał mi takich zmartwień. — Nigdy już więcej, mamo — obiecało dziecko.

Tak minął rok ze swymi małymi radościami i smutkami. Mateusz Vianney z dumą patrzył na dojrzewające zboża, a żona cieszyła się widokiem rozwijających się mądrych i zdrowych dzieci. Na świecie jednak, a zwłaszcza we Francji, widać było nowe biedy i nowe wielkie strapienia. Ksiądz proboszcz Rey, który zwykł był podchodzić do życia od najlepszej strony, miał teraz wiele zmartwień. Pewnego dnia, jakoś zaraz po Nowym Roku, siedział za biurkiem i gwałtownie pykał z glinianej fajki. Trzymał w ręku długi list wikariusza generalnego z Lyonu, zawiadamiający o nominacji nowego arcybiskupa, księdza Lamourette. W miarę czytania jego rysy, z reguły pogodne, przybierały ponury wygląd, a z fajki pociągał coraz to bardziej nerwowo. Gdy wreszcie spostrzegł, że jest pusta, tak mocno uderzył nią o stół, że rozprysła się w drobny mak. Nie wpłynęło to jednak na poprawę złego humoru księdza.

W końcu wziął list i poszedł z nim do pokoju księdza wikarego. Młody ksiądz przeczytał go błyskawicznie, gdy tymczasem proboszcz usadowił się w fotelu. Wkrótce jednak twarz księdza Blanchona spoważniała.

— Tak, to ni mniej ni więcej, tylko zachęta do składania przysięgi na tak zwaną cywilną konstytucję duchowieństwa — stwierdził ksiądz wikary, zwracając pismo. — To poważna decyzja, która wymaga skupienia całej uwagi księdza proboszcza.

— Cóż to jest ta przekłeta cywilna konstytucja? — zapytał proboszcz, ciężko wzdychając i ocierając pot, który operlił mu czoło pomimo chłodu dnia zimowego. — Dotychczas nie zwracałem na nią uwagi, ponieważ myślałem, że dotyczy ona tylko biskupów i że nie będą nią nękać biednych wiejskich proboszczów. Czy może mi ją ksiądz cośkolwiek objaśnić? Przecież ją studiował.

— Dobrze — odrzekł wikary rad, że będzie mógł pouczać swego proboszcza... — Otóż latem ubiegłego roku Zgromadzenie Narodowe w Paryżu uchwaliło całkowitą zmianę położenia Kościoła we Francji. Po pierwsze Kościół traci dobra doczesne. W zamian za to biskupi i księża będą odtąd otrzymywać od państwa uposażenie. Będzie ono wynosić dwanaście tysięcy franków rocznie dla proboszczów, którzy ponadto dostaną za

darmo mieszkanie i ogród. Biskupi będą otrzymywać dwadzieścia tysięcy franków, arcybiskup zaś Paryża otrzyma pięćdziesiąt tysięcy.

W ten sposób nikt nie umrze z głodu — wtrącił proboszcz. — Dotychczas ja nie miałem więcej, a wielcy dygnitarze w pogoni za dobrami doczesnymi często stawali się ludźmi nazbyt świeckimi i co dalej? — Zamiast stu trzydziestu sześciu biskupstw będzie ich teraz tylko osiemdziesiąt trzy. Jedno w każdym departamencie.

— Ci tam na górze mogą robić, co im się żywnie podoba. W końcu o tym będzie decydował papież, a nie proboszcz z Dardilly. — Ale w tym właśnie jest sęk. Papież na przyszłość nie będzie już miał prawa zatwierdzać biskupów. Będzie zwierzchnikiem Kościoła wyłącznie w sprawach wiary. — A co na to Pius VI?

— Dotychczas jeszcze się nie wypowiedział na ten temat. — Tak, ale proboszcz z Dardilly musi powziąć jakąś decyzję. I nie wiadomo nawet, do kogo się z tym zwrócić. — Wiadomo, wiadomo, i to aż za dobrze — podjął wikary z zu pełnym spokojem. — Ksiądz proboszcz może przysięgę złożyć lub jej odmówić. Jeśli ksiądz złoży przysięgę, pozostanie na stanowisku. Jeżeli zaś odmówi jej złożenia, utraci swoją placówkę i będzie musiał zostawić ją następcy, którego przyśle biskup.

— Trzydzieści dziewięć lat jestem proboszczem w Dardilly. Dzieliłem radości i smutki mojej parafii. Większość parafian ochrzciłem, a prawie wszystkim udzieliłem ślubu. A te raz mówią mi: pakuj, bracie, manatki, skoro nie chcesz przysięgać. Mój Boże, ładną historię zsyłasz na kark swojego sługi.

— Jak ksiądz proboszcz wie, arcybiskup Lyonu odmówił złożenia przysięgi. Jego zaś następca, były lazarysta, Lamourette, który jest doradcą Mirabeau w sprawach teologicznych, ją złożył. Teraz z kolei żąda, aby i jego proboszczowie uczynili to samo.

Proboszcz utkwiał wzrok w księdzu wikarym i rzekł: — W chwili święceń kapłańskich ślubowałem wierność i posłuszeństwo mojemu biskupowi i jego następcom. Rozumie ksiądz: jego następcom?! A zatem muszę uczynić to, czego odemnie ten następca żąda. Czy nie tak?...

— Tylko pytanie, czy Lamourette jest prawowitym arcybiskupem liońskiej diecezji? — Do licha! Akurat tyle samo wiem, co i przedtem — mruknął proboszcz i zaczął chodzić wzdłuż i wszer pokoju. Instynktownie sięgnął po fajkę, lecz zaraz sobie przypomniał, że przecież ją rozbił. — Aha, fajka w proszku... Niech no mi ksiądz przeczyta tekst przysięgi, jakiej ode mnie żądają.

— Bardzo proszę: *Przysięgam, że będę troskliwie czuwał nad wiernymi mojej parafii, będę posłuszny narodowi, prawu i królowi...* — Nie widzę w tym nic złego. —... *oraz będę bronił uchwalonej przez Zgromadzenie Narodowe i zatwierdzonej przez króla Konstytucji.* — Z tym gorzej. Co zrobić? Zobaczę, co robią inni. Nawet zaraz ruszę w drogę.

Przez kilka dni z rzędu proboszcz z Dardilly chodził od jednego do drugiego konfratra i wszędzie spotykał to samo niezdecydowanie. Jednakże większość była raczej

skłonna odmówić złożenia przysięgi. — Teraz jestem akurat tak samo mądry jak na początku — westchnął kapłan, wracając zmęczony i skostniały z zimna do domu. — Wy, wikarzy, macie szczęście, bo od was nikt nie żąda przysięgi. Ale niech tak ksiądz z ręką na sercu powie, co by zrobił, gdyby musiał powziąć decyzję? — Zrobiłbym to, co by mi dyktowało sumienie. — A co by księdzu dyktowało sumienie? — Dyktowałoby, gdybym był proboszczem. — To mi Salomonowa odpowiedź! — wybuchnął proboszcz i wypadł z pokoju, trzaskając drzwiami.

Do końca tygodnia zastanawiał się, co ma zrobić, i ostatecznie znalazł wykręt. Owszem, złoży przysięgę, ale z tym wewnętrznym zastrzeżeniem, że będzie ona nieważna, jeśli potępi ją papież. Chwała Bogu! Było to wręcz doskonałe rozwiązanie. Na pewno sam Pan Bóg na takie się zgodzi.

I rzeczywiście sprawy potoczyły się tak, jak je sobie zaplanował. W najbliższą niedzielę wobec całej parafii złożył przysięgę, jakiej od niego żądał nowy arcybiskup. Wprawdzie ludzie byli nieco zaskoczeni tym dziwnym obrzędem, ale skoro z jednej strony zdali sobie sprawę ze znaczenia przysięgi, a z drugiej mieli wielkie zaufanie do swego proboszcza, wcale nie oburzyli się na niego, tym bardziej, że służba Boża odprawiała się po dawnemu.

Jedynie ksiądz wikary przy obiedzie pokiwał głową i powiedział: — Sądzę, że należało odmówić złożenia przysięgi. Proboszcz z gniewu aż przerwał jedzenie: — Ksiądz mi to teraz mówi? Dopiero teraz sumienie coś nagle księdzu powiedziało?!

— Moje sumienie zabroniło mi uprzedzać decyzję księdza proboszcza — wyjaśnił wikary. — W takim razie, smacznego! — wybuchnął proboszcz. Rzucił serwetkę i wyszedł.

Na wiosnę przyszła długo oczekiwana decyzja z Rzymu. Papież Pius VI specjalnym brewe potępił uchwały Zgromadzenia Narodowego, a księży, którzy złożyli przysięgę, ścigał suspensą, chyba, że ją odwołają. Przeciwnie, pochwalił tych, którzy odmówili złożenia przysięgi.

Jakkolwiek ta decyzja uderzyła w zacnego księdza proboszcza Reya niczym grom, poczuł jednak, że uwolniła go od niepokoju, jaki od szeregu miesięcy nękał jego sumienie. Wreszcie wszystko się wyjaśniło. Opuścił parafię i udał się do Lyonu, by zawiadomić władze o odwołaniu przysięgi. Przyjęto go z zimną grzecznością i bez wielu pytań odebrano oświadczenie. Równocześnie podano mu do wiadomości, że automatycznie traci swoje stanowisko w Dardilly, a ksiądz arcybiskup mianuje następcę, który okaże się mniej oporny.

Przez kilka lat musiał stary kapłan ukrywać się, żyjąc w niedostatku i pełniąc kapłańską posługę po kryjomu, jak to zresztą czyniło tysiące jego konfratrów. Tylko, dlatego uniknął gilotyny, że schronił się do Włoch.

Dla księdza Blanchona miała również nadejść krytyczna chwila. Wikariusz generalny z Lyonu oferował mu jedną z najbardziej łakomych parafii w stolicy diecezji. —

Dostanie ksiądz parafię, jaka z pewnością będzie odpowiadać zdolnościom i aspiracjom księdza — obiecywał wystannik arcybiskupa — oczywiście pod warunkiem, że złoży ksiądz przysięgę na cywilną konstytucję duchowieństwa.

Tak, więc nagle dawano mu to, do czego od paru lat tęsknił: parafię, w której mógłby wykorzystać swoje zdolności, a jednak... Ksiądz wikary przez jakiś czas wahał się. Następnie jednak odpowiedział zdecydowanie: — Nie, Ekscelencjo, jestem zmuszony zrobić mu zawód. Nie złożę przysięgi potępionej przez Rzym. — A zatem nie wróci już ksiądz do Dardilly — zdecydował wikariusz generalny, który podobnie jak jego arcybiskup pozostał na swoim stanowisku, dlatego, że złożył przysięgę. — Nie mam zajęcia dla księży, którzy buntują się przeciwko narodowi i odmawiają posłuszeństwa swemu biskupowi.

— A ja nie uznaję biskupa ani wikariusza generalnego, którzy nie są posłuszni Ojcu świętemu. I tak to ksiądz Blanclion wszedł na drogę ubóstwa i poniewierki.

Parafia Dardilly szczerze żałowała swoich duszpasterzy, którzy niewiadomo, dlaczego nagle ją opuścili. Przez jakiś czas myślano, że proboszcz, blisko już siedemdziesięcioletni starzec, rzekł się parafii, a księdza wikarego arcybiskup przeniósł na inną placówkę.

Wkrótce potem do Dardilly przyjechał nowy proboszcz. Był to człowiek stosunkowo młody, o groźnym wyglądzie, zupełnie niepodobny do swego poprzednika, zawsze pełnego radości i życzliwości. Pomimo to pięknie śpiewał mszę i dobrze mówił kazania. Ludzie powoli przyzwyczaili się do niego. Nie darzyli go jednak zaufaniem, jakim cieszył się dawny ich duszpasterz.

## **KAZANIE W KUCHNI (1792)**

W niedzielę *Laetare* pani Vianney trochę odpoczywała w ogrodowej altanie. Słuchała śmiechu i krzyków dzieci bawiących się na podwórku. Tylko Kasia była przy matce i wbrew swemu zwyczajowi była jakaś milcząca i zamknięta w sobie. Kilkanaście razy pani Vianney, zdziwiona, rzucała na nią badawczym okiem.

W końcu odezwała się:, — Co się z tobą dzieje, Kasiu? Nic nie mówisz i jesteś jakaś zamyślona. — O, nic mi nie jest, mamo. — I dwunastoletnia już dziewczynka pochyliła się jeszcze niżej nad trzymaną w rękach robótką. Matka zaniepokoiła się jeszcze bardziej, gdy zobaczyła spadające na płótno łzy. — Chcę wiedzieć, co ci jest — zapytała jeszcze raz, przytulając dziewczynkę do siebie. — Bez powodu nikt przecież nie płacze. — Nie wiem, czy mogę ci o tym powiedzieć — wyszlochała Kasia. — Będiesz się gniewać, gdy ci o tym powiem. — Głupia! Przed matką nie ma sekretów. — To z powodu naszego proboszcza — wyznała dziewczynka. — Wiem, że nie powinno się źle mówić o osobach duchownych, ale czasem tak mi się zdaje, że nie jest on prawdziwym księdzem. — Ja też to zauważyłam, że jest on jakiś inny aniżeli nasz dawny ksiądz proboszcz — odrzekła pani, Vianney zakłopotana. — Ale każdy człowiek ma swój sposób bycia i postępowania.

Nie musisz od razu z tego powodu wątpić w niego. — To nie z powodu jego postępowania, mamó. Ale widzę, że nie ma żadnej pobożności w tym, co czyni i mówi. Możesz mi wierzyć, mamó, staram się odrzucać te myśli, a mimo to ciągle myślę, że on nie kocha dobrze Pana Jezusa.

— Co? A czy to dobrze, że smarkata, ledwie dwunastoletnia dziewczucha, wydaje taki sąd o kimś, kto na czole i dłoniach otrzymał święte namaszczenie? Czy cię tego nauczyli ojciec i matka? Nie chcę więcej o czymś takim słyszeć. — Dobrze wiedziałam, że się rozgniewasz, gdy ci o tym powiem. Wybacz mi, mamó, jeśli sprawiłam ci przykrość.

Cały dzień pani Vianney myślała o słowach córki, a wieczorem w sypialni powiedziała o tym mężowi. Mąż zrobił wielkie oczy i przez dłuższą chwilę milczał. Po jakimś jednak czasie przemówił. — Nie wiem. Może dziecko ma jednak rację. Jest coś szczególnego w naszym nowym proboszczu. Coraz bardziej zaczyna mi się nie podobać. Dziwi mnie także i to, że od chwili, gdy on nastał, nie widuję w kościele wielu porządných rodzin. Nie mogę pojąć, jak mogły tak nagle zaniedbać się w religijnych obowiązkach. — Ja też to zauważyłam — wyznała żona. — Za to obecnie widuje się tych, którzy przedtem nie należeli do najgorliwszych, jak golibroda, oberżysta spod *Złotego Lwa* czy domokrażca Leloux. Ten ostatni, wydaje mi się, coraz częściej zagląda do kieliszka, a gdy się upije, wygłasza przedziwne przemówienia.

Chciałbym też wiedzieć, dlaczego ci ludzie coraz częściej zachodzą na plebanię. — To nas nie powinno obchodzić... — pani Vianney nie znosiła obmowy. — Czy chcesz przez to powiedzieć, że się mylę? — Tego nie powiedziałam. Ale jeżeli coś nie jest w po rządku, wypada raczej się modlić niż o tym gadać. Tego nauczyłam się od moich rodziców i tej zasady będziemy się zawsze trzymać w życiu. — Masz słuszność — odrzekł poważnie wieśniak.

Minęło parę tygodni. W przewodnią niedzielę przyszła odwiedzić panią Vianneyową jej siostra Małgorzata z mężem, Franciszkiem Humbert. Po obiedzie dorośli, do których dołączył się jeszcze brat gospodarza, Jan Vianney z żoną, zebrali się w głównej izbie, a dzieci z powodu niepogody zaczęły się bawić w kuchni. Poprzez zamknięte drzwi słychać było hałasy i śmiechy.

W pewnej chwili wszystko ucichło i dał się słyszeć dziecinnie głosik, wygłaszający coś podniosłym tonem. — To na pewno mój chrześniak wygłasza kazanie — zauważył śmiejąc się Jan Vianney. — W takim razie nadarza się doskonała okazja, by po słuchać słowa Bożego, której nie możemy przegapić — dodała Małgorzata Humbert, otwierając drzwi.

W kuchni na krześle stał Janek z pałającą uniesieniem i żarliwością twarzą, a rodzeństwo siedziało na ławce i cierpliwie słuchało. Wśród tych pobożnych słuchaczy znalazła się także Marysia Vincent, sześcioletnia sąsiadka, a także Bello, kundel, który z uwagą przypatrywał się kaznodziei.

— Macie zawsze być grzeczni — zalecał mówca. — Macie z całego serca kochać Pana Jezusa, bo On także was kocha i umarł za was na krzyżu. Pomyślcie o tym, że macie dusze. Bello jej nie ma, bo jest psem, a nie człowiekiem. Usłyszawszy swe imię kundel, podniósł się na przednich łapach i chciał zaszczekać. Przypomniał jednak sobie, że nie wypada tego czynić w czasie kazania, zatem opuścił łeb z powrotem i położył na przednich łapach. — Nie wolno wam nigdy kłamać ani kraść, i zawsze ma cie słuchać, co wam mamusia każe. Ten, kto popełni grzech, pójdzie do piekła i będzie się tam wiecznie smażył z diabłami. Diabły mają długie ogony, a na głowie rogi, i cali są czarni.

Chłopczyna tak się zapalił, że krzesło zaczęło się chwiać pod nim. — Uważaj, bo spadniesz z kazalnicy — roześmiał się Franek. — **W kościele nie wolno rozmawiać** — zgromił go kaznodzieja, przywołując do porządku.

Widocznie jednak ta uwaga zmieszała go. Zaczął się zacinać, jąkać. Wreszcie odnalazł wątek kazania i jak się to zdarza wszystkim kaznodziejom, gdy ich pamięć zawiedzie, zaczął coraz głośniejsze krzyknąć: — Macie także szanować konstytucję i być dobrymi obywatelami. Żyjemy we wspaniałych czasach. Tak, nastąpiła teraz wspaniała epoka...

Jeszcze raz zawiodła go pamięć. Stąd ponownie stwierdził stanowczo, że nadeszła teraz wspaniała epoka i że panuje wolność, równość i braterstwo. — Stój! — zawołała żywo Kasia. — Już dosyć nagadałeś się dzisiaj. — Tak, ale mimo wszystko mamy wspaniałą epokę. Mamy także konstytucję — powtarzał uparcie Janek. — Amen. — Ileż to ciekawych rzeczy on nam naopowiadał! — zauważyła przerażona na dobre Małgorzata, gdy kaznodzieja zszedł ze swojej kazalnicy.

— To znaczy, że mamy teraz proboszcza, który nieustannie ma na ustach słowa: «wspaniała epoka» — odrzekł, zamykając drzwi, zatroskany pan Vianney. — Tak jest. Bez przerwy mówi o konstytucji, o wolności, równości i braterstwie — dodał stryj Jan, nabijając fajkę. — Wolałbym, że raczej trzymał się Ewangelii. Mój chrześniak siedzi pod amboną i nie przepuści żadnego słowa z jego kazania, a potem powtarza, nic nie rozumiejąc.

—, Ale co wy, pocziwoty, robicie? — zawołała nagle Małgorzata Humbert. — Chodźcie na nabożeństwa księdza «zaprzysiężonego»? Czy nie wiecie, że porządni księża odmówili złożenia przysięgi? Zaprzysiężeni zaś nie są prawdziwymi księżmi. — Przecież nasz proboszcz, ksiądz Rey, także złożył przysięgę — zaproponowała siostra. — A mimo to na pewno był dobrym kapłanem i nie zrobiłby tego, gdyby przysięga była czymś złym.

— Musiał później odwołać — wtrącił się pan Humbert. — Widocznie, dlatego został usunięty z parafii, a na jego miejsce przysłano księdza zaprzysiężonego. Ale papież ogłosił... No stara, jak się to nazywa? — Papież ogłosił suspensę na księży zaprzysiężonych. Nasz dawny proboszcz nam to tłumaczył. Oni nie mają prawa odprawiać mszy ani udzielać sakramentów świętych. Ojciec święty im tego zabronił. A katolicy nie mogą brać udziału w nabożeństwach przez nich odprawianych.

—, Co my, więc mamy robić? —jęknęła pani Vianney. Zbladła i chwyciła się za serce. — Co mamy robić? — Są jeszcze dobrzy księża w Ecully — uspokoiła ją siostra. — Odprawiają msze święte po kryjomu. Nasz dawny proboszcz, który także musiał opuścić plebanie, gdyż odmówił przysięgi, dzisiaj rano odprawił mszę u nas w stodole. — W stodole? Marii Vianney aż tchu zabrakło. — Tak jest, w stodole. Wielu dobrych katolików wzięło udział w tej mszy świętej, pomimo że państwo pod surowymi karami zabrania brać udział we mszach odprawianych przez księży opornych.

— No, to zabiliście nam porządnego klina — rzekł Mateusz Vianney, kiwając głową. — A przecież mamy teraz wspaniałą epokę — mruknął Franciszek Humbert. — Na pewno słyszeliście o tym, co działo się w Lyonie na Wielkanoc? Motłoch napadał na kościoły, okładał kijami i biczami księży i ludzi, nie patrząc czy są to księża zaprzysiężeni czy nie.

Pewna dziewczynka została tak silnie uderzona w głowę, że w drodze do szpitala zmarła. — A co na to władze miejskie? — zapytał Mateusz Vianney. — Aby położyć kres tym rozruchom, po prostu nakazały zamknąć wszystkie kościoły. W innych miejscowościach działy się rzeczy jeszcze gorsze. Na przykład, w Paryżu w Wielki Piątek Konwent zniósł wszystkie zakony. — To iście szatańska robota — zawołała przerażona Franciszka Vianney. — Jak Bóg może ścierpieć coś podobnego? — Nie do nas należy sądzić — odrzekł Jan Vianney, jej mąż. — Przynajmniej dowiedziałem się, że mamy teraz dwa rodzaje księży. Na innych sprawach trudno mi się połapać.

— Teraz już wiem, dlaczego wielu porządnym ludzi z Dardilly nie chodzi do kościoła — zauważył Mateusz Vianney. — Trzeba było nam o tym wcześniej powiedzieć. — Nasza Kasia już dawno zauważyła, że u naszego księdza proboszcza coś nie jest w porządku — przypomniała Maria Vianney, jeszcze blada z przerażenia. — I powiedzieć, że ją wtedy za to skrzyczałam!

— Powiedźcie o tym dzieciom — podjęła siostra — w niedzielę przychodźcie do nas, do Ecully. Trzeba będzie wyjść bardzo wcześnie, gdyż msza rozpoczyna się o w pół do piątej. — Wprawdzie stąd do Ecully spory kawał drogi — wtrącił Jan Vianney, — ale skoro tak się rzeczy mają... — Oczywiście — dodała zdecydowanie jego żona. — W każdym razie, dopóki w kościele będzie odprawiał ksiądz fałszywy, noga moja tam nie postanie. — Ja z nim porozmawiam — dodała Maria Vianney stanowczo. — Przypomnę mu jego obowiązki.

Ksiądz Lejeune, zaprzysiężony proboszcz parafii w Dardilly, aż podskoczył, gdy usłyszał, jak żona Mateusza Vianneya powiedziała mu prosto w oczy: — Księżu proboszczu, czy to prawda, że ksiądz złożył przysięgę na cywilną konstytucję? — Nie zapieram się tego — odrzekł niepewnie. — A czy to także prawda, że Ojciec święty zabronił zaprzysiężonym księżom spełniać obowiązki kapłańskie? — Ojciec święty może interweniować tylko w sprawach wiary. Jego władza tego nie dotyczy. Tak postanowił Konwent w Paryżu.

— Katechizm mówi inaczej, i ja się trzymam słów katechizmu. Dla księdza także jest ważny tylko katechizm, a nie postanowienia Konwentu. — Nie jest pani dobrą patriotką — wybuchnął oburzony ksiądz Lejeune. — A ksiądz, ksiądz nie jest dobrym chrześcijaninem. — Jakim prawem pani mnie sądzi? — zapytał ksiądz, marszcząc czoło. — Księżę proboszczu, ksiądz jeszcze jest bardzo młody i na pewno ma matkę. — Tak, jeszcze żyje.

— A więc mówię to księdzu w imieniu matki: niech ksiądz odwoła przysięgę, jak uczynił to poprzednik księdza, i niech pomyśli nad tym, że w dniu święceń kapłańskich przysięgał ksiądz wierność i posłuszeństwo Kościołowi, a nie Konwentowi, który nie może nakazywać tego, co potępił papież. Niech ksiądz także przypomni sobie te oto słowa Pana Jezusa: «Jam jest szcep winny, wyście latorośle. Latorośl, co odłącza się od szczepu, uschnie i zostanie w ogień wrzucona».

— Zapewne, pani Vianney, zapewne. Szcep winny jest ważniejszy niż przysięga — wyjąkał poruszony do głębi kapłan. — Teraz niech już pani sobie idzie, a ja zastanowię się nad tym, co mi pani powiedziała. — Dopóki ksiądz nie odwoła przysięgi, ani mój mąż, ani moje dzieci, ani ja nie postawimy nogi w kościele, choć będzie to dla nas bardzo bolesne. Ostatnie słowa wypowiedziała nieco ciszej.

— Zresztą zobaczycie, że wkrótce zostanie kościół zupełnie zamknięty — odpowiedział nieszczęsny kapłan, mocno przygnębiony. — Będę się modlić za księdza, księżę proboszczu — zapewniła i skończyła rozmowę.

W związku z tym Vianneyowie zaraz po północy opuszczali teraz każdej niedzieli wioskę, by udać się w daleką drogę z Dardilly do Ecully. Przy okazji stwierdzili, że nie sami tylko odbywali tę nocną wędrówkę.

W nędznej stodole słuchali mszy świętej, odprawianej przez dawnego proboszcza tamtej parafii. Żłób służył za ołtarz, gospodarska latarnia zastępowała świece, a kilka snopów słomy służyło za ławki. Lecz rzadko, kiedy ludzie uczestniczyli we mszy świętej z tak wielką pobożnością.

— Mamo, teraz znowu czuję się szczęśliwa — wyznała Kasia, gdy wracali do domu. — W kościele w Dardilly nie mogę się modlić. Janek ochoczo dotrzymywał kroku starszym w czasie tych nocnych wypraw, a gdy o dwa lata starszy brat narzekał na wczesną porę i długość drogi, mówił mu: — To dla Pana Jezusa.

Wkrótce zaprzysiężony ksiądz opuścił Dardilly. Na jego miejsce już nikt nie przyjechał, a kościół pozostał zamknięty na dobre. Dzwony umilkły, a lampka przed tabernakulum zgasła. W niejednym domu powoli zapomniano o starych chrześcijańskich zwyczajach. Nie składano rąk do modlitwy. Nowo narodzonych dzieci nie chrzczono. Małżeństwa zawierano bez księdza, a niejednen parafianin zmarł bez ostatnich sakramentów.



## ŚWIATŁO BOŻE W CIEMNOŚCIACH (1794-1798)

Z chwilą wzięcia Bastylii obiecywano światu wspaniałą epokę. Tę samą obietnicę ponawiano przy ścinaniu Ludwika XVI, przy zamykaniu kościołów i przy niestęchanie okrutnym prześladowaniu opornych księży.

Lud jednak, bardziej niż kiedykolwiek, cierpiał głód i biedę. Obalono krzyże, a na ich miejsce posadzono drzewa wolności, które jednak wydały straszliwe owoce w postaci niedoli i bezgranicznej nędzy.

Niestety, ołowiane niebo zawisło ciężko nad latami dzieciństwa Jana-Marii Vianneya. W lutym 1795 roku wspaniały człowiek, pan Dumas, otworzył w Dardilly szkółkę. Wśród płowio i ciemnowłosych główek, zapoznających się z arkanami abecadła, znaleźli się Janek i jego siostra Małgosia. Oboje pilnie przykładali się do pisania rysikiem liter na tabliczkach.

Stary nauczyciel często kierował swój melancholijny wzrok na małego Vianneya, którego jasnoniebieskie oczy wzbudzały tyle zaufania. Jakże poważne było to dziewięcioletnie dziecko jak na swój wiek! Tak, ciężkie czasy rzuciły swój złowrogi cień na czułe serce małego chłopca. Jakże rzadko nikły uśmiech jawił się na zawsze skupionej twarzyczce dziecka!

Pan Dumas czuł, że Janek wewnętrznie cierpi z powodu okrutnych wypadków, jakie kładły się cieniem na jego młodociane lata, i widział, jak oczy dziecka często kierują się na wieżę parafialnego kościoła, którego główne drzwi wciąż były zamknięte. Jakże bardzo cierpiał z tego powodu, że nie mógł powierzonych sobie dzieci uczyć krzepiących prawd wiary katolickiej! Po kryjomu jednak od czasu do czasu wypowiadał kilka dobrych i pobożnych słów, które niczym dorodne ziarna głęboko zapadały w chłonną duszyczkę małego Vianneya.

Wśród dzieci znajdowała się także Marysia Vincent, bardzo miła i śliczna dziewczynka, której uczucie zwracało się ku temu milczącemu chłopcu. Bywała również towarzyszką jego zabaw i drobnych prac, jakie chłopiec spełniał w domu.

Pewnego letniego upalnego dnia Janek podążył z osłem, obarczonym dwoma workami zboża, do młyna Saint-Didier, a Marysia szła obok szczebiocząc wesoło, gdy tymczasem chłopiec prawie nic nie odpowiadał na jej trajkotanie. Na bezchmurnym niebie słońce prażyło niemiłosiernie. Stąd też, gdy dzieci dotarły do cienistego zagajnika przy drodze, postanowiły trochę odpocząć. Osioł także zdawał się cieszyć z tego postoju.

Dzieci przez chwilę siedziały w milczeniu. Marysia, zdawało się, zapomniła języka i o czymś pilnie myślała. Wreszcie zebrała się na odwagę i rzekła: — Janku, chciałabym ci coś powiedzieć, o czym nikt wiedzieć nie może. — Nawet Pan Bóg? — zapytał chłopiec, podnosząc na nią swe jasne, poważne oczy. — Owszem, Pan Bóg wie o tym. — No, więc dobrze, mów. — Chcę wyjść za ciebie za mąż — wyznała dziewczynka, — Co takiego? — zapytał, wpatrując się w nią. — Wyjść za mąż za ciebie. Wtedy będziemy małżeństwem i

będziemy zawsze razem. Janek jakoś dziwnie popatrzał na nią, lecz nic nie odpowiedział. — No, powiedz coś — nalegała Marysia.

— Nie — odparł krótko chłopak, kręcąc głową. « — Jak to, nie chcesz? Nie kochasz mnie? — wyjąkała dziewczynka zmieszana. — Ja wcale nie będę się żenił — stwierdził stanowczo. — Wcale nie będziesz się żenił? A to, dlaczego? — Posłuchaj, Marysiu — odrzekł po dłuższej chwili milczenia. — Ja także powierzę ci tajemnicę, której nikt nie zna i której nie możesz nikomu wyjawić. Ja chcę zostać księdzem.

—, Czym chcesz zostać? — Dziewczynka szeroko, otworzyła oczy z przerażenia. — Powiedziałem ci, że chcę zostać księdzem. — Nie! Nie! — zawołała żywo. — Nie możesz zostać księdzem! Musiałbyś się wciąż ukrywać, a gdyby cię znaleźli, zabiliby ciebie. — To niech zabijają. Ja się ich nie boję.

— A ja? Ja umarłabym z lęku o ciebie. Ostatnio znaleźli jakiegoś księdza w grocie na Złotej Górze i tak długo gonili go z psami po lesie, aż on padł z wyczerpania. Potem zawlekli go do więzienia i w dwa dni potem stracili. Nie, Janku, bądź, czym chcesz, tylko nie księdzem! Chwyliła małego towarzysza podróży za rękę, lecz on wyrwał się jej mówiąc: „Gdy ktoś chce zostać księdzem, nikt nie ma prawa mu w tym przeszkadzać, tym bardziej ty.

— Słuchaj — zaczęła znowu z płaczem dziewczynka. — Jeżeli nie chcesz się ze mną żenić, nie musisz, ale księdzem też nie możesz zostać. Janek przez chwilę walczył z swoim współczuciem dla dziewczynki, potem jednak zerwał się mówiąc: — Przestań płakać. Idziemy dalej.

— Już idę, idę — odrzekła Marysia, łkając i ocierając łzy. — A teraz, żeby głupio nie gadać, zmówimy różaniec — podjął znowu chłopak i zaczął odmawiać: *Wierzę w Boga Ojca...* Dziewczynka odpowiadała, lecz słowa modlitwy tak się jej myliły, że Janek kilka razy musiał przychodzić jej z pomocą. — Co też pomyśli sobie nasz osioł słysząc, że nie umiesz odmawiać różańca? — A niech sobie myśli, co chce — odparła urażona Marysia. Dopiero po jakimś czasie uspokoiła się i dzieci, już bez przerywania, mogły pobożnie dokończyć modlitwę.

Do Dardilly wrócili, nie odzywając się do siebie. Powierzone sobie nawzajem tajemnice ukryli głęboko w sercach. Marysia była już babcią, gdy opowiedziała o tym zdarzeniu po raz pierwszy. Jeszcze wtedy jej oczy pałały, gdy opowiadała o tym zdarzeniu. — Jestem zadowolona, że powiedział mi wtedy: nie — powtarzała z uśmiechem. — Ja także — dodawał jej mąż, pykając z zadowoleniem fajkę.

Gospodarze z Dardilly posyłali dzieci do szkółki pana Dumasa tylko w czasie miesięcy zimowych. Od wiosny zaś do jesieni korzystali z ich pomocy na gospodarstwie. Wtedy Janek z młodszą siostrą, Małgosią, pędzali niewielką trzódkę Vianneyów na pastwisko. Często przyłączał się do nich Franciszek Ksawery, przezywany «gawronem».

Wczesnym rankiem wychodziły dzieci na pastwisko z owcami, dwiema krowami i osłem na cały długi dzień letni 1787 roku. Po przybyciu na miejsce dzieci klękały i

ofiarowywały Panu Bogu cały swój nowy dzień. W dziupli spróchniałego pnia wierzby Janek ustawiał swoją drogocenną figurkę Matki Boskiej, którą ocalił przed bezbożnikami wśród zamieszek Terroru. Następnie przystrajał ją kwiatami i zielenią. Z dziecięcą pobożnością odmawiał przed nią swoje poranne pacierze. Potem jednak trzeba było pilnować bydła, by nie poszło na pobliskie pola uprawne i nie narobiło szkody.

Łąka była nie tylko pastwiskiem, lecz także miejscem zabaw, gdzie, w miarę jak słońce na niebie wznosiło się coraz wyżej, zbierały się dzieci z całego Dardilly. — Janek, daj mi przejechać się na osle — prosił Fleury Vericel, mały i bardzo żywy, sześćoletni chłopczyk. — Podsadź mnie.

Mały pastuszek chętnie oddawał mu tę przysługę. Naturalnie Ksawery też chciał się przejechać na osle, a potem jeszcze jeden dziewięcioletni urwis, Jaś Dumont, wdrapał się na grzbiet kłapoucha. W ten sposób objechali dwa razy naokoło pastwisko, śmiejąc się i krzycząc. Nagle osioł zatrzymał się i pozrzucał wszystkich na ziemię. Jakież piękne to były zabawy na pastwisku!

Następnie przyszła kolej na dwóch innych pastuszków, którzy na tej samej łące paśli owieczki. Franek Duclos i Andrzej Prorin dosiedli bydłęcia, ale i ich przejażdżka zakończyła się w ten sam sposób. — Na teraz już dosyć — zdecydował Janek. — Osioł jest już zmęczony. Urządzimy, więc procesję.

— O tak, procesję! — zawołały dzieci. Z dwóch gałązek zrobiono krzyż procesyjny. Za krzyżem szli chłopcy i dziewczynki, niosąc w rękach zielone gałązki. Ze śpiewem ptaków zlały się czyste tony pieśni maryjnej. Trzy razy procesja okrążyła pastwisko. Na koniec zatrzymała się przed figurką Matki Boskiej. Tam Janek odmówił dziesiątek różańca, nie dając się rozproszyć Andrzejowi Provin, który pociągał go za rękaw szepcząc: — Dosyć już. Jeszcze chcemy pojeździć na osle. — Najpierw modlitwa, a potem przejażdżka — uciął krótko Janek. — *Zdrowaś Maryjo, łaski pełna...*

Urwis ciężko westchnął i pod surowym spojrzeniem pastuszka znowu zaczął odmawiać modlitwy. Mylił się jednak sądząc, że nabożeństwo skończy się na różańcu. Janek podszedł do figurki, odwrócił się do swoich kolegów i zaczął mówić kazanie: — Kochani bracia! — mówił dosłownie tak, jak słyszał podczas tajnych nabożeństw. — Nasz święty Kościół jest srogo prześladowany przez nieprzyjaciół Boga. Wielu kapłanów skazano na śmierć. Wielu wrzucono do lochów więziennych. Innych wreszcie wywieziono daleko za ocean, na wyspy, gdzie muszą ciężko pracować w kamieniołomach i gdzie zamęczają ich na śmierć. Tak aresztowano księdza proboszcza z Ecully i nikt nie wie, co się z nim stało. Nie mamy teraz księdza i musimy modlić się sami. Wszystkie dzieci mają pobożnie brać udział w tych modlitwach i uważnie słuchać kazania, a nie myśleć o osle, na którym chcą jeździć.

Pełne wyrzutu spojrzenie padło na Andrzeja Provina, który opuścił ze wstydu głowę. — Wiem, że nie możecie słuchać długich kazań — ciągnął dalej mówca, — ale to jeszcze muszę wam powiedzieć. Trzeba, żebyście byli grzeczni i posłuszni swoim

rodzicom i żebyście nie byli uparci jak ten osioł, który nie zna dziesięciorga przykazań. Macie także kochać Pana Jezusa. Amen.

— Amen. Chwała Bogu! — westchnął skrycie Andrzej. Już słuchacze mieli się rozchodzić, gdy wtem zza krzaków wyszedł jakiś człowiek. Był wysoki i chudy. Twarz miał bardzo bladą. Ciemnymi, poważnymi oczyma wpatrywał się w dzieci. — Jak śmiecie robić rzeczy zakazane!? Czy nie wiecie, że Dyrektoriat w Paryżu zabronił procesji, publicznych modlitw i kazań?

— Niech Dyrektoriat zajmuje się swoją cebulą— odrzekł rezolutnie Andrzej Provin, i szybko skrył się za plecami kolegi, Franka Duclosa. Wtedy wysunął się naprzód mały Vianney, spojrzął odważnie na przybysza i powiedział: — Dyrektoriat w Paryżu tak samo może zabronić ptakom śpiewać na tej łące, jak nam się modlić. Jak one nie mogą przestać śpiewać, tak my się modlić. Jeżeli jest pan jakobinem, niech mnie pan aresztuje. Ja tylko jestem odpowiedzialny za wszystko.

Dzieci aż struchlały. Małgosia mocno przytuliła się do brata i zaczęła płakać. — Tak jest, mam wielką ochotę zabrać cię ze sobą — odrzekł nieznajomy uśmiechając się. — Bardzo mi się podobasz. Czy mogę wiedzieć, jak się nazywasz? — Nie mów mu — podpowiedział nieufnie Andrzej. — Dlaczego? Nie mam się, czego wstydzić swego nazwiska. Nazywam się Jan-Maria Vianney i mieszkam w Dardilly, w ostatniej fermie przy drodze. A pan, kim jest? — Nazywam się, Groboz i jestem kucharzem — odrzekł przybysz. — W takim razie ma pan pożywny zawód — zauważył ze śmiechem Andrzej Provin.

Także inne dzieci ochłonęły już ze strachu i zaczęły się śmiać. Również nieznajomy dzielił z nimi ogólną radość. — Bawcie się dalej spokojnie — rzekł odchodząc. — Macie rację, trzeba raczej słuchać Boga niż ludzi. Jednakże na przyszły raz dobrze uważajcie, czy w krzakach nie ma jakiegoś szpiega, który by was podglądał. Mógłby, bowiem być prawdziwym jakobinem. Niech was Bóg ma w swojej opiece

— A może to rzeczywiście był jakobin i poszedł po żandarmów — zauważył podejrzliwie Franek Duclos. — W każdym razie nie jest on kucharzem — stwierdził Andrzej. — Wszyscy kucharze mają duże brzuchy, a u niego można byłoby policzyć wszystkie żebra. — Nie bójcie się — rzekł Janek. — To dobry człowiek. Można to było poznać po jego oczach.

Kiedy wieczorem dzieci wróciły do domu, czekała na nie wielka niespodzianka? Nieznajomy siedział w izbie z rodzicami i przyjaźnie się uśmiechał do wchodzących. — Mamy gościa — oznajmił ojciec, dając znak dzieciom, by się zbliżyły. — Jest nim ksiądz Groboz, jeden z księży, którzy odmówili złożenia przysięgi. Dlatego teraz musi się ukrywać. Zostanie w naszej okolicy, żebyśmy mogli mieć księdza. Będzie odprawiał mszę świętą i udzielał sakramentów. Wielkie to dla nas szczęście. — Ksiądz? — wyjąkał zmieszany Janek. — Tak jest, moje dziecko — odparł z uśmiechem ksiądz Groboz.

Oprócz tego jestem kucharzem, żeby w ten sposób zamaskować moją działalność kapłańską. Umiem przyrządzić fasolkę ze słoninką, a jakże... — Ale jak mógł ksiądz tak łatwo trafić do nas do domu? — O, bardzo prosto. Mówiłem już. Byłem bezpieczny w rodzinie, która ma tak dobrego i pobożnego syna. Czy może chcesz na mnie donieść?

— Jak ksiądz może myśleć o czymś podobnym? — zachnął się urażony chłopiec. Uspokoił się jednak, gdy matka wyjaśniła mu, że ksiądz chciał tylko zażartować. — Chwała Bogu, że będziemy mogli znowu uczestniczyć we mszy świętej w każdą niedzielę — rzekła pani Vianney. — Jakże my jej pragniemy od czasu, gdy został aresztowany ksiądz z Ecully.

Wieczorem ksiądz Groboz zagadnął Janka, kiedy ostatni raz był u spowiedzi. — Ja jeszcze nie byłem u spowiedzi wcale — wyznał chłopiec czerwieniąc się. — A więc nie mamy czasu do tracenia — oświadczył ksiądz.

Nie trzeba go było długo do niej przygotowywać, gdyż Janek nauczył się od rodziców i starszego rodzeństwa tego, co trzeba umieć przed przystąpieniem do tego wielkiego sakramentu. Jeszcze tego samego wieczora uklęknął przed księdzem i w prostocie serca wyznał swoje małe dziecięce przewinienia

Wzruszony do głębi serca czystością duszy tego niewinnego dziecka spowiednik powiedział: — Moje dziecko. Pan Bóg dał ci wzrastać w trudnych i niespokojnych czasach. Wielu ludzi straciło wiarę, odrzuciło moralność i odeszło od Boga. Drzwi kościołów są pozamykane, a wieczne lampki przed Najświętszym Sakramentem dawno wygasły. Bóg jednak w twojej duszy cudownie ustrzegł światło swojej łaski. Podziękuj, więc Bogu z całego serca za czułą opiekę i staraj się w przyszłości pozostać Mu wiernym. Czasy, w których żyjemy, wymagają od nas wielkich rzeczy, a często nawet ofiary z życia. Wymagają od nas bohaterstwa pierwszych chrześcijan i wierności męczenników. Janku, czy jesteś gotów do takiej wierności?

— Tak, mój ojczu, będę wierny Chrystusowi aż do śmierci — zapewnił chłopczyzna drżącym wprawdzie głosem, lecz bez chwili zastanowienia. — Niech cię Bóg błogosławi — zakończył wzruszony kapłan. Potem nałożył mu pokutę i wypowiedział uroczyste słowa rozgrzeszenia. Wyszedł z izby bez słowa, a Janek zalany radością pozostał klęcząc, by podziękować Bogu za łaskę tego wielkiego dnia.

W rok później miał szczęście przystąpić do pierwszej Komunii świętej. W maju 1798 roku Janek udał się do Ecully i zamieszkał u wujostwa Humbertów na czas przygotowania. Dwie siostry zakonne, które Terror wypędził z klasztoru, w przebraniu świeckim ukrywały się w Ecully i uczyły dzieci religii. Proboszcz, ksiądz Balley, udzielił szesnaścioru dzieciom przystępującym po raz pierwszy do Komunii świętej rekolekcji. Janek nigdy dotychczas nie doznał tak wielkiego szczęścia, jak właśnie podczas tych dni poświęconych Bogu.

Wreszcie zawitał poranek tak bardzo wyczekiwanego dnia. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, dzieci w swoich codziennych ubrankach udały się na fermę pani Pingon,

gdzie miała odbyć się uroczystość. Zaprowadzono je do izby, której okiennice były szczelnie zamknięte. Dla większego bezpieczeństwa pod oknami tejże izby, na podwórzu, zaczęto rozładowywać olbrzymią furę siana. Parobcy starali się na to zużyć jak najwięcej czasu. W ten sposób najmniejszy nawet promyk świecy nie mógł przedostać się na zewnątrz.

Dopiero w tym domu matki pozakładały córeczkom na głowy białe welony, a synom na ramieniu pozawiazywały wstążki. Ze świętej niecierpliwości Janek nie mógł zasnąć ostatniej nocy. Bał się bardzo, by nie stało się coś księdzu, co mogłoby przeszkodzić nadejściu jutrzejszego poranka.

Odetchnął, więc z ulgą, kiedy ujrzał nadchodzącego księdza Karola Balleya. Był w roboczym ubraniu, a pod pachą niósł narzędzia stolarskie. Ubrał się w święte szaty i na stole ozdobionym świecami i kwiatami położył portatył. Następnie zwrócił się do swoich małych słuchaczy. Mówił im o miłości Jezusa, który w tej uroczystej chwili miał przyjść do nich. Dzieci odnowiły przyrzeczenia chrztu świętego. Na pytania musiały odpowiadać cicho, by nie było słyhać na zewnątrz. Za to ich serduszka biły tym mocniej.

Nie było śpiewów ani dzwonów. Nie grały też organy. A mimo to małemu Vianneyowi zdawało się, że niebo się nad nim otwarło, gdy w czasie konsekracji Zbawiciel zstępował na ołtarz. Gdy zaś w czasie Komunii kapłan złożył mu na języku świętą Hostię, dusza chłopca pogrążyła się w oceanie szczęścia.

Już dawno skończyło się nabożeństwo. Pobożne dzieci po przyjęciu po raz pierwszy Pana Jezusa opuściły dom, a Janek, zatopiony w gorącej modlitwie z twarzą ukrytą w dłoniach, wciąż trwał na klęczkach. Gdy w końcu matka powiedziała mu, by wstał i przyłączył się do rodziny, która od dawna czekała na niego, spojrzał na nią tak, jakby powracał z zaświatów, których nie chciał opuścić. Zakosztował, bowiem szczęścia i darów nieba.

## **PIOTR W OKOWACH (1799-1802)**

Letnie słońce zaszło już za Sewenny i noc zaczęła splatać koronę z gwiazd wokół ich szczytów. Tu i ówdzie w różnych domach w Dardilly zapalały się lampy, by wkrótce znowu zagasnąć. U Vianneyów w stajni, za szybkami latarni pełgał mdły płomycek łojówki, której nikły blask padał na stronicę leżącej przed Jankiem książki. Miał już on trzynaście lat. Twarz chłopca była ogorziała od słońca, lecz jasnoniebieskie oczy pały jakimś tajemniczym blaskiem.

Przed chwilą obok niego położył się na słomie jego brat, Franek. Kilka razy ziewnął, jak to mówią, z całego serca i po chwili mruknął: — Wciąż jeszcze czytasz? Czas już spać. — Jeszcze tylko kilka linijek — odpowiedział proszącym głosem Janek. W chwilę potem z westchnieniem zamknął książkę i zgasił latarnię. Podłożył ręce pod głowę i zapatrzył się w ciemność. — Franek, śpisz? zapytał po pewnym czasie? — Daj mi spokój. Czego chcesz? — Dziś jest świętego Piotra w Okowach. — Możliwe. Mamy dziś 14

termidora, święto polewaczki czy czegoś w tym rodzaju. Nie można się połapać w tym nowym kalendarzu. — Tak, mamy dzisiaj 1 sierpnia. Akurat skończyłem czytać opowieść o uwięzieniu świętego Piotra. Jest ona opisana w *Dziejach Apostolskich*.

— Gdyby stary Dumas nie nauczył cię czytać, mógłbym, co wieczór o godzinę wcześniej zasnąć — odmruknął Franek. — Dziś tak samo jak wtedy — ciągnął dalej Janek, nie dając się zbić z tropu — Piotr jest w okowach. Nasz Ojciec święty jest więźniem cytadeli w Valence. Na pewno cierpienia i troski nie pozwalają mu zasnąć.

— Tak, ale nie musi on wcześniej wstawać i okopywać winnicy. — Jest identycznie tak samo. Z tym tylko, że Herod Agryppa nazywa się dzisiaj Bonapartem, a święty Piotr Piusem VI. Mówił nam ksiądz proboszcz z Ecully, że ma osiemdziesiąt dwa lata i jest śmiertelnie chory. I, pomyśl tylko, Franek, tego umierającego prawie starca chcą przewieźć do Dijon... — Słyszałem o tym — odrzekł ziewając Franek. — A więc — mówił dalej Janek, unosząc się nieco na postaniu, — jeżeli będą go wieźć do Dijon, papież będzie przejeżdżał prawie przed naszymi oknami. — Tak, prawie.

—, Ale Pan Bóg może jeszcze wszystkim inaczej po kierować. On to przecież posłał anioła do świętego Piotra. Loch więzienny nagle napełnił się światłem, z rąk opadły kajdany i bramy się otworzyły, pomimo rygli i sztab żelaznych. Czy Pan Bóg nie mógłby dokonać czegoś podobnego i dzisiaj? Jak myślisz? — Dziś nie ma cudów.

— Ty tylko tak mówisz. Bóg może działać cuda, kiedy i gdzie chce. Wtedy jednak chrześcijanie modlili się za swego papieża. Jest napisane w *Dziejach Apostolskich*: «Kościół modlił się za niego nieustannie do Boga». Nieustannie, słyszysz, Franek? — Tak, słyszę, słyszę. Ale wtedy Kościół nie musiał okopywać winnicy. Jest czas na pracę i jest czas na modlitwę, ale jest także czas na odpoczynek. Teraz właśnie jest czas na odpoczynek, rozumiesz? — Nieustannie... — powtarzał zamyślony Janek.

— Powiem ci coś — odezwał się poirytowany brat. — Można we wszystkim przesadzać, nawet w modlitwie. — Tak sądzisz naprawdę? — Tak, naprawdę. Już chłopcy śmieją się z ciebie widząc, jak ciągle odmawiasz różaniec. Czy nie zauważyłeś, jak cię przedrzeźniają? Chowają ci motykę i rydel, za twoimi plecami stroją miny, składając ironicznie ręce i wznosząc słodko oczy ku niebu, po prostu małpują cię. — To mnie mało obchodzi. — Tak, ale ja, ja nie mogę pozwolić na drwiny z ciebie! Przecież jesteś moim bratem. A teraz śpij! Dobranoc. ' — Dobranoc — odrzekł Janek.

Chciał jeszcze coś dopowiedzieć, ale brat już chrapał. Chłopak długo nie mógł zasnąć. Myślał o tym, co przed chwilą usłyszał. Rzecz jasna, on też zauważył, jak od dłuższego czasu niektórzy we wsi śmiali się z niego. Ale czy był sens wdawać się w mało poważne, a często nawet gorszące rozmowy z innymi chłopcami? Nie, on wolał rozmawiać z Bogiem. Ale brat nie mógł tego znieść. Postanowił, więc od tej chwili modlić się w ukryciu, tak żeby inni nie widzieli. Mimo wszystko musiał się modlić, i to modlić się nieustannie, tak jak to jest zalecane w Ewangelii.

Znowu jego myśli pobiegły do Valence. Na pewno dostojny więzień modli się w tej chwili. O co prosi Boga w swoich modlitwach? O wyzwolenie dla siebie? O cud, który by go uwolnił, jak niegdyś świętego Piotra z więzienia jerozolimskiego? Na pewno modli się za kraj, który go tak strasznie sponiewierał i skrzywdził. Modli się o wolność Kościoła, który podobnie jak on sam jest w okowach. Modli się za nieprzyjaciół, za nowego Heroda Agryppę.

Wiek osiemnasty dobiega końca, a co przyniesie następny? Czy może nowe okrucieństwa, nowe cierpienia? Czy raczej wolność, szczęście i ocalenie dla narodów i Kościoła? Tak, trzeba się modlić, i to modlić się nieustannie. Wziął, więc do ręki różaniec i przesuwał w palcach jego paciorki tak długo, aż w końcu zmorzył go sen, który przyniósł zmęczonym ciężką całodzienną pracą członkom odpoczynek.

W tym samym czasie Pius VI składał Bogu w ofierze swoje życie za wolność Kościoła. Zmarł 29 sierpnia 1799 roku w twierdzy Valence. Przez cztery miesiące nie pozwalano mu nawet spocząć w grobie. Dopiero w ostatnich dniach roku jego ciało, złożone w zaplombowanej trumnie, zostało należycie pogrzebane.

Ofiara Piusa VI nie poszła na marne. Napoleon, zostawszy absolutnym władcą kraju, mógł w końcu położyć kres wojnie religijnej i zapewnić sobie pozycję dyktatora przez pojednanie się z Rzymem. 15 lipca 1801 roku konkordat przypieczętował pokój między Kościołem a państwem francuskim, a 5 kwietnia następnego roku rząd go ratyfikował i tym samym nadał mu moc prawną i obowiązującą. Bramy kościołów znowu się otworzyły i rozdzwoniły dzwony. Po ciemnościach Wielkiego Piątku zaświtał wielkanocny poranek.

Katolicy z Dardilly niezmiernie się ucieszyli, ujrawszy dawnego swego proboszcza, księdza Reya, któremu lata i zmartwienia pobieliły głowę, jak znowu zajmował swe miejsce w kościele. Z głębokim wzruszeniem wysłuchali kazania księdza proboszcza. Czuli, że Pan Bóg przysłał go do nich znowu, by jak dawni patriarchowie przed śmiercią jeszcze raz ich pobłogosławił.

I tak nadeszła dla Kościoła we Francji Wielkanoc. Jeżeli zaś wierni w Dardilly żądali jakiegoś widzialnego znaku całkowitej przemiany, była nim nowa postawa domokrażcy Andrzeja Leloux. Dawny jakobin wędrował teraz od domu do domu z medalikami, różańcami i świętymi obrazkami. Wyjaśnił Vianneyom, że czerwoną czapkę nosił tylko dla oka, w głębi zaś serca pozostawał zawsze wiernym katolikiem.

— W takim razie potrafił pan doskonale maskować swoje wewnętrzne przekonania — zauważył z przekąsem gospodarz. — Czego chcecie? — odparł, wzruszając ramionami, domokrażca. — Wy także odegraliście swoją rolę w wielkiej grze maskowania. Czy może zaprzeczycie, że ukrywaliście księży, którzy odmówili złożenia przysięgi? — Uchowaj Boże, bym miał się tego zapierać. — Wiedziałem o tym, a jednak nie doniosłem — odrzekł triumfująco domokrażca. — Tak, tak. Tylko nie wiadomo, czy zrobił to pan z pobożności czy ze zwykłego tchórzostwa.



W niedzielę Dobrego Pasterza stary proboszcz z Dardilly, opierając się ciężko na lasce, przekroczył próg domu Vianneyów. Osunął się stękając na duży fotel, który mu gospodyni szybko przygotowała. — Szczerze się cieszę, że znowu znalazłem się pod twoim dachem, Mateuszu. Sprawy parafii idą bardzo źle, dlatego czuję się szczęśliwy, znalazłszy się w rodzinie, która w ostatnich latach nie opuściła Boga.

— Bóg nas nie opuścił — odrzekł gospodarz, — dlaczego więc my mielibyśmy Go opuszczać? Zresztą w Dardilly jest jeszcze wiele rodzin, w których panuje bojaźń Boża. — Wiem, wiem o tym — westchnął proboszcz. — Ale są i takie rodziny, które niewiele wiedzą o Panu Bogu i Jego przykazaniach. Chciałbym zobaczyć twoje dzieci, Mateuszu. Wprowadź je. Wkrótce młoda gromadka weszła do izby.

— Tyś to, Kasiu, czy nie? — zapytał ksiądz, zwracając się do młodej dwudziestotrzyletniej dziewczyny. — Jak mogę sądzić po pierścionku na palcu, jesteś już zaręczona? — Tak jest, księżo proboszczu — odrzekła Katarzyna, wypychając przed siebie młodego mężczyznę, który dotychczas trzymał się nieco z tyłu. — Mój przyszły mąż, Paweł Melin, z Ecully. — Znałem twoją rodzinę, mój synu — rzekł ksiądz, po dając mu rękę. — Dzielni ludzie. I na pewno takimi pozostali.

— Inaczej nie pozwolilibyśmy na zaręczyny — stwierdziła pani Vianney. — Gdy tylko skończy się winobranie, odbędzie się wesele. — Bardzo się cieszę, że ksiądz proboszcz będzie mógł po błogosławić nasz związek — wyznała Katarzyna.

— Jak Pan Bóg pozwoli. W moim wieku nie można być pewnym nawet jednego dnia. A to chyba Franek. Pierwszy konsul ucieszy się, gdy za parę lat będzie cię mógł ubrać w mundur wojskowy.

— Mój chłopak jest mi bardzo potrzebny do pracy w polu i w winnicy, a nawet wprost nieodzowny — rzekł, marszcząc czoło, ojciec. — Mogą się bić i bez niego.

— A to ty, Jasiu? — zagadnął proboszcz, wpatrując się w szesnastoletniego chłopca, który stał przed nim w postawie pełnej szacunku. — Oczywiście, nie muszę pytać, czy jesteś dobry. Musisz jeszcze trochę urósć, zanim zaczniesz wydatnie pomagać bratu. — Ja już potrafię pracować — odrzekł nieco zmieszany Janek.

— Tak jest, księżo proboszczu, ma on mocne ręce — stwierdził gospodarz — i do roboty się przykład. A to nasza Małgosia — dodał, wypychając naprzód najmłodszą córkę, która bez żadnej obawy podała księdzu rękę. — A to, wreszcie, nasz beniaminek, Franciszek Ksawery, nasz pastuch. — Ale ja także już potrafię pracować na polu i w winnicy — pośpieszył dodać trzynastoletni chłopak.

— No to Pan Bóg wam pobłogosławił — rzekł proboszcz, gdy dzieci opuściły izbę. — Nie zdołacie Mu się nigdy dostatecznie odwdziżyć, że dał wam takie dobre i zdrowe dzieci. — Tak jest — dodała matka — są bardzo dobre, pobożne i wesole.

— Jedynie Janek wydał mi się jakiś nieco zasępiony, jak by coś wewnątrz przeżywał, coś, co go dręczy — podjął kapłan po chwili. — O tak, Janek — westchnęła matka, rzucając okiem na męża. — Prawda, Janek jest przedmiotem mego szczególnego

niepokoju — dodał ojciec. — Przybrał sobie coś do głowy, z czego nie chce ustąpić. — A co takiego? — Chce zostać księdzem — odrzekła matka. — A zatem byłoby to dla was wielkim błogosławieństwem — zauważył proboszcz z przejęciem.

— Zasadniczo nie powinno być z tym żadnego kłopotu — podjął znowu Mateusz, — ale, widzi ksiądz, ostatnie kiepskie lata odbiły się na gospodarce. Wielu rzeczy nam brakuje, czasy są ciężkie. Kasia chce wkrótce wychodzić za mąż i potrzebne będzie odpowiednie wiano. Przecież nie może wyjść z tego domu jak jakaś dziadówka. Franek za parę lat będzie ciągnął los, a jeżeli popadnie zły numer, trzeba będzie opłacić zastępcę, bo nie na to go wychowałem, żeby się bawił w żołnierza. Janek zaczyna już siedemnasty rok i musiałby zaczynać naukę od początku. A więc jest to zupełnie niemożliwe, zważywszy obecną drożyznę. Bardzo bym pragnął, księżę proboszczu, aby mu ksiądz wybił z głowy tę szaloną myśl. Gdyby tak ksiądz proboszcz zechciał się tego podjąć, oddałby mi wielką przysługę.

— Przede wszystkim cała sprawa w tym, żeby się do wiedzieć, czy Pan Bóg rzeczywiście powołuje twego syna — odrzekł ksiądz stanowczym tonem. — Toż to i ja bez przerwy powtarzam — wtrąciła się pani Vianney.

— Pan Bóg nie może go powoływać, skoro zagradza mu drogę do kapłaństwa — upierał się zaferowany gospodarz.

—, Jeśli go naprawdę powołuje, otworzy mu drogę. A ty, Mateuszu, nie możesz stawiać mu przeszkód. Przyślij go do mnie, a zaraz będę wiedział, jak się rzeczy mają.

Jeszcze tego samego dnia Janek Vianney stawiał się na plebanii i wyznał księdzu proboszczowi pragnienie swego serca. — Niech mi ksiądz proboszcz wierzy: ja bez przerwy słyszę, jak mnie Pan Bóg woła: w czasie pracy, w kościele, w domu, w dzień, w nocy... Ciągłe słyszę Jego głos: chodź i ty do mojej winnicy.

Czy się przypadkiem nie mylisz, moje dziecko? Czy nie pociągają cię wygody życia, jakich duchowieństwo może się dzisiaj znowu spodziewać? A gdyby tak zaczęto nas znowu prześladować, jak to robiono do niedawna, a gdyby nas znowu zaczęto wtrącać do więzienia, prowadzić na szafot, Janku, czy twoje pragnienie pozostałoby tak samo żywe?

— Nie zawahałbym się ani chwili, by pójść za głosem Bożym — odrzekł młodzian z takim zapałem, że kapłan nie miał już żadnych wątpliwości.

— A jak wyobrażasz sobie studia? Musiałbyś przecież na uczyć się łaciny i jeszcze wielu innych rzeczy, zanim mógłbyś zostać przyjęty do seminarium. Czy będzie to możliwe? Janek opuścił głowę i odpowiedział cicho: — Nie wiem. Ale Pan Bóg jakoś zaradzi. Żeby tylko ojciec powiedział: tak. — Porozmawiam z nim. Powiedz mu, że chcę się z nim zobaczyć w niedzielę po sumie.

Kiedy gospodarz zjawił się o umówionej godzinie, stary kapłan powiedział z wielką powagą: — Przebadałem twego syna, Mateuszu, i nabrałem przekonania, że jego powołanie jest prawdziwe. Nie masz, więc prawa mu się sprzeciwiać.

W domu liczy się tylko moja wola, a nie dzieci — odparł Vianney, patrząc w ziemię. — Mylisz się, Mateuszu. W domu liczy się tylko wola Boża, a nie twoja. Wedle tej zasady postępowali twój ojciec i dziadek. Ty także do dzisiaj postępowaleś tak samo. Czyżbyś chciał tę linię postępowania zmienić?

Jakiś czas wieśniak milczał, patrząc uparcie przed siebie. — Chcę być posłuszny księdzu we wszystkim i nikt nie może powiedzieć, że u Vianneyów nie rządzi wola Boża. W tej jednak sprawie na pewno wydał ksiądz niesłuszny wyrok. Zastanowię się nad tym. Dziękuję za złą przysługę, jaką mi ksiądz oddał. Podał proboszczowi rękę i szybko wyszedł. Kapłan zaś odprowadził go wzrokiem, kiwając głową.

Jego pobyt w Dardilly nie miał się zresztą już długo przeciągnąć. Zima do tego stopnia pogorszyła jego stan zdrowia, że musiał poprosić o zwolnienie z obowiązku i usunąć się do domu księży emerytów w Lyonie.

### **BRAMA SIĘ OTWIERA (1804-1805)**

Lata mijały w monotonii dni. Obsiewano pola i zbierano plony, uprawiano winnice i urządzano winobrania. Jeszcze w dalszym ciągu obowiązywał rewolucyjny kalendarz ze swoimi śmiesznymi nazwami, które miały zastąpić świętych. Cykl świąt liturgicznych toczył się według swego porządku, a głos dzwonów każdego dnia rozlewał błogosławieństwo na okolicę.

Janek pracował ze starszym bratem, starając się gorliwie spełniać polecenia ojca. Z nadejściem nocy rzucał się na siennik półmartwy ze zmęczenia, a mimo to nie mógł zasnąć. Wtedy wszystkie myśli zdawały się wybiegać do jednego celu, który wciąż zdawał się oddalać...

Nabierał wprawdzie sił, ale z roku na rok stawał się coraz szczuplejszy, a czasem wydawał się być tak wyczerpany, że matka zdobywała się na odwagę i zaklinała męża, błagając go, by się już dłużej nie opierał powołaniu syna. Ale wieśniak zawsze odpowiadał twardo i nieustępliwie. Starzał się, i do innych niedomagali dołączyły się silne bóle reumatyczne.

Kasia wyszła za mąż i przeniosła się z mężem do Ecully. Ich zagospodarowanie pociągnęło duże wydatki. Ponadto Franciszek wyciągnął zły numer i trzeba było bardzo drogo opłacić zastępcę.

— Mam parobka najmować czy co, mimo że mam dwóch dorosłych synów? — odpowiadał z gniewem Mateusz, gdy żona poruszała sprawę powołania ukochanego syna. — Nie chcę już więcej o tym słyszeć. Postanowiłem raz na zawsze: Janek zostanie na gospodarce. Niebo można osiągnąć będąc rolnikiem.

Jednakże zmartwienie syna niepokoiło ojca bardziej, niż się na zewnątrz zdawało. Ukradkiem obserwował go, więc niespokojny. Nie było mu w smak, że ten duży już chłopak był zawsze jakiś taki milczący i skryty, wręcz przeciwnie niż jego bracia, którzy

setnie pracowali, byli prawdziwie pobożni, ale równocześnie lubili się też zabawić z innymi chłopcami ze wsi.

Było to pewnego jesiennego dnia 1804 roku. Winobranie wprawdzie było przeciętne, lecz młode wino, którym kilka dni temu napełniono kadzie, głośno fermentowało. — Słyszysz, jak hałasuje? Zdaje się, że rozerwie obręcz i rozsądzi beczki — odezwał się Mateusz Vianney do syna, zajętego robotą w piwnicy. — Będzie za to dobre wino. Przeciwnie zaś, jeżeli w beczkach wino nie fermentuje lub z lekka tylko pomrukuje, to znaczy, że jest słabe i po spożyciu przy stole nie rozweseli serca. Tak samo jest i z człowiekiem.

Janek nic nie odpowiedział. Wiedział dobrze, do czego ojciec pije. Zresztą, po co po sto razy powtarzać to samo? — Masz już osiemnaście lat — ciągnął dalej Mateusz Vianney z troską w głosie. — Nie słyszę jednak, żebyś się, kiedy śmiał czy śpiewał razem z innymi chłopcami. Zawsze wyglądasz jak kartuz. Chciałbym, żebyś był bardziej żywy i wesoły niż dotychczas — dodał, stukając zgiętym palcem w beczkę, w której młode wino tak mocno hałasowało, że trzeba było prawie krzyżeć, żeby można się było wzajemnie słyszeć.

Niestety! Cóż wiedział ojciec o stanie duszy swego syna?! W tym biednym sercu wszystko buntowało się przeciwko narzuconej przemocy, niczym młode wino w swoim drewnianym więzieniu! Cóż wiedział ojciec o gorzkiej zgryzocie, jaką on przed nim taił, o cierpieniu, które sprawiało, że chłopak był milczący i poważny?! Ze swoich trosk zwierzał się jedynie matce, a ta dzielna kobieta, jak mogła, dodawała mu otuchy. Katarzyna i szwagier, Paweł Melin, litowali się nad nim także i szukali sposobu, jak by mu pomóc.

Do nowego proboszcza w Dardilly, księdza Jakuba Tornier, Janek nie miał już takiego zaufania jak do jego poprzednika, poczciwego księdza Reya. Czego nie mógł uzyskać u ojca ten ostatni, tym bardziej nie uzyskałby ten nowy kapłan.

— W osiemnastym roku życia byłem lepszym od ciebie zuchem — podjął znowu Mateusz Vianney — możesz mi wierzyć. — Tato — zebrał się w końcu na odwagę Janek — pozwól mi zostać księdzem. Wieśniak wyprostował się. Na czole pomiędzy gęstymi brwiami ukazała się zmarszczka, zapowiadająca gniew.

Kiedy jednak dostrzegł na twarzy syna straszną mękę gniew prysnął. Pokiwał, więc tylko głową i powiedział: — Przecież wiesz, że to niemożliwe. Musisz zaniechać tego zamiaru. Pracowali dalej nic już do siebie nie mówiąc. Tylko wino nie przestawało burzyć się w swoim więzieniu.

Pod koniec roku niezwykła wieść wprowadziła w osłupienie mieszkańców Dardilly. Napoleon, chcąc nosić cesarską koronę, sprowadzał do Francji papieża, by dokonał jego koronacji w katedrze Notre-Dame w Paryżu.

Następca świętego Piotra przejeżdżał właśnie przez Lyon. Wśród olbrzymiego tłumu, klęczącego wzdłuż drogi, którą przejeżdżał pojazd papieski, znalazł się także Mateusz Vianney ze swoją rodziną. Wszyscy wrócili do domu w milczeniu, głęboko

wzruszeni wspaniałością postaci papieża, którego oblicze zdradzało ukryty smutek, co nie uszło bacznej uwagi wieśniaka z Dardilly.

— Napoleon sprowadza do Francji papieża niczym lokaja — zauważył Mateusz Vianney. — Wypadałoby raczej, żeby się udał do Rzymu i tam dał się ukoronować papieżowi w bazylice św. Piotra. — Masz słuszość — przyznał któryś z sąsiadów po ważnie. — A potem chciałbym wiedzieć, po jakiego licha zdobywano Bastylię, jeżeli skończyła się już republika. — Mało mnie to obchodzi — mruknął Vianney. — Republika nie przyniosła nam nic dobrego. Boję się tylko, czy na Kościół nie przyjdą znowu złe czasy.

Wkrótce okazało się, że wieśniak miał słuszość. Potwierdzeniem tego miał być gest Napoleona, który otrzymawszy namaszczenie i błogosławieństwo od papieża, wziął mu z rąk koronę i sam sobie włożył na głowę. Pełen niepokoju i troski udał się Pius VII w powrotną drogę do Państwa Kościelnego.

Następny rok był niepomysłny dla wieśniaków, winodajnej okolicy lionńskiej. Przez całe lato deszcze padały prawie bez przerwy. Zboża zgniły na pniu, a winogrona na krzewach. Po marnych żniwach prawie nie było winobrania. Na winnych, bowiem krzewach nie było, co zbierać.

Pewnego październikowego wieczora Mateusz Vianney wrócił z winnicy zrozpaczony. Nic, zupełnie nic — jęknął, siadając ciężko na ławie w kuchni. — Cała nasza robota, cały nasz trud poszedł na mamę. Bóg nas opuścił.

— Okaże nam znowu swoją łaskawość, jeśli my nie będziemy sprzeciwiać się Jego woli — odrzekła żona. Lecz Mateusz zdawał się nie rozumieć dyskretnej aluzji, ukrytej w tych słowach. — Ksawery ma już szesnaście lat — ciągnęła dalej, nie doczekawszy się odpowiedzi. — Nie chce już paść bydła. Dobytku może już doglądać Małgosia. — I co z tego? — Chcę przez to powiedzieć, że na fermie można się będzie obejść bez jednej pary rąk, bo Ksawery pracuje już jak dorosły. — Widzę, do czego chcesz zmierzać. — Mateusz Vianney, poirytowany, wziął czapkę i wyszedł z domu.

Swoim ciężkim chłopskim krokiem szedł przez pola i tak był zatopiony w myślach, że kilka osób popatrzyło na niego ze zdziwieniem, bo im nie odpowiedział na słowa pozdrowienia. Słowa żony dotknęły go bardziej, niż można było przypuścić. A jeśli rzeczywiście Pan Bóg pokarał go za upór?

Wciąż jawiła mu się przed oczyma groźna postać dawnego proboszcza, z Dardilly, który ubiegłego roku zmarł w Lyonie. Za każdym razem na nowo słyszał jego napomnienie: wiedz o tym, że nie wolno opierać się temu, w czym objawiła się wola Boża.

Noc już zapadła, gdy Vianney wrócił do domu. Bez słowa siadł za stołem, lecz wkrótce odstawił prawie nietknięty talerz. Dzieci, widząc zasępioną twarz ojca, nie śmiały ust otworzyć. Po wspólnej wieczornej modlitwie szybko opuściły kuchnię.

Kiedy Mateusz został sam z żoną, zapytał głosem na pozór obojętnym: — Czy pomyślałaś o tym, Marysiu, że gdybym się nawet i zgodził, to, w jaki sposób Janek zdołałby osiągnąć cel za mierzony?

— Jest sposób — odrzekła żywo żona. — Ksiądz Balley, który od niedawna jest proboszczem w Ecully, udziela lekcji dwóm uczniom przygotowującym się do kapłaństwa. Mówił mi o tym ostatnio mąż Kasi. Dlaczego nie miałby przyjąć także naszego Janka? — A wydatki? — O, nie będą duże. Humbertowie za drobną opłatą przyjmą naszego syna na mieszkanie. Jeśli zaś chodzi o proboszcza, on uczy za darmo.

— Widzę, że ukartowaliście całą sprawę za moimi plecami jak prawdziwi spiskowcy — rzekł wieśniak, uśmiechając się lekko pod wąsem. — Niech już tak będzie! W tej chwili z powodu złego roku nie ma w domu żadnej większej roboty. Jeżeli więc ksiądz proboszcz z Ecully go przyjmie, ja dłużej nie będę się sprzeciwiał. — Pan Bóg odda ci to stokrotnie — odrzekła z westchnieniem ulgi żona. — Proboszcz na pewno go przyjmie.

W rzeczywistości jednak sprawy ułożyły się trudniej, niż przewidywano. Następnej niedzieli Franciszek i Małgorzata Humbertowie, na nalegania pani Vianney, udali się na plebanię w Ecully. Siostra proboszcza, dawna zakonnica, wygnana przez rewolucję z klasztoru, która teraz prowadziła bratu gospodarstwo, pokiwała smutno głową, kiedy oboje nieśmiało przedstawili cel swoich odwiedzin.

— Niestety, nie tylko to ma on do roboty — rzekła zatroskanym głosem. — Brat nie chce już przyjmować więcej uczniów. Ma dosyć roboty z tymi, których przyjął. Ledwie mu starczy czasu na najkonieczniejsze zajęcia w tak dużej parafii, którą zarządza bez wikarego. Ale zaczekajcie, poszukam go. Oboje mieli serce nieco ściśnięte, gdy wszedł proboszcz i przywitał ich bardzo mile.

Głęboka powaga tchnęła z bladego oblicza tego wysokiego księdza, który tak wiele wycierpiał w czasie renom. Franciszek Humbert, wspierany przez małżonkę, przedstawił sprawę, która ich oboje tu sprowadziła. Lecz ksiądz proboszcz przerwał z miejsca: — Szkoda dłużej mówić na ten temat. Nie mogę przyjąć już żadnego ucznia, gdyż nie chcę zaniedbać parafii. Bardzo mi przykro, ale jestem zmuszony odmówić waszej prośbie, pomimo najlepszej chęci przyjścia wam z pomocą. Parafia jednak ma do mnie pierwsze prawo. Musicie to zrozumieć. Tyle spraw jest niecierpiących zwłoki!

Wrócili do domu skonsternowani i zdali sprawę ze swego niepowodzenia Marii Vianney, która na nich czekała. — Zbyt szybko pozwoliliście się wyprosić za drzwi — rzekł Paweł Melin. — Teraz ja pójdę na plebanię. Ksiądz proboszcz musi się zgodzić przynajmniej zobaczyć Janka. I rzeczywiście uzyskał u proboszcza zgodę na przedstawienie mu młodego Vianneya. — Pomimo wszystko jestem pewien, że nic z tego nie będzie. Mimo najlepszej woli nie mogę przyjąć żadnego ucznia.

W następną niedzielę Paweł znowu przyszedł na plebanię i przedstawił księdzu swego szwagra. Ksiądz Karol Balley długo się wpatrywał w młodego

dziewiętnastoletniego wieśniaka, który z kolei wpatrywał się w niego z pewną obawą, lecz równocześnie z wielką ufnością. — A więc to ty chcesz się u mnie uczyć? — Tak, księżę proboszcza. To ja chciałbym zostać księdzem — odrzekł Janek mocnym głosem, przełamując nie śmiałość.

Na nowo badawczy wzrok księdza spoczął na nim. Zastanowił się chwilę, a w końcu zapytał: — Czy to przypadkiem nie ciebie przygotowywałem do Stołu Pańskiego sześć czy siedem lat temu? — Tak jest — odrzekł młodzieniec, czerwieniąc się z radości. — Było to siedem lat temu w domu pani Pingon. — Wiem, wiem — odrzekł kapłan. Na nowo stanął mu przed oczyma mały chłopiec, który wtedy przygotowywał się do wielkiego dnia z cudownym wprost skupieniem i gorliwością. I oto dzisiaj znowu te same oczy zwracały się do niego z tym samym błaganiem: «Nie odtrącaj mnie, ale jeszcze raz wprowadź mnie do świątyni Bożej».

I nagle Duch Święty oświecił serce kapłana, niczym błyskawica wśród nocy. Ujrzał tego młodego, stojącego przed nim wieśniaka, ubranego w kapłańską szatę, ze stulą na ramionach. Dojrzał nie kończące się szeregi ludzi, idących do tego kapłana, który czekał na nich z otwartymi ramionami. Potem tajemnicze widzenie znikło. Znowu widział przed sobą młodzieńca, którego wzrok zawisł mu na wargach, jakby stamtąd oczekiwał wyroku życia lub śmierci.

Proboszcz zakrył na chwilę oczy ręką, przeszedł się wielkimi krokami po pokoju, następnie zatrzymał się przed Pawłem Melin i rzekł: — A więc dobrze, przyjacielu, przyjmuję go. — Następnie zwrócił się do młodego Vianneya, położył mu rękę na ramieniu i dodał: — Nie bój się, synu, doprowadzę cię do celu, choćbym miał nawet to życiem przypłacić.

Z nieopisaną radością zakomunikował Janek matce obietnicę księdza. Wreszcie otwierała się przed nim brama świątyni, do której tak długo kołatał jak żebrak. — Bóg dokona reszty — dodała z płaczem matka. Dusza Jana-Marii Vianneya zaśpiewała swoje *Magnificat*.

## **PŁONĄCY KRZEW (1806)**

W kancelarii księdza proboszcza w Ecully na kominku buzował spory ogień, usiłując przepłoszyć zimowy chłód. Pomimo to na szybach okiennych mróz malował fantazyjne kwiaty. Proboszcz siedział w fotelu z wysokim oparciem i trzymał w ręku *Le Moniteur* z 25 lutego 1806 roku.

Ze ściągniętymi brwiami czytał artykuł o wkroczeniu oddziałów francuskich do Neapolu. «Ołowiane berło współczesnej Atalii zostało strzaskane. Cesarz przywróci królestwo Neapolu, lecz na rzecz księcia francuskiego. Od tej pory nowe królestwo będzie stanowiło część stanów zjednoczonych Cesarstwa Francuskiego».

Nie ma żadnej wątpliwości, że cesarz zamierza podbić cały świat. Po Austrii Neapol. Kto będzie następny: Prusy, Anglia czy Rosja? Oby tylko tak wielka pycha nie doprowadziła go do klęski!

Zamyślony ksiądz odłożył dziennik i spojrzał na uczniów, którzy siedzieli przy stole i pisali łacińskie wypracowanie. Pióra zawzięcie skrzypiały po papierze. Ten, kto nie będzie miał błędów, otrzyma w nagrodę smaczne jabłko, jedno z tych, co powoli przypiekały się na kominku.

Ksiądz Balley nie miał wątpliwości, kto zostanie zwycięzcą. Z całą pewnością będzie nim któryś z synów Loras, inteligentny i rozważny Maciek, albo brat jego Jakub, także bardzo zdolny. Proboszcz szczerze kochał synów tego człowieka, który został stracony na szafocie w Lyonie za to, że w swoim domu udzielił schronienia księżom, którzy odmówili złożenia przysięgi.

Gdy ta tragedia się wydarzyła, Jakub był zaledwie w kołysce, a Maciek dopiero w łonie matki. Dzielna kobieta wychowywała obu swych synów za cenę wielu łez, aż wreszcie, po kilku latach, odeszła i ona za swym bohaterskim mężem do wieczności. Ksiądz Balley, gdy został proboszczem w Ecully, przygarnął sieroty i czuł się szczęśliwy, że w ten sposób może, choć w części spłacić zaciągnięty dług wdzięczności.

Miał jeszcze jednego dwunastoletniego chłopca, Piotra Deschamps, kawał łobuza i wiercipięty. Nie pozostawał on wprawdzie w tyle za synami kupca z Lyonu, ale też nie miewał szczęścia zdobycia smacznego pieczonego jabłka.

Był także między nimi jeszcze jeden, który nie brał udziału w zaszczytnych zawodach: młody wieśniak z Dardilly. Jan-Maria Vianney siedział nieco z boku i ze ściągniętymi mocno rysami twarzy uczył się na pamięć łacińskiego czasownika: *laudo, laudas, laudat...*

Od czterech już miesięcy przychodził codziennie na plebanię i od rana do wieczora wkuwał łacińską gramatykę. Po tak długim jednak czasie nie zdołał nawet opanować gruntownie deklinacji, a przed koniugacjami jego przyciężki chłopski umysł zdawał się zupełnie kapitulować. Trzeba było mieć dla niego wiele cierpliwości.

Wlókł się więc z dala za swoimi o wiele młodszyimi kolegami i nie było mowy, by mógł ich kiedykolwiek dogonić. Za to przewyższał ich, w czym innym. Mógł służyć za wzór rozwagi i opanowania hałaśliwemu Maćkowi.

Maciek, oczywiście, pierwszy wytarł gęsie pióro i oddał proboszczowi wypracowanie. — Skończone? Zobaczmy. — Ksiądz uważnie przeczytał tłumaczenie. Następnie kiwając głową rzekł: — Twoje litery są podobne do nóg muszyc. Ale idź, weź jabłko. Nie mogłem doszukać się żadnego błędu. — Alleluja! — wykrzyknął chłopak, biorąc piękne, piekące się na kominku jabłko.

— W Wielkim Poście nie mówi się *Alleluja* — poprawił ksiądz, gdy tymczasem jego uczeń wbił już swe zdrowe zęby w owoc. Z pewnością cesarz nie odczuwał większej



radości, biorąc do ręki berło, od tego chłopca chwytającego zdobyte za cenę wiadomości jabłko.

—, Dlaczego stale zerkasz na dziennik? — zapytał po chwili ksiądz Balley. — Czy mogę rzucić okiem? — poprosił chłopiec, wycierając ręce o spodnie. — Czy weszli już do Neapolu? — Tak, weszli. — Allelu... Gloria! Victoria! Chciałem powiedzieć. Czy mogę zobaczyć?

— Pod warunkiem, że przetłumaczysz ten tekst na łacinę. Oto tak się zaczyna: «Ołowiane berło» itd... — Maciek szybko przebiegł oczyma szpalty dziennika, następnie z miejsca zaczął tłumaczyć: «*Sceptrum plumbeum novae illius Athaliae fractum est; imperator restituet regnum Neapolitanum, pro principe tamen gallico*».

I tak do końca ciągnął językiem Cycerona. — Czy dobrze? — Tak, bardzo dobrze. Zuch z ciebie — dodał proboszcz z uśmiechem zadowolenia. — Czy za to mam prawo do jeszcze jednego jabłka? — Oczywiście, że nie — zawołał jego brat. — Ja też już skończyłem. — I ja też — wykrzyknął z kolei mały Deschamps.

— Przeglądnę te wasze gryzmoły. — Ksiądz proboszcz poprawił tu i tam jakiś drobny błąd gramatyczny, co nie postrzeżenie zakradł się do tłumaczenia. Ostatecznie obydwaj chłopcy, pomimo wszystko, spisali się dobrze, tak, że każdy otrzymał pieczone jabłko.

— A teraz, Janku, na ciebie kolej — zwrócił się ksiądz wdychając. — Powiedz mi *coniunctivus imperfecti* od czasownika *laudare*. — *Laudaverem, laudaveres, laudaveret...* — stękał młodzian, zaciskając ręce, aż stawy trzeszczały. Trzej łacinnicy skrzywili się. — Żle — orzekł proboszcz. Następnie, zwracając się do trzech chłopców, dodał: — Wy zaś nie róbcie głupich min. Już przeszło dwa lata męczę się z wami. Pomóż mu, Piotrze. Niczym strzał z pistoletu padła odpowiedź z ust Deschamps'a: — *laudarem, laudares, laudaret...* — No widzisz, Jasiu, to jest dosyć proste — podjął proboszcz. — Bierzesz *infinitivus* od *laudare*, dodajesz na końcu *m* i masz *imperfectum coniunctivi*.

Vianney spuścił smutno głowę. — On nie dostanie jabłka — zawołał triumfalnie Jakub, wycierając łakomie usta. — Ale ja dostanę jeszcze jedno za odpowiedź o Atalii — wtrącił jego brat. I nie czekając na decyzję księdza, chwycił ostatnie jabłko i podał je młodemu Vianneyowi. — Masz to ode mnie.

— Ależ ja nie zasłużyłem — wymawiał się Jan-Maria. — Weź, weź — rzekł z uśmiechem ksiądz Balley. — Nie wolno odmawiać przyjęcia podarunku. — Byłoby to obrazą dla ofiarodawcy — dodał poważnie młodszy Loras. Jan-Maria roześmiał się i przyjął owoc z wdzięcznością. — Kim właściwie była Atalia? — zapytał Maciek, żądny wiedzy. — Odpowiedź znajdziesz w *IV Księdze Królewskiej*. Była to królowa judzka, która kazała wymordować wszystkich następców tronu.

— O zgrozo! Czy królowa Karolina Neapolitańska była takim samym potworem? — zapytał Piotruś. — Nie. Owszem był nim Konwent Paryski, który zgilotynował naszego ojca — odparł młodszy Loras, zgrzytając zębami.

— Muszę iść do chorego — przerwał proboszcz, żeby zmienić temat rozmowy. — Zanim wrócę, możecie iść do ogrodu i pobić się śnieżkami, ale uważajcie na szyby. Przecież wiecie, że cesarz nie podwyższył pensji dla duchowieństwa.

Chłopcy z okrzykami radości wybiegli na podwórko. Jedynie Jan-Maria orzekł, że musi jeszcze raz i drugi odmienić czasownik *laudare*. — Głupstwo! — zawołał Maciek. — Pomogę ci, jak wrócimy. Zobaczysz, pójdzie jak po maśle. — Tak, tak, idź przewietrzyć głowę — dodał proboszcz. — Potem pójdzie ci o wiele łatwiej.

Trzej chłopcy byli już w ogrodzie, gdy tymczasem ksiądz proboszcz zatrzymał na chwilę młodego Vianneya. — Słuchaj, Jasiu, twoja ciocia, pani Humbertowa, była tu u mnie ze skargą, że przy stole nic prawie nie jadasz. Jesz tylko zupę, do której ona musi dolewać wody. A jeżeli doda odrobinę masła, wtedy grymasisz. Co się z tobą dzieje? Chłopak w twoim wieku powinien jeść jak wilk.

Jan-Maria spuścił oczy zakłopotany. — Święci bardzo pościli — rzekł w końcu. — Oczywiście. Czytamy o tym we wszystkich ich żywotach. Ale można przesadzać. A mam wrażenie, że święci w dwudziestym roku życia dawali dowody wilczego apetytu. Nie dziwię się, więc, że nie możesz wyuczyć się łańskich odmian, skoro żołądek krzyczy ci z głodu. Powiem mojej siostrze, żeby ci dała pajdę chleba z masłem i filiżankę gorącego mleka. Masz nic nie zostawić. Potem pójdiesz pobić się z kolegami śniegiem i zobaczysz, że po tym wszystkim o wiele łatwiej dasz sobie radę z odmianami czasownika *laudare*. Na przyszłość masz jeść wszystko, co ci ciocia poda. Ja ci to nakazuję, rozumiesz? — Tak jest, księżu proboszczu — odrzekł niepewnie Jan-Maria.

Pocziwa ciotka Małgorzata szczerze się ucieszyła stwierdziwszy przy południowym posiłku, że jej siostrzeniec je z apetytem, a mąż zauważył z zadowoleniem: — No, wreszcie! Zdaje się, że śnieg wyleczył cię z braku apetytu.

— To ksiądz proboszcz, który mi kazał jeść więcej — wyjaśnił nieco zmieszany Jan-Maria. — Głód czy posłuszeństwo, wszystko jedno. Grunt, że jesz przyzwoicie. — Ale jest teraz Wielki Post — dodał chłopak na swoje usprawiedliwienie. — Gdy zostaniesz księdzem, wtedy będziesz mógł pościć do woli — rzekł ze śmiechem Franciszek Humbert. — Na pewno to będę robił — odrzekł z przekonaniem Jan-Maria.

Zima ustąpiła miejsca wiośnie i przez otwarte okna plebanii widać było białe od kwiatów drzewa wiśniowe. Trzej młodzi uczniowie tłumaczyli po kolei wyjątki z *Selectae e Veteri Testamento historiae*, zbioru opowiadań, zaczerpniętych ze Starego Testamentu. Jedynie Jan-Maria stale tkwił jeszcze pogrążony w swoich koniugacjach, a im bardziej usiłował je sobie przyswoić, tym większy zamęt powstawał mu w głowie.

*Capio, capis, capit...*, Biedny Jan-Maria! Niewątpliwie nauka szła mu nieco łatwiej od czasu, gdy na polecenie księdza proboszcza zaspokajał głód przynajmniej raz na dzień. Mając jednak dwadzieścia lat, był już za stary na to, by móc pakować do głowy to, czego jego młodszy koledzy uczyli się jakby się bawiąc.

*Capiebam, capiebas, capiebat...*, powtarzał Jan-Maria, wsłuchując się jednym uchem w to, co Piotruś Deschamps tłumaczył głośno: — «Wtedy ukazał mu się Pan w płomieniach ognia, ze środka krzewu. Mojżesz widział, jak krzew płonął ogniem, a nie spłonął od niego». — O Boże! — pomyślał Jan-Maria, — dlaczego tylko w cierniach się ukrywasz? — Całym sercem czuł pociąg ku świętym przybytkom, lecz przystęp zagradzał mu nieprzebyty gąszcz deklinacji i koniugacji łacińskich. Płonęły, a nie spalały się, mimo tysięcznych wysiłków, by jakoś przez nie przebrnąć. — O mój Boże, dlaczego ukrywasz się w płonącym krzewie? — jęczał powtarzając od nowa z trudem: *capiam, capies, capiet...*

Tymczasem Maciek z zapalem tłumaczył dalej: — «Mówił Pan: Dostyc napatrzyłem się na udrękę ludu mego w Egipcie i nasłuchałem się narzekań jego na ciemności, znam, więc jego uciemnienie. Zstąpiłem, aby go wyrwać z ręki Egiptu i wyprowadzić z tej ziemi do ziemi żyznej i przestronnej, do ziemi, która opływa w mleko i miód...» — Wielki Boże! — jęknął Jan-Maria — Hebrajczycy musieli ciosać kamienie. To tysiąc razy łatwiejsze niż uczyć się łacińskich koniugacji. Kiedy mnie wreszcie wybawisz od mego utrapienia i wprowadzisz do ziemi obiecanej?

A więc, Jasiu — odezwał się nagle ksiądz proboszcz, zwracając się do swego ucznia — powiedz mi *juturum sim-plex* od *capere*. Jan-Maria ciężko westchnął i zaczął wystękiwać odpowiedź: *Capiam, capias, capiat...* — Nie rozumiałeś dobrze pytania — przerwał kapłan. — Nie pytałem cię o *coniunctivus praesentis*, lecz o *futurum simplic.* — *Capibo, capibis, capibit...* — wykrztusił Jan-Maria cał kowicie zbity z tropu.

Tym razem odpowiedź była zupełnie do niczego. Maciek nie mógł się pohamować: — Nigdy nie pojdziesz! *Nunquam capies* — dodał po łacinie. Lecz ksiądz zgromił go surowo wzrokiem. — Maciek, będziesz go teraz uczył odmiany czasownika *capere*. A jak tego nie zrobisz, uszy będą w robocie.

Wy zaś idźcie na podwórko i narąbcie drzewa. Mówiła mi siostra, że już się skończyło. Obaj chłopcy tym chętniej przyjęli polecenie, że gospodyni księdza za każdym razem nagradzała ich dużym jabłkiem. Jedynie Maciek Loras westchnął ciężko: — Łatwiej jest drzewo rąbać... Jednakże z najlepszą wolą zabrał się do zleconego mu zadania, usiłując Vianneyowi wbić do głowy trudną koniugację. Przez dłuższy czas dawał dowody anielskiej wprost cierpliwości.

Skoro jednak jego nieszczęsny uczeń ciągle mieszał czasy i tryby, gniew zawrzał nagle w młodym nauczycielu. Rzucił gramatykę łacińską w głowę niefortunnego ucznia krzycząc: — Niech kto inny próbuje coś wbić w ten zakuty łeb! Ja nie dam rady.

Krew uderzyła do głowy Vianneyowi. Mimo woli zacisnął pięści, jakby miał odparować cios. Maciek zdawał się na to czekać, bo wstał i zajął pozycję obronną. Lecz Vianney zdołał już opanować odruch gniewu. Wstał, podszedł do kolegi, klęknął przed nim i powiedział: — Wybacz mi, Maciek, że sprawiłem ci tyle przykrości. Zasłużyłem na twoje niezadowolenie. Na przyszłość dotożę więcej wysiłku.

Maciek nie wiedział, co się z nim dzieje. Poczerwieniał, następnie zbladł, łzy ukazały mu się w oczach, wreszcie jękając się przemówił: — Postąpiłem po świńsku. Przebac mi, Janie. Tak, po stąpiłem po świńsku.

Z rozpaczą opadł na krzesło, ukrył twarz w dłoniach i zaczął gwałtownie szlochać. — Czy chcesz jeszcze raz spróbować? — zapytał z cicha Jan-Maria. — Owszem, jak najchętniej. Będę z tobą pracował, jak długo zechcesz. — Sądzisz, że ja kiedyś to opanuję? — spytał ze smutnym uśmiechem Vianney. — Na pewno opanujesz. Tylko nie klękaj już więcej przede mną. Nie rób tego już nigdy! I obaj chłopcy zapuścili się znowu w gąszcz łącińskich koniugacji.

Kiedy ksiądz proboszcz po powrocie zapytał Jasia, ten odpowiedział poprawnie na wszystkie pytania. — No, wreszcie opanowałeś z grubsza trzecią koniugację — stwierdził ksiądz Balley zadowolony. — Jutro zabierzemy się do *verha deponentia*.

Maciek również otrzymał swoją porcję pochwał: — Dobrze wywiązałeś się z obowiązku nauczyciela. Jakkolwiek od tego dnia młody Loras zajął się gorliwie swoim starszym kolegą i okazywał wobec niego ogromną cierpliwość, to jednak postępy w nauce były bardzo słabe. Tym razem sam Jan-Maria tracił cierpliwość. Coraz częściej przyłapywał się na braku uwagi. Przyszło lato. W domu rodzicielskim wszystkie ręce były zajęte pracą, a on..., on trwonił czas na uczeniu się łącińskiej gramatyki, która za nic w świecie nie chciała przed nim zdradzić swych tajemnic. Wreszcie pewnego dnia, gdy bardziej niż kiedykolwiek nie powiodło mu się, oświadczył księdzu Balleyowi, który na próżno starał się mu dodać odwagi: — Dobrze widzę, że trud księdza jest daremny. Jutro wracam, do Dardilly.

Pocziwy kapłan z przerażeniem popatrzył na swego nieszczęsnego ucznia, który stał przed nim blady, z oczyma utkwionymi w ziemię. Wielkimi krokami przemierzył pokój raz i drugi. Następnie zatrzymał się przed zdesperowanym uczniem i z całą serdecznością i ojcowską słodyczą powiedział: — Chcesz odejść, biedny chłopcze? To ci tylko przyczyni nowych cierpień. Gdy raz wrócisz do domu, ojciec nie pozwoli ci go opuścić po raz drugi. A wtedy trzeba się będzie pożegnać z kapłaństwem.

— Ależ ja i tak do niego nie dojdę — jęknął boleśnie Jan-Maria. — Jest to szalona myśl i z pewnością nie pochodzi od Boga. Tak jest, możesz mi wierzyć. Tę myśl podszeptał ci ktoś inny, szatan, jestem pewny. Musi w tym mieć jakiś wielki interes, skoro przeszkadza ci w osiągnięciu celu. Pan Bóg cię powołuje, jestem tego pewien, a szatan dokłada wszelkich starań, by zagrozić ci drogę. To nic. Pracuj dalej, a z pomocą Bożą dojdiesz do celu. I choćby miało spaść dziesięć plag egipskich, faraon z Ecully nie pozwoli ci stąd odejść, zanim nie pomoże ci wejść do Ziemi Obiecanej. A zatem do dzieła! Zatwardziało serce faraona i nie pozwoli ci odejść.

— Porównanie nie jest właściwe — zauważył z uśmiechem Jan-Maria. — Ksiądz proboszcz nie jest faraonem, lecz Mojżeszem, który swego tępego ucznia prowadzi przez

pustynię gramatyki łacińskiej. — Niech i tak będzie! Ale Mojżesz nie może ustać, do póki nie wprowadzi cię do Ziemi Obiecanej, choćby miał umrzeć w drodze.

— Przyszła mi jeszcze jedna myśl — przerwał młodzieniec. — Chcę odbyć pielgrzymkę do La Louvesc, do grobu świętego Franciszka Regis. Może on mi przyjdzie z pomocą. — To rzeczywiście jest dobra myśl — odrzekł radośnie kapłan. — Idź do grobu świętego Franciszka i otwórz przed nim swe serce.

## **U GROBU ŚWIĘTEGO FRANCISZKA REGIS (1806)**

Jan-Maria Vianney wybrał się w podróż w okresie straszliwych upałów. Uczynił ślub, że przeszło stukilometrową drogę odbędzie o zebranych chlebie. Rozpoczął, więc pielgrzymkę ubrany w długą, wieśniaczą bluzę, w chodakach na nogach, z kijem sękatym w rękę i z żebraczą torbą na ramieniu. Od poczciwej ciotki przyjął pożywienia ledwie na jeden dzień, a Franciszek Humbert zmusił go do przyjęcia skromnej sumki pieniędzy, z których chłopak postanowił nie zużyć ani grosza.

Twarda i nierówna droga, o rozpalonych od słońca kamieniach, zmuszała pielgrzyma do coraz częstszych odpoczynek. Kiedy z nastaniem wieczoru zjawiał się na fermie i poprosił o nocleg w stodole lub w stajni, usłyszał stek wyzwisk i przekleństw. Spał, więc pod rozgwieżdżonym niebem. Rano, zdrętwiały od nocnego chłodu, ruszył w dalszą drogę.

Ileż to razy w jego rodzinnym domu chętnie udzielano gościny pielgrzymom i żebrakom, a jego teraz wygnano, nie dawszy nawet kawałka chleba... Drugi dzień zbliżał się ku końcowi. Dawno już zjadł ostatni kawałek chleba. Staniał się z głodu, gdy przybył do pewnej chaty. Zakołatał do drzwi i poprosił o kawałek chleba, jako o jałmużnę.

Kobieta, co mu otworzyła, popatrzyła na niego podejrzliwie. — Czy mógłbyś mi pomóc rozplątać nici, bo mi się całkiem poplątały? — zapytała w końcu, pokazując przędzę. — Bardzo chętnie. — A zatem weź ten koniec i ciągnij powoli nitkę. O tak, bardzo dobrze! Cofaj się, aż nici się rozplączą.

Vianney tak był pochłonięty zajęciem, że nie zauważył, jak cofając się z powrotem wyszedł za próg. Zaledwie znalazł się za drzwiami, a te z wielkim hałasem zatrzasnęły mu się przed nosem. Usłyszał łomot wielkiej zasuwy, a następnie krzykliwy głos kobiety: — Nicpoń, włóczykij jakiś! Spróbuj teraz wejść! Tylko tego brakowało, żeby jakiś tam oberwaniec obżerał się naszym chlebem!

Biedny chłopak postać jakiś czas osłupiały przed zamkniętymi drzwiami, następnie odszedł, ślaniając się z głodu i ze zmęczenia. Na szczęście znalazł nieco dzikich owoców i źródło z czystą wodą. Po tym nędznym posiłku położył się na ziemi i zasnął ze znużenia.

Nazajutrz obudził go straszliwy głód. Znowu znalazł kilka dzikich owoców i podziękował Bogu za skromny posiłek. Po drodze spotkał jakiegoś włóczęgę w łachmanach. Był to jeden z dezertersów wojskowych, jakich wielu kręciło się po okolicy. — No i co, kolego — zagadnął były żołnierz. — Zdaje mi się, że nie, co dzień jadasz. Jesteś

pewnie jak ten pies bez pański. Masz, weź ten kawałek chleba. Zażenowany pielgrzym wziął brudną kromkę chleba, którą włóczęga wyjął z kieszeni, i zaczął zajadać z apetytem. — Bardzo panu dziękuję — rzekł cicho Vianney. — Co za «panu»? — zapytał dezertier. Skoro znalazłeś się w tej samej kompanii, mów mi «ty». — Dziękuję ci — powtórzył Jan-Maria. — O tak, dobrze. Nie bój się. Gdy po drodze nawinie się pod rękę jakaś kura czy gęś, ukręcimy jej szyję... — Ależ to będzie kradzież!

— Kradzież, zaraz kradzież! Na wojnie to się nazywa: zdobycz. Możesz mi wierzyć: w mundurze człowiek szybko się uczy tych i tym podobnych rzeczy... Ubierzesz go wkrótce i ty. Napoleon potrzebuje żołnierzy. Wszędzie przebąkują, że wkrótce ma ruszyć na Prusy. To będzie, co innego niż wojna z makaroniarzami. Ale syna mojej matki tam nie będzie. Znam ja pruskich huzarów z 1793 roku, kiedy byłem jeszcze takim smarkaczem jak ty. Nie chcę, żeby mnie posiekano jak mięso na pasztet. Ale, gdzie ty właściwie idziesz?

— Odbynam pielgrzymkę do La Louvesc, do grobu św. Franciszka Regis. Były żołnierz wybuchnął śmiechem. — Toż to samo i ja opowiadam, gdy stukam do drzwi. Sami, więc pielgrzymi krążą teraz po drogach Francji. Ale dokąd ty naprawdę idziesz? — Idę z pielgrzymką, naprawdę.

— Albo nie mówisz tego na serio, albo też jest z ciebie sprytny ptaszek. Jeśli o mnie chodzi, nie chcę mieć nic wspólnego ze świętymi. Wolę służące z fermy. Prędeż dadzą biedakowi, co zrobi do nich słodką minkę, jakiś dobry kąsek niż święci z ich złoconych relikwiarzy. Masz, napij się trochę! I włóczęga wyjął z kieszeni flaszkę, pociągnął z niej spory łyk, a następnie podał ją Vianneyowi. — To prawdziwy i dobry koniak. Butelczyna, że tak po wiem, wpadła mi sama w rękę podczas «wizyty» na plebanii. Wierz mi, dobrze jest czasem zaglądnąć na plebanię. Klasztory i probostwa zawsze są najlepszymi przystaniami dla takich jak my, bo chłopci zamykają nam drzwi przed nosem. A więc pij, kolego! — Ja wódki nie piję — odrzekł młodzieniec.

— Nie, to nie! — I dezertier z powrotem schował flaszkę do kieszeni. Jakiś czas szli w milczeniu, lecz kiedy zbliżyli się do wioski, włóczęga odezwał się do Vianneya: — Uważaj, żeby cię nie zobaczyli żandarmi. Teraz lepiej będzie rozłączyć się. Ja pójdę pierwszy. Zejdziemy się znowu za wsią. Może nawinie się jakaś kura na rosół...

Jan-Maria był szczęśliwy, że pozbył się natręta. Wszedł do kościoła, żeby się pomodlić. Kiedy zeń wyszedł i znowu znalazł się na drodze, ku wielkiej swojej radości nie dostrzegł nigdzie dezertiera. Żałował tylko, że przyjął od niego kawałek chleba, bo nie wiadomo, czy był uczciwie zdobyty.

W każdym razie ostrzeżenie, jakiego udzielił mu włóczęga, było słuszne, jak się mógł o tym wkrótce przekonać. Kilka razy podejrzliwie badali go żandarmi, żądając papierów. Gdy im oświadczał, że idzie na pielgrzymkę, odpowiadał mu pełen szyderstwa i niedowierzania śmiech.

Pomimo to człowiekiem, który młodego i wyczerpanego pielgrzymą przyjął i dobrze nakarmił, był stróż polowy. Gospodarz widząc, jak Jan-Maria pobożnie modlił się przed jedzeniem, odezwał się życzliwie: — Widzę, że można ci wierzyć, gdy mówisz o pielgrzymce. Ale chyba rozumiesz, dlaczego ci ludzie nie do wierzą. Tyle, bowiem teraz różnych włóczęgów kręci się po drogach...

Innym razem tego rodzaju spotkanie zakończyło się zdecydowanie źle. Kobieta, którą poprosił o kawałek chleba, owszem, kazała mu wejść do domu, ale równocześnie powiadomiła żandarmów. Jeden z nich zaraz go zatrzymał i zaprowadził do miejscowego aresztu. Biedak musiał wszystko wyłożyć z kieszeni i wtedy wyszło na jaw, że posiada pieniądze. — Oto jeszcze jeden gagatek. co włóczy się z kieszeniami wypchanymi pieniędzmi i ma odwagę żebrać u uczciwych ludzi. Taki łajdak jak ty nadaje się na galery.

Darmo Jan-Maria tłumaczył żandarmowi, że związał się ślubem, iż nie wyda grosza w czasie pielgrzymki. Żandarm nawet nie chciał słuchać jego tłumaczenia, traktując go, jako notorycznego przestępcę, którego należało odstawić do więzienia w sąsiednim miasteczku. W końcu jednak udobruchał się. Zrozumiał, że ma do czynienia nie ze zwykłym przestępcą. W rzeczywistości, bowiem znał się dobrze na swoich klientach z traktów publicznych.

Dał mu, więc kawałek chleba i szklankę wody, a na nocleg zaprowadził do szopy, gdzie stała pompa strażacka. Nazajutrz rano pozwolił mu odejść. Jan-Maria mimo wstydu, że został aresztowany, był jednak zadowolony, gdyż na noc miał dach nad głową.

Wreszcie szóstego dnia pod wieczór, zupełnie wyczerpany, dotarł do celu swojej podróży. Skoro tylko znalazł się w kościele, zapomniał o całym swoim zmęczeniu. Padł na kolana przed trumienką ze szczątkami świętego wyznawcy i prosił go o łaskę, by mógł nauczyć się potrzebnej do ukończenia studiów łaciny.

Gościnne przyjęcie znalazł w gospodzie klasztornej. Nazajutrz rano wyspowiadał się u jednego z ojców, wyjawiał mu cel pielgrzymki oraz ślub, który mu tak bardzo utrudnił podróż. Zakonnik, wzruszony prostotą jego wiary, pokrzepił go na duchu. — Święty Franciszek Regis na pewno pomoże ci w ukończeniu studiów. Nie zniechęcaj się, choćby nie wiem, jakie były trudności. Jest wola Bożą, żebyś został księdzem. On ci pomoże osiągnąć cel. Zwalam cię jednak ze ślubu, bo nie jest rzeczą godziwą żyć z miłosierdzia bliźnich, gdy nie zmusza cię do tego konieczność. Poznawszy na sobie gorzkość ubóstwa, będziesz w zamian dawał jałmużnę spotykanym ludziom biednym, w miarę jak ci na to będą pozwalać twoje zasoby.

Vianney odszedł od konfesjonału podniesiony na duchu. Następnego dnia z gorącym sercem przystąpił do Komunii świętej, polecając się jeszcze raz szczególnej opiece świętego Franciszka Regis. — Musisz mi pomóc. Pomyśl, że teraz będę musiał uczyć się czasowników nieregularnych. Ty się ich także kiedyś uczyłeś i pewno też miałeś wiele trudności z ich opanowaniem. Dopomóż mi, wielki święty, a ja ci za to będę wdzięczny do końca życia.

Blask świec padał na obraz Franciszka Regis i ledwie dostrzegalny uśmiech zdawał się malować na obliczu świętego. Kto wie, może święty teraz w chwale niebieskiej przypomni sobie nieregularne czasowniki, które były powodem tylu bólów głowy, gdy przebywał w kolegium ojców jezuitów w Beziers.

Powrót do domu był znacznie łatwiejszy, bo Vianney nie musiał już żebrać o chleb ani o nocleg. Chętnie dzielił się swoimi mizernymi zasobami ze spotykanymi po drodze włóczęgami, inwalidami i dezerterami, nie zastanawiając się wcale nad tym, czy zasługiwali oni na miłosierdzie czy też nie.

Ksiądz Balley przyjął go z radością uszczęśliwiony, że jego uczeń nabrał nowego zapału do nauki. Pielgrzymka nie była, więc bezskuteczna. Rzeczywiście Jan-Maria uczył się teraz łatwiej i przy wydajnej pomocy Maćka Lorasa zdołał jakoś przebrnąć przez gąszcz nieregularnych czasowników.

Jeszcze jedna dobra dusza przysłała z pomocą w nauce Vianneyowi, mimo iż była niezdolna do brania udziału w gramatycznych odkryciach. Była to Klaudyna Bibost. Obok plebanii miała sklepik z jarzynami i za darmo zajęła się praniem bielizny chłopca. Ponieważ, jak to bywa na fermie, wszyscy u Humbertów byli bardzo zajęci, ciotka Małgorzata chętnie przyjęła ofiarowaną przez nią pomoc.

Kiedy Jan-Maria zanosił do niej bieliznę i narzekał na swoje trudności, pocziwa kobieta zawsze znajdowała dla nie-go jakieś słowa pocieszenia: — Tak, tak, wiem, jak to nieregularne czasowniki potrafią dać się we znaki. Mam syna, który uczy się teraz na księdza. Jest w wyższym seminarium. Ileż on miał kłopotu z nieregularnymi czasownikami! Siedział, bywało, przy tym tu stole i na głos recytował te słynne czasowniki. Już czasowniki regularne, mawiał, są dosyć trudne, ale czasowniki nieregularne są wprost niemożliwe. Tak, niemożliwe. A jednak jakoś przebrnął przez te niemożliwości.

Tak samo i tym, Janku, przez nie przebrniesz. Co wieczór odmawiam w tej intencji jedno *Ojcze nasz* — Dziękuję pani z całego serca — odrzekł nasz łacinnik. — Ależ to jest zupełnie naturalne, skoro mam kleryka w seminarium. Moja córka, Kolumbina, także modli się za ciebie. — A zatem nic złego nie może mnie spotkać — zakonkludował z uśmiechem młodzian. Pomimo to Vianney wkrótce stwierdził, że grozi mu nowe wielkie niebezpieczeństwo.

## **GROM Z JASNEGO NIEBA (1807-1809)**

Było brzydkie listopadowe przedpołudnie. Deszcz zacinał w okna, a wiatr huczał w kominie. Akurat skończyła się lekcja łaciny. Gdy młodszy uczniowie rzucili się ku drzwiom, ksiądz Balley zatrzymał przy sobie Jana-Marię Vianneya. — Jest w dzienniku wiadomość, która może cię zainteresować — powiedział kapłan, pokazując *Le Moniteur*. — Czytaj. — Chłopak wziął do ręki gazetę i zaczął przeglądać artykuł wskazany przez księdza.



Była to odezwa Napoleona, pisana z Berlina do senatu francuskiego. «Znaleźliśmy się na decydującym dla narodu francuskiego zakręcie. Ufamy, że naród okaże się godnym swoich przeznaczeń. Dlatego właśnie postanowiliśmy w pierwszych dniach stycznia 1807 roku ogłosić pobór do wojska nowego rocznika, który miał być powołany pod znaki dopiero we wrześniu. W jakiejże bardziej stosownej chwili moglibyśmy powołać pod broń młodych Francuzów? Zastaną swoje pułki w trakcie zdobywania stolic naszych nieprzyjaciół i przemaszerują przez pola bitew, wstawione zwycięstwami swoich poprzedników». — Co to znaczy? — zapytał Jan-Maria, patrząc na księdza z przerażeniem.

— To znaczy, że wojska francuskie poniosły dotkliwie straty pod Jena i Auerstaedt i że młodzi rekruci z twojego rocznika mają uzupełnić powstałe braki. — To znaczy, że mam iść do wojska? A co będzie z nauką? — Może znajdzie się jakieś wyjście — odrzekł po chwili ksiądz Balley. — Nasz nowy arcybiskup, kardynał Fesch, wuj Napoleona, uzyskał u swojego cesarskiego siostrzeńca zwolnienie od służby wojskowej dla wszystkich studentów teologii. Jeżeli uda mi się twoje nazwisko wpisać na tę listę, będziesz wolny. Jeszcze dzisiaj pojedę do Lyonu i porozmawiam z sekretarzem arcybiskupa, księdzem Grobozem, dawnym moim kolegą. Może uda mi się cośkolwiek załatwić.

Jeszcze tego samego wieczoru wrócił ksiądz proboszcz. Był przemoczony do suchej nitki, bo deszcz nie przestawał padać, ale z radością doniósł uczniowi, że sekretarz bardzo chętnie zgodził się wciągnąć go na listę teologów. — I w ten sposób będziemy mogli spokojnie kontynuować naszą naukę. A zamiast być żołnierzem armii cesarskiej, zostaniesz wkrótce pasowany na Bożego rycerza. Kardynał Fesch w Wielkim Poście przybędzie do Ecully udzielać sakramentu bierzmowania. Wtedy i ty go otrzymasz.

Kiedy arcybiskup Lyonu uroczyście wkraczał do kościoła w Ecully, chyba nikt z oczekujących na bierzmowanie nie błagał z taką żarliwością o dary Ducha Świętego jak Jan-Maria Vianney. Jego dusza w oczekiwaniu na przyjęcie tego wielkiego sakramentu tak była zatopiona w modlitwie, że kardynał musiał dwa razy powtarzać pytanie, jakie imię chce sobie obrać przy bierzmowaniu.

Szczególnie ucieszył się ze spotkania z świątobliwym księdzem, przed którym spowiadał się, jako jedenastoletni chłopczyk. Szczerze wyjawiał mu swoje trudności, jakie napotykał w nauce, lecz ksiądz Groboz odpowiedział mu przyjaźnie: Nie na darmo otrzymałeś dary Ducha Świętego. On przyjdzie ci z pomocą i sprawi, że Jego dary zaczną w tobie działać, a zwłaszcza dar mądrości i wiedzy. Ufaj! Przyjdzie godzina, gdy u stopni ołtarza wypowiesz swoje *adsum*. Zresztą twoje nazwisko zostało już wpisane na listę przyszłych kapłanów. Skoro Pan Bóg cię powołuje do swojej służby, będziesz zwolniony ze służby cesarzowi.

Od wielkiego dnia bierzmowania minęły dwa lata studiów. W tym czasie wojska francuskie pod zwycięskimi sztandarami cesarskimi przemierzyły drogi Hiszpanii, Niemiec, Austrii i Włoch.

Lato 1808 roku przyniosło z Rzymu wiadomość, która ugodziła w serca dobrych katolików. Napoleon na zamku Anioła w miejsce flagi papieskiej zatknął trójkolorową flagę francuską. Papież Pius VII rzucił ekskomunikę na «grabieżcę patrimonium świętego Piotra».

Dowiadując się o ekskomunice, Napoleon wybuchnął szyderczym śmiechem: — Nie wytrąci ona broni z rąk moich żołnierzy. — Pan Bóg nie pozwoli naigrawać się z siebie — zauważył wzruszony ksiądz Balley. — Przyjdzie dzień, gdy śmiech cesarza w płacz się zamieni. — Następnie polecił uczniowi tłumaczyć psalm Dawidowy: *((Dlaczego narody się buntują, czemu ludy knują daremne zamysły?... — Tak, Pan Bóg będzie się śmiał z cesarza — powtórzył ksiądz. — I dzień Jego gniewu jest już bliski.*

Za zwycięstwa musiał cesarz drogo płacić. Straty w wojsku były ogromne. Napoleon musiał pod broń powoływać, coraz to nowe, młodsze roczniki.

Pewnego jesienno-ponurego dnia 1809 roku Jan-Maria Vianney siedział w kancelarii proboszcza w Ecully i przepisywał na czysto łacińskie tłumaczenie. Chwilowo był jedynym uczniem księdza Balleya, bo trzech jego koledzy wstąpili do niższego seminarium i tam odbywali dalsze studia z dobrym skutkiem.

— Znosi się na burzę — rzekł proboszcz, skończywszy odmawiać brewiarz. I zaledwie wypowiedział te słowa, nagle rozpętała się straszliwa nawałnica. Błyskawice przecinały chmury, a pioruny waliły z takim grzotem, jakby cały świat miał się zapaść.

Wśród tego huku żywiołów dał się słyszeć dzwonek u drzwi wejściowych. — Kto to może być? — zapytała Małgorzata, siostra księdza, zrywając się, by drzwi otworzyć. W kancelarii dosłyszano szybką wymianę zdań na progu plebanii. — To Małgosia! — zawołał Jan-Maria, rozpoznawszy głos swojej młodszej siostry. I rzeczywiście dziewczyna wpadła bez tchu do pokoju. — O Boże, Gosiu! Czy stało się jakieś nieszczęście w domu? — Nie, nie — odpowiedziała dziewczyna. — Tylko o to przyniósł dzisiaj w południe żandarm... dla ciebie... — i po dała bratu papier zaopatrzonej w dużą pieczęć. — Karta powołania —jęknął młodzieniec. — Muszę iść do wojska.

— Domyśliłem się — westchnął proboszcz.— Od jakiegoś czasu zwolnienie obejmuje tylko kleryków z teologii, którzy otrzymali jakieś święcenia. — A więc wszystko przepadło! —jęknął Jan-Maria, opadając na krzesło i kryjąc bladą jak śmierć twarz w dłoniach. — Jutro rano pojedę do Lyonu — przerwał ksiądz. — Może kardynał będzie mógł cośkolwiek dla ciebie zrobić...

Ale tym razem podróż nie odniosła żadnego skutku. Kardynał akurat bawił w Paryżu, a jego sekretarz wyznał skonsternowanemu konfratrowi, że nie może nic zrobić. Powołano, bowiem do wojska nawet kleryków, którzy otrzymali niższe święcenia.

— Może tatuś opłaci zastępcę — zauważyła Małgosia, że by pocieszyć brata. Ale ojciec, kiedy Jan-Maria poprosił go o zgodzenie zastępcy, tylko pokiwał smutno głową. — Nie wiem, skąd mam wziąć pieniądze. Już dosyć drogo zapłaciłem za wykup Franciszka.

Żniwa były marne w tym roku, a winobranie zapowiada się jeszcze gorsze. Skąd, więc wziąć pieniędzy, żeby opłacić zastępcę?

Chłopak nie nalegał. Ale matka i siostry obsiadły ojca do tego stopnia, że wreszcie ustąpił. Zebrał, co miał pieniędzy, przeliczył i pojechał do Lyonu szukać zastępcy. Wielka była radość wszystkich w domu, gdy wrócił i oznajmił: — Janku, jesteś wolny. Znalazłem zastępcę. Na razie dałem mu dwieście franków, ale nie wiem, co zrobić, żeby zdobyć jeszcze dwa tysiące osiemset, jakie mu jestem winien. Chyba będę musiał sprzedać kawałek pola. — Co znaczy kawałek pola, gdy chodzi o szczęście syna? — zawołała żona, by dodać mu otuchy.

Jednakże w chwili, gdy kilka dni później Jan-Maria z radosnym sercem wybierał się w drogę do Ecully, zjawił się na fermie zgodzony przez ojca chłopak, położył na stole dwieście franków i oświadczył: — Rozmyśliłem się. Nie chcę. Oto wasze dwieście franków zadatku.

Przerażeni Vianneyowie próbowali nakłonić chłopaka, by dotrzymał pierwotnej umowy, obiecując mu nawet sumę o wiele wyższą, ale on, obstając przy swoim, szybko opuścił mieszkanie. — Nie pozostaje nic, tylko iść — rzekł Vianney do syna. — Za mało już czasu na to, by szukać innego zastępcy.

I tak 26 października Jan-Maria, podobnie jak wielu innych młodych chłopców, opuścił rodzinną wioskę i udał się do Lyonu, by stawić się w koszarach piechoty. — Niech się dzieje wola Boża — westchnął ciężko, przekraczając wysoką, szarą bramę, mierzony szyderczym wzrokiem wartownika.

## **ZBIEG (1809-1810)**

Całymi godzinami stali młodzi rekruci na koszarowym dziedzińcu i jakoś nikt się nimi nie zajmował. Wreszcie ustawiono ich w szeregu, wywołano po nazwisku, podzielono na oddziały i wskazano im izby koszarowe. W tych dużych salach o nagich, pobielonych wapnem ścianach nie było pieców. Ponieważ zaś nowi żołnierze dopiero za kilka dni mieli otrzymać mundury, przeto nie mogli zmienić swoich do suchej nitki przemoczonych ubrań. Jan-Maria zaczął odczuwać dreszcze. Padł, więc z wyczerpania na siennik.

Zdawało mu się, że gdzieś z daleka dochodzą go jakieś śmiechy i przekleństwa kolegów. — Hej, ty — krzyknął któryś. — Co się z tobą dzieje? Trzęsiesz się cały? Jesteś chory?; — Nie wiem — odrzekł Vianney, szcękając zębami. — Jest mi trochę zimno. — Wstań. Mam flaszkę wódki. Pociągnij no łyk, a zaraz poczujesz się lepiej. — Ja wódki nie piję — odparł Jan-Maria. — Nie bądź głupi. Picie i klęcie — to części składowe żołnierskiego życia i idą z sobą w parze jak karabin z ładownicą. Zresztą to jedyne lekarstwo, które może ci pomóc. Pij, więc!

Z wahaniem przełknął Jan-Maria łyk płynu. — Dobrze, co? — zapytał inny ze śmiechem. — A teraz nie przejmuj się. Trapisz się pewnie o dziewczynę. A niech sobie

płacze. Za jakiś czas znajdziesz ich więcej niż masz palców u rąk i nóg. Wszystkie panny gonią za mundurem.

Jan-Maria nic nie odpowiedział. Zresztą ledwie dosłyszał słowa kolegi. Czuł w sobie straszne gorąco, a czoło miał okryte potem. — No widzisz, już się pocisz. Nie ma nic lepszego nad wódkę. Broni przez przeziębieniem i miłosnymi troskami. Wypij no jeszcze łyk! Nie chcesz? Dobrze. W takim razie sam wypiję.

Obozowe trąbki dały znak na kolację. Była gęsta zupa grochowa, lecz Jan-Maria zjadł jej zaledwie parę łyżek. W nocy podskoczyła gorączka. Pomimo to na znak pobudki wstał razem z innymi. Podoficer, który objął dowództwo nad jego kompanią, przyjrzał mu się pogardliwie. — A cóż to za niedołęgę nam tu przysłali? Kolana pod nim się trzęsą jak pod starą babą. A co dopiero będzie, gdy kule zaczną mu świstać nad uszami? Pewnie portki zgubi?... Ale co wam jest? Jesteście chorzy? — Chyba tak — odrzekł Vianney. — Oczywiście! Ledwie wystawił nos z koszar, a już się rozchorował. Czego jaśnie pan sobie życzy? Filiżankę rumianku czy ciepłe okłady? To dobrze robi, ale rozgrzejecie się wystarczająco, gdy zrobimy wspólnie trochę gimnastyki na dziedzińcu koszarowym.

Kompania wybuchła śmiechem. Jedyne rekrut, który go wczoraj częstował gorzałką, ulitował się nad nim i powiedział: — On jest rzeczywiście chory, sierżancie. — W takim razie trafił do dobrego szpitala — odburknął, podkreślając wąsa, podoficer. — Niejednego już takiego maminsynka wyleczyłem.

Ostatkiem sił Vianney utrzymał się na nogach przez cały dzień. Mimo że deszcz wciąż lał jak z cebra, podoficer bez miłosierdzia ćwiczył swoją kompanię na koszarowym dziedzińcu. Kiedy wreszcie rekruci wrócili do izby, Jan-Maria zaledwie mógł ustać na nogach. Nazajutrz rano nie mógł podnieść się z łóżka. Lekarz wojskowy, który przyszedł go zbadać, stwierdził bardzo wysoką gorączkę i kazał przenieść go do szpitala.

Wiele dni przeleżał nieprzytomny. Kiedy wreszcie odzyskał przytomność, ujrzał siedzącą u wezgłowia matkę, patrzącą nań z niepokojem. Podczas następnych dni odwiedzali go krewni z Dardilly i Ecully. Przyszedł także ksiądz Balley, by go odwiedzić i podnieść na duchu. — Wszystko jest w ręku Boga. Co On robi, jest na pewno dobre. Jemu, więc ofiaruj wszystkie cierpienia i choroby, a wtedy nie będą bezowocne.

Po piętnastu dniach Vianney na tyle wrócił do zdrowia, że można go było dołączyć do kolegów odtransportowywanych, jako odwód pułku, do Roanne. Był jednak zbyt jeszcze słaby, by maszerować razem z innymi. Odbywał, więc drogę jadąc za kolumną na taborowym wozie. Po przybyciu do Roanne stan jego zdrowia pogorszył się. Ostatecznie trzeba było go przenieść do szpitala siostr augustianek, gdzie przeleżał sześć miesięcy na zapalenie płuc.

Silna chłopska natura przemogła w końcu tę ciężką chorobę. Piątego stycznia otrzymał rozkaz zgłoszenia się o godzinie piątej po południu w koszarach, aby razem z oddziałem, piechoty udać się nad granicę hiszpańską. Opuszczając szpital, podziękował serdecznie dobrym siostram zakonnym.

— Mój Boże — rzekła wzdychając jedna z sióstr, która go w czasie choroby pielęgnowała — przecież pan nigdy nie będzie prawdziwym żołnierzem. — Ale muszę nim być — odrzekł Jan-Maria, zarzucając tornister na plecy, tę jedyną część żołnierskiego ekwipunku, jaką dotychczas dotknął. — Takie jest prawo... — Prawo... — Powtórzyła kiwając głową zakonnica. — Pan więcej pomoże Francji różańcem niż karabinem.

Droga do koszar wiodła obok kościoła. Ponieważ Jan-Maria w wigilię Trzech Króli pragnął polecić się szczególnej opiece świętych Mędrców, przeto wszedł do kościoła, ukląkł w zakątku i zatopił się w żarliwej modlitwie. Kiedy opuszczał kościół, była godzina szósta. Z przerażeniem stwierdził, że przeoczył wyznaczoną godzinę. Ruszył, więc szybko w stronę koszar, lecz zastał już drzwi kancelarii zamknięte.

Nie wiedząc, co zrobić, wrócił z powrotem do szpitala, a nazajutrz o bardzo wczesnej porze udał się znowu do koszar. — Miałem się stawić wczoraj wieczorem — rzekł do stojącego przed drzwiami wartownika, — lecz na nieszczęście spóźniłem się i zastałem drzwi zamknięte. — Aha, na nieszczęście spóźniłeś się — powtórzył szyderczo żołnierz. — A więc pan kapitan Blanchard niezmiernie się ucieszy z twojego przybycia. Jakby naumyślnie jest dzisiaj w doskonałym humorze. — W takim razie dobrze, że się tak stało — rzekł z wielką prostodusznością Jan-Maria. — Tak, bardzo dobrze się stało — powtórzył z szyderczym uśmiechem wartownik. — Idź, więc!

W rzeczy samej kapitan Blanchard był rozwścieczony. Stek przekleństw spadł na nieszczęsnego Vianneya. — Jesteście zbiegiem. Muszę was okuć w kajdany i prowadzić jak pospolitego przestępcę. Pewnie chcielibyście na wojnę jechać w karecie. W takim razie każę was odesłać do więzienia. Tam będziecie mieć dosyć czasu na przemyślenie, co to znaczy zakpić z kapitana cesarskiej armii.

Jan-Maria zupełnie zbity z tropu, osłupiały stał przed rozwścieczonym oficerem. Zdawało mu się, że w kajdanach na rękach i nogach prowadzą go już do więzienia. Zbyt często, bowiem widywał, jak w ten właśnie sposób traktowano zbiegów.

W tym swoim nieszczęściu znalazł obrońcę w osobie starszego adiutanta, który ulitował się nad biednym rekrutem i próbował zażegnać gniew swego zwierzchnika. — Panie kapitanie, trzeba wziąć pod uwagę fakt, że on dopiero wczoraj opuścił szpital. Na pewno nie myślał o ucieczce. W przeciwnym, bowiem razie nie stawiłby się tu dzisiaj. On jeszcze nie wie, jak ma postępować żołnierz. — To się nauczy — wybuchnął znowu oficer. — Słuchajcie, Vianney! Weźcie swój ekwipunek i papiery i walcie prosto w kierunku Rensaison, a potem na południe. Róbcie, co chcecie, ale do jutra rana macie dogonić swoją jednostkę. Pędźcie, więc, jakby was wszyscy diabli gonili. Jeżeli do jutra rana nie dogonicie swojej jednostki, pójdziecie pod klucz. Mundur wam dadzą w jednostce. Adiutancie, dajcie mu rozkaz wymarszu.

— A więc, jak ci się udał kapitan, moja ślicznotko? — zapytał wartownik, skoro Jan-Maria pojawił się w drzwiach kancelarii. — Jest zdenerwowany — odparł czerwieniąc

się.— Czyż to możliwe? A teraz, biedactwo, musisz gonić swoich małych braciszków. Uważaj no dobrze, żeby cię wilk nie porwał po drodze.

Jan-Maria ruszył w drogę, ciężko wzdychając. Było bardzo zimno. Lodowaty wiatr zaczął smagać mu twarz, skoro znalazł się poza miastem. Mimo to wytrwale szedł ośnieżoną drogą, nie dając sobie chwili wytchnienia. Było już dobrze po południu, kiedy spocony mimo mrozu zaczął wspinać się na stoki Forez. Tornister, i tak ciężki, stał się teraz nie do udźwignięcia.

Pobyt w szpitalu tak go osłabił, że o mało nie zemdlął z wyczerpania, gdy wyszedł na pierwszy szczyt. Postanowił, więc zboczyć do pobliskiego lasu i nieco odpocząć. Chwiejnym krokiem przebył przestrzeń dzielącą go od linii drzew, które miały go osłonić przed wiatrem. Zrzucił plecak na ziemię i usiadł na nim, nie wiedząc, co począć dalej. Z pewnością nie starczy mu sił, by dogonić jednostkę.

Wziął, więc do ręki ostatnią swoją ucieczkę — różaniec, który go nigdy w podobnych wypadkach nie zawiódł. Wtem aż podskoczył. Stał przed nim z chłopska ubrany jakiś człowiek i przypatrywał mu się bacznie. — Co się panu stało? — zapytał w końcu nieznajomy. I Jan-Maria opowiedział mu wszystko po kolei. — A teraz muszę iść dalej — zakończył, podnosząc się z trudem i zarzucając tornister na plecy. To sprawiło, że za chwiał się. Tak, bowiem był osłabiony.

— Spokojnie, spokojnie, mój przyjacielu — podjął znowu nieznajomy. — Zmierzcha się, i zabłądziłby pan jeszcze w ciemnościach, gdyby nawet mógł pan iść. Jest pan przecież kompletnie wyczerpany. Niech, więc pan na razie spędzi noc u nas, a jutro zobaczymy. — A co będzie, gdy nie dogonię do jutra rana mego oddziału? — Niech się pan tym nie przejmuj. Sam pan widzi, że i tak dogonić go nie zdoła.

Jan-Maria, zdając sobie doskonale sprawę, że nieznajomy ma rację, zdał się na los szczęścia i poszedł za człowiekiem, który teraz niósł jego tornister. Wkrótce znaleźli się przed nędzną chatynką i nieznajomy w jakiś szczególny sposób zakotłatał do drzwi. — Kto tam? — zapytał jakiś drżący głos. — Guy — odparł nieznajomy.

Drzwi się otwały i na progu ukazał się starzec z latarnią w ręku, bo tymczasem zaczęło się zmierzchać. — To Gustin Chambonniere, robi chodaki. U niego będzie się pan ukrywał... — Następnie przedstawił swego towarzysza i opowiedział starymu człowiekowi o jego tarapatach. — Niech pan wejdzie i spocznie — zaprosił grzecznie wytwórca chodaków, prowadząc go do izby.

Następnie przygotował skromny posiłek, którym uraczył swoich gości. Gdy zjedli, podjął na nowo: — Wojna jest zbrodnią. Cesarz poświęca krew poddanych dla swoich zuchwałych celów. Kto go do tego upoważnił? Myślicie, że senat? Niechybnie tak by było, gdyby chodziło o obronę ojczyzny. Ale kto na nas napada? Co mamy do szukania w Prusach, w Austrii, w górach Tyrolu czy w Hiszpanii? — Nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem — odparł Jan-Maria bez przekonania.

— A więc niech się pan teraz zastanowi. Niech pan sobie wyobrazi, że najspokojniej w świecie orze pan swoje pole, a tu nagle przychodzi bandyta i prosi pana, aby mu pan po mógł obrabować pańskiego sąsiada, podpalić go i wymordować mu dzieci. Czy mu pan pomoże? — Nigdy w życiu! — A jeżeli tym bandytą jest pański cesarz? Jan-Maria osłupiał. Co mógł wiedzieć on, biedny wiejski chłopak z Dardilly, o polityce?

Wojna czy pokój, to sprawa cesarza. — Jest napisane — rzekł w końcu — «Oddajcie, co jest cesarskiego, cesarzowi. — Czy grabież, pożoga i mord to są sprawy cesarskie? Gwałt zawsze przybiera pozory słuszności, lecz jest zawsze okrutny i zły jak bestia piekielna. Czy czytał pan *Apokalipsę*? Jest tam mowa o bestii wychodzącej z morza, która ma dziesięć koron na rogach. «Cała ziemia w podziwie spoglądała na bestię — stoi napisane w tej księdze — i oddawano cześć bestii mówiąc: Któż podobny jest bestii i któż z nią będzie mógł walczyć?...» Wie pan, co to znaczy? Pochodzi z wyspy na morzu. Nosi dziesięć koron. Cała ziemia go podziwia. Zginają się przed nim kolana i oddają mu cześć. Ale jest także napisane: «Kto odda cześć bestii, ten będzie pić wino gniewu Bożego, które zmieszane jest ze szczerym winem w pucharze gniewu Jego...»

Starzec wstał i przygotował gościowi pośnanie. Dla Guy i dla siebie ustał legowisko ze strużyn zebranych w warsztacie. Chociaż Jan-Maria upadał wprost ze zmęczenia, to jednak długo w noc nie mógł zasnąć. Gdy wreszcie usnął, męczyły go jakieś dziwne sny. Obudził się gdy słońce było już wysoko na niebie. — Muszę iść — zawołał przerażony, gdy spostrzegł, że jest już prawie południe. — Najpierw trzeba coś zjeść — rzekł z uśmiechem Guy.

— Wprawdzie stary poszedł po drzewo do lasu, ale usmażył dla pana kawałek boczku. — Tak, ale co teraz będzie? — Powiem panu, co będzie. Nie ma zupełnie sensu gonić jednostki. Bo niby gdzie myśli ją pan dogonić? Może pan gonić do samej Hiszpanii i nigdy nie dogonić swoich kolegów. Z drugiej zaś strony chyba nie chce pan wracać do Roanne?

— Jan-Maria z lękiem wyobraził sobie postać kapitana Blancharda i jego reakcję, gdyby znowu miał przed nim stanąć... To niemożliwe. Z całą pewnością potraktowałby go jak zbiega. — Rzecz jasna, że zostanie pan zakuty w kajdany i wtrącony do lochu, a w końcu skazany na ciężkie roboty — stwierdził Guy. — Będąc na pana miejscu, wiedziałbym, co zrobić. — A co by pan zrobił? — Pozwoliłbym Napoleonowi samemu prowadzić wojnę. — A więc mam zostać zbiegiem? — W oczach policji już pan nim jest. Ale niech się pan pocieszy, w lasach ukrywają się tysiące ludzi, którzy nie chcą iść na wojnę. Ja też do nich należę.

Poza tym słyszał pan, co Gustin mówił o bestii z dziesięciu rogami. Stary jest wprawdzie dziwakiem, ale pod tym względem niewiele się myli. Jan-Maria opuścił głowę. Na próżno szukał jakiegoś wyjścia, ale nie było żadnego.

— Rodzice będą mieć wiele przykrości z mego powodu. Będzie to dla nich powodem wielu kłopotów. Wiem o tym z innych podobnych wypadków — rzekł wreszcie

wzdychając. — Nie mogą za to odpowiadać. Nie wiedzą przecież, gdzie pan jest. Ale proszę jeść. Potem zaprowadzę pana nieco dalej w góry.

Ukończywszy posiłek, zaraz puścili się w drogę. Jan-Maria uspokoił się z chwilą, gdy doszedł do przekonania, iż nie ma innego wyjścia, jak ukryć się. Z ciężkim, więc sercem przygotowywał się na najgorsze. Wieczorem znaleźli schronienie w lepiance pewnego drwala. Przez dwa dni ścinali drzewa. Guy chwalił sobie pobyt u drwala, ale ten nie miał ani pracy, ani chleba dla dwóch ludzi.

— Czy umie pan czytać i pisać? — zapytał drwal Vianneya. — Tak? To dobrze. W Pont, należącym do gminy Noes, szukają nauczyciela do szkoły. Niech, więc pan zwróci się do pani Prefolle, właścicielki majątku. Pełen nadziei Jan-Maria wybrał się w drogę. Srodze jednak się zawiódł, bo nauczyciela już zgodzono.

Zwrócił się, więc do wójta gminy, Pawła Fayot, który posiadał kawałek pola w wiosce Robins. — Trudno jest panu cośkolwiek doradzić — rzekł po namyśle wójt. — Pan już teraz nie może cofnąć swego kroku, gdyż zostałby bardzo surowo ukarany. Musi się, więc pan dobrze ukrywać, albowiem żandarmi bez przerwy przeczesują lasy, szukając zbiegów. Trzeba też będzie zmienić nazwisko, bo i pan na pewno stanie się przedmiotem poszukiwań. A zatem, jak się pan chce nazywać?

Chłopakowi nagle przyszło na myśl nazwisko sąsiada z Dardilly i podał je wójtowi. — Bardzo dobrze. A zatem odtąd będzie się pan nazywał Hieronim Vincent. Teraz zaś zaprowadzę pana do domu na przeciwko, do mojej bratowej, wdowy Klaudyny Fayot. Ona pana ukryje. Pocziwa kobieta przyjęła zbiega w imię miłości Boga.

Wiedziała, bowiem dobrze, że nie oddaje usługi jakiemuś niewdzięcznikowi. Szczerze, więc mu współczuła w nieszczęściu. — Niech się pan nie boi. Ma pan tu we wsi cały szereg kolegów niedoli. Ukryjemy pana przed żandarmami. Przed dziećmi będzie pan uchodził za krewniaka, który przyszedł ukrywać się, jako zbieg. Oczywiście, będziemy musieli przejść z sobą na ty. To, myślę, nie sprawi panu trudności.

Zaraz też przedstawiła go czwórce dzieci, jako kuzyna Hieronima, który musi ukrywać się przed żandarmami. — Coś ty takiego zrobił, kuzynie, że aż żandarmi cię szukają? — zapytał zdziwiony trzynastoletni Ludwik. — Chyba niczego nie ukradłeś? — Ani nikogo nie zabiłeś? — dodał o dwa lata młodszy jego brat Hieronim.

— Przecież widzicie, że nie wygląda ani na złodzieja, ani na mordercę — rzekła ze śmiechem Agnieszka, czternastoletnia dziewczynka. — Inaczej mama nie przyjęłaby go do domu. — O nie, nie — odrzekła śmiejąc się gospodyni. — To nie jest żaden zbrodniarz. To jest żołnierz. Odłączył się od swego oddziału, i musi się teraz ukrywać przed żandarmami. Ale nie mówcie o tym nikomu. Obiecujecie? — Słowo honoru — stwierdził Ludwik — nie rozumiem, dlaczego ktoś nie chce być żołnierzem. Przecież to najpiękniejszy zawód na świecie.



## TUŁACZ (1810-1811)

Jan-Maria Vianney ciężko znosił swój los, który kazał mu być zbiegiem i pozbawił go nawet porządnego nazwiska rodowego. W dzień ukrywał się w stodole. Żeby uniknąć podejrzeń, pani Fayot przynosiła mu pożywienie w szafliku, podobnym do tych, w jakich podawano paszę bydłu. W nocy zaś sypiał w kącie obory.

Z lękiem i niepokojem myślał o rodzicach, którzy na pewno mieli wiele przykrości z jego powodu. Jakże musiała cierpieć przede wszystkim matka, nie mając o nim żadnej wiadomości! Czuł się jak rozbitek wyrzucony przez burzę na brzeg pustynny. Czy kiedykolwiek zdoła osiągnąć najwyższy cel życia, jeśli będzie musiał tak ukrywać się jak złoczyńca? Gdy rano kościelne dzwony w Noes budziły go z niespokojnego snu, odczuwał wtedy bardziej niż kiedykolwiek swoje zupełne osamotnienie. Nie mógł odpowiedzieć na ich spżowe wołanie i nawet w niedzielę nie chodził na Mszę świętą.

Pod koniec drugiego miesiąca zaczął jednak zdobywać się na odwagę i od czasu do czasu wychodził z kryjówki. Chciał w jakiś sposób odwdzińczyć się gospodyni, spełniając różne posługi. Pracował, jako parobek w stajni i w stodole. Dzieci pani Fayot i wójta uczył czytać, pisać i rachować. Uczył ich także katechizmu. Kiedy w niedzielę cała rodzina wychodziła do kościoła, on pozostawał na fermie. Pilnował trzyletniej Klaudynki i uczył ją pierwszych słów modlitwy.

Kiedy z nadejściem wiosny śnieg stopniał na stokach górskich, żandarmi częściej niż w zimie zaczęli się zapuszczać w okolice. Jedno z dzieci zawsze stało na czatach i ostrzegało «kuzyna», skoro tylko jakiś mundur pojawiał się w polu widzenia.

Jan-Maria orał i bronował, jak ongiś w domu. Często jednak musiał nagle przerywać pracę, bo któreś z dzieci przybiegało, co tchu z wiadomością, że w pobliżu kręcą się żandarmi. Uciekał wtedy do lasu lub na strych z sianem.

Pewnego razu jednak o mały włos nie wpadł w ręce policji konnej. Akurat był zajęty na polu, gdy co tchu nadbiegł Ludwik Fayot, krzycząc z daleka: — Żandarmi we wsi! Kryj się szybko! Jan-Maria rzucił się ku fermie, wpadł do obory i wdrapał się na strych z sianem. Ale żandarmi dostrzegli biegnącego młodego człowieka i rzucili się za nim w pogoń.

— Gdzie jest ten młody człowiek, co uciekał do was na fermę? — pytali wdowy Fayot. — Na pewno to jest zbieg. Wydajcie nam go! — Jeżeli, panowie, jesteście pewni, że ktoś się tam ukrył, szukajcie. — Dobrze, my go tam znajdziemy — odpowiedzieli żandarmi i zabrali się do przetrząsania wszystkich zabudowań.

Na końcu weszli do obory. — Czy panowie chcą także aresztować nasze krowy? — zażartował Mirek. — Zobaczmy, czy w oborze są same tylko krowy. Wynoś się stąd, pędraku! — Nie jestem pędrakiem — odpalił z miejsca chłopak, i śmiało szedł dalej krok w krok za żandarmami. Myślał, że mu serce bić przestanie, kiedy żandarmi wyszli po drabinie na strych i długimi szablami zaczęli przegrzebywać siano.

Tymczasem Jan-Maria czuł, że lada moment udusi się w sianie. Ostatnim wysiłkiem wytrzymał jakoś. W pewnej chwili poczuł przeszywający ból. Koniec szabli zranił mu ramię. Zbieg poczuł krew na rękawie. A więc, to koniec.

Brakowało mu powietrza. Płuca na próżno starały się wyłowić choćby odrobinę. Gdy już zdecydował się wyjść z kryjówki, nagle usłyszał głos wójta, którego pani Fayot czym prędzej pobiegła sprowadzić z pola. — A więc, panowie, polujecie na myszy?

— Tu gdzieś musi być kryty zbieg. Widzieliśmy, jak biegł w kierunku fermy — odrzekli żandarmi. — Był to może jakiś złodziejasek, który teraz pewnie jest w kurniku i spija jaja. Ale pozwólcie, panowie, do mnie. Wypijemy po kieliszku. Dziś jest bardzo gorąco.

Żandarmi zaniechali dalszych poszukiwań i poszli z wójtem. Jan-Maria słaniając się wyszedł z kryjówki i głęboko odetchnął. — Najwyższy czas — jęknął. — Nie wytrzymałbym już dłużej ani minuty.

— Ojej! Krew ci cieknie, kuzynie! — krzyknęła przerażona pani Fayot, ujrawszy rozpruty rękaw koszuli. — Jeden z nich dosięgnął mnie końcem szabli — odrzekł Vianney, krzywiąc się i chwytając drugą ręką za ramię.

— Widzisz, kuzynie — zażartował Hirek, gdy tymczasem matka obmywała i opatrywała ranę — zbiegłeś, a mimo to zostałeś ranny. Hiszpanie pewnie odcięliby całe ramię, a może nawet i głowę. A to byłoby gorsze. — Siedz cicho, smarku jakiś — krzyknęła matka. — Ależ to takie śmieszne. Kuzyn doskonale rozumie, że żartuję.

— Oczywiście, oczywiście — odparł młodzieniec. — Teraz nie będziesz mi mógł wymierzać klapsów — zauważył ze złośliwą uciechą Hirek. — Na pewno będziesz musiał nosić rękę na temblaku. Ja ci go zrobię. To tak wspaniale wygląda: nosić rękę na czarnej szarfie. — Nie trap się! Potrafię ci dać klapsa i lewą, gdy zamiast się uczyć, będziesz się bawił.

— Idź no, wyrzyj na dwór, i uważaj na żandarmów — poleciła pani Fayot. — O, oni teraz płuczą gardła — odparł ze śmiechem urwis. Mimo to wyszedł z izby i stanął na czatach. — Jesteście przedobra dla mnie, matko Fayot. Czy ja się zdołam kiedykolwiek za to wszystko odwdziżyć?

— Już dawno mi pan za wszystko, co panu zrobiłam, zapłacił. Wierzę, że Pan Bóg mi to wynagrodził w dzieciach. — Sprawiam wam tyle kłopotów, i to tym bardziej, że nie robicie wrażenia, jako byście byli w najlepszym zdrowiu. Ostatnio jakoś źle wyglądacie. — To krew — westchnęła kobieta. — Lekarz przepisał mi kąpiele w Charbonnieresles-Bains. Ale ja nie mam ani czasu, ani pieniędzy na taką kurację. — W Charbonnieres? — powtórzył Jan-Maria. — To przecież bardzo blisko Dardilly.

Słuchajcie, dam wam list. Moja matka przyjmie was z radością i będziecie mogli od nas z domu dochodzić na kąpiele. — Ależ ja nie chcę być dla nikogo ciężarem. Zresztą nie mogę odejść z domu. — Możecie, możecie. Macie bardzo dobrą służącą, a dzieci też już potrafią pracować. Ponadto ja też tu jestem. Z całą pewnością i będziecie również

ciężarem dla mojej matki. W końcu udało mu się przekonać swoją gospodynię, która pewnego pięknego dnia wybrała się do Dardilly. Oprócz listu Jan-Maria zmusił ją do przyjęcia wszystkich, jakie miał przy sobie, pieniędzy.

Radość Marii Vianney była niewypowiedziana, kiedy pani Fayot zapukała do drzwi i oddała list Jana-Marii. Z jakimż niepokojem myślała o nim od tylu miesięcy! Ileż wylała łez, ile modlitw odmówiła! A oto teraz dowiedziała się, że żyje i jest bezpieczny. Jej szczęście nie miało granic. Swojej dobrodziejce okazywała największą gościnność.

Natomiast Mateusz Vianney przyjął wiadomość zupełnie inaczej. Padł on, bowiem ofiarą bardzo wielu przykrości z powodu syna. Musiał przyjąć na kwaterę żołnierzy, a do tego grożono mu, że zabiorą mu ostatni grosz, jeżeli nie odszuka syna. Ponadto reumatyzm z roku na rok przyczyniał mu coraz więcej cierpienia i robił go coraz bardziej drażliwym.

— Nie chcę, żeby mój syn się ukrywał. Inni chłopcy uczciwie wyjechali, a dlaczego nie on? Nie da się wypowiedzieć tych wszystkich przykrości, jakie musiałem przeżyć z jego powodu. Niech mi pani powie, gdzie on jest, a ja go zaraz pójdę szukać. — A więc nie znacie go wcale — odrzekła Klaudyna Fayot. — Będąc na waszym miejscu nie żałowałabym żadnej ofiary za takiego syna.

Matka, bracia i siostry tak długo nie dawali mu spokoju, aż wreszcie ustąpił. Kiedy pani Fayot po trzytygodniowym pobycie wracała do domu, odprowadził ją nawet do Tarare. — Co mam powiedzieć waszemu synowi? Czy mogę go zapewnić, że się już nie gniewacie na niego? — Tak — odparł wieśniak — niech mu pani powie, żeby jak najszybciej wracał do domu.

Jan-Maria był uszczęśliwiony, że wreszcie dowiedział się czegoś o rodzinie. Przejął się jednak bardzo tym, że stał się dla niej przyczyną tak wielu przykrości, ale na razie nie widział żadnego wyjścia z tej nieszczęsnej sytuacji. Od czasu do czasu zdobywał się na ryzyko i w dni powszednie chodził do Noes na Mszę świętą. Zaczął też chodzić do kościoła na pierwszą Mszę ranną w niedziele. Z tego powodu jego tułactwo stało się mniej gorzkie.

Czasem odwiedzał we wsi księdza proboszcza i przedkładał mu swoje kłopoty. — Mój drogi przyjacielu — mawiał ksiądz, który sam przeszedł wiele, ponieważ nie złożył wymaganej przez rząd przysięgi — znam ja nędzę wygnania i nędzę tułaczki. Zbyt długo, bowiem musiałem się błąkać od kryjówki do kryjówki. Ale nie trać nadziei. Pan Bóg wszystko obróci na dobre. Nie rób sobie wyrzutów sumienia z powodu ucieczki. Cesarz został ekskomunikowany. Skoro sam nie dotrzymał zaprzysiężonej Kościołowi wiary, nie ma prawa wymagać wierności od swoich poddanych.

Poradził mu także, by sprowadził sobie książki i kontynuował naukę. Inaczej wkrótce zapomniałby wszystkiego. Jan-Maria z wdzięcznością przyjął radę. Wysłał, więc potajemnie list do Ecully, i stąd pewnego dnia poczciwa praczka, wdowa Bibost, zjawiła

się z paczką żądanych książek. Zabrał się znowu z gorliwością do nauki. Wkrótce jednak przekonał się z przerażeniem, że prawie wszystko trzeba było zaczynać od początku.

W kilka tygodni później dni jego wygnania dobiegły końca. Napoleon zwycięsko zakończył swe wojenne wyprawy. Z okazji zawarcia pokojowego traktatu ogłosił powszechną amnestię, którą polecił objąć tych zbiegów, którzy powrócą do służby wojskowej lub wystawią zastępców.

Franciszek Ksawery, najmłodszy syn Vianneya, okazał gotowość pójścia za brata do wojska. Ojciec, któremu wielki ciężar spadł z serca, chętnie się na to zgodził. Zaś jego brat Jan-Maria przyrzekł w zamian zrzec się na rzecz najmłodszego brata swojej części spadku.

Nadeszła, więc upragniona godzina, gdy mógł wreszcie wrócić do domu. Jednakże pożegnanie z wioską Robins było ciężkie. Poczciwi wieśniacy, którzy prawdziwie pokochali przyszłego księdza, potajemnie zrobili składkę i kupili mu sutannę. Ofiarowali mu ją i prosili, aby choć na godzinę ubrał się w nią. Chcieli, bowiem widzieć, jak będzie wyglądał, jako ksiądz.

Ludwik towarzyszył «kuzynowi» do Dardilly. — Spodziewamy się zobaczyć ciebie u nas jako proboszcza — rzekł na pożegnanie. — Tylko nie mów długich kazań, bo ludzie zasną ci pod amboną. A Hieronim i ja będziemy ci służyć do mszy. Od jutra zacznę go uczyć ministrantury.

— Byłaby to dla mnie wielka radość. A co do kazań, to nie będę mówił długo. Będę bardzo zadowolony, jeśli uda mi się nauczyć na pamięć choćby bardzo krótkiego kazania... — To na pewno potrafisz.

Z nieopisaną radością Maria Vianney wzięła syna w objęcia. Jan-Maria jednak był boleśnie zaskoczony złym stanem zdrowia matki. Cierpiała na astmę i dlatego mówiła z trudem. — To serce — rzekł Mateusz Vianney, gdy syn mu o tym powiedział. — Zbyt wiele wycierpiała z twego powodu.

Zdawało się, że radość z odzyskania syna dodała nowych sił pani Vianney. Jednakże w pierwszych dniach nowego roku zdrowie zaczęło z dnia na dzień się pogarszać. Jan-Maria z ciężkim sercem na nowo podjął naukę w Ecully. W każdą jednak niedzielę wracał do domu, by zobaczyć się z matką. Koniec nadszedł niespodziewanie szybko.

Ósmego lutego 1811 roku Jan-Maria został wezwany do łoża umierającej matki. Oczy jej ożywiły się, gdy syn, co tchu wbiegł do izby. Nie miała już siły, by wiele mówić. Powiedziała tylko: — Niech Bóg uczyni cię kapłanem. Ja będę się modlić za ciebie... do Boga... — Położyła rękę na głowie klęczącego syna i spokojnie zasnęła w Panu.

## **WYDALONY I PRZYJĘTY Z POWROTEM (1811-1814)**

W gorące noce lata 1811 roku ludzie oglądali na niebie znak, w którym dopatrywali się zapowiedzi przyszłego nieszczęścia. Cóż może wrócić kometa, jak nie

dzień gniewu Bożego? Papież jest uwięziony, cesarz wyklęty, a ziemia zbroczona krwią niezliczonych ofiar. Na polach zboża usychały na pniu. Wyschły nawet źródła. Bydło nie mogło znaleźć pożywienia.

Słysząc było o nowych przygotowaniach do wojny. Zewsząd młodzi chłopcy napływali do koszar. Iluż tych wesołych rekrutów miało zginąć w kwiecie wieku! Żniwo śmierci miało być obfitsze niż żniwo rolników na spalonych polach.

Pomimo to rok komety przyniósł wspaniały podarunek. Francuskie winnice obsypały się pięknymi winogronami, tak, że Mateusz Vianney napełnił wszystkie beczki doskonałym winem. Zdawało się, że natura jeszcze raz chciała podać swoim dzieciom upajający puchar, zanim będą musiały wypić wino gniewu Bożego, o którym mówiły księgi święte.

— Trzeba się modlić i pokutować — mawiał ksiądz Balley do swego ucznia, gdy ten, zatopiony w myślach, przerywał czasem pracę. Jan-Maria z trwogą w sercu patrzył, jak jego nauczyciel zadawał sobie różne pokuty i umartwienia, by załagodzić gniew Boży. Po powrocie do Ecully nie mieszkał już u swoich krewnych, lecz na plebanii. Stara Małgorzata umarła. Nowa gospodyni niepokoila się patrząc, jak jej chlebowódca spożywa tylko tyle, ile było najkonieczniejsze do podtrzymania życia.

Ascetyczna twarz świętobliwego kapłana stawiała się coraz mizerniejsza. Lecz kiedy jego uczeń chciał go w tej surowości życia naśladować, ksiądz zabraniał mu kategorycznie: — Dla ciebie krzyżem jest nauka, i to dostatecznie ciężkim.

O tak, ciężki był to krzyż! Jan-Maria, mając obecnie dwadzieścia pięć lat, wiele zapomniał podczas długich miesięcy ukrywania się. Miał bardzo wiele do nadrobienia, a ponadto oporna jego pamięć musiała przyswoić sobie mnóstwo nowych wiadomości.

W tym czasie Napoleon przygotowywał wyprawę na Rosję. Pewnego wiosennego dnia 1812 roku Jan-Maria został wezwany do Dardilly, by jeszcze raz zobaczyć się z młodszym bratem, który za niego przywdział wojskowy mundur.

— Miech cię Bóg szczęśliwie przyprowadzi z powrotem do domu — rzekł, podając mu rękę na pożegnanie. — Dobrze. Jakoś sobie poradzę, nie bój się — odrzekł Ksawery. — Na pewno wrócę po część spadku, której zrzekłeś się dla mnie. — Z całego serca życzę ci tego — odpowiedział Jan-Maria, mając jednak jasne przeczucie, że już go nigdy nie zobaczy. Nazajutrz ze ściśniętym sercem wrócił do Ecully. Chodził już w sutannie i nosił tonsurę, gdyż ksiądz Balley uzyskał to, że jego uczeń został zrównany z uczniami retoryki w niższym seminarium, którzy podówczas chodzili już w sutannach i mieli wystrzyżone tonsury.

W czasie owej strasznej zimy, która oglądała powracające w łachmanach, na pół martwe z głodu niedobitki wielkiej armii, jakim udało się ująć z lodowatych równin Rosji, Jan-Maria wstąpił do niższego seminarium w Verrieres, by tam rozpocząć kurs filozofii. Dwudziestosześcioletni młodzieniec znalazł się nagle w gromadzie o wiele młodszych od siebie współuczniów. Starał się, jak mógł, nadążać za tokiem wykładów profesora

Chazelles, który po łacinie wykładał podstawy logiki i psychologii, lecz mimo wszelkich wysiłków Vianney zdołał zrozumieć zaledwie kilka słów.

Ze zdumieniem słuchał, jak jego koledzy odpowiadali biegłą łaciną, gdy młodszy od niego wykładowca wywoływał ich do odpowiedzi. Był wśród nich mały Ferdynand Donnet, chłopak nadzwyczaj zdolny. Byli dwaj przyjaciele Declas i Jan Duplay, którzy natychmiast podnosili ręce, gdy tylko nauczyciel postawił pytanie. Gdy zaś Jan-Maria był pytany, ponieważ bardzo często nie rozumiał nawet dobrze pytania, wystękiwał tak mętną odpowiedź, że cała klasa kwitowała ją wybuchem śmiechu.

Nieszczęsny opadał wtedy, półprzytomny, na ławkę pod pełnym politowaniem wzrokiem nauczyciela. Jakże ci wszyscy młodzi seminarzyści byli bezliłośni! Cóż oni mogli wiedzieć o rozpaczliwych wysiłkach, jakich dokonywał ich starszy kolega?

Pewnego razu mały Duplay wręczył Janowi, który miał duże trudności z łaciną, bilecik mówiący: — Wynotowałem dla ciebie pewien ustęp z Pisma świętego. Poszukaj go, a on cię pocieszy.

Vianney, ku ucieście całej klasy, która wiedziała o tej farsie, wziął kartkę i odrzekł: — Dziękuję ci, Duplay. Poszukam tego tekstu. Pismo święte jest dla każdego pociechą i pomocą. Głębokie milczenie zapanowało w sali, gdy Jan-Maria wziął pierwszy z brzegu tom Biblii i zaczął szukać wskazanego tekstu. Żywy rumieniec oblał mu twarz, gdy przeczytał w *Księdze Rodzaju*: *«Issachar osioł mocny, leżący między granicami. Upatrzyl pokój, że jest dobry, i ziemię, że bardzo dobra; i podłożył ramię ku noszeniu, i stał się za daninę służącym»*.

—, Co tam takiego znalazłeś? — zapytał Marcelin Champagnat, mocno zbudowany wiejski chłopak, o cztery lata młodszy od Vianneya, widząc, że jego kolega zbladł i drżącą ręką odłożył Biblię. Ale odpowiedź nieszczęśnika została zagłuszona salwą śmiechu całej klasy.

— A więc, co powiesz o tekście z Issacharem? — zapytał, śmiejąc się do rozpuku, Duplay. Jan-Maria wcale nie myślał o odpowiedzi, lecz Champagnat, który za pomocą kartki odnalazł tekst biblijny, wpadł w gniew, chwycił książkę i za wołał do młodego żartownisia: — Wstydziliś się, Duplay, i wy wszyscy! — Oni mają rację. Daj spokój — prosił Jan-Maria, uspokajając kolegę.

— Nie! — wrzasnął Marcelin, chwytając młodego Duplaya i podtykając mu pod nos świętą księgę. — Czytaj trochę dalej? Czytaj werset siedemnasty. On do ciebie doskonale pasuje. Zdumiony chłopak przeczytał wskazany palcem przez kolegę tekst: *«Dan jest wężem na drodze, zmiją na ścieżce<sup>^</sup> kłusującą kopyta końskie, że spada jeździec jego wstecz»*. — Czy więc ten werset nie pasuje, jak ulał, do niejakiego Duplaya?

Śmiechy ucichły. Duplay, który z przykrością ujrzał udręczoną twarz tego, z którego zadrwił, wyjąkał zażenowany: — Ależ to był tylko żart. — Nie, to była potwarz — odparł Champagnat. — A ty zasłużyłeś na solidne lanie.

— Zostaw go, proszę cię — błagał Jan-Maria. Wtedy Marcelin puścił winowajcę, który zawstydzony podążył na swoje miejsce. Przez cały dzień krążył wokół Vianneya jak zbity pies. Wreszcie zebrał się na odwagę i powiedział: — Wybacz mi moją niegodziwość. To ja jestem osioł. Daj mi w pysk... — Już o wszystkim zapomniałem — odparł Jan-Maria, by go uspokoić. — Zresztą miałeś rację. Ja rzeczywiście jestem za tępy do nauki.

Od czasu tego zajścia Marcelin Champagnat coraz częściej przestawał z Vianneyem. Obydwaj mieli duże trudności z łaciną. Ponieważ w podobnej sytuacji znajdowało się jeszcze kilku uczniów, ksiądz Chazelles zaczął dwóch przyjaciół oraz pięciu innych uczyć filozofii po francusku.

Od tego czasu nauka stała się dla niego łatwiejsza, choć Jan-Maria nie mógł pojąć, dlaczego musiał się uczyć na pamięć długich definicji rzeczy skądinąd samych przez się zrozumiałych. Nawet najbardziej ograniczony chłop z Dardilly doskonale wiedział, że ta sama rzecz nie może równocześnie istnieć i nie istnieć.

Gdy lekcja była zbyt trudna, seminarzysta szedł do kaplicy, klękał w jakimś ukrytym kąciku i błagał o pomoc Mieszkańca tabernakulum. Potem z nowym zapalem zabierał się do pracy. I tak zdołał przerobić cały kurs filozofii. Jednakże na końcu roku bardzo mocno mu zalecono, aby jeszcze raz na plebanii w Ecully przestudiował cały materiał. Otrzymał następujące oceny:

*Pracowitość — dobra.*

*Wiadomości — bardzo słabe.*

*Sprawowanie — dobre.*

*Usposobienie — dobre.*

— Trzy oceny dobre na jedną słabą — zauważył ksiądz Balley. — Pociesz się: w Verrieres pewnie i święty Piotr nie wyciągnąłby lepiej. Mam mocne podejrzenie, że niewiele wiedział z logiki czy psychologii.

W domu Jan-Maria zastał rodzinę zaniepokojoną losem Ksawerego, który nie wrócił z Rosji. Kolega z czasów dzieciństwa, Jan Dumont, który także brał udział w wyprawie na Rosję, opowiedział mu o straszliwych okropnościach wojny, w czasie, której widział, jak broń wypadła żołnierzom ze zmarzniętych rąk. Jan-Maria pomyślał wtedy o bluźnierczych słowach Napoleona, wypowiedzianych po rzuceniu nań klątwy przez papieża. A jednak broń z rąk żołnierzy wypadła...

Nadeszła nowa wojna. Szesnastego października cesarz poniósł dotkliwą klęskę pod Lipskiem. Seminarzysta spotkał w Lyonie nie kończące się kolumny rannych żołnierzy, kiedy tuż przed Wszystkimi Świętymi wstąpił do wyższego seminarium świętego Ireneusza.

Był bardzo szczęśliwy, że spotkał tam swego przyjaciela Marcelina Champagnat. Otrzymał pokój razem z dwoma dawnymi kolegami z Verrieres, Declasem i Duplayem, oraz z jednym nowym, o nazwisku Bezacier.

Tutaj studia były jeszcze trudniejsze niż w niższym seminarium, ponieważ w Lyonie wszystkie przedmioty wykładano po łacinie. Rektor, ksiądz Gardette, od razu zauważył brak zdolności u dziekana kleryków, i dlatego przydzielił mu korepetytora w osobie Jana Duplaya, który był prymusem w klasie. Jeden z profesorów, ksiądz Mioland, udzielał mu specjalnych lekcji, wykładając teologię przy pomocy francuskiego podręcznika *Le Rituel de Toulon*.

Jan-Maria uczył się bez przerwy, pozwalając sobie na parominutowe tylko pauzy. Dzięki podręcznikowi w języku francuskim przyswoił sobie najkonieczniejsze wiadomości z teologii tak, że gdyby go pytano w ojczystym języku, na pewno zdałby egzamin. Na nieszczęście wykłady odbywały się po łacinie i były dla niego niezrozumiałe. Egzaminatorzy zaś pytali wyłącznie po łacinie, dlatego biedny student nie dał im żadnej odpowiedzi.

A więc nastąpiło, co miało nastąpić. Jan-Maria Vianney, który gorliwością i pobożnością przewyższał kolegów, pewnego dnia został wezwany do księdza rektora, który mu oznajmił, że jest zmuszony go wydalic z seminarium, albowiem uważa, że wszystkie jego wysiłki są bezowocne. — Proszę się tym nie przejmować — rzekł tonem uprzejmym — nie jest wolą Bożą, żebyś został księdzem. Inaczej udzieliłby ci więcej zdolności. Zresztą możesz służyć Bogu w innym stanie.

Jan Duplay był mocno strapiiony, gdy się o tym dowiedział. Próbował interweniować i prosić o zmianę decyzji, lecz na próżno. — Widzisz, Jasiu — rzekł Vianney z melancholijnym uśmiechem — miałeś rację porównując mnie do Issachara. Osioł powinien wrócić na swoje miejsce. — Ach! Nie przypominaj mi mojej nikczemności. Odchodzisz, ale wrócisz tu jeszcze. Nikt z nas nie jest godzien zostać księdzem tak jak ty. — A zatem Pan Bóg musiałby dokonać cudu. Jan-Maria wrócił do Dardilly mocno przybity.

Ojciec posmutniał, dowiedziawszy się, że syn został wydalony z seminarium. — Ja ci to zawsze mówiłem, że urodziłeś się, żeby być chłopem a nie uczonym. Nie gryź się. Będziesz rolnikiem... Ksawery nie wróci... — dodał wzdychając. Tak więc Jan-Maria zaczął pracować na fermie. Znowu sypiał w stajni ze starszym bratem. Przed snem zwierzył mu się ze swego zmartwienia. Franciszek opowiedział mu, jak będąc w podobnej sytuacji Jan Dumont wstąpił do Braci Szkół Chrześcijańskich w Lyonie i od jakiegoś czasu jest u nich w nowicjacie.

—, Jeżeli już koniecznie chcesz wstąpić do stanu duchownego, a studia w tym ci przeszkadzają, możesz zostać bratem zakonnym. — Jutro napiszę do niego — odrzekł Jan-Maria. Rzeczywiście postanowienie wykonał i udał się do Ecully, by powiadomić księdza proboszcza o swoim niepowodzeniu i porozmawiać o nowym projekcie. Ale ku swemu wielkiemu zdziwieniu ksiądz Balley nie chciał nawet o tym słuchać.

— Siadaj zaraz i napisz do przyjaciela, że rezygnujesz z projektu, bo ja twardo obstaję za tym, żebyś kontynuował studia. — Ależ ja zostałem wydalony z seminarium.



Drugi raz mnie nie przyjmą. — Zobaczymy. Tymczasem znowu zamieszkas u mnie i będziemy uczyć się dalej.

Ksiądz Balley posługiwał się podręcznikiem *Le Rituel de Toulon*, ale wykłady prowadził po łacinie, przyzwyczajając w ten sposób swego ucznia do odpowiadania w tym samym języku. I tak przepracowali razem całe trzy miesiące bez przerwy. Gdy nadszedł czas egzaminów, proboszcz, z Ecully udał się z uczniem do Lyonu i uzyskał to, że zapytano także Vianneya.

Wobec egzaminatorów Jan-Maria stracił głowę. Jego odpowiedzi były na tyle niedostateczne, że wikariusz generalny, ksiądz Bochar, przewodniczący komisji egzaminacyjnej, oświadczył, kręcąc głową: — Niestety, nie możemy nic dla pana zrobić. Nie możemy pana przyjąć. Jednakże obiecujemy poprzeć pańską sprawę w innej diecezji.

Pomimo wszystko ksiądz Balley nie załamał się. Poszedł do księdza kanclerza Kurii Arcybiskupiej, księdza Groboza, i poprosił o interwencję. Ksiądz kanclerz uzyskał tyle u księdza Bochara, żeby udał się na plebanię w Lcully i tam jeszcze raz przepytał nieszczęsnego kandydata. W swoim środowisku Jan-Maria odzyskał pewność siebie i odpowiedział dosyć dobrze. — To rzeczywiście ciekawe — zauważył wikariusz generalny — dzisiaj jestem zadowolony z pańskiej odpowiedzi. Ale sam nie mogę podjąć decyzji. Ostatnie słowo należy do księdza Courbona.

W towarzystwie księdza Balleya poszedł do księdza wikariusza generalnego, który pod nieobecność kardynała Fescha zarządzał diecezją, i przedstawił mu przypadek. Kiedy proboszcz z Ecully wydał opinię o uczniu, starzec przez jakiś czas milczał. Następnie przyjrzał się uważnie księdzu, którego mądrość i prawość znał dobrze, i zapytał: — Czy Vianney jest pobożny? Czy kocha Matkę Najświętszą? Czy odmawia różaniec? — Tak. To jest wzór pobożności — odrzekł bez wahania ksiądz Balley. — Wzór pobożności — powtórzył przedstawiciel arcybiskupa. — Tego przede wszystkim potrzebuje dzisiaj Francja. Dobrze. Przyjmuję go. Łaska Boża dokona reszty. — Dziękuję księdzu z całego serca — odrzekł proboszcz z Ecully, kłaniając się z wielkim szacunkiem wikariuszowi generalnemu.

## **KU SZCZYTOM (1814-1815)**

Rankiem 2 lipca 1814 roku przy jednym ze stolików ustawionych przez oberżystę spod *Trzech Delfinów* na wolnym powietrzu, siedział adwokat Bartou i patrzył ponuro na przejeżdżający przez plac Croix-Paquet szwadron austriackiej kawalerii. — Nie chce się żyć — mruknął w stronę innego konsumenta, dziennikarza Candelle. — Żółć się w człowieku przewraca na widok tych cudzoziemców, dumnie rozpieszczających się na koniach.

Całe szczęście, że mamy jeszcze dobre wino, które potrafi uczynić życie znośniejszym. — Oby tylko wrócił Napoleon — szepnął Candelle, przysuwając się. — Ludzie są przekonani, że zwieje im z Elby. — Niestety! Za dużo się u nas gada. Czy będzie

to cesarz, król czy republika, zawsze ta sama bieda. Dziwię się, że komuś chce się śmiać jeszcze.

Nagle obydwaj nadstawili uszu, gdyż dał się słyszeć jakiś dziwny śpiew, który dochodził z jednej z przyległych ulic. To grupa seminarzystów po otrzymaniu w katedrze subdiakonatu z rąk biskupa Simona, ordynariusza z Grenoble, ze śpiewem wracała do seminarium. — Wszystko na nic — przerwał adwokat. — Tak, wszystko na nic: Voltaire, Rousseau, gilotyna... Księża są zawsze i swoje *oremus* śpiewają nawet na środku ulicy.

Orszak nowo wyświęconych przedefilował obok stolików oberży. Bartou przypatrywał się młodzieńcom, których oczy iskrzyły niewypowiedzianą radością. Wśród wybrańców Pańskich znajdował się również dawny chłop z Dardilly. Jego ascetyczna twarz, naznaczona wyrzeczeniami i umartwieniami, promieniała szczęściem.

Podwoje seminarium św. Ireneusza otwarty się przed nowo wyświęconymi subdiakonami. Ksiądz Balley pochwycił w ramiona swego ucznia. Następnie podeszły Katarzyna i Małgorzata, by złożyć mu życzenia w imieniu całej rodziny. Na koniec zbliżyli się seminaryjni przyjaciele: Marcelin Champagnat, od paru miesięcy również już subdiakon, Klaudiusz Colin, Declas i Duplay. Radość ich była ogromna, że wreszcie ich przyjaciel osiągnął cel upragniony.

Duplay wyraził się nieco później do jednego z kolegów: — Vianney był bardzo słabym uczniem, a może nawet ostatnim spośród alumnów seminarium św. Ireneusza, lecz przyjdzie czas, gdy bardziej niż wszyscy inni zasłuży sobie na tytuł proroka Najwyższego. W jego oczach widać blask Ducha Świętego.

Dla lionńskiego seminarium nadeszły dni ciężkie i pełne niepewności. Napoleon, po ucieczce z Elby, 1 marca 1815 roku stanął na ziemi francuskiej. Wysłane na powstrzymanie jego pochodu oddziały przeszły na jego stronę. W Lyonie gorączkowo zbrojono się przeciw niemu, budowano barykady, wytaczano na szańce działa, a miasto roiło się od żołnierzy. Wieczorem 10 marca Napoleon bez jednego wystrzału wszedł do miasta nad Rodanem. Grenadierzy, którzy niegdyś walczyli pod jego rozkazami, zamiast go powstrzymać, przyjęli go owacyjnie. W mgnieniu oka znikły barykady, a cesarz, który odbywał podróż w odkrytej kolasie, został w triumfalnym pochodzie odprowadzony do biskupiego pałacu, gdzie stanął kwaterą.

Także wśród seminarzystów byli tacy, którzy sercem stali przy wielkim zdobywcy. Wkrótce miano się przekonać, że uczucia lionczyków były wrogo nastawione nie tylko przeciwko Burbonom, lecz także przeciwko duchowieństwu, które uważano za szczególnie oddane monarchii. Wszędzie było słychać okrzyki: Niech żyje cesarz! Precz z Burbonami! Precz ze szlachtą! Precz z księżmi! Gwałtowne manifestacje odbyły się przed gmachem seminaryjnym. W każdej chwili można się było spodziewać szturm na seminarium. Kiedy zaś klerycy udawali się do katedry lub przechodzili ulicą, towarzyszyły im obelgi i szydercze śmiechy.

Arcybiskup Lyonu, kardynał Fesch, powrócił z Rzymu, gdzie papież udzielił mu był schronienia. Odprawił uroczyste pontyfikalne nabożeństwo na podziękowanie Bogu za powrót swojego cesarskiego siostrzeńca. Lecz stan umysłów niektórych seminarzystów był do tego stopnia podekscytowany, że nie przyklękli oni, gdy książę Kościoła udzielał błogosławieństwa.

Przypomniano, że kardynał należał ongiś do księży zaprzysiężonych. Stąd wielu odmawiało mu szacunku, należnego rządcy diecezji. Przywrócone cesarstwo trwało sto dni. Napoleon po raz drugi musiał opuścić Francję i pójść na wygnanie na wyspę św. Heleny. Kardynał Fesch znowu uciekł do Rzymu, gdzie papież przyjął go życzliwie.

— Papież powinien kazać go uwięzić w zamku Anioła — mówiono z gniewem w seminarium świętego Ireneusza. Wielu nie mogło znieść tego, że Pius VII w swojej szlachetności nie pozbawił go arcybiskupstwa, tak, że kardynał nadal rządził diecezją poprzez swoich wikariuszy generalnych.

Jan-Maria, którego razity polityczne dysputy między przyszłymi kapłanami, był szczęśliwy, że pozwolono mu odbywać dalsze studia na plebanii w Ecully, 23 czerwca 1815 roku został w katedrze lionńskiej przez biskupa Simona z Grenoble wyświęcony na diakona. Razem z nim otrzymali diakonat Marcelin Champagnat, przyszły założyciel Małych Braci Maryi, i Klaudiusz Colin, który miał założyć zgromadzenie Marystów.

W pierwszych dniach sierpnia po raz drugi Vianney zdawał egzamin przed wikariuszem generalnym, księdzem Bocharde, na plebanii w Ecully. I tym razem egzaminator był zadowolony z jego odpowiedzi. Rządca zaś diecezji, ksiądz Courbon, wystawił mu *Litterae testimoniales* i posłał do Grenoble, by tam z rąk biskupa Simona otrzymał święcenia kapłańskie. Postanowiono, bowiem ze względu na wiek wyświęcić go na kapłana przed ukończeniem studiów teologicznych.

Jan-Maria, odprawivszy rekolekcje, samotnie wyruszył w drogę do Grenoble. Ze względu na żniwa i winobranie, które zatrudniały wszystkich dostępnych robotników, nikt z rodziny nie mógł mu towarzyszyć. Tylko siostra Małgorzata przyniosła mu do Lyonu uszytą przez siebie albę, którą zabrał ze sobą i niósł w torbie razem z buteleczką wina mszalnego, które mu posłał ojciec z własnej winnicy. Pomimo wszystko przyszły kapłan był zadowolony z tej samotności, która pozwalała mu w czasie prawie stukilometrowej drogi trwać myślą i sercem przy Bogu.

W owych czasach na drogach Delfinatu pełno było wszelkiego rodzaju podróżnych. Spotykał wśród nich również włóczęgów, przemytników i rozbójników. W pewnym momencie zagrodzili mu drogę żołnierze austriaccy, żądając dokumentów. Pytali, skąd i dokąd idzie. W końcu pozwolili mu odejść wśród śmiechów.

Im bardziej zbliżał się do Grenoble, tym bardziej droga stawała się górzysta, a przed roziskrzonym wzrokiem coraz więcej jawiło się okrytych śniegiem alpejskich szczytów, niczym symbolu i celu jego podróży. W końcu Jan-Maria przekroczył bramę miasta. Zanim pozwolono mu wejść, kilka razy pytano o papiery.

W sobotę wieczorem, 12 sierpnia, doszedł do celu. Brama seminarium otworzyła się przed nim. Nazajutrz rano osobisty sekretarz przypomniał biskupowi, że w kaplicy seminaryjnej ma udzielić święceń kapłańskich jednemu diakonowi.

— Jest tylko jeden, jedyny diakon, Ekscelencjo. Jakieś spóźnione powołanie z liońskiej diecezji. Biskup Simon odpowiedział: — Tak, wiem o tym. Lecz wierz mi, drogi przyjacielu, opłaca się podjąć trud święcenia nawet jednego dobrego kapłana.

Żarliwość ordynanda głęboko wzruszyła seminarzystów, którzy asystowali przy święceniach. Na pewno musiał być świętym ten, który z takim zapałem wypowiadał swoje *adsum*, jakby chciał w tym jednym słowie zamknąć całe swoje pragnienie kapłaństwa.

Następnego dnia rano w tej samej kaplicy odprawił pierwszą Mszę świętą. Na jego słowo Pan wszechświata zstąpił pod postać hostii wypieczonej z pszenicy wyrosłej na polach Dardilly i pod postać wina pochodzącego z ojcowskiej winnicy. Dwaj kapelani austriaccy celebrowali równocześnie przy bocznych ołtarzach. Po Mszy świętej podeszli do neoprezbitera, by złożyć mu życzenia i otrzymać prymicyjne błogosławieństwo.

W Grenoble Jan-Maria zabawił jeszcze jeden dzień, który był świętem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Potem z radosnym sercem wyruszył w drogę powrotną. Jego dusza śpiewała *Magnificat*, kantyk wybranych, którzy noszą w sobie Zbawiciela świata.

W Ecully stary proboszcz padł swemu uczniowi do nóg, prosząc o błogosławieństwo. Potem zaprowadził go do ołtarza. Ogromna radość zapanowała w domu w Dardilly, kiedy doń wszedł nowo wyświęcony kapłan, który przybył, by odprawić swoją pierwszą Mszę świętą w rodzinnej wiosce. Bracia i siostry mieli łzy w oczach.

Zbiegli się również sąsiedzi, żeby go powitać, dawni towarzysze zabaw z czasów, gdy pasał owce. Przyszedł także poczciwy pan Vincent z córką Marysią, która w dziecinnej naiwności powiedziała mu kiedyś, że chciałaby wyjść za niego za męża. Była już mężatką. Śmiejąc się przedstawiła mu pierwsze swoje dziecko i poprosiła, aby je pobłogosławił.

— Janku — rzekł ojciec — mówiłem ci nieraz słowa twarde, ponieważ patrzyłem na twoje pragnienie zostania księdzem jak na szaleństwo. Dzisiaj wiem, że matka miała słuszność. Ona nigdy, nawet na moment, nie zwątpiła w twoje powołanie. — Tak, moja matka — wyjąkał drżącym ze wzruszenia głosem Jan-Maria.

Dzwony dzwoniły uroczyście, gdy nowo wyświęcony kapłan wkraczał do kościoła, by odprawić prymicyjną Mszę świętą. Kościół był wypełniony do ostatniego miejsca. We wsi wszyscy wiedzieli, kosztem jak wielkich ofiar Jan-Maria doszedł do kapłaństwa. Pod koniec Mszy głęboko wzruszeni przyklękli wszyscy, by otrzymać jego błogosławieństwo. Dawny jakobin, stary domokrażca też ukląkł przed nim.

— Był dopiero czteroletnim szkrabem, gdy ja, Andrzej Leloux, sprzedałem mu figurkę Matki Bożej — mówił z dumą do tych, którzy zechcieli go słuchać. — To od tego

czasu zaczął okazywać tak wielką pobożność. — Której wówczas panu brakowało — wtrącił z przekąsem Vincent.

Bezpośrednio po odprawionych obrzędach w kościele neoprezbiter udał się na cmentarz, gdzie przez dłuższą chwilę trwał w milczeniu nad skromną mogiłą. Następnie wznosił rękę i także swojej matce udzielił prymicyjnego błogosławieństwa.

Wszędzie dopytywano się niecierpliwie, gdzie zostanie przydzielony ten młody kapłan. Oczywiście, jego przyjaciele z Noes, gdzie Vianney przeżył przykre miesiące wygnania, spodziewali się, że przyjdzie do nich na proboszcza. Nawet Ludwik Fayot, teraz już dorosły kawaler, przyszedł osobiście do Dardilly, by przypomnieć kuzynowi» daną obietnicę.

Jednakże wikariusz generalny zdecydował inaczej. Ksiądz Vianney miał pozostać jeszcze jakiś czas u swego dawnego nauczyciela, księdza Balleya. Został, więc mianowany wikariuszem w Ecully. Wielka była radość krewnych i wszystkich dobrych ludzi z sąsiedztwa, kiedy się o tym dowiedzieli.

— Przychodził, bywało, do mnie szukać rady i pociechy, gdy nie mógł sobie poradzić z czasownikami nieregularnymi — powtarzała z dumą wdowa Bibost. — Ja także prądam zawsze jego bieliznę. A teraz on jest księdzem...

— Mamo — dodawała córka Kolumbina — czy przypominasz sobie, jak on nas zawsze budował swoją pobożnością, gdy był jeszcze uczniem? Jakaż ona będzie teraz, gdy został naszym duszpasterzem! — Teraz mamy dwóch świętych kapłanów we wsi — stwierdziła wdowa, ocierając łzy, które potoczyły się jej po policzkach.

## **NOWY WIKARY (1815-1818)**

W szkole w Ecully siedziały w ławkach dzieci, przygotowujące się pod kierunkiem nowego wikarego, księdza Jana Vianneya, do przystąpienia z okazji Bożego Narodzenia po raz pierwszy do sakramentu pokuty. Ksiądz opowiadał im o dniu, w którym on sam — a było to w czasach Terroru — spowiadał się po raz pierwszy. — Nigdy nie zapomnę tej chwili. Odkryło się to u nas w domu, w pokoju, pod starym zegarem.

Ach! Jak ten młody ksiądz umiał opowiadać! Dzieci słuchały go z zapartym tchem. Potem przypomniał im dawne opowiadanie, przypowieść o synu marnotrawnym. Młodociani słuchacze po prostu widzieli, jak młody chłopak z kieszeniami pełnymi złotych i srebrnych monet opuszczał dom ojcowski. Oczywiście, wyjeżdżał do miasta, do miasta pełnego muzyki i świateł. Ale niestety, złote monety rozeszły się jedna po drugiej. Srebrne zrobiły to samo, i w końcu...?

... W końcu — opowiadał dalej ksiądz wikary — młody marnotrawca znalazł się w świńskim chlewie. Najął się, bowiem do pracy u pewnego skąpego i surowego pana, gdyż zaczął cierpieć głód. Czy wy, moje dzieci, wiecie, co to jest głód?... Mały Bernas przytaknął, że wie, i dyskretnie wyciągnął spod ławki skibkę chleba z masłem, która na

pewno mogła go uchronić przed głodem. —... I podczas gdy świny jadały do syta, ich pastuch dostawał za ledwie nędzną kromkę chleba...

— ... A poza tym, moje dzieci, zaczęła go zżerać tęsknota za krajem. Tęsknota, która tak wiele cierpień zadaje i gorzkim czyni obcy chleb, choćby go nawet podawała miłosierna ręka... — Tu Jan-Maria zrobił małą przerwę. Pomyślał o tych przykrych latach, kiedy to on sam żył z dala od rodzinnego domu.

— A potem... — dopytywał się mały Piotruś, wierząc się w ławce. Ponieważ ksiądz ociągał się z dalszym opowiadaniem, podszedł do katedry, za nim zaś mała Elżbietka, potem jeszcze trzecie i czwarte dziecko.

— ... Ach! — mówił marnotrawca w swojej udręce. — Ostatni parobek w domu mego ojca ma lepsze życie niż ja. Melancholijnie patrzył na pokrywające jego wychudłe ciało łachmany. W nocy, gdy leżał w chlewie na mierzwie, głód nie dawał mu zasnąć: głód duszy i ciała. Widział przed sobą twarz dobrego ojca, który na pewno wyczekiwał go w domu z dnia na dzień, z godziny na godzinę...

— A wtedy co? — zawołał gruby Bernaś, który tym czasem odłożył nawet chleb z masłem i także podszedł do katedry. Całe audytorium, podobne do roju pszczoł, obsiadło księdza wikarego. Kilku bardziej odważnych malców wdrapało się na stopnie katedry, a Piotruś nawet oparł się ręką o ramię księdza Vianneya. —... A wtedy?...

— ... Wtedy młody człowiek powiedział do siebie: Ojcze, zgrzeszyłem przeciw niebu i przeciw tobie. Już nie jestem godzien nazywać się twoim synem. Przyjmij mnie choćby, jako ostatniego z parobków... — Chwała Bogu! — westchnęła z ulgą Elżbietka.... A ojciec? — ... Ojciec zobaczył go z daleka. Wybiegł na spotkanie. Chwyił w ramiona i mocno przycisnął do serca... Synu — zawołał..., kiedy syn marnotrawny wyznał swoje winy — zapomnij o wszystkim! Pomyślmy o tym, jak się zabawieć.

Przynieście — powiedział do sług — najpiękniejsze ubranie i ubierzcie go. Włóżcie mu pierścień na palec i sandały na nogi. Zabijcie utuczone cielę i weselcie się, bo syn mój był umarty, a oto ożył, był zaginął, a oto odnalazł się... Moje dzieci, tak Pan Bóg się cieszy, gdy grzesznik wyzna swe winy na dobrej spowiedzi.

Drzwi sali otworzyły się i weszło do niej trzech duchownych: proboszcz z Ecully, wikariusz generalny, ksiądz Bochart, i administrator diecezji, ksiądz Courbon. Ze zdumieniem patrzyli na grupkę dzieci otaczających katedrę. Lecz ksiądz wikary i dzieci tak byli zajęci opowiadaniem i słuchaniem, że nie zauważyli przybycia nowych słuchaczy.

—... Tak, moje dzieci — ciągnął dalej katecheta — tak postępuje Zbawiciel z nami. Oczyszcza w zbawczej łaźni pokuty ze wszystkich brudów, jakimi zbrukaliśmy się na złych drogach. Przyodziewa nas na nowo w szatę łaski. Przygotowuje nam ucztę w Komunii świętej i zwołuje swoich muzykantów. Albowiem, kiedy grzesznik nawraca się i pokutuje, aniołowie niebiescy śpiewają i grają na dźwięcznych instrumentach. Tu ksiądz wikary umilkł. Dzieci też milczały, pogrążone w myślach.

W końcu chłopak, który oparł się o ramię księdza Vianneya, zauważył: Ksiądz bardzo pięknie umie opowiadać. Ale ksiądz nie może spowiadać. Mówiła o tym mamusia i tatuś także mówił... — Bądź cicho — zgromiła go o rok starsza jego siostra Małgosia, zatykając mu buzię. — Co twój tatuś powiedział? — zapytał roztargniony ksiądz wikary. — Powiedział, że ksiądz jest za głupi, żeby spowiadać. — Niech ksiądz go nie słucha. Plecie głupstwa — przerwała mu zaraz siostra, gdy tymczasem ksiądz wikary opuścił ze smutkiem głowę i ukrył twarz w dłoniach. — Piotruś jest bezczelny!... Powiedziała Małgosia

— Tak, Piotruś, twój ojciec ma rację — odrzekł ksiądz Vianney, podnosząc głowę. — Spowiednik musi być zdolny i uczony, a ja zawsze byłem ostatnim w seminarium. Ostatni i najgłupszy. — Niech ksiądz tak nie mówi — rzekł gruby Bernaś, chcąc go pocieszyć. — Mój tatuś zawsze powtarza, że najgłupszy są gospodarze, którzy zbierają największe ziemniaki. '

— Myślę, że tym księdza rzeczywiście pocieszył — padł nagle głos księdza Courbona. Dzieci rozpierzchły się jak stado wróbli i pobiegły na swoje miejsca w ławkach. Ksiądz zaś wikary wstał zmieszany i spiesznie powiedział: — Proszę mi wybaczyć. Nie zauważyłem księdza. — Tak jest, bo ksiądz był tak bardzo zaabsorbowany tym pięknym opowiadaniem. Ale, niech no mi ksiądz powie, dlaczego w czasie lekcji dzieci nie siedzą na swoich miejscach?

— Tego także nie zauważyłem — wyjąkał ksiądz Vianney. — Jakoś tak nagle znalazły się wokół katedry... Nie wiem, jak się to stało... — To ujemnie wpływa na porządek — dodał wikariusz generalny, kręcąc głową. — O porządek proszę się nie niepokoić — szepnął mu do ucha ksiądz Balley. — Mój wikary jest dla dzieci prawdziwym czarodziejem. Urzeka je po prostu.

— Ma ksiądz rację — podjął znowu ksiądz Courbon. — Najlepszym nauczycielem jest miłość. Moje dzieci — dodał, zwracając się do klasy, która znieruchomiła w pełnej szacunku postawie — od dzisiaj wasz ksiądz wikary będzie mógł słuchać spowiedzi. Daję mu władzę. — Dziękuję księdzu, księżu wikariuszu generalny — wyjąkał Vianney, rumieniąc się z radości.

— Ja się będę u księdza spowiadać — zawołała żywo mała Elżbietka. — Ja też, ja też... — wołano ze wszystkich stron. — Teraz jest wszystko w porządku — zawyrokował z zadowoloną miną Piotruś. Gruby zaś Bernaś zachował niezmałony spokój i dojadł kromkę chleba z masłem. On pierwszy odnalazł drogę na ziemię.

Na plebanii ksiądz Courbon wręczył księdzu Vianneyowi dokument upoważniający go do słuchania spowiedzi. Nie otrzymał go dotychczas ze względu na słaby wynik egzaminów, lecz ksiądz Balley, który go w dalszym ciągu pilnie douczał, interweniował w sprawie otrzymania tej władzy. — Ma ksiądz duży wpływ na młode serca, księżu — rzekł po chwili wikariusz generalny. — Niech ksiądz wykorzystuje go na większą chwałę Bożą.

Zaledwie goście zasiedli do stołu, rozegrała się ciekawa scena. Ktoś zadzwonił do drzwi wejściowych i po chwili, mimo protestów gospodyni, wtargnęła do pokoju kobieta w stroju wieśniaczym z okolic Forez. — Pani Fayot! — zawołał ksiądz Vianney, wstając od stołu. — Tak, to on — zawołała kobieta i nie krępując się obecnością dostojnych gości, chwyciła w ramiona swego dawnego podopiecznego i ucałowała go głośno w oba policzki. — No, no! — zawołał zaskoczony tym wikariusz generalny.

Gdy Jan-Maria zaczerwienił się jak burak, nie wiedząc gdzie się podziać, ksiądz Balley powiedział ze śmiechem: — To pocziwa wieśniaczka z Noes, która przygarnęła mego wikarego i opiekowała się nim jak matka w trudnych okolicznościach.

— A zatem jestem pani winien moją najwyższą wdzięczność — rzekł ksiądz Courbon. — Uratowała pani dobrego i pobożnego kapłana. — Siadajcie z nami do stołu — zaprosił ksiądz Balley. Lecz pani Fayot energicznie zaprotestowała. — Chciałam tylko zobaczyć, jak się miewa nasz nowy księżulo. Mam żal, że nie odprawił u nas Mszy prymicyjnej. A myśmy się tak cieszyli. Zjem jednak coś w kuchni, jeżeli gospodyni raczy mi coś podać, bo wygląda na herod-babę.

«Herod-baba» mile przyjęła panią Fayot i opowiedziała jej, jak bardzo cała wioska polubiła nowego wikarego. -r- A jak on mówi kazania? — Cudownie! Nie używa wielkich słów. Mówi prosto jak dziecko. Ale za to nikt nie śpi na jego kazaniach. Każde jego słowo trafia prosto do serca.

Jeszcze tego samego wieczora ksiądz Vianney po raz pierwszy skorzystał z władzy słuchania spowiedzi. Ksiądz proboszcz klęknął przed nim i pokornie poprosił o spowiedź. Odtąd proboszcz spowiadał się zawsze u swego wikarego, zaś ksiądz Vianney był głęboko wzruszony świętością swego penitenta.

Nie tylko dzieci chodziły do księdza Vianneya do spowiedzi. Starszych też coś do niego pociągało, chociaż obok całej dobroci okazywał także surowość. Niejeden penitent, przystąpiwszy nieprzygotowany do konfesjonału, to znaczy bez żalu i zdecydowanego postanowienia unikania nie tylko grzechu, lecz także niebezpiecznej do grzechu okazji, odchodził bez rozgrzeszenia. Pomimo to jednak unosił ze sobą poważne i ojcowskie słowa, które pomagały mu lepiej się przygotować i przyjść po raz drugi, by w pełni pojednać się z Bogiem.

Nieraz w sobotę, gdy ksiądz wikary wieczorem opuszczał kościół, był zupełnie wyczerpany. W milczeniu siadał do stołu, lecz prawie nie tykał podanych potraw. Ksiądz Balley, który czytał w jego duszy, mawiał wtedy ze słodyczą: — Jest sposób, by najbardziej zatwardziałego grzesznika nakłonić do poprawy. Trzeba za niego pokutować.

Vianney coś niecoś wiedział o tym sposobie pokutowania za grzeszników, praktykowanym przez proboszcza. Wiedział, że ksiądz Balley wyrzeka się pokarmu i napoju i żyje bardziej ubogo niż kartuz. Wiedział też, że ten dobry ksiądz nosi włosiennicę i idąc za przykładem wielu świętych, nie waha się biczować.



Poruszony do głębi tą gorliwością o zbawienie dusz, wikary udał się do pani Bibost z prośbą o ostrą włosiennicę, zobowiązując ją do zachowania jak najściślejszej tajemnicy w tym względzie. Pocziwa kobieta, przerażona, z płaczem odmówiła spełnienia prośby. Ponieważ zaś Jan-Maria Vianney mocno nalegał, zgodziła się w końcu, ciężko wzdychając.

Zdarzało się, że ksiądz wikary mówił do penitenta, który zdecydowanie okazywał brak dobrej woli: — Brak ci prawdziwie serdecznego żalu, dlatego nie mogę ci dzisiaj udzielić rozgrzeszenia. Przyjdź w najbliższą sobotę. Do tej pory zdołasz się dobrze przygotować.

Wieczorem tego dnia ksiądz Vianney padał krzyżem przed tabernakulum, płakał i modlił się za źle przygotowanego penitenta. Potem wracał na plebanię i do krwi się biczował. W najbliższą sobotę przeżywał radość z prawdziwego nawrócenia.

Obaj księża byli złączeni cudownym wprost braterstwem serc. Wspólnie odmawiali brewiarz, wspólnie odwiedzali chorych, a także wspólnie odbywali krótkie przechadzki, w czasie, których ksiądz wikary często prosił swego proboszcza o radę w trudnych sprawach duszpasterskich. Ksiądz Balley stwierdzał, bez cienia jednak zazdrości, wzrastającą w parafii popularność młodego księdza. Kiedy widział, że jego konfesjonał jest coraz mniej uczęszczany, a przeciwnie, konfesjonał księdza wikarego jest oblegany przez coraz liczniejszą rzeszę penitentów, z całą szczerością powtarzał słowa Poprzednika Chrystusowego: *<On ma wzrastać, a ja się umniejszać?>*. Liczył wtedy sześćdziesiąt trzy lata. Czuł, że siły coraz bardziej go opuszczają. Był jednak szczęśliwy, że ma tak cennego pomocnika.

Ciężar lat oraz trudne przeżycia z okresu Terroru coraz bardziej dawały znać o sobie. Pomimo to nie przestawał za parafię modlić się i pokutować. Podobnie jak ksiądz Vianney, on także się umartwiał, tak, że pocziwa kucharka była wprost zrozpaczona, gdy ten sam kawałek pieczeni pojawiał się stale na stole, aż szerniał. Często żaliła się przed wdową Bibost, która z kolei pocieszała ją mówiąc: — Jest pani na usługach dwóch świętych, i na to pani nic nie poradzi. Żyją oni bardziej łaską Bożą niż twoim jadłem. — W takim razie powinni wziąć sobie anioła do pro wadzenia gospodarstwa! — wzdychała pocziwa kobieta.

Obaj księża wyprzedzali się także w pełnieniu uczynków miłosierdzia. Pobory proboszcza były tak skromne, że nie wystarczyłyby na utrzymanie domu, gdyby parafianie po kryjomu nie dostarczali kucharce różnych wiktuałów. Gdy jednak ksiądz proboszcz dojrzał jakieś zapasy w spiżarni, zaraz rozdawał je ubogim. Ksiądz zaś wikary rozdawał całą swoją pensję, do ostatniego grosza. Pozbywał się nawet bielizny i ubrania.

Pewnego dnia ksiądz Balley dojrzawszy wystające spod sutanny postrzępione nogawki spodni księdza wikarego, udał się do Lyonu, gdzie miał kilku bardzo ofiarnych przyjaciół. Było to w Adwencie. Na Boże Narodzenie zdumionemu księdzu Vianneyowi sprezentował nowe spodnie: — To jest podarunek do mego starego przyjaciela, pana

Jaricot, fabrykanta jedwabi w Lyonie — rzekł uśmiechając się. — Po Nowym Roku musisz koniecznie pójść i osobiście mu podziękować.

Ksiądz Jan-Maria przyjął podarunek z oporami, schował do szafy i w dalszym ciągu chodził w swoich postrzępionych spodniach. O wiele bardziej był zadowolony z włosienicy, którą mu przyniosła Kolumbina Bibost od matki. Włożył ją zaraz i robił wrażenie, jakby się w niej czuł doskonale.

W kilka tygodni po Nowym Roku ksiądz Balley przypomniał wikaremu, że ma pójść do Lyonu i podziękować swemu dobroczyńcy. — A przede wszystkim nie zapomnij ubrać nowych spodni — nalegał. Ksiądz Vianney z ciężkim sercem posłuchał i mimo mrozu i śniegu udał się do miasta nad Rodanem. Pan Jaricot przyjął go niezwykle serdecznie i mając tego dnia paru zaproszonych gości, po prostu zniewolił młodego księdza do zajęcia miejsca przy stole.

Ksiądz wikary usiadł obok córki fabrykanta, Pauliny Jaricot. Młoda dziewczyna z zapałem opowiadała o swojej podróży do Rzymu. Z początku Vianney słuchał jej z roztargnieniem, lecz gdy zaczęła opowiadać o wykopaliskach prowadzonych w katakumbach, zapomniał o swojej nieśmiałości i bardzo się nimi zainteresował. Ostatnio w katakumbach świętej Pryscylli odkryto grób młodej dziewczyny, prawdopodobnie zmarłej za wiarę. Wskazują na to palma i strzała, wyrte na kamiennej płycie. Całe Wieczne Miasto czci ją, jako świętą. — A jak się ona nazywa? — zapytał kapłan. — Na płycie nagrobkowej są wypisane słowa: *Filomena, pax tecum*.

— Filomena — powtórzył zamyślony ksiądz Vianney. Wracając do Ecully, bez przerwy powtarzał imię młodej dziewicy, które, jak mu się zdawało, rozpałało w jego sercu jakieś szczególne światło. W pewnej chwili na drodze został zaczepiony przez trzęsącego się z zimna żebraka w łachmanach. Ksiądz wikary na próżno szukał grosza w kieszeni.

— Nic ci dać nie mogę, mój przyjacielu — rzekł zawstydzony. — Ksiądz ma ciepłe ubranie, a ja umieram z zimna — jęczał starzec. — Przecież nie oddam ci sutanny — westchnął kapłan. — Nagle promyk radości przemknął po wychudłej jego twarzy. Moje spodnie. Tak jest, mogę się z tobą zamienić na spodnie. — Zechce ksiądz?

— Tak jest. Odejdźmy trochę na bok, w krzaki. Zamiana doszła do skutku, i dziad odszedł bardzo zadowolony. — No, jak tam te twoje nowe spodnie? — zapytał ksiądz Balley. Lecz aż pociemniało mu w oczach, gdy dostrzegł wystające spod sutanny postrzępione nogawki. — Spodnie? Podarowałem je ubogiemu. Był tak bardzo obdarty. Ja pod sutanną mogę z powodzeniem nosić moje stare spodnie. I tak nikt ich nie będzie widział. Pani Bibost chętnie mi je naprawi. — Rzeczywiście jesteś niepoprawny — stwierdził ksiądz proboszcz.

Kiedy ksiądz Vianney odmawiał wieczorne modlitwy, po raz pierwszy w życiu tego dnia polecił się opiece małej męczenniczki. O, jakże bardzo potrzebował pomoc tej świętej! W krótkim, bowiem czasie miał doświadczyć na sobie złowrogiej mocy piekła i

namacalnej wprost obecności szatana. W konfesjonale otwierały się przed nim przepastne czeluście grzechów, wad i nałogów, nawet niepodjętych.

Z przerażeniem odczuł, jak z głębi ciemności wynurzała się diabelska ręka i chciała go pochwycić za serce. Sny miał pełne strasznych zjaw, które wstrząsały nim do głębi. Z tego wewnętrznego zamieszania zwierzył się księdzu proboszczowi, który był jego spowiednikiem. — Codziennie polecaj się Matce Bożej, a będziesz miał święty spokój.

Na skutek tego Jan-Maria uczynił ślub, że odtąd codziennie będzie odmawiał *Regina coeli* i po każdej godzinie kanonicznej dodawał następujące wezwanie: **«Niech będzie pochwalone święte i niepokalane poczęcie Dziewicy i Matki Bożej. Na wieki wieków. Amen»**. Od tej chwili został uwolniony od wszelkich pokus przeciwko czystości, jak w wiele lat później zwierzył się z tego jednemu z księży przyjaciół.

Obaj księża z Ecully prześcigali się w uczynkach pokutnych, a mimo to napominali się wzajemnie, zachęcając do większego umiarkowania. — Jesteś za młody, żeby się umartwiać — mawiał proboszcz. — Właśnie, dlatego, że jestem młody i silny, wiem, na co mogę sobie pozwolić — odpowiadał wikary, — ale ksiądz proboszcz, ze względu na swój wiek, powinien się oszczędzać.

Pewnego dnia ksiądz Balley oznajmił wikaremu, że koniecznie musi udać się do Lyonu. — W takim razie dobrze się składa, bo i ja tam iść muszę. Mogę, więc księdzu towarzyszyć. — Co tam masz do załatwienia? — Chciałbym wpaść do księgarza Ruzanda. — A więc, dobrze. Pójdziemy razem. Sąsiednia wioska niedaleko, gdyby trzeba było księdza do chorego.

Podczas gdy ksiądz Vianney, przybywszy do Lyonu, udał się do księgarza, ksiądz Balley zapukał do drzwi rządcy diecezji, księdza Courbon. — Chciałbym z księdzem porozmawiać o moim wikarym. Przecenia swoje siły i rujnuje zdrowie przesadnymi umartwieniami. Gdyby przy okazji zechciał ksiądz o tym napomknąć... — Ależ oczywiście. Czy to jest jedyna skarga księdza? — Tak, jedyna. Pod każdym innym względem nie życzę nikomu lepszego wikarego.

Gdy proboszcz opuszczał kurię, w drzwiach spotkał księdza wikarego. — Co tu masz do załatwienia? — zapytał zaskoczony ksiądz Balley. — Nic ważnego — odpowiedział wikary. — Jeśli ksiądz proboszcz będzie łaskaw chwilkę zaczekać, możemy wracać do domu razem. — Co tu księdza sprowadza? — zapytał wikariusz generalny, odrywając wzrok od leżącej przed nim teczki z aktami.

— Chciałbym coś powiedzieć o moim proboszczu. Rujnuje zdrowie przesadnymi umartwieniami. Koniec końców, jest to przecież starzec, który nie może się już biczować ani nosić włosiennicy. — Aha, aha! A poza tym nie ma ksiądz żadnej innej skargi na niego? — Żadnej. Poza tym jest to najlepszy proboszcz na świecie.

— Dobrze, powiem mu to przy okazji — odrzekł ksiądz Courbon, z trudem powstrzymując się od śmiechu. — Ale proszę sobie wyobrazić, że ksiądz proboszcz tak samo sformułował skargę na księdza. — Na mnie? — zachnął się ksiądz Vianney. — To

nie słusznie. Zupełnie niesłusznie. — Proszę, więc oszczędzać siły, a księdzu proboszczowi powiedzieć, by czynił to samo.

Obaj duchowni szli jakiś czas w milczeniu. Po pewnym jednak czasie proboszcz zapytał: — Czego chciałeś w kurii? — Ot, drobnostka, nie ma, o czym gadać. Mam tylko księdzu proboszczowi powiedzieć, że na przyszłość ma się więcej oszczędzać, aby przez zbytnią surowość względem siebie nie rujnował zdrowia.

— Czuję, żeś na mnie naskarżył — zauważył ksiądz Balley nieufnie. — Ależ nic podobnego! Ksiądz Courbon oświadczył mi, że nie powiedziałem nic nowego. Powtórzyłem tylko to, co ksiądz proboszcz powiedział. Czyżby ksiądz proboszcz skarżył się na mnie? — Jesteś niemożliwy — mruknął proboszcz. Równocześnie ujął wikarego za rękę i uściskał ją mocno.

Minęły prawie dwa lata. W lutym 1817 roku wrzód na nodze przykuł proboszcza do łóżka. Od tego czasu wikary sam dźwigał ciężar pracy duszpasterskiej. Zawsze jednak znajdował czas, by przyjść i odwiedzić chorego, pocieszyć go i podnieść na duchu.

Miesiące mijały, a poprawa nie następowała. W końcu wywiązała się gangrena. Nastąpiło zakażenie krwi. W Adwencie lekarz stracił wszelką nadzieję na wyzdrowienie chorego. Ksiądz Vianney przygotował swego proboszcza na śmierć i udzielił mu ostatnich sakramentów. Po otrzymaniu Ostatniego Namaszczenia umierający dał znak wikaremu, by się zbliżył. Z wysiłkiem wyciągnął spod poduszki dyscyplinę i włosienicę.

— Weź je, przyjacielu — rzekł ledwie dosłyszalnym głosem. — Schowaj, żeby nikt ich nie zobaczył. Inaczej ludzie pomyślą, że nie potrzebują się za mnie modlić i zostawią mnie w czystcu do końca świata.

— Ależ, księżę proboszczu — odrzekł z płaczem ksiądz Vianney — całe niebo przygotowuje się na przyjęcie księdza. — Kto to wie? — westchnął umierający. — Ale Pan Bóg jest dobry. Bóg jest dobry... To były ostatnie jego słowa. Jan-Maria zamknął mu oczy. Miał wrażenie, że stracił ojca.

Cała parafia wzięła udział w pogrzebie swego pasterza. Ksiądz Vianney odprawił Mszę świętą, a ksiądz Maciej Loras, dawny uczeń księdza Balleya, który niedawno został wyświęcony na kapłana i mianowany prefektem w niższym seminarium w Maximieux, wygłosił mowę żałobną o swoim pierwszym nauczycielu. — Z nim straciłem wszystko — szlochał ksiądz Vianney, gdy obaj po pogrzebie wrócili na plebanię. — Mamy teraz przyjaciela w niebie. Modli się za nas — odrzekł ksiądz Loras.

Do Ecully przybył nowy proboszcz, ksiądz Tripier. Ksiądz Vianney przez jakiś czas jeszcze pozostał jego wikarym. Nowy jednak proboszcz nie zamierzał bynajmniej robić z plebanii kartuskiego klasztoru. Kiwał tylko głową na widok ascetycznego życia swego wikarego. Ci dwaj ludzie nie byli stworzeni dla siebie. Stwierdziły to władze diecezjalne w Lyonie.

Pewnego dnia ksiądz Courbon wezwał księdza Vianneya do siebie i mianował go proboszczem w Ars. — Jest to mała wioska. Liczy dwieście trzydzieści dusz. Poprzednik

księdza pełnił tam swój obowiązek zaledwie dwadzieścia trzy dni. Zmarł na galopujące suchoty. Uposażenie księdza wyniesie pięćset franków. Nie jest to dużo, ale jest tam dwór, a w nim mieszka dobra dziedziczka. Ona na pewno przyjdzie księdzu z pomocą. — Jakoś sobie poradzę — zapewnił ksiądz Vianney. — Ja tak mało potrzebuję.

I rządcą diecezji wręczył mu dokument nominacyjny. Przy pożegnaniu ksiądz Courbon przez dłuższą chwilę zatrzymał jego rękę w swojej i powiedział: — Brak w tej parafii religijności, ale ufam, że ksiądz ją wniesie ze sobą.

Kiedy Jan-Maria powiadomił księdza Tripier o swojej nominacji, ten, zakłopotany, odrzekł: — Wyznam szczerze. To ja poprosiłem o przeniesienie księdza. Nie jesteśmy do tego stworzeni, żebyśmy mogli żyć razem, choć osobiście księdza bardzo cenię. Tego jednak nie chciałem. Parafie leżące w departamencie Ain są prawdziwą Syberią dla duchowieństwa naszej diecezji. Mogli księdzu dać coś lepszego niż tę zabita deskami dziurę, gdzie jest więcej krów niż ludzi. — Ależ ja nie narzekam. Z większą parafią na pewno nie dałbym sobie rady. — A zatem życzę powodzenia i owocnej pracy.

Wielki smutek zapanował w Ecully, gdy ludzie dowiedzieli się o wyjeździe księdza wikarego. — W ciągu zaledwie kilku tygodni straciliśmy obydwu naszych dobrych księży — biadała wdowa Bibost. — Nowy ksiądz proboszcz będzie tak samo dobry — odrzekła córka Kolumbina, żeby pocieszyć matkę, chociaż myśl o wyjeździe księdza Vianneya i jej także zaciążyła na sercu.

## **PRZYBYCIE DO ARS (1818)**

Był posepny lutowy poranek. Szara mgła wisiała nad doliną Saony. A chociaż śnieg i lód już zniknął, zostawiając po sobie żółtawe wyleżyny, to jednak było dosyć zimno. Chłopski wóz, załadowany pościelą, gospodarskimi statkami i paroma meblami, zaprzężony w parę krów posuwał się po błotnistej drodze, skrzypiąc niemiłosiernie. Paweł Melin szedł obok krów, jego zaś szwagier, ksiądz Jan-Maria Vianney, przysiadł na skrzyni z książkami wśród poduszek i kołder z wzrokiem utkwionym w dali. Obok niego siedziała wdowa Bibost z koszykiem jaj na kolanach, usiłując ustrzec je przed wstrząsami i podrzucaniem wozu. Ta poczciwa kobieta gorliwie zajęła się przeprowadzką swego podopiecznego.

— Czy nie zimno księdzu, księżę proboszczu? — zapytała, zwracając się do księdza Vianneya. — Ksiądz drży cały. Niech no ksiądz okryje się kołdrą. Nie, matko Bibost, nie jest mi zimno — odparł krótko Vianney, którego wszystkie myśli wybiegały teraz do upragnionego celu. — Żebyśmy tylko czego nie zapomnieli — zaczęła znowu po chwili kobieta, przeglądając jeszcze raz nędzny ładunek. — Dobrze, dobrze, niczego nie brakuje — odrzekł kapłan, biorąc do ręki różaniec. Pani Bibost, która z przyjemnością porozmawiałaby nieco, acz niechętnie, także swój wyjęła. I oboje odbywali dalszą podróż w milczeniu.

Około południa przy skrzyżowaniu dróg zatrzymali się na popas. Melin dał jeść krowom, a pani Bibost wyjęła swoje zapasy z koszyka. Skoro tylko troje podróżnych nieco się posiliło, ksiądz Vianney zaczął ponaglać, by zaraz ruszać w dalszą drogę. Wiejska droga, jaką teraz przyszło im się posuwać, była jeszcze gorsza.

W błotnistej ziemi koła wozu zapadały się głęboko, tak, że Melin musiał nie raz podkładać pod nie kawałki desek, żeby jakoś wyjechać z błota, w którym wóz utykał. — Ja pójdę przodem — rzekł wreszcie ksiądz Vianney zniecierpliwiony — a wy jedźcie za mną wozem. — Bardzo dobrze — odrzekł szwagier. Ale pani Bibost nie chciała puścić księdza samego. Wzięła, więc do ręki koszyk z jajami i szła z nim razem.

Mgła nieco opadła. Przejechali, bowiem już dolinę Saony i zaczęli wspinać się ku Dombes. Na horyzoncie ukazały się porośnięte lasem wzgórza. Miejscami w słońcu połyskiwały niewielkie stawy, po których pływały bryły brudnego lodu.

Droga była istną topielą. Zapadało się, co krok. Obuwie i dolny kraj sutanny wkrótce pokryły się grubą warstwą błota. Czasami ścieżki się krzyżowały, a z braku drogowskazów, dwoje podróżnych nie wiedziało, gdzie się skierować. Co gorsza, od chwili, gdy minęli wieś Toussieux, nie napotkali żywej duszy.

— Istny tu koniec świata — rzekła wzdychając pani Bibost. — I powiedzieć, że wysłali księdza do tej zabitej dziury. Przecież ksiądz zasługuje na coś lepszego. Trzeba było raczej zostać w Ecully. — Ta nowa placówka z pewnością jest za dobra dla mnie. W żadnym wypadku nie zasługuję na lepszą. Tam, gdzie jest kapłan, jest Bóg. — Obyśmy tylko kogoś spotkali, żeby zapytać o drogę. — Na pewno Bóg nam kogoś ześle.

I rzeczywiście niebawem zobaczyli chłopca, pasącego na zboczach pagórka kilka owieczek. — Hej, chłopcze! — zawołał ksiądz Vianney — czy możesz nam wskazać drogę do Ars? — Hę? — zapytał chłopak, który robił wrażenie, że nie rozumiał pytania. — Chcemy iść do Ars — powiedziała wdowa Bibost w narzeczu z okolic Dombes, które nieco знаła. — Do Ars? To pewnie ksiądz jest tym nowym proboszczem? — zapytał pastuch.

— Zgadłeś — odparł ksiądz. — A jak się nazywasz? — Antoni Givre — odpowiedział urwis, rzucając chytrze okiem na dwoje podróżnych, żeby wymiarkować, czy może liczyć na jakiś zarobek. — Mogę was do Ars zaprowadzić — rzekł wreszcie. — A owieczki? — Owieczki nie uciekną. — Nie możesz przecież zostawić ich samych. Nad biegnie wilk i pożre je. — Tutaj nie ma wilków — odparł śmiejąc się chłopak.

— Powiedz mi, znasz ty Ars? — Jak własną kieszeń. Nie będzie tam miał ksiądz wiele do roboty. Ludzie wcale nie chcą chodzić do kościoła. Chodzą raczej do oberży. Przede wszystkim mężczyźni. A to wasza żona? — zapytał chłopak, patrząc na panią Bibost. — Przecież ksiądz nie ma żony. Nie wiesz tego? — Aha, nie ma. W takim razie jest to wasza kucharka. — A czy ty, Antoś, także nie chodzisz do kościoła? — Nie mamy księdza. Ostatni, jakiego mieliśmy, był suchotnikiem i w ciągu trzech tygodni umarł.

—, Ale teraz znowu zaczniesz chodzić, bo będziecie mieć nowego proboszcza? — A po co? Ja wszystko wiem. — W takim razie wymień mi trzy Osoby Trójcy

Przenajświętszej. — Jezus, Maryja, Józef — rzekł chłopak pewny siebie. — O Boże! — jęknęła pani Bibost.

— Czy byłeś już u pierwszej Komunii świętej? — pytał dalej ksiądz Vianney. — A co to jest Komunia święta? — Nauczę cię tego. — Nie mam na to czasu. Muszę paść owce. — Dla Pana Boga zawsze czas musi się znaleźć.

Szli teraz wzdłuż strumyka, który wił się wśród łąk i zarośli. W końcu z mgły wyłoniło się kilkanaście szarych domostw, a pośrodku nich mały kościółek z nędzną dzwonnica. — Oto tam jest Ars — wskazał ręką chłopiec. — A tu granica waszej parafii.

Ksiądz Vianney przystanął, ukląkł w błocie i zaczął się modlić. — Co ksiądz robi? — krzyknął Antoś. — Ksiądz cały powala się w błocie. Ksiądz nic nie odpowiedział. Ze złożonymi i lekko uniesionymi rękoma trwał nadal zatopiony w modlitwie. — Pomodliłem się do Anioła Stróża nowej parafii — rzekł wstając.

Kiedy weszli do wioski, pastuszek pokazał im dość mocno podniszczony dom? — To oberża *Pod Dzikiem*. Oprócz tej są jeszcze trzy inne knajpy. — Cztery oberże w takiej małej dziurze! — zauważyła zgorszona pani Bibost.

— Na tej tam fermie mieszka wójt Mandy, człowiek pobożny i bogaty. Ma trzy krowy i mnóstwo owiec. A tam mieszka Michał Cinier. Jest radcą gminnym. — Przed kuźnią kuto konia. — To kowal Picard, a ten, co trzyma konia, to woźnica Betun. Prawie zawsze jest pijany.

Obydwaj, gdy spostrzegli księdza, przerwali robotę. Kowal podniósł rękę do czapki, woźnica zaś, który rzeczywiście nie był «na czczo», chwiejnym krokiem podszedł do księdza Vianneya i zagadnął: — Ksiądz pewnie jest nowym proboszczem? — Zgadnął pan — odrzekł kapłan. — Ale, jak mi się zdaje, jest pan pijany. — Ależ nic podobnego! Wcale nie jestem pijany — bełkotał. — Tylko, kiedy widzę księdza proboszcza, czarne ćmy mi latają przed oczyma. Niech cię diabli wezmą, albo raczej suchoty, jak twojego poprzednika!

— Niech ksiądz go nie słucha — rzekł kowal. — Wypił trochę na rozgrzewkę w karczmie *Pod Mrówką*, bo jest zimno. Proszę się nie obrażać. My tu w Ars nie jesteśmy ludźmi pobożnymi, ale jeśli ksiądz proboszcz zostawi nas w spokoju, my go też zostawimy. — Nie po to przychodzę, aby zostawić was w spokoju — odrzekł zdecydowanie ksiądz Vianney. — A więc idź w diabły! — bełkotał pijak, podnosząc bat. Picard chwycił go i odepchnął.

— Zrobi ksiądz dobrze, księżę proboszczu, jeżeli z początku nie będzie zbyt mocno ukrocał cugli. Księża surowi nie rządzą długo. Niech się ksiądz tym nie obraża. Chcę, żebyśmy się dobrze zrozumieli. — Dziękuję wam, przyjacielu. — A o tam jest plebania — pokazał chłopak. — Chcę najpierw zobaczyć kościół.

W takim razie jest ksiądz na miejscu — podjął znowu Antoś, wyciągając znacząco rękę. — Pokazałeś mi drogę do Ars — odrzekł proboszcz — a ja ci w zamian pokażę drogę do nieba. — Wolałbym raczej parę groszy — skrzywił się chłopiec. Pani Bibost dała mu

jajko. — Jedno jajko za taki kawał drogi to za mało — labiedził Antoś. — Ale też nowy nasz proboszcz nie wygląda ani na bogatego, ani na mądrego. — Potem pastuszek krzywiąc się zniknął.

Tymczasem ksiądz proboszcz otworzył drzwi do kościoła. Świątynia, w której od tygodni nie odprawiano Mszy świętej, przedstawiała widok spustoszenia. Ołtarz nie był przyozdobiony. Wszędzie było pełno kurzu. Lampka wieczna zgasła. Ksiądz Vianney nie wiedział, więc, czy Najświętszy Sakrament jest jeszcze w tabernakulum. W zakrystii znalazł klucz i otworzył drzwiczki. Tak, Boski Mistrz jeszcze mieszkał w swoim domu. Ksiądz ze złości przyklęknął. Następnie nalał oliwy do lampki i zapalił wieczny płomyk. Lampa przybytku w Ars zapłonęła na nowo.

Padł krzyżem na stopniach ołtarza, ukrył twarz w dłoniach i... rozplakał się. Po długim wyczekiwaniu pani Bibost trąciła go w ramię mówiąc: — Czas iść na plebanie. Zaraz zapadnie noc. — Nie, nie! Będzie dzień, jasny dzień — odrzekł kapłan. Kiedy wychodzili z kościoła, jakaś kobieta wybiegła im na spotkanie. Pozdrowiła proboszcza i rzekła: — Jestem wdowa Renard i mam klucze od plebanii. Zostawiła mi je siostra waszego poprzednika. Proszę za mną. Bogu niech będą, dzięki, że dał nam znowu księdza.

— Jest pani pierwszą osobą, która, jak się zdaje, cieszy się z mojego przybycia — zauważył Vianney z bolesnym uśmiechem. — O, są i inni, którzy także się ucieszą. Ale oto już jesteśmy na miejscu.

Plebania w Ars była niewielkim, piętrowym budynkiem z czerwonej cegły. Składała się z pięciu pokoi, każdy z jednym oknem. Do domu przylegał mały ogródek. — Znajdzie tu ksiądz wszystko, czego będzie potrzeba — zapewniła pani Renard. — Najpierw, oczywiście, trzeba rozpaścić ogień. Gdybym była wiedziała, że ksiądz dzisiaj przyjedzie, byłabym wszystko przygotowała.

— O, ja nie przywiązuję wagi do wygód. Niech się, więc pani nie martwi. — Jak tu ślicznie? — rzekła pani Bibost, głaskając meble, w które wyposażona była plebania. Na parterze mieściła się obszerna kuchnia z dobrym piecem, garnkami, rondlami i innymi statkami kuchennymi. Obok znajdowała się jadalnia z kredensem, stolikiem deserowym i stojącym pod ścianą zegarem. Był także duży dębowy rzeźbiony stół, krzesła wyściełane zielonym aksamitem oraz wspianała kanapa. Na pierwsze piętro wiodły schody do pokoju księdza proboszcza, tak samo komfortowo urządzonego. Było tam ładne rzeźbione biurko, orzechowa biblioteczka, stół z toczonymi nogami i kobierzec z czerwonego aksamitu. Dwa pozostałe pokoje były tak samo bogato umeblowane, ze wspianymi baldachimami nad łóżkiem.

— Rzeczywiście jest tu bardzo pięknie — powtórzyła pani Bibost. Lecz ksiądz Vianney pokręcił głową z zakłopotaniem: — To dla mnie za piękne. Tak nie może pozostać. — Ksiądz nie może tu niczego zmieniać — rzekła przerywając pani Renard. — Umeblowanie pochodzi ze dworu. Panna des Garets poleciła je sprowadzić dla waszego



poprzednika. — Tak, ale ja tego wszystkiego nie potrzebuję — od rzekł ksiądz Vianney tonem zdecydowanym. Następnie wrócił do kościoła, padł krzyżem przed tabernakulum i na nowo zaczął polecać swoją parafię opiece Bożej.

Tymczasem pani Renard rozpałała ogień w piecu, a pani Bibost przygotowała posiłek z zapasów, jakie znalazła w dobrze zaopatrzonej spiżarni. Musiały jednak długo czekać na powrót księdza proboszcza. W końcu wrócił i nieco się posilił. — Zdaje się, że ludzie w Ars bardziej dbają o swego proboszcza niż o Pana Boga. Kościół jest w opłakanym stanie i, jak się zdaje, niezbyt uczęszczany. Poza tym jest bardzo mały.

— Ojej! Na takie Ars jest aż za duży. Zobaczysz ksiądz — rzekła pani Renard wzdychając. Proboszcz wstał i zbliżył się do okna wychodzącego na kościół. — On nie pomieści ludzi, jacy tu kiedyś będą przychodzić — odpowiedział głosem, który wprawił w zdumienie obie niewiasty. Zdało się, że wzrok jego gubi się gdzieś daleko...

Już prawie się zmierzchało, gdy wreszcie zajechał przed plebanię szwagier Melin. Ostrożnie rozładowano furę pod kierunkiem pani Bibost. Różne przedmioty zostały odpowiednio zniesione do piwnicy, na strych i do pokoi mieszkalnych.

— Jutro poproszę cię o jeszcze jedną przeprowadzkę — rzekł ksiądz Vianney do szwagra. — Chcę to wszystko stąd wywieźć — dodał, wskazując na wspaniałe umeblowanie. — Ależ, dlaczego? — zapytał Melin z niedowierzaniem. — Czyż proboszcz z Ecully nie urządził się tak samo wspaniale? — Dlatego, że ja tego nie chcę. Wieśniacy mogliby się obawiać moich dywanów i foteli, gdy będą do mnie przychodzić w chodakach.

Obie kobiety, na prośbę proboszcza, zabrały się w nocy do oczyszczenia kościoła. Pracowały jeszcze, gdy Jan-Maria Vianney dobrze przed wschodem słońca przyszedł i uklęknął na stopniach ołtarza. Trwał tak na modlitwie parę godzin, błagając Boga, by dał mu dusze tej wioski, od tak dawna opuszczone.

Z nastaniem dnia wstał i zadzwonił w sygnaturkę. — Znowu mamy proboszcza — mówili ludzie udając się jak zwykle do zajęć. I chociaż ksiądz Vianney dzwonił dosyć długo, na Mszę, do której służył mu szwagier Melin, przyszło zaledwie parę starych babek.

W godzinę później zaanonsowano dziedzicze Ars, że przyszedł nowy proboszcz. — To bardzo ładnie z jego strony — odpowiedziała sześćdziesięcioletnia stara panna. — To znak dobrych manier. — Nie wiem, czy zbyt dobrych — odparł Saint-Phial, stary lokaj, kręcąc swoją białą głowę. — Przybył tu z furą zaprzęgniętą w krowy i wyładowaną meblami aż po plandekę. — A to ciekawe — zdumiała się Anna des Garets. — Ale wprowadź go zaraz. Po chwili ksiądz Vianney ujrzał dziedziczkę, która w sukni z czarnego jedwabiu i w koronkowym czepku z gracją wyszła mu na spotkanie. Ze swej strony szlachetna dama poważnym wzrokiem badała mizerną postać nowego proboszcza.

— Przyszedłem złożyć pani moje uszanowanie — rzekł swobodnie kapłan. — Jestem niezmiernie zadowolona, że nasza wieś do czekała się znowu duszpasterza. Ufam, że ksiądz jest zdrowy. Poprzednik księdza był chorowity, i trzeba go było w parę tygodni po przyjeździe pogrzebać. Ksiądz też pewnie długo tu nie zabawi. Nasza parafia jest bardzo biedna. Żaden proboszcz nigdy u nas długo nie zagrzał miejsca. — O, ja nie chcę lepszej placówki — odrzekł z uśmiechem ksiądz Vianney. — Powiedziano mi, że przybył ksiądz z dziwnym ta borem? — To wóz mego szwagra. Czuję się zmuszony zwrócić pani meble, z wyjątkiem kilku, za które będę niezmiernie wdzięczny, jeśli mi je pani pozwoli zostawić.

— Czyżby nie były one dla księdza wystarczająco wygodne? — Jakby jakiś cień przemknął po szczupłej twarzy dziedziczki. Wprost przeciwnie, są za ładne. Jestem synem biednego chłopa i czuję się nieswojo wśród aksamitów i jedwabi. W domu zawsze sypiałem w oborze. — No cóż, będzie, jak ksiądz zechce. Dziedziczka dała znak dzwonkiem. Wszedł lokaj, któremu poleciła wydać rozkaz, aby rozładowano furę.

—, Jeśli w zamian za to zechce pani przyczynić się trochę do wyposażenia kościoła, będę niezmiernie wdzięczny. Paramenty kościelne są bardzo ubogie. Obrusy ołtarzowe i do Komunii świętej też są zniszczone. Wybaczy pani powiedzenie, ale nie można traktować Pana Boga jak żebraka. — W ciągu najbliższych dni zobaczę, co będę mogła zrobić — obiecała dziedziczka. — Ale niech ksiądz usiądzie. Porozmawiajmy nieco o nowej parafii.

Kiedy w godzinę później ksiądz, Vianney opuszczał dwór, unosił ze sobą to krzepiące przekonanie, że znalazł szlachetną i miłosierną duszę. — Odtąd proszę zawsze dzielić się ze mną swoimi troskami — rzekła, odprowadzając go, Anna des Garets. Długo patrzyła za księdzem podążającym w stronę wioski.

— Kuria przysłała nam dobrego i gorliwego kapłana — rzekła do służącego. — Dla siebie nic nie chce, ale za to wymaga wszystkiego dla Pana Boga i kościoła. Myślę, że Ars może sobie pogratulować takiego duszpasterza. — Tak — odrzekł Saint-Phial — ten nowy proboszcz wygląda na dobrego pasterza.

W niedzielę 13 lutego ksiądz Jan-Maria Vianney został kanonicznie instalowany przez starego proboszcza z Miserieux. Ściśle mówiąc Ars nie było pełną parafią, lecz tylko filią parafii w Misćrieux. Jednakże ludzie powszechnie nazywali swego duszpasterza proboszczem, który w rzeczywistości był tylko wikarym. Prawie cała wieś przysłała do kościoła na instalację nowego proboszcza. Wszyscy chcieli zobaczyć, jakiego to księdza odtąd mieć będą.

— Nie może to być nic wielkiego — zauważył gospodarz Villiers. — Do takiej dziury jak nasza dotychczas przysyłano samych księży chorowitych albo też takich, dla których nie było miejsca w mieście. Na pewno nie do staliśmy ani uczonego, ani dobrego kaznodziei. Tych daje się do miast. Na wieś wystarczy pierwszy lepszy. — Uczzonego nam

nie trzeba — odrzekł Piotr Lassagne. — Nie mamy też ambony takiej jak w katedrze. Zresztą zaraz zobaczymy, jak będzie mówił.

W rzeczywistości pod amboną czekała niecierpliwie cała parafia. Nawet tacy, którzy od dłuższego czasu nie pokazywali się w kościele, dzisiaj przyszli wiedzeni ciekawością. Był nawet obecny oberżysta spod *Mrówki*. Niespokojnym wzrokiem mierzył księdza wchodzącego na ambonę.

Jan-Maria zaczął mówić trochę głosem niepewnym. Stopniowo jednak gorliwość i umiłowanie dusz sprawiły, że jego wymowa stawała się coraz pewniejsza i bardziej przejmująca. Wszystko, co mówił, było proste pod względem treści i formy, tak, że nawet najmniej przygotowani słuchacze mogli go zrozumieć.

Nowy proboszcz mówił o swoim dzieciństwie, kiedy to, jako mały pastuszek pasał ojcowską trzodę. i — A teraz — mówił z zapalem ksiądz Vianney — ksiądz biskup ustanowił mnie innym pasterzem. Tym razem powierzono mi obowiązek, który napawa mnie lękiem i troską, oraz sprawia, że ciężar odpowiedzialności spada na moje barki. W rzeczywistości jest to także trzoda mego Ojca Niebieskiego, którą paść mi przychodzi. Wasz duszpasterz ma najświętszą wolę prowadzić was na dobre pastwiska, strzec przed chaszciami grzechu i wprowadzić do owczarni Bożej. Przychodzę do was z całą miłością prawdziwego pasterza, lecz także i z jego surowością. Nie na darmo dano mi do ręki laskę pasterską. Możecie być pewni, że nie zadowolę się pochwalaniem waszej dobrej woli, lecz z całą surowością i bez pobłażania, przy okazji, potępię wasze grzechy...

Wśród mężczyzn zapanowało lekkie zamieszanie. Oberżysta spod *Mrówki* zakaszłał. Wielu jednak parafian szczerze wzruszyło się słowami księdza, zwłaszcza, gdy drżącym głosem dodał: — Ukłąłem tu przed tabernakulum i gorąco prosiłem Boga, by mi pozwolił nawrócić tę parafię. Także teraz powtarzam z całego serca i z całej duszy: Panie, jestem gotów znosić najsrozsze nawet cierpienia, bylebyś mi pomógł doprowadzić do Ciebie dusze, któreś mi powierzył...

Wierni wyszli z kościoła w milczeniu. Wielu, zwłaszcza kobiety, było wzruszonych do głębi. Wielu mężczyzn wracało do domów w zadumie. Większość jednak rychło rozeszła się do czterech oberży, żeby wymienić zdania na temat nowego proboszcza.

— Jak dotąd, wszystko idzie dobrze — oświadczył oberżysta spod *Mrówki*. — Mówi dosyć dobrze, ze swadą, choć w miastach mówią o wiele lepiej i z większą wytwornością. — Trochę za dużo mówił o sobie, a tego nie powinno się robić — dodał krawiec, który wiele podróżował i z tego powodu czuł się upoważniony do wydawania sądu o wszystkim.

— Mówił o łasce, jakbyśmy byli smarkaczami — bełkotał woźnica Betun, wychylając szklanekę czerwonego wina. — Takie też jest moje zdanie — potwierdził oberżysta. — Chyba można się spodziewać, że nie będzie nam dokuczał ani też przeszkadzał w zabawie. Inaczej zbyt długo nie zagrzeje u nas miejsca.

W tym samym czasie wójt Mandy, człowiek rozsądny i poważny, rozmawiał z radcą gminnym, Cinierem, z którym wracali razem do domu. Na zakończenie powiedziały:, — Mamy biedny kościółek, ale jak sądzę, mamy świętego proboszcza.

## ŚWIATŁO I CIEMNOŚCI (1818)

Z ciężkim sercem wdowa Bibost opuszczała swego podopiecznego jakoś zaraz po ceremonii instalacji. Wzywały ją do Ecully jej sprawy rodzinne. Troskę o proboszcza powierzała z kolei wdowie Renard, która mieszkała w pobliżu plebanii.

— Nie przyczyni to pani wiele roboty — rzekła. — On tak mało potrzebuje. Pocziwa kobieta, która z córką zajmowała się szyciem bielizny, chętnie przyjęła zleconą sobie misję. Lecz kiedy pani Bibost jeszcze raz, przed odejściem razem z nią przeglądnęła poszczególne pokoje na plebanii, nie wytrzymała i zapytała:, — Dlaczego ksiądz proboszcz kazał odwieźć do dworu te wszystkie piękne meble? Teraz plebania jest podobna do oskubanej kury. — On tak chciał — westchnęła wdowa Bibost. — Im bardziej jest ubogo wokół niego, tym lepiej się czuje. Ale błagam panią, niech pani nad nim czuwa, by się nie pozbył wszystkiego.

Szwaczka obiecała czuwać nad księdzem Vianneyem jak nad własnym synem. — Ja też mam syna w wyższym seminarium w Lyonie — dodała z dumą. W rzeczywistości nie brakowało niczego z żywności, bo dziedziczka hojnie zaopatrzyła spiżarnię we wszystko, co mogło być potrzebne. Nazajutrz od samego rana pani Renard gorliwie zabrała się do roboty w kuchni, wyciągając garnki i rondle, by przygotować proboszczowi suty posiłek. Na pewno będzie zadowolony ze swojej nowej kucharki — myślała.

Jan-Maria siedział w zakrystii i przygotowywał niedzielne kazanie. Przyniósł ze sobą stos książek i z pietyzmem rozłożył na stole ten cenny spadek po swoim pierwszym nauczycielu. Były tam zbiory kazań ojca Le Jeune, Joly, Bonnardela, *Życie wewnętrzne* ojca Rodrigueza, *Żywoty świętych oraz Katechizm Soboru Trydenckiego*. Długie godziny czytał, robił wypiski, szukał budujących przykładów. Wreszcie wstał, padł krzyżem przed tabernakulum i na nowo zaczął rozważać i omadlać to, co przeczytał. Następnie wrócił do zakrystii, zamacał pióro w atramencie i zaczął pisać.

Szybkim, drobnym pismem zapełnił najpierw jedną, potem drugą kartkę. Od czasu do czasu kierował wzrok na tabernakulum, jakby tam szukał pomocy. Kiedy po ciężkiej pracy napisał w końcu *Amen*, było już dobrze po południu.

Tymczasem pani Renard dokonywała rozpaczliwych wysiłków, by nie przypalić przygotowanych na obiad placków. Odetchnęła z ulgą, gdy usłyszała wreszcie szybkie kroki księdza Vianneya. — Nie jestem głodny — rzekł, gdy podała mu na stół pełne talerze. — Musi ksiądz zjeść — odrzekła energicznie kobieta. — Upiekłam placki, bo pani Bibost powiedziała mi, że to jest ulubiona potrawa księdza.

Zjadł, roztargniony, dwa małe placuszki, odstawił talerz i oświadczył: — Droga pani Renard, zbyt się pani dla mnie trudzi. Przecież musi pani pracować, jako

krawcowa, aby zarobić na życie, a nade wszystko, aby pomóc synowi ukończyć studia. Na przyszłość niech pani spokojnie pracuje w domu. Ja jakoś sobie poradzę. — Ależ to niemożliwe! Ksiądz nie może kucharzyć! — Kiedy w dzieciństwie pasalem owce, często musiałem sam sobie przygotowywać posiłki. Skoro już pani tak się upiera, niech mi pani jutro ugotuje garnek ziemniaków. — Ziemniaków? — Tak, ziemniaków, i to w łupinie. Niech je potem pani wrzuci do durszlaka i przyjdzie za jakieś trzy-cztery dni. W ten sposób będę miał wszystko, co potrzeba. Poza tym pani będzie mogła zupełnie spokojnie oddać się pracy krawieckiej.

Pani Renard energicznie przeciwstawiła się temu dziwnemu pomysłowi. Ale ksiądz upierał się tak mocno, że w końcu musiała ustąpić. Od tego czasu sprawa wyżywienia dla proboszcza z Ars została rozwiązana raz na zawsze. Jadłospis codziennie był ten sam. Gdy był głodny, brał ziemniaki, obierał je z łupiny i jadł ze szczyptą soli. Jeśli czasem zjadł jajko lub usmażył kilka placków, uważał siebie za obżartucha.

Gdy czasem zostawał mu jakiś ziemniak, odsyłał kucharkę mówiąc, by przyszła za parę dni. Codziennie jednak ta poczciwa kobieta przynosiła mu białego chleba, przez siebie wypiekanego, z którego nazajutrz ku swej wielkiej radości nie znajdowała nawet okruszyny.

Pewnego jednak dnia była świadkiem szczególnej zamiany. Na progu plebanii stał żebrak, któremu ksiądz Vianney akurat dawał bochenek białego, świeżego chleba, mówiąc z uśmiechem: — Mój przyjacielu, masz słabe i chwiejące się zęby. A do tego sporo ich ci brakuje. A więc mój biały chleb będzie ci doskonale odpowiadał. — Wprawdzie mam jeszcze kilka skibek — odrzekł starzec, — ale ma ksiądz słusność, nie mogę ich pogryźć. — Ja jeszcze mam dobre zęby — rzekł śmiejąc się kapłan. — Proszę mi dać ten chleb. — I dziad wyciągnął z mocno zabrudzonej torby kilka starych i zeschniętych kromek chleba, i dał je księdzu proboszczowi. — O! Są jeszcze w bardzo dobrym stanie. Skoro je trochę rozmoczę, będę je mógł zjeść. Dziad, ucieszony z takiej zamiany, odszedł gęsto dziękując.

— Tak to ksiądz je mój biały chleb — rzekła z wyrzutem krawcowa. — Ten włóczęga sam mógł rozmoczyć te skibki i zjeść. — Niech pani tak nie mówi. To sam Pan Jezus przychodzi do nas pod postacią żebraka. A dla Niego biały chleb nie jest chyba luksusem. — W takim razie pewnie to od Pana Jezusa zajeżdżało gorzałką — odparła zgorszona wdowa. — Nie zauważyłem. Zresztą jest dzisiaj zimno i wilgotno. A gdy ktoś, jak on, cały Boży dzień chodzi, ma prawo do kieliszka gorzałki.

Wdowa Renard udała się do kuchni, by obejrzeć zapas ziemniaków. Po chwili wróciła, trzymając w ręku parę kartofli. — I to ksiądz chce jeść? Przecież są spleśniałe — rzekła z wyrzutem. — Ale nie jem ich z łupiną. Naprawdę są jeszcze bardzo dobre. A teraz niech mnie pani zostawi w spokoju, bo muszę pracować. — W spiżarni nic nie ma. Oczywiście, musiał ksiądz wszystko rozdać. — Przechodzili tędy wędrowni robotnicy i byli głodni — wyjaśnił zakłopotany ksiądz Vianney.

Pani Renard weszła do pokoju proboszcza, lecz natychmiast wyszła, załamując rękę. — Okradziono księdza. Znikły materace i pościel. Idę powiadomić o tym stróża. — Nie trzeba — wyjaśnił ksiądz. — To ja je podarowałem Cyganowi, który wczoraj przejeżdżał przez wieś. Biedak nie miał pościeli dla chorej żony. — W takim razie, gdzie ksiądz sypia? — Mniejsza z tym gdzie. To mało ważne.

Nie zwlekając pani Renard przeszukała cały dom i znalazła «łóżko», na którym sypiał ksiądz Vianney. W piwnicy zobaczyła parę worków po ziemniakach, rozestanych na kupie chrustu. Rzecz jasna, tu musiał sypiać ksiądz proboszcz.

— Dobrze jest spać w piwnicy — stwierdził. — Pewnie, bardzo dobrze. Myszy i szczury tańczą wokół księdza, a woda ściekająca ze ścian zalewa polepę. Ksiądz rujnuje zdrowie. — Pan Jezus często nie miał nawet wiązki chrustu, by na niej złożyć głowę — odparł poważnie ksiądz Vianney.

—, Co zrobić? Co zrobić?... — Poczciwa kobieta miała łzy w oczach. Ale nie powiedziała nic. Odeszła zatroskana. — Jak trudno usługiwać świętemu? — opowiadała, ciężko wzdychając, córce po powrocie z plebanii.

Tymczasem ksiądz Vianney pracował bez przerwy. Tę małą, o sześćdziesięciu zaledwie domach wioskę uważano za synekurę. Myślano, że tamtejszy proboszcz prowadzi spokojne życie, i dlatego to władze diecezjalne bardzo często posyłały do tej nędznej wioszczyny kapłanów chorowitych lub potrzebujących odpoczynku. A tymczasem Jan-Maria pracował bez wytchnienia.

Przed wszystkim bardzo wiele czasu poświęcał przygotowywaniu kazań. Po ułożeniu ich i napisaniu, co już było dla niego trudne, zabierał się do pracy jeszcze żmudniejszej, a mianowicie do uczenia się kazania na pamięć. Całymi godzinami spacerował po placyku za kościołem, wygłaszając je półgłosem. Pomimo to w najbliższą niedzielę czuł się mocno stremowany na ambonie, tak, że wierni z konsternacją spuszczały głowy słysząc, z jakim trudem przychodziło mu mówić. Tylko wtedy, gdy poniósł go zapał i przestał trzymać się kurczowo rękopisu, jego wymowa stawała się płomienna.

Wtedy gromkim głosem smagał nałogi i jaskrawo opisywał straszliwe kary, przygotowane tym, którzy nie chcieli pokutować. — Dlaczego ksiądz zawsze tak mocno krzyczy podczas kazania? — zapytała go pewnego razu dziewczynka. — Kiedy ksiądz się modli, wtedy mówi tak cicho. — Dlatego — odrzekł śmiejąc się proboszcz, — że Pan Bóg słyszy najcichszy nawet szept, a ludzie często mają zatkane uszy.

Niestety, kościół coraz bardziej pustoszał, a w oberżach ludzie coraz mocniej pomstowali na swego proboszcza. Szczególnie oberżysta spod *Mrówki*, jak tylko mógł, podsycił ogień nienawiści, gdy jego klienci, zamiast w niedzielę iść na Mszę świętą, popijali u niego wino i grali w karty.

— Cały tydzień harujecie jak te woły, a tu jakiś, proboszczulo, przysłany tutaj tylko, dlatego, że biskup nie miał go gdzie dać, chce was pozbawić wypicia szklaneczki wina i niewinnej zabawy.

— Ludzie, wasz proboszcz! — zawołał donośny głos zza drzwi. I mały księżyna wszedł pomiędzy story. Tu i tam ktoś spuszczał głowę i chował karty. Lecz byli i tacy, którzy patrzyli z góry na księdza, z miną wyzywającą i pełną szyderstwa.

— To tutaj jesteście!? Tam Pan Bóg na próżno czeka na was w kościele! — zawołał potężnym głosem. — **Przygotujecie się wszyscy do piekła przez pijaństwo, a dusze zabijacie kartami!**

Słowa te dołały tylko oliwy do ognia. Po wyjściu księdza ludzie zaczęli kląć jeszcze bardziej i dłużej niż zwykle pozostali w oberży. Wieczorami takich dni biedny proboszcz z Ars zdawał się tracić odwagę. Na próżno, zdawało się, leżąc krzyżem przed tabernakulum błagał Boga o siłę i pociechę. Po długim czasie podnosił się i ze spuszczoną głową wracał na plebanię. Potem stawał w oknie kancelarii i patrzył w ciemność.



Fot. Proboszcz z Ars w oknie kancelarii

Z oberży dochodziły odgłosy pijackiej wrzawy. Kawalerowie z sąsiednich wiosek wracali, śpiewając i prowadząc panny pod rękę. Czasem któryś dostrzeżał w oknie księdza i rzucał mu jakieś przekleństwo. Taka była niedziela w Ars i jej niechlubne zakończenie.

Stopniowo hałas ustawał. Ostatni pijacy zataczając się opuszczali oberżę. Światła po domach jedne po drugich gasły. Sam tylko, samiuteńki, zapatrzony w noc, pozostawał na swoim straconym posterunku stróż z Ars. Ciemność była nieprzenikniona. Żadna gwiazda nie świeciła na niebie.

Lecz nagle ksiądz, zatopiony w swoich rozważaniach, poczuł, że nie jest sam. Wydało mu się, że ciemności jakby się skondensowały i utworzyły jakąś fantastyczną istotę, nieomal fizycznie dotykálną. Czuł jej oddech. Zjawa ta rosła, stawiała się coraz większa i krążyła wokół niego niczym dzikie zwierzę, gotując się do skoku, by go rozszarpać.

Jan-Maria Vianney znał przeciwnika, co krąży w ciemnościach podobny do zgłodniałego lwa szukając, kogo pożreć. Wtem zerwał się wiatr, wpadł pomiędzy belkowania wieży i lekko zakotłosał sygnaturką, która cicho jęknęła jak dziecko rozbudzone nagle ze snu. Jakiś głos zabrzmiał w uszach księdza Vianneya:

— Niczego nie dokonasz. Jesteś niezdatny do duszpasterstwa. Opuść Ars, zanim ludzie obrzucą cię kamieniami. Wstąp do klasztoru lub zostań pustelnikiem. Nagle wśród nocy usłyszał wybuch śmiechu. Czyżby to był jakiś spóźniony pijak? Czy może raczej był to Zły, który szydził ze swego słabego przeciwnika?...

Ksiądz miał wrażenie, że lada chwila serce mu bić przestanie. Co stanie się z wioską, która nie chce słuchać swego pasterza? Co stanie się z wyśmianym i wyszydzonym pasterzem?... Vianney złożył ręce i usiłował się modlić, ale słowa zamierały mu na wargach. — Panie, czy nie masz już żadnej dla mnie pociechy wśród tej strasznej nocy?

Wyczerpany kapłan chciał zamknąć okno, lecz wtem dojrzał maleńkie światełko, które przez witraż w prezbiterium przenikało ciemności. — Panie, nie zostawiaj mnie samego w godzinie ciemności! Nie pozwól, bym miał się zupełnie zapaść w otchłań!

I oto światełko, wychodzące z kościoła, przemówiło doń słodko: — Nie lękaj się! Jestem z tobą. Wtedy proboszcz z Ars wyprostował się i głęboko odetchnął. Był zdecydowany na nowo podjąć walkę z mocami piekła i prowadzić ją do skutku.

W kilka chwil później Jan-Maria Vianney biczował się niemiłosiernie, aż sklepienie piwnicy odpowiadało zdwojonym echem. Wreszcie kapłan, prawie nieprzytomny, padł na swoje nędzne posłanie... W nocy jednak często się budził mniemając, że wciąż słyszy szydery głoś Lucyfera.

Dobrze przed świtem wziął latarnię, udał się do kościoła i padł krzyżem przed tabernakulum, błagając Boga o pociechę i pomoc. Im mniejszy jego kazania odnosiły skutek, tym częściej uciekał się do umartwienia. W czasie Wielkiego Postu całymi dniami



prawie nic nie jadał i coraz mocniej znęcał się nad swoim ciałem. Wszystko, co miał, rozdawał ubogim.

Pewnego dnia ludzie z Ars zauważyli, że po zaniesieniu Komunii świętej choremu wracał boso. Swoje chłopskie duże kamasze oddał ubogiemu. Czasem w swoim przygnębieniu udawał się do starego proboszcza w Miserieux i zwierzał mu się ze swoich przeżyć. — Złym jestem pasterzem — biadał. — Gdybym był świętym, potrafiłbym nawrócić moją wioskę. Ale Bóg odmawia łaski niegodnemu.

Ksiądz Ducreux ze wzruszeniem wpatrywał się w nieszczęsnego konfratrze, którego twarz w ciągu ostatnich tygodni stała się przerażająco blada i wychudła. — Mój biedny przyjacielu! Ksiądz zbyt mocno wszystko bierze sobie do serca. Wiem, że w twojej parafii wiele pozostaje do życzenia, ale sytuacja nie jest gorsza niż w większości wiosek w departamencie Ain. Drzewo nie padnie od pierwszego uderzenia topora. Niech się ksiądz uzbroi w cierpliwość względem swojej trzody, a nade wszystko względem samego siebie i Pana Boga. Sposób, w jaki ksiądz postępuje ze sobą, w krótkim czasie doprowadzi do tego, że stanie się ksiądz zupełnie niezdolny do walki. Na pewno nasze niepowodzenia są dla nas krzyżem. Ale powinniśmy miłosierdziu Bożemu zostawiać troskę o zdjęcie ich z naszych ramion. Z pewnością są też i rzeczy pocieszające. Czyż w Ars są tylko same dusze zatwardziałe? — Nie wiem. Ja widzę tylko zło.

**— I tu jest wielki błąd księdza, kochany konfratrze. Niech no ksiądz szerzej otworzy oczy, a na pewno dostrzeże także i dobro. Może nie rzuca się ono w oczy tak jak grzech... Te słowa przysły na pamięć biednemu proboszczowi, gdy nazajutrz rano przyszedł otwierać kościół. Stary wieśniak już tam czekał. Widocznie szedł na pole, bo o ścianę oparł rydel i motykę. — Dzień dobry, przyjacielu — zaczął przyjaźnie ksiądz. — Co was sprowadza do kościoła o tak wczesnej porze? — To moja najpiękniejsza chwila w całym dniu — odparł Ludwik Chaffangeon, blisko siedemdziesięcioletni starzec. — Przychodzę przed tabernakulum szukać siły i pomocy do całodziennej pracy. — A co mówicie Panu Bogu? — Nic mu nie mówię. Patrę na Niego, a On na mnie. Kapłan popatrzył ze zdumieniem na staruszkę. Następnie chwycił go za rękę i mocno uściśnął. Zdało mu się, że jakaś cudowna moc przeszła z ręki wieśniaka do jego ręki, a słowa wzbudziły w duszy księdza Vianneya jakiś krzepiący odzew. Tak, ksiądz, z Miserieux miał słuszość. Na pewno w Ars było także wiele dobra, którego on w swojej gorliwości nie dostrzegął.**

Około południa miał odwiedziny. Przyszły do niego siostra Małgorzata i pani Bibost. — Byłyśmy niespokojne o księdza — zaczęła handlarka z Ecully, a Małgorzata aż krzyknęła na widok wymizerowanej twarzy brata. Ten ostatni także się zaniepokoił.

Moje kochane, musicie być bardzo głodne po tak dalekiej podróży. Ale ja nic nie mam do jedzenia... Pobiegł do kuchni i przyniósł ronderek, a w nim kilka na pół spleśniałych ziemniaków. — To wszystko, co mam — rzekł z zakłopotaniem. — Przecież nikt ich nie potrafi zjeść — zawołała Małgorzata i sama poszła do kuchni, by poszukać czegoś do jedzenia. W końcu w jakimś zakamarku spiżarni znalazła odrobinę mąki i dwa

jajka, o których ksiądz Vianney zupełnie zapomniał. Inaczej na pewno byłby je komuś po darował.;— Zrobię ci trochę placków — rzekła z ulgą. — Tak, zrób placki — odrzekł z ożywieniem brat. — Ja muszę iść do kościoła. Muszę przygotować na niedzielę kazanie. Rozgośćcie się, jak możecie.

Podczas gdy Małgorzata była zajęta przygotowywaniem posiłku, wdowa Bibost poszła do szwaczki Renard i zrobiła jej wielką awanturę. — Jak może pani pozwolić umrzeć z głodu swemu dobremu proboszczowi? Przecież tak bardzo prosiłam panią, by się nim zajęła! Pani Renard rozplakała się.

— Cóż ja poradzę? Wyrzuca mnie z plebanii, skoro tylko zobaczy kilka spleśniałych ziemniaków. Chleb, który mu wypiekam, rozdaje dziadom. I jak ja mogę nim się zajmować? — W takim razie niesłusznie panią oskarżam — od rzekła pani Bibost skonsternowana. — Zobaczmy, może uda nam się wpłynąć na niego, żeby zmienił swoje po stępowanie. — Niełatwa to będzie sprawa. Ksiądz proboszcz jest bardzo uparty. — Tak, wiem o tym. Jest to słynny uparciuch. W Dardilly zawsze mieli z nim wiele kłopotu, chcąc go o czymś przekonać.

Kiedy ksiądz Vianney wrócił na plebanie, zastał stół czysto nakryty. Małgorzata wniosła półmisek smacznych placków i dwa pieczone gołąbki. — Biedne stworzonka! — westchnął Jan-Maria. — Co ci złego zrobiły moje gołąbki, że ukręciłaś im szyje? — I za nic w świecie nie można go było nakłonić, by zjadł, choć odrobinę smacznej pieczeni.

Nazajutrz obie niewiasty pożegnały go. Małgorzata zaklinała na wszystkie świętości, żeby na przyszłość jadł i pił więcej. Obiecał też, że lepiej będzie korzystać z usług pani Renard. Szybko jednak zapomniał o swoich wspaniałomyślnych obietnicach i wrócił do spleśniałych ziemniaków.

W końcu pocziwa kobieta, wprost zrozpaczona, zupełnie się wycofała z plebanii, zostawiając proboszcza jego woli. Pomimo wszystko nie uszła uwagi wiernych z Ars surowość, z jaką proboszcz traktował samego siebie, owszem, robiła na nich wielkie wrażenie. Im bardziej, z jednej strony, bywalcy karczem wyśmiewali się z niego, tym bardziej, z drugiej strony, ludzie dobrej woli cenili gorliwość swego duszpasterza. Padające z ambony słowa docierały do wielu serc.

Tymczasem ksiądz Vianney znalazł nową drogę zbliżenia się do swoich parafian. Zajął się dziećmi, które od dłuższego już czasu były pozbawione nauki religii. Od wczesnego już rana gromadził je wokół siebie i uczył prawd wiary. A kiedy dzieci opowiadały w domu, z jaką słodyczą i dobrocią obchodzi się z nimi, jak pięknie umie opowiadać i pilniejsze w nagrodę obdarowuje obrazkami, coraz częściej któraś matka lub ojciec po kryjomu przychodzili przeproszać za okazywaną mu niechęć.

— Jakież dopiero musi być dobry Pan Bóg, skoro ksiądz proboszcz jest tak dobry dla nas! — mawiała dorastająca Kasia Lassagne do matki. Nawet zawsze roztrzepany Franek Pertinand, najstarszy syn oberżysty spod *Srebrnej Róży*, nie przestawał chwalić swego proboszcza. — Powiedział, że mnie nauczy służyć do Mszy — oświadczył z dumą. — Jutro

wieczorem mamy przyjść z Benkiem Treve na plebanię i tam będziemy się uczyć odpowiedzi po łacinie.

Malec podawał tę wiadomość z triumfującą miną i tak głośno, że niejeden bywalec karczmy podniósł zdumiony głowę, a stary oberżysta dodał: — Tak, on umie podejść do dzieci. Bez szukania, więc ksiądz Vianney znalazł drogę najpewniej wiodącą do serc rodziców, to jest poprzez miłość do dzieci.

Jeszcze jedna sprawa miała nieco zasypać przepaść dzielącą owieczki od pasterza. Ksiądz Vianney zaczął odwiedzać swoich parafian. Chodził od domu do domu i, choć czasem przyjmowano go z jawną nieufnością, to jednak musiano wkrótce przyznać, że można było się z nim dogadać.

Podczas pierwszych odwiedzin pasterskich proboszcz mówił tylko o sprawach bieżących. Kazał sobie pokazywać rolnicze narzędzia, obory, stodoły, podziwiał dobytek. Czasem wypowiadał jakieś trafne zdanie, co zdradzało jego chłopskie pochodzenie. Nie omieszkał też prosić o przedstawienie mu dzieci. Chwalił ich pilność w uczeniu się katechizmu, a przy okazji wybierał chłopców na ministrantów. Nie wzbraniał się też przyjmując podanej mu szklaneczki wina.

— Rzeczywiście, jest to człowiek, który zna się na rzeczy — mówili ludzie po odwiedzinach. — Oby tylko okazał się bardziej przystępny na ambonie. Rzecz jasna, byli i tacy, którzy czym prędzej starali się czmychnąć tylnymi drzwiami, gdy ksiądz wchodził do ich domu. W oberży *Pod Dzikiem* i w *Mrówce* przyjęto go wręcz niegrzecznie. Powiedziano mu, wprost, że niedługo pociągnie w Ars oraz że nie może liczyć na to, iż właściciele tych dwóch oberży zaczną chodzić do kościoła, dopóki on będzie ciskał gromy na ich lokale.

U Pertinanda, oberżysty spod *Srebrnej Róży* ksiądz Vianney znalazł lepsze przyjęcie, które przekształciło się prawie w przyjaźń, gdy ksiądz wypił kieliszek wina. Bachelard zaś, oberżysta spod *Złotego Jelenia* oświadczył później swoim klientom, że ksiądz proboszcz nie jest wcale taki zły, za jakiego uchodzi. Prosił go tylko, żeby zamykał oberżę w czasie Mszy niedzielnej oraz żeby przestrzegał wieczorem godzin zamykania lokalu. Pomimo wszystko, musiał się długo zastanawiać, zanim poszedł za tą radą.

Inna natomiast sprawa popsuta znacznie wrażenie, jakie zostawił proboszcz po swoich odwiedzinach. W okresie wielkanocnym odesłał bez rozgrzeszenia wielu penitentów, którym najwidoczniej brakowało skruchy i mocnego postanowienia poprawy. Kiedy zaś także odprawił bez rozgrzeszenia i po surowym napomnieniu kilkoro dzieci, które śmiały się i rozmawiały przed spowiedzią, i to się rozeszło po wsi, wielu rodziców poczuło się tym dotkniętych.

Inni, przeciwnie, doznali w konfesjonale powagi i miłosierdzia swego pasterza. Byli do głębi wzruszeni jego dobrocią, o czym rozpowiadali wszystkim. Wkrótce, jak wieś długa, jedni chwalili swego proboszcza, drudzy zaś go przeklinali. Ale ksiądz Vianney niewiele się tym przejmował.

Kiedy pewnego razu jeden z konfratrów zapytał go, czy wzrusza go wrogość lub uznanie ze strony parafian, odpowiedział ze śmiechem: — Niech ksiądz idzie na cmentarz i chwali zmarłych; nic nie odpowiedzą. Niech ich ksiądz zacznie przeklinać; będzie to samo. Dosłownie stałem się jak jeden z mieszkańców cmentarza.

Koniec końców, po kilku miesiącach ksiądz mógł stwierdzić, że jego wysiłki nie były daremne i że powoli, ale pewnie, zaczyna zdobywać teren. — Dostanę cię jeszcze, Grappin! — powtarzał. A ten «Grappin» nie był nikim innym, jak Złym Duchem, który wypowiedział bezpardonową walkę proboszczowi z Ars.

## DIABELSKI TANIEC (1818)

Pierwszego sierpnia stary proboszcz z Miserieux udał się z wizytą do swego konfratry z Ars. Zdumiał się, gdy ksiądz Vianneya zastał w kościele ubranego w malarski fartuch, narzucony na sutannę, z twarzą i rękoma pochłapanymi farbą. Był tak bardzo zajęty pracą, że nawet nie zauważył przybycia księdza Ducreux. Dopiero Antoś Cinier, ministrant i zarazem pomocnik malarski, musiał pociągnąć go za rękaw i pokazać stojącego przy drzwiach i podziwiającego całą scenę księdza.

— Cóż to ksiądz robi? — zapytał podchodząc proboszcz z Miserieux. — Wielki ołtarz — odrzekł ksiądz Vianney — był już bardzo stary i spróchniały. Poprosiłem kołodzieja Verchera, by wymienił zniszczone części. Zrobił to bardzo chętnie i za darmo. Ale nie mogłem znaleźć malarza. — Dlatego właśnie malujemy sami — wyjaśnił z triumfalną miną ministrant, mieszając farbę w wiadrze.

— Przede wszystkim twarze — roześmiał się ksiądz Ducreux. — Wyglądacie na Indian, wymalowanych jaskrawo przed wyruszeniem na wojenną wyprawę. — To nic — odparł chłopak. — Umyjemy się. — W najbliższą niedzielę będzie święto patrona naszego kościoła, św. Sykstusa papieża — rzekł ksiądz Vianney. — Chciałbym, żeby ołtarz ładnie wyglądał. — Oczywiście, oczywiście — - odrzekł ksiądz Ducreux. — Ale niech no ksiądz na chwilę przerwie robotę i poczęstuje starego proboszcza szklaneczką wina. Jest dziś bardzo gorąco, a podróż do was nie była łatwa.

— Szklaneczka wina — wyjąkał z zakłopotaniem Vianney. — Nie wiem naprawdę, czy mam jeszcze jakąś butelkę. — W zakrystii jest jeszcze pół flaszki — wtrącił Antoś. — Będzie mi potrzebne do mszy świętej — odrzekł żywo proboszcz z Ars. — Ale idź do *Srebrnej Róży* i kup butelkę. — Przetrzęsnał kieszenie, — Gdzież je podziałem?...

— Niech ksiądz proboszcz nie szuka — wtrącił mini strant. — Ostatnie grosze dał ksiądz ubogiemu. Ale to nic nie szkodzi. Ja i tak przyniosę butelkę wina. I nagle, tak jak był powalany farbą, poleciał. Tymczasem zaś ksiądz Vianney odłożył pędzel i poprowadził swego konfratry na plebanię. W pokoju zwanym szumnie «jadalnią» ustawił stare, kulawe krzesło z kuchni. — Jeśli ksiądz ostrożnie usiądzie, może wytrzyma — ostrzegł żartując ksiądz Vianney. Sam zaś usiadł na stołku, który był w jeszcze gorszym stanie.

— Mężu Boży — zagadnął ksiądz, Ducreux — gdzie podział te wszystkie wspaniałe dworskie meble? Pomyślałby jeszcze, kto, że działał tu komornik. — Ja bardzo rzadko przebywam w domu, dlatego nie potrzebuję tak wielu mebli. Zajmuję się przede wszystkim kościołem. — A gdzie ksiądz przyjmie gości? — Jakich gości?

— Przecież istnieje zwyczaj zapraszania okolicznych księży z okazji uroczystości odpustowej. — A więc wspaniale! Odprawimy uroczystą sumę, a po niej piękną procesję. — A potem przyjdziemy na plebanię i będziemy gośćmi księdza. Potrzebny, więc będzie choćby najskromniejszy obiad: zupa, drugie danie, kieliszek dobrego wina...

— Zupa, drugie danie i kieliszek wina...! — powtórzył z jękiem biedny proboszcz. — Tak jest. Nie może nas ksiądz z tego zdyspensować. Jest to stary i piękny zwyczaj. — I to wszystko mam przygotować ja, co mam tylko dwa kulawe stołki —jęknął ksiądz Vianney. — Dziedziczka przyjdzie księdzu z pomocą — podpo wiedział proboszcz z Miserieux. — Nie wiem. Będzie to dla mnie bardzo niezręczna sprawa. Jak mogę teraz iść i prosić o to, skoro odesłałem jej wszystkie meble.

Tymczasem wrócił mały czerwonoskóry, wywijając triumfalnie butelką. — Czy przypadkiem nie...? — zapytał ksiądz z niedowierzaniem. — Nie ukradłeś, myśli ksiądz. Ależ nic podobnego! Tatuś mi dał i powiedział, że to stare wino i z dobrego roku.

—, Ale ja nie mogę go przyjąć. Nie jesteście przecież milionerami, a u was w domu jest dużo dzieci. Chłopak roześmiał się. — A teraz muszę już wracać do malowania. — A więc, drogi konfratrze — rzekł ksiądz Ducreux — czy w dalszym ciągu podaje ksiądz w wątpliwość istnienie dobrych ludzi w Ars?

Podczas gdy stary kapłan z przyjemnością popijał wyborne wino, ksiądz Vianney ledwie zamacał w nim wargi. — Nie jestem przyzwyczajony do wina. Idzie mi do głowy. Ale ma ksiądz rację, są także dobrzy ludzie w Ars, a nawet wspaniali. Byłem niesprawiedliwy względem swoich parafian.

— A, widzi ksiądz. Na przyszłość niech ksiądz będzie mniej surowy dla swojej owczarni. W najbliższą niedzielę zaś, zamiast ciskać gromy i ogień z ambony, niech ksiądz trochę pochwali swoje owieczki. Zobaczysz ksiądz, że więcej przez to zyska niż przez gorzkie wyrzuty, które potem wywołują przekleństwa.

— Obym mógł zawsze chwalić!... — westchnął ksiądz Vianney. — Jakże bardzo chciałbym to robić! Ale jest tak wiele braków w parafii! Szczególnie teraz, w miesiącach letnich. Nawet w niedzielę ludzie od wczesnego ranka wychodzą w pole, a furmani robią piekielny hałas na ulicy, jakby nie był to Dzień Pański, ale powszedni. Kowal wali w kowadło, a szewc przybija zelówki. Nawet kobiety robią porządki na gospodarstwie, jakby specjalnie tę robotę odkładały do niedzieli

— Gwałcenie niedzieli jest grzechem spotykanym we wszystkich wioskach — rzekł ze smutkiem proboszcz z Miserieux. — Trzeba go zwalczać z wielką cierpliwością. — Z cierpliwością, z cierpliwością!... Jak mogę być cierpliwy, skoro widzę, że moja parafia

przez to gwałcenie niedzieli leci wprost do piekła? Niech mi ksiądz wierzy, drogi księże, że diabeł w Ars został spuszczonej z łańcucha.

— Powoli, powoli! Nie jest aż tak źle! Nie trzeba zaraz wszędzie dopatrywać się diabła tam, gdzie wchodzi w grę tylko ludzka słabość. W każdym razie, niech mi ksiądz obieca, że w najbliższą niedzielę nie da się ksiądz ponieść. — W dzień odpustu obiecuję. Ale chciałbym już pójść do kościoła, by przypadkiem chłopak nie pochlapał mi całego ołtarza. — Niech mi ksiądz wybaczy, że przeszkodziłem w pracy. Zresztą moja misja jest już skończona.

Ksiądz Vianney spiesznie wrócił do kościoła. Musiał przyznać, że mały Cinier nie tak znowu źle wywiązał się z zadania. — Pomyśl tylko — rzekł po jakiejś chwili pracy w milczeniu ksiądz — w najbliższą niedzielę okoliczni księża przyjadą do mnie w gościnę. Potrzebna mi będzie zupa, drugie danie i dobre wino.

— O Boże! — zawołał chłopiec. — Przecież ksiądz nie ma nawet jednego porządnego krzesła. Czy księża będą siedzieć na podłodze? — Nie wiem, co zrobić — westchnął ksiądz Vianney. — Dobrze, niech się ksiądz nie martwi. My to jakoś zorganizujemy.

— W dwa dni później, po szczęśliwym zakończeniu malowania, ksiądz Vianney wczesnym rankiem udał się w drogę do Lyonu, gdzie zakupił dwie główki aniołków w stylu barokowym. W przeddzień, bowiem podjął skromną swoją pensję i dzięki temu czuł się teraz niezmiernie bogaty. Wpadł też na chwilę do pana Jaricot, który mu zaproponował nocleg u siebie. Ale ksiądz Vianney wytłumaczył mu, że absolutnie nie może zostawić wioski bez Mszy świętej jutro rano. Mimo więc niemiłosiernego upału, pod wieczór wybrał się w powrotną drogę.

Noc już była, gdy straszliwie zmęczony i zlany potem stanął u drzwi swojej plebanii. Ku wielkiemu zdziwieniu stwierdził, że w jadalni paliło się światło. Wszedł, więc i zobaczył duży stół ustawiony na olbrzymim dywanie, otoczony dwunastoma krzesłami. W dwóch zaś dużych miętko wyściełanych fotelach spało dwóch chłopców.

—, Co się tu dzieje? — zapytał ksiądz, budząc ich. — Czekamy na księdza — wybełkotał, przecierając oczy, Antoś Cinier. — Chcieliśmy zobaczyć minę księdza na widok umeblowania jadalni — dodał syn oberżysty, Franek Pertinand.

—, Co to wszystko ma znaczyć? — zapytał ksiądz. — Przecież to na odpust... — odrzekł żywo Antoś. — Niech ksiądz zaglądnie do spiżarni. Dwanaście flaszek wina. Jak ksiądz myśli, wystarczy? — Skąd tego nabraliście tyle?

— Zebraliśmy wszystkich ministrantów i pościągaliśmy krzesła, skąd się dało. Te dwa fotele — od wójta Mandy, to tu krzesło — od państwa Lassagnes, tamto zaś — od państwa Villier. Stół przynieśliśmy od Andrzeja Verchera. — A wino? Skąd wzięliście tyle wina? — Dwór podarował. Dziedziczka powiedziała, że zajmie się także obiadem — odrzekł Franek, — Dywan jest także ze dworu.

Ksiądz Vianney, zmęczony podróżą, opadł na jeden z foteli i wkrótce zasnął, mimo iż ministranci nadal opowiadali. — Myślę, że ksiądz proboszcz odbył całą drogę tam i z powrotem pieszo — szepnął do kolegi Antoś. — Na pewno. Kamasze są całkiem powykrzywiane. Idź, poszukaj jakiegoś przykrycia. Chłopcy musieli długo szukać, by znaleźć coś, czym mogliby przykryć księdza Vianneya, który zasnął głęboko. Potem na palcach wyszli z jadalni.

Ku wielkiej swej radości proboszcz z Ars w tę odpustową niedzielę ujrzał kościół wypełniony do ostatniego miejsca. Wszyscy księża z sąsiednich parafii, którzy tylko byli wolni, przyjechali na odpust, i dlatego można było sumę odprawić niezwykle uroczyście. Serdecznie uradowany ksiądz Vianney, wygłosił płomienne kazanie, w którym tym razem nie było mowy ani o diable, ani o piekle. Po mszy świętej na ulicę wioski wyruszyła procesja z Najświętszym Sakramentem. Przy okazji można było stwierdzić, że sporo ludzi zaraz odeszło i znikło w czterech oberżach. Niewielu tylko kroczyło ze świecami w ręku za baldachimem. Na czele znajdowali się wójt Mandy, radca Cinier i stary Chaffangeon. Ksiądz Jan-Maria nie widział tego wszystkiego. Wzrok miał utkwiony w Zbawicielu, którego niósł w srebrnej monstrancji. — Błogosław ich, Panie — powtarzał bez przerwy. — Błogosław, Panie, moją parafię.

Niespodzianie księża zastali na plebanii stół suto zastawiony. Pani Renard z córką usługiwały do stołu, a Franek Pertinand i Antek Cinier, ukryci w spiżarni, czuwali nad zaopatrzeniem w wino. Dwanaście butelek okazało się o wiele za dużo. Dzień ten jednak, tak pięknie zaczęty, miał się zakończyć boleśnie dla biednego proboszcza z Ars. Zaraz po południu na placu, w pobliżu kościoła, ozdobionym girlandami i lampionami, zajęli miejsca muzykanci. Oberżysta spod *Mrówki* postarał się o resztę. Poustawiał pod drzewami orzechowymi stoły i krzesła, a ze względu na upał, beczki z winem opróżniały się jedna po drugiej.

Zabawę rozpoczęły stare tańce ludowe, lecz wkrótce zastąpiły je inne, mniej przyzwoite. Wino szło chłopcom do głowy. Zaczęli pokrzykiwać i dwuznacznie żartować z dziewczętami. Następnie ten i ów zniknął ze swoją tancerką. Przez sześć dni ludzie świętowali. Przez sześć nocy diabeł hulał pod drzewami orzechowymi i pogrążał wieś w pijaństwie. Ksiądz Vianney w tym czasie przeżywał męki czyścicow.

— Diabeł tańczy w Ars. Moja parafia tańcząc stacza się do piekła — mawiał. A diabelski taniec szalał. Oberżyci zmieniali się i zastępowali jedni drugich, tak że mocne czerwone wino lało się bez przerwy. Proboszcz zaś płakał nad swoją owczarnią jak ongiś Zbawiciel nad Jerozolimą.

W najbliższą niedzielę w czasie kazania istna ulewa wyrzutów spadła na parafian, którzy pospuszczali głowy. Kobiety zaczęły szlochać, ale mężczyźni zaciskali pięści. Niejeden ostentacyjnie opuścił ławkę i wyszedł z kościoła, trzaskając drzwiami. Jeszcze nigdy niedzielne kazanie nie wywołało takiego oddźwięku w oberżach, gdzie szynkarze znowu zrobili doskonały interes. Tego wieczora proboszcz z Ars biczował się do krwi, żeby odpokutować za grzechy swojej parafii.

## ANIOŁ I DIABEŁ (1818-1821)

Antoni Mandy, wójt gminy w Ars, podniósł zdumiony wzrok na księdza Vianneya, gdy ten pewnego mroźnego wieczora przyszedł do niego i, zupełnie wyczerpany, opadł ciężko na krzesło. — Co się stało? Czy ksiądz źle się czuje? — Czy nie ma pan gdzieś kawałka chleba? — zapytał cicho kapłan. — Od trzech dni nic nie jadłem.

Pocziwy gospodarz, wzruszony do głębi, zawołał żonę i polecił biednemu proboszczowi podać sutą kolację, dodając też szklaneczkę czerwonego wina. — A co ksiądz takiego robił? — zapytał, gdy ksiądz po kilku słowach podziękowania zabrał się do jedzenia. — Ten rodzaj złego ducha można wygnać tylko postem i modlitwą— odrzekł ksiądz, drobiąc chleb.

— Nie rozumiem. Nie wiem, co ksiądz przez to chce powiedzieć. — Mówię o nim, o Grappinie. Pan Jezus powiedział w Ewangelii, że można go pokonać jedynie modlitwą i postem. Chciałem go wygnać, ale on kpi sobie ze mnie i oto, do czego doszło: jestem zmuszony żebrać o kawałek chleba u swoich dobrych parafian. — Ależ ksiądz przesadza, księżo proboszczu. — Diabeł też przesadza — odrzekł przytłumionym głosem ksiądz Vianney.

I tu otworzył swoje serce. Mówił o cierpieniach ostatnich tygodni, o zmartwieniu i trosce o nieszczęsną parafię, która, zdawało się, całkowicie zaprzedała się szatanowi. Mówił o gwałceniu niedzieli, o szaleńczych zabawach pod drzewami orzechowymi, o szyderczych śmiechach tancerzy, o pijackich burdach w oberżach, o wieczornicach na fermach, gdzie działy się rzeczy, których chrześcijanin nie śmie nazwać po imieniu.

— Ma ksiądz słuszność — odrzekł z powagą wójt. — Swawolnie żyją ludzie w Ars, swawolnie... Już od dawna dzieją się te rzeczy we wsi. Muszę jednak dodać, że często obcy przychodzą do nas na te zabawy. — Cała moja praca na nic — odrzekł ksiądz Vianney. — Ja mogę się zamęczyć. Cóż z tego? Grappin jest mocniejszy ode mnie.

— Uczyłem się w katechizmie, że Pan Bóg jest mocniejszy od szatana — odparł Antoni Mandy. — Zresztą ksiądz myli się sądząc, że jego praca nie przynosi żadnych owoców. Ziarno rzucone przez księdza na powierzoną mu rolę zakiełkuje. Owszem, w wielu rodzinach już zakiełkowało.

— Jestem siewcą, który sieje na skalistym gruncie. —, Ale wśród kamieni, księżo proboszczu, wśród skał wyrósł już niejeden piękny kłós. Dojrzałby go ksiądz, gdyby smutek nie przesłaniał mu oczu. Wielu już się opamiętało. W wielu domach zaczęto znów wspólnie odmawiać pacierz a matki lepiej pilnują dzieci. Ksiądz musi uzbroić się w cierpliwość.

— W cierpliwość, w cierpliwość — przerwał kapłan, załamując ręce. — Jak ja mogę być cierpliwy, skoro tu chodzi o dusze nieśmiertelne? — Jest ksiądz synem rolnika — rzekł po chwili namysłu wójt. — Ojciec księdza posiada winnicę, w której i ksiądz pracował. Zatem wie ksiądz dobrze, na czym polega praca winogrodnika. Trzeba się wiele przez cały rok napracować. Mimo to, gdy przyjdzie jesień, zdaje się, że praca była



daremna. A jednak winogrodnik nie traci nadziei. Ufa, że przyszły rok będzie lepszy. Aż wreszcie Bóg pobłogosławi jego trud i winnica przyniesie plon stokrotny. Ksiądz też jest winogrodnikiem, winogrodnikiem Bożym, i dlatego musi posiadać cierpliwość winogrodnika. Dla księdza też przyjdzie dzień, który przyniesie obfite plony.

Długo kapłan patrzył przed siebie. Potem podniósł oczy na wójta i rzekł: — Dziękuję panu za dobre słowa. Równocześnie proszę nie zostawiać mnie samego. Dobrzy ludzie powinni się łączyć, by pomóc mi odnieść zwycięstwo nad złem w naszej parafii. Niech, więc mi pan pomaga, panie Antoni, niech mi pan pomaga.

Był to w rzeczywistości krzyk rozpacz, który przeniknął do głębi duszę wójta z Ars. — Istnieje w parafii Bractwo Najświętszego Sakramentu — rzekł po chwili zastanowienia Antoni Mandy. — Datuje się ono od 1727 roku, ale od czasu rewolucji poszło w zapomnienie. Jest jednak paru mężczyzn, którzy do niego na leżą. Należę ja, stary Chaffangeon, Cinier, Fleury Tréve i paru jeszcze innych. A może by ksiądz spróbował ożywić to stare bractwo? Żeby nasza parafia mogła ożyć duchowo, trzeba, aby mężczyźni zgromadzili się wokół tabernakulum. Od mężczyzn powinno zacząć się nawrócenie wioski. Ksiądz Vianney, który z rosnącą uwagą słuchał tych słów, z początku milczał, potem zaś wstał i uściśnął rękę wójtowi:

— Ma pan rację, ma pan rację. Od mężczyzn musi się zacząć odrodzenie parafii. Oczywiście, chcę ich zgromadzić wokół tabernakulum. Pomogą oni biednemu proboszczowi modlitwą i dobrym przykładem. Bractwo Najświętszego Sakramentu! — Ksiądz zrobił parę kroków, potem zatrzymał się i ciągnął dalej: — Bractwo Najświętszego Sakramentu! Dziękuję panu, panie wójcie! Pokrzepił pan nie tylko moje ciało, ale także ducha. Tak jest, także ducha.

Tego wieczoru ksiądz Vianney wrócił na plebanie pokrzepiony. Zanim jednak wszedł do domu, wstąpił do kościoła, uklęknął u stóp tabernakulum i poprosił Boskiego Mistrza o pomoc w zrealizowaniu planu, jaki podsunął mu parafianin.

W najbliższą niedzielę powiedział o tym planie na kazaniu. Z początku zapisy do bractwa odbywały się powoli i sporadycznie. Stopniowo jednak liczba jego członków wzrastała. Zobowiązywali się oni do odprawiania codziennej krótkiej adoracji Najświętszego Sakramentu w kościele, o ile zajęcia im na to pozwalały. Czuwali także nad porządkiem w czasie nabożeństw kościelnych, spóźniających się i zatrzymujących się we drzwiach kościelnych ponaglali, aby wchodzili do kościoła, oraz przypominali, aby na przyszłość punktualnie przychodzili na Mszę świętą. Starali się też dawać dobry przykład.

Przed wszystkim stary Chaffangeon okazał się pełnym gorliwości apostołem. W długie zimowe wieczory chodził po domach i zachęcał mężczyzn, by wstępowali do bractwa. Wielu wyśmiewało się z niego i lżąc go, wyrzucało za drzwi, ale jego zabiegi nie były zupełnie bezskuteczne. Twarz staruszka ożywiała się, gdy mógł donieść proboszczowi o kolejnych sukcesach.

Z nadejściem wiosny ksiądz, Vianney zauważył, że rozpoczyna się również rozkwit parafii. Zamierzał tego roku bardzo uroczyście, z udziałem bractwa, obchodzić święto Bożego Ciała. Przygotowywał się do tego już długo naprzód. Powiększył liczbę ministrantów. Włożył wiele starań, by ozdobić kościół, ponaprawiać i odnowić paramenty liturgiczne.

Z dziedziczką udał się do Lyonu, by tam w sklepach zakupić nowe paramenty kościelne. Lecz kiedy mu pokazywano bogato haftowane ornaty, nieodmiennie kręcił głową stwierdzając: — Nie, nie. Nie są one dość piękne. Zaskoczeni tym sprzedawcy przyglądali się wiejskiemu proboszczowi w wytartej sutannie i Annie des Garets, nie mogąc ukryć zdumienia, że najpiękniejsze nawet rzeczy nie znajdowały łaski w oczach księdza Vianneya. W końcu spośród wielu pięknych paramentów wybrał jeden najwspanialszy ornat, lecz aż podskoczył z przerażenia, gdy usłyszał bardzo wysoką cenę, podaną przez kupca. Jednakże dziedziczka wspaniałomyślnie otworzyła sakiewkę i uregulowała rachunek. U złotnika zaś kupili srebrną, masywną monstrancję z lunulą wysadzaną drogimi kamieniami. Bractwo Najświętszego Sakramentu zajęło się przybraniem ulicy i ołtarzy. Za zachętą członków tegoż bractwa kobiety uwiły wieńce i ozdobiły domy kwiatami i flagami.

Nadszedł wreszcie długo oczekiwany dzień. Pod baldachimem, niesionym przez czterech członków bractwa, kroczył ksiądz Vianney, niosąc Isnącą monstrancję. Za nim postępowali ze świecami w ręku członkowie Bractwa Najświętszego Sakramentu. Poza nimi niewielu tylko mężczyzn przyłączyło się do procesji. Pomimo to Ars od wielu lat nie widziało podobnej uroczystości. Drżący z uniesienia proboszcz przy każdym ołtarzu intonował *Tantum ergo* i błogosławił monstrancją wioskę, oddając Panu Jezusowi wszystkie domostwa i ich mieszkańców.

— Czy nie jest ksiądz zmęczony? — zapytał po powrocie do zakrystii Antoś Cinier. — Przecież musiało księdza bardzo wiele kosztować dźwiganie w tak wielki upał bardzo ciężkiej monstrancji? — Ależ, moje dziecko — odparł kapłan - jakże mógłbym być zmęczony, niosąc Tego, który mnie nosi na swoich rękach?

Po południu proboszcz zaprosił do siebie ministrantów. Mogli się do woli najeść w ogrodzie porzeczek i czereśni. — Piękna była zabawa — oświadczył Franek Pertinand po powrocie do domu. — Ksiądz proboszcz bawił się z nami w chowanego. Aż brzuch mnie boli, tyle zjadłem czereśni i porzeczek.

— Zawsze mówiłem, że on umie sobie radzić z dziećmi — stwierdził oberzysta spod *Srebrnej Róży*, grając w karty z kilkoma innymi stałymi bywalcami. — Żeby tylko nie ciskał się tak na ambonie. — Tak, tak. Wam, oberzystom, dostaje się niezgorzej — zauważył z przekąsem Perroud. — Ostatnio oberże nazwał diabelskimi warsztatami i szkołami, w których Lucyper naucza. — Chce nas zrujnować — mruzczał rozżłoszczony Pertinand. — Czy my, oberżyści, mamy z głodu umierać?

W tej samej chwili Antoni Mandy mówił do księdza Vianneya: — Widzi ksiądz, że już jest lepiej w Ars. Przyczynia ksiądz roboty swojemu Grappinowi, a sądzę, że nie ma on już ochoty do śmiechu. — Jeszcze mnie pozna ten diabeł z Ars — rzekł kapłan, zaciskając pięści. — Jaki diabeł z Ars? — Jestem przekonany, że każda wioska i miasto nie tylko ma swego anioła stróża, ale ma także swojego diabła. Ars zaś, tak mi się przynajmniej zdaje, ma na karku najgorszego ze wszystkich duchów piekielnych. Ale będzie miał do czynienia ze mną. Zapewniam pana.

Lato tego roku przyniosło księdzu Vianneyowi wielką boleść. Ósmego lipca został wezwany do łoża umierającego ojca, który zamknął oczy pod błogosławiącym gestem syna. Jan-Maria nie zatrzymał się dłużej w rodzinnym domu. Zaraz nazajutrz po pogrzebie pożegnał się z bratem Franciszkiem, który był już ojcem tęgiego synka. Pożegnał też resztę rodzeństwa i krewnych i udał się w drogę powrotną do swojej parafii.

Od tej chwili nie zapominał nigdy w *Memento* mszalnym o swoich kochanych rodzicach, których bogobojny przykład życia stał mu ciągle przed oczyma. Rok powoli zbliżał się ku końcowi. Proboszcz z Ars heroicznie ponosił różne ofiary i umartwienia. Pozwalał sobie jedynie na najkonieczniejsze rzeczy, a był czas, że próbował odżywiać się wyłącznie jarzynami i ziołami. Ku wielkiemu jednak zawstydzeniu uznał, że musi powrócić do ziemniaków. Tak wielka surowość nie mogła nie wywołać smutnych następstw.

Podczas miesięcy zimowych zdrowie proboszcza z Ars pogarszało się coraz bardziej i nie przestawało niepokoić dobrych parafian. Jan-Maria nabawił się choroby. Z powodu wysokiej gorączki całymi nocami nie mógł zasnąć i wypocząć na nędznym legowisku. Do tego przyplątała się róża i reumatyzm. Musiał, więc opuścić swoje legowisko w piwnicy. Ale zamiast wrócić do sypialni, przeniósł swoje legowisko na strych, gdzie je ułożył na podłodze, podkładając pod głowę kawałek drzewa.

Na długo przed świtem zwlekał się z nędznego pośłania, zapalał latarnię i szedł do kościoła. Tu, klęcząc przed tabernakulum, spędzał resztę nocy. Stary proboszcz z Miserieux z wielkim niepokojem śledził pogarszanie się zdrowia swego konfratra. Widząc, że jego uwagi nie odnoszą żadnego skutku, poszedł do dziekana w Trevoux, który z kolei zreferował sprawę biskupowi.

— Zupełnie zrujnuje sobie zdrowie — pisał do rządcy diecezji. — Może jest on i święty, ale jest bardziej nie roztropny niż dziecko. — Ma ksiądz rację — odpisał ksiądz Courbon. — Odnoszę wrażenie, że Ars nie zasługuje na takiego proboszcza. Poszukam mu, więc innej placówki.

Na krótko przed Wielkanocą ksiądz Vianney otrzymał przeniesienie do Salles w departamencie Beaujolais. Delikatne powietrze tej wioski, zbudowanej na stoku pagórka, powinno przywrócić siły choremu. — Niech się dzieje wola Boża! — rzekł wzdychając proboszcz z Ars, i od razu rozpoczął przygotowania do przeprowadzki, nie żegnając się nawet z parafianami.

Kiedy dwaj ministranci, Antek Cinier i Franek Pertinand, wychodzili rano z zakrystii, zobaczyli kilku ludzi z sąsiedniej wioski, jak ładowali na furmankę rzeczy księdza proboszcza. — Co to ma znaczyć? — zapytali przerażeni. — Zaraz zobaczycie — odpowiedział jeden z nich. — Wasz proboszcz wyjeżdża stąd. — Wyjeżdża? A dokąd? — Do Salles koło Beaujolais. Tyleście mu nadokuczali, że nie może dłużej pozostać w Ars.

Jednym susem obydwaj chłopcy wrócili do zakrystii, gdzie ksiądz chował do szafy paramenty mszalne. — Ksiądz chce wyjeżdżać? — pytali, robiąc wielkie oczy. — Tak. Zostałem przeniesiony do innej parafii — odrzekł śmiejąc się ksiądz Vianney.

— Nie dopuścimy do czegoś podobnego — zawołał syn oberżysty z uniesieniem. — W Lyonie nie będą się was pytać o zdanie. Ja muszę słuchać, a wy też musicie się poddać rozkazowi. Na pewno na moje miejsce dostaniecie lepszego proboszcza.

— Nie ma lepszego — zaprotestował Antek. — Zobaczymy, czy ksiądz naprawdę wyjedzie. — Zaraz zobaczycie. Myślę, że ludzie już skończyli ładować moje nędzne graty. — Wyprzężemy konie — krzyknął Pertinand. — Daj spokój. Twój ojciec będzie bardzo zadowolony z mego wyjazdu, i podobnie większość ludzi w Ars.

Obaj ministranci wybiegli z zakrystii z tym zamiarem, żeby zaalarmować wieś. Zanim jednak wrócili z wójtem i paroma innymi gospodarzami, po których musieli biegać na pole, proboszcz i furmanka znikły. — A niech się wóz wywróci razem z końmi! — życzył niezbyt pięknie Antoś Cinier.

Na wieść o wyjeździe proboszcza cała wieś zawrzała. Mężczyźni i kobiety przystawali grupkami na ulicy, i na niejednej twarzy można było dostrzec konsternację. Oberżysta spod *Mrówki* usiłował przekonywać, że dobrze się stało oraz że ten wyjazd wreszcie przywróci we wsi spokój. Ale ludzie szybko mu zamknęli usta twierdząc, że proboszcz miał rację, rzucając gromy na karczmy, gdzie działały się rzeczy niegodziwe, a zwłaszcza w oberży *Pod Mrówką*.

Oberżysta protestował i pewnie kłótnia przerodziłaby się w bójkę, gdyby nie wdał się wójt, nawołując ludzi do rozwagi. Zresztą zdawało się, że nagle wszyscy zaczęli żałować księdza Vianneya. Wielu teraz wstydziło się tego, że przedtem gardłowało na pocziwego księdza. Nie mogło znieść, że ktoś coś złego chce na niego mówić. Dzieci, zwłaszcza przygotowujące się do pierwszej Komunii świętej, płakały. Kasia Lassagne szlochała głośno, aż litość brała patrzeć.

We dworze też zapanowała konsternacja, gdy wójt dał znać o wyjeździe proboszcza. — Trzeba natychmiast jechać do Lyonu — zdecydowała dziedziczka. Z miejsca kazała zaprzęgać konie, zabierając ze sobą do powozu wójta i radcę Michała Cinier. Przez cały dzień, niczym w ulu, wrzało w Ars. Wszędzie dyskutowano wydarzenie. W karczmach padło jeszcze sporo złorzeczeń na odjeżdżającego proboszcza. Publicznie jednak nie śmieli występować nawet najbardziej zagorzali bywalcy oberży i wcześniej niż zwykle opuścili lokale.

Przed wszystkim jednak niezwykle hałaśliwie zachowywali się ministranci. Chcieli odzyskać swego dobrego księdza i grozili, że urządzią głodówkę. Kuria w Lyonie będzie musiała ustąpić.

Wieczorem Antek Cinier i Franek Pertinand snuli się smutni po wiosce, gdy nagle postyszeli na drodze skrzypienie wozu. — Ależ to... — rzekł, ściskając kolegę za ramię. Franek — to... — Oczywiście, to furmanka, która przewoziła księdza — zawołał radośnie Antek. I zrzuciwszy chodaki, obydwaj po bieglu na jej spotkanie. — To oni! — krzyknął mały Cinier, ujrawszy księdza Vianneya siedzącego obok woźnicy.

— Tak, to ja. Będziecie musieli mnie jeszcze znosić w Ars dwa lub trzy dni. Przewoźnik nie chciał przewieźć furmanki. — Przewoźnik to najmądrzejszy człowiek na świecie — zawołał triumfalnie Franek. Tymczasem inni malcy dołączyli do pierwszych, tak że powstała ich gromada, która tańcząc i podskakując wokół furmanki, odprowadziła księdza na plebanię.

Dowiedziano się, że Saona do tego stopnia wezbrała, iż przewoźnik nie zgodził się przewieźć furmanki na drugi brzeg. Chłopcy ze złośliwą uciechą zabrali się do rozładowywania wozu i znoszenia rzeczy z powrotem na plebanię. Potem pobiegli do kościoła i uderzyli w dzwon.

Wkrótce cała parafia zebrała się wokół proboszcza klęczącego przed ołtarzem. Zdecydował się, więc wyjść na ambonę i opowiedzieć całe zdarzenie. Potem dodał: — A teraz odmówmy wspólnie nasz wieczorny pacierz. W zakrystii Antoś Cinier opowiedział księdzu Vianneyowi, że jego ojciec z wójtem i dziedziczką pojechali do Lyonu.

— Nie chcemy, żeby ksiądz wyjeżdżał. — Niczego nie uzyskają — westchnął kapłan, który w czasie drogi zrozumiał, jak bardzo parafia w Ars leżała mu na sercu. Nazajutrz rano wójt zjawił się na plebanii i oznajmił, że rządca diecezji anulował przeniesienie księdza Vianneya do Salles.

— Może zostać w Ars, jak długo zechce, oświadczył nam. Zażądał tylko od nas spełnienia pewnej obietnicy. — Jakiej? — Żebyśmy na przyszłość czuwali, aby ksiądz bardziej dbał o swoje zdrowie. Chorzy księża, powiedział, nie potrafią służyć diecezji. — Tak. Myślę, że w niektórych sprawach będę musiał zmienić mój sposób życia — odrzekł ksiądz Vianney wzdychając.

— Przy okazji — podjął znowu wójt Mandy, ściskając rękę księdza — mógł ksiądz się przekonać, jak bardzo jego owczarnia kocha swego pasterza. Bezwzględna większość parafian szczerze księdza żałowała. Od tej chwili wiele się zmieni w Ars. Zobaczysz ksiądz. Rzeczywiście ksiądz odczuwał coraz bardziej rosnące zaufanie parafian do niego. Żeby ściślej związać swego pasterza z wioską, ludzie w tajemnicy rozpoczęli starania o to, żeby Ars stało się parafią niezależną.

Za zgodą dziedziczki i jej brata wójt wystosował odpowiednie podanie do kurii arcybiskupiej i do króla Ludwika XVIII następującej treści: «Mieszkańcy Ars — pisał — w gorliwości o wiarę, dobre obyczaje i religię proszą o księdza, gwarantując mu utrzymanie.

Obecny kapłan jest człowiekiem niezwykle cnotliwym i dokonał już wiele dobrego dla gminy i całej okolicy. Na nieszczęście, to dobro może zostać w jednej chwili zniweczone przez odwołanie tego duszpasterza. Z tego powodu niżej podpisani gorąco proszą o utworzenie parafii w naszej gminie».

20 lipca 1821 roku podanie zostało przyjęte i na mocy królewskiego dekretu w Ars została utworzona parafia. Był to naprawdę szczęśliwy dzień. Anioł Stróż z Ars triumfował nad szatanem. Grappin jednak był zdecydowany, bardziej niż kiedykolwiek, w dalszym ciągu prowadzić walkę o tę wioskę.

## **GŁUPI CZY ŚWIĘTY (1822)**

Ledwie koguty obwieściły wiosce nowy dzień, a już wszystkie drzwi się otwały, aby wypuścić dzieci, których gromadka skierowała się spiesznie ku kościołowi, gdzie czekał na nie ksiądz Vianney.

—, Dlaczego nie nosisz już kryzy? — zapytała Kasia Lassagne swoją przyjaciółkę Joasię Lardet, ładną dziewczynkę, która lubiła się stroić. — Bo już mi się nie podoba — odparła, kręcąc główką. — Nie rozumiem cię — odrzekła Kasia. — Przecież tak było ci w niej do twarzy. — A ja wiem, dlaczego ona już jej nie nosi — wtrącił się Benuś Treve, dwunastoletni chłopiec.

— Nie mów! — błagała Joasia Lardet, czerwieniąc się. — A właśnie, że powiem. Było to tak. Ksiądz proboszcz zapytał ją ostatnim razem, czy nie odsprzedałaby mu swojej kryzy i że da mu za nią franka. A kiedy Joasia chciała się dowiedzieć, co chce z tą kryzą zrobić, ksiądz odpowiedział: Chcę założyć ją memu kotu. Oto, co słyszałem.

—, Jakie to podłe z twojej strony — wybuchła płaczem ze wstydu i złości dziewczynka. — Ale ja także wiem coś o tobie. — A niby, co takiego? — Kradłeś jabłka w księżym ogrodzie. Widziałam dobrze, jak skakałeś przez płot i napychałeś kieszenie. Ksiądz proboszcz także cię widział, bo akurat stał w oknie. — Widział mnie? — wyjąkał mały rabuś błędny.

— To bardzo źle, że kradłeś jabłka księdzu proboszczowi — rzekł Piotruś Mandy, syn wójta, spluwając z pogardą daleko na ulicę. — Przecież macie dosyć jabłek u siebie w ogrodzie. — Tak, ale plebańskie są lepsze, a ksiądz proboszcz i tak ich nie je — odparł Benuś na swoje usprawiedliwienie.

— Kradzież jest grzechem, a złodziej jest łobuzem — oświadczył Piotruś. — Kraść jabłka to niewielki grzech — odrzekł mały Treve. — To wcale nie jest kradzież. Kiedy mój tatuś był mały, zawsze kradł jabłka z ogrodu proboszcza. Sam mi o tym mówił.

— A więc twój tatuś jest tak samo złodziejem, jak i ty. — Powtórz to — krzyknął Benuś, chwytając za jeden z chodaków. Piotruś chwycił za tę samą broń, i zaraz z rana byłoby doszło do walnej bitwy, gdyby nie wkroczył Antoś Cinier, mówiąc: — Patrzenie, o tam! W ogrodzie ksiądz proboszcz ścina drzewa.

Rzeczywiście zza parkanu dochodziły odgłosy uderzenia topora. Kilka drzew już leżało na ziemi, a Bordin, który we wsi uchodził za głupiego, zabierał się do ścinania najpiękniejszej jabłoni., — Co ty robisz, Bordin? — krzyknął ze złością Antek.

— Przecież widzisz. Wycinam proboszczowi drzewa, — Kto ci to kazał? — Kto mi kazał? — powtórzył idiota, śmiejąc się głupkowato. — A kto, jak nie proboszcz. Dał mi za to cztery franki. — Zaczekaj chwilę! — I Antek Cinier skoczył do zakrystii, gdzie ksiądz Vianney oczekiwał na dzieci, które miały przyjść na religię.

— Bordin, ten głupi, wycina księdzu wszystkie drzewa. Mówi, że ksiądz mu to kazał robić — krzyczał chłopak, trzęsąc się z podniecenia. — Tak, to ja mu kazałem — odrzekł spokojnie ksiądz. — Moje drzewa zasługują na to, ponieważ skusiły nieszczęsnego chłopca do kradzieży.

Wszystkie oczy zwróciły się na Benedykta Treve, który na próżno starał się ukryć za szerokimi plecami wójtowego syna. — Tak, ja wiem, że dla was jabłko na wadze sprawiedliwości nie waży wiele. Ale zapominacie o tym, że jedno jabłko wyгнаło ludzi z raju i pozbawiło ich miłości Bożej. — Ale żeby znowu wycinać wszystkie drzewa — zawołał Antek, zaciskając pięści, podczas gdy inni kręcili głowami na znak niezrozumienia.

— A więc to był grzech śmiertelny? — wyjąkał złodziejaszek. — Nie. Był to grzech powszedni. Ale po grzechu śmiertelnym grzech powszedni jest największym nieszczęściem, jakie może nas spotkać. Jest on gorszy od wszystkich nieszczęść świata, jest nawet gorszy od śmierci. W porównaniu z nim, co znaczy kilka jabłoni? Kazałem je wyciąć, żeby nikogo nie kusily.

— Czy nie szkoda ogrodu? — zapytała niepewnie Kasia Lassagne. — Owszem, szkoda, ale niewielka. Był to ładny ogród i było w nim sporo dobrych drzew. Bardziej jednak mnie boli spustoszenie, jakiego dokonuje w duszy dziecka nawet najmniejszy grzech. Żal mi bardziej drzewa, do którego korzenia Bóg przykłada swoją siekierę z powodu grzechu. Czyż mam czekać, aż to złe drzewo zostanie wycięte i w ogień wrzucone?

Ale dosyć tego. Przejdźmy teraz do lekcji. Stefek Perroud, powiedz mi, jakimi słowami Pan Jezus ustanowił Najświętszy Sakrament? Stefek był już dużym, czternastoletnim dryblasem, o słabo rozwiniętej inteligencji. Niechętnie się też uczył. Tym razem także nie wiedział, co odpowiedzieć. Wystękał jedynie kilka niezrozumiałych słów.

—Stefek, Stefek — rzekł proboszcz, poważnie kiwając głową, — jeżeli nie przyłożysz się do nauki, nie będę mógł cię dopuścić do pierwszej Komunii świętej, pomimo wielkiej przykrości, jakiej doznaję na myśl, że Pan Jezus będzie musiał tak długo na ciebie czekać.

Leniuch zwiesił głowę, zawstydzony. Antoś Givre, pastuszek, który pokazał nowemu proboszczowi drogę do Ars, wypadł nieco lepiej. Mały Cinier też miał pewne trudności. Jeszcze ciągle myślał o jabłoniach w proboszczowskim ogrodzie. Naturalnie,

najlepiej odpowiadały dziewczynki. Oczywiście, Kasia Lassagne odpowiedziała na wszystkie pytania.

Po lekcji na ulicy rozgorzała bitka. Główną ofiarą padł złodziejasek jabłek. Z zakrwawionym nosem, z guzami i sińcami na głowie, z rozbitym chodakiem uciekł wreszcie do domu. Tutaj otrzymał poprawkę od matki, której musiał opowiedzieć wszystko, co zaszło. Pani Treve była kobietą uczciwą pod każdym względem. Wydała na świat piętnaścioro dzieci, które wychowywała w surowości.

Na szczęście wdał się ojciec i wybawił syna od nowej porcji razów. — Koniec końców, to ty jesteś winien — stwierdziła żona, gdy chłopak wymknął się z domu. — Benuś nie zrobił nic innego, jak tylko naśladował to, co mu opowiadałeś ze swojej młodości. — Tak, ale proboszcz jest głupi, skoro kazał wyciąć swoje wspaniałe drzewa. Za moich czasów proboszcz tego nie zrobił. Przyrznął mi porządnie kilka razy różgą, i w podobnym wypadku to mi się wydaje bardziej sensowne.

— Nasz proboszcz nie jest głupi, ale święty. — To na jedno wychodzi — mruzczał pod nosem Fleury Treve. Nie był on odosobniony w traktowaniu księdza Vianneya, jako głupiego. Mówi, że jest synem chłopca, a kazał powycinać takie wspaniałe drzewa. Prawdziwy chłop nigdy czegoś podobnego by nie zrobił, powtarzano w wielu domach.

Oberżyści widzieli w tym wydarzeniu wodę na swój młyn. — Zawsze mówiłem — twierdził szynkarz z *Mrówki*, — że u naszego proboszcza nie jest wyraźnie z głową. Trzeba by zamknąć w domu wariatów człowieka, który kazał powycinać drzewa w pełni sezonu. Tylko wariat mógł tak postąpić. — Zresztą w całej wiosce tylko taki półgłupek jak Bordin mógł podjąć się takiego zadania — powtarzali bywalcy. — Bordin i Vianney tworzą dobraną parę. Tylko pytanie, który z nich jest głupszy.

Nawet parafianie dobrze do księdza usposobieni nie mogli zrozumieć swego duszpasterza. Ksiądz Ducreux, który przyszedł odwiedzić swego konfratry w Ars, kiwając głową powiedział: — Źle ksiądz zrobił. Żaden chłop nigdy nie pojmie, jak można wycinać drzewa owocowe. Jeśli o mnie chodzi, to myślę, że był to większy grzech niż kradzież jabłek.

— Rzeczywiście ksiądz tak myśli? — zapytał ksiądz Vianney, przerażony. — Zrobiłem to, aby nie dopuścić do nowych grzechów. — Przecież mógł ksiądz osiągnąć ten sam skutek, na przykład wywieszając na płocie ogłoszenie tego rodzaju: Pozwalam wszystkim dzieciom oraz innym urwisom brać z mego ogrodu tyle owoców, ile im się podoba. W ten sposób ocaliłby ksiądz drzewa i nikt nie mógłby księdza okradać. — Rzeczywiście byłoby to dobre rozwiązanie. Szkoda, że nie pomyślałem o tym. Jestem naprawdę głupi — dodał ksiądz Yianney, spuszczaając głowę.

W całej okolicy wyśmiewano się z głupoty proboszcza z Ars. Nawet księża na zebraniach urządzali sobie żarty z postępku księdza Vianneya. — Poczciwy ksiądz Vianney uprawia logikę świętych — rzekł ksiądz dziekan z Trevoux. W naszych czasach logika ta wydaje się szaleństwem. Ale zostawmy sąd o tym Panu Bogu.



— Czy ksiądz zawsze musi wymachiwać toporem, księżę proboszczu? — zapytała dziedziczka. — Ksiądz jest zbyt radykalny nie tylko w ogrodzie, ale i na ambonie. Ma ksiądz rację, walcząc z nieprzyzwoitymi tańcami. Ja je również potępiam, podobnie jak ksiądz proboszcz. Ale w ubiegłą niedzielę przebrał ksiądz wszelką miarę na kazaniu. W przyszłą niedzielę urządzamy bal we dworze. Przybędzie mój brat, hrabia Franciszek. Zostali także zaproszeni Cibeinsowie i Valbreusowie.

— A więc będziecie tańczyć? — zapytał z goryczą w głosie ksiądz Vianney. — Oczywiście, ale bardzo przyzwoicie. Osobiście dopilnuję dobrego zachowania. — Czy można tańczyć przyzwoicie? Skoro zabroniłem tańczyć ludziom ze wsi, nie mogę pozwolić na to we dworze. Proszę, więc zrezygnować z tego rodzaju rozrywki. A propos, co to za dama z takim nieskromnym dekoltem? — zapytał nagle proboszcz, pokazując jeden z portretów w galerii przodków.

— To hrabina Amelia des Garets. Żyła za czasów Ludwika XIV. Była damą dworu. — Odkrywa szyję, jakby ją przygotowywała pod topór katowski — mruknął proboszcz. — Wtedy była taka moda — odrzekła z uśmiechem dziedziczka. — Powinna pani pozawieszać na ścianach inne obrazy niż te rozdekoltowane damy, które zdają się być przeznaczone dla katowskiego czeladnika — rzekł na odchodnym ksiądz Vianney.

Pocziwa dziedziczka odprowadziła oczyma proboszcza, kiwając głową. Następnie przywołała służącego i rzekła: — Proszę zdjąć ten obraz i wynieść na strych. W następną niedzielę ksiądz Vianney jeszcze raz grzmiał na temat tańców, jako że parafianie nie chcieli się ich wyrzec.

— Widzicie, moi drodzy, ci, którzy chcą tańczyć, zostawiają przed drzwiami anioła stróża, a wchodzą na salę z diabłem. W sali tanecznej jest tylu szatanów, ilu tancerzy. **Ale słuchajcie tego, co Bóg oznajmił przez usta proroka: Dzieci tego świata bawią się przy dźwiękach instrumentów muzycznych, a za chwilę są już w piekle.** Trzeba, więc stracić głowę, żeby pójść tańczyć, skoro się wie, że taniec zaludnia piekło. Widziałem starca w okularach, jak o lasce szedł na bal. Widziałem kobietę, jak szła przyjrzeć się tańczącym, niosąc na ręku jedno dziecko, a drugie prowadząc za rączkę. I mówiłem sobie: ci wszyscy ludzie pójdą do piekła. **Taniec jest ohydą w oczach Bożych, obojętnie gdzie się odbywa: pod drzewami orzechowymi, w karczmie czy we dworze.**

Na te słowa setki oczu zwróciło się na ławkę pańską, gdzie tego dnia wraz z dziedziczką siedział jej brat oraz cały szereg zaproszonej szlachty. Hrabina Anna des Garets zagryzła wargi. Niektórzy krewni przybrali obrażone miny. Sam tylko hrabia jakoś dziwnie się uśmiechał.

Po Mszy krytykowano kazanie w oberżach. Naturalnie używano sobie na proboszczu, lecz niektórzy mówili z zadowoleniem: — Ma odwagę. Nie daruje ani chłopom, ani szlachcie. — Teraz już — zauważył ze złośliwą radością oberżysta spod *Mrówki* — błękitnokrwieści nie otworzą mu więcej trzosa.

— To naprawdę niesłychane, na co sobie pozwolił dzisiaj wasz proboszcz — stwierdziła z uniesieniem hrabina Krystyna de Cibeins. — Zna on tylko taniec w ordynarnym wydaniu chłopskim. Czy musiał zaraz mówić o piekle i diabie?

— W każdym razie nie wkładał jedwabnych rękawiczek by powiedzieć to, co miał do powiedzenia — wtrącił z uśmiechem hrabia Franciszek. — Przyznam się, że mi ten człowiek imponuje.

— Jeśli chcesz, możesz trzymać stronę tego narwańca! W każdym razie my nie zrezygnujemy z zabawy. Ładnie by wyglądało, gdyby jakiś wiejski paroch dyktował prawa we dworze.

— Myli się pani, moja droga Krystyno — odrzekł z uśmiechem hrabia des Garets. — Ksiądz proboszcz ma w zupełności rację. Nie będziemy gorzyć pocziwych mieszkańców Ars. Bal się nie odbędzie. Powinniśmy czuć się szczęśliwi, mając proboszcza, który tak bardzo troszczy się o zbawienie naszych dusz. To jest prawdziwy człowiek. Chcę go zaprosić, by dziś wieczorem nas odwiedził.

Gdy stary Saint-Phial przyniósł zaproszenie od hrabiego, ksiądz Vianney zapytał z niedowierzaniem: — A czy będą tańczyć? — Nie, księżo proboszczu. Zgodzeni muzykanci zostali wynagrodzeni i odprawieni do domu. — W takim razie, dobrze, pójdę.

Hrabia nadzwyczaj serdecznie powitał księdza, który zjawił się w swojej wytartej sutannie. — Czyżby kat porwał ową szlachetną damę? — zapytał ksiądz Vianney, widząc puste miejsce w galerii portretów. — Zachorowała na gardło — odrzekł ze śmiechem hrabia, któremu siostra opowiedziała, jak to ksiądz proboszcz zgorszył się wydekoltowanym portretem. — Nie dziwię się.

— Bardzo mi się ksiądz podoba, księżo proboszczu — ciągnął „dalej szlachcic. — Wolę proste, ale słuszne słowa księdza niż cliwe komplementy zeświecczonych kaznodziejów stolicy. Czy nie miałby ksiądz ochoty na drugi dzwon do kościoła? Myślę, że znalazłoby się jeszcze miejsce na wieży?

— Nowy dzwon? Ależ oczywiście! — odrzekł uradowany kapłan. — Poświęcę go Matce Bożej Różańcowej. Chciałem go kupić za własne pieniądze, ale trzos mój jest pusty. — Niech więc ksiądz zamówi nowy dzwon, a ja ureguluję rachunek. — Chyba pan się nie gniewa za to, co powiedziałem dzisiaj rano? — zapytał niepewnie ksiądz. — A czy ksiądz tego żałuje?

— Ależ nic podobnego! Nie mogę przecież żałować żadnego słowa, które mi podyktowało sumienie. — Bardzo słusznie. To mi się podoba. Każę jeszcze po śłać księdzu zająca. — Poprzestańmy raczej na dzwonie. Nie znoszę pieczeni z zająca.

W święto Matki Bożej Różańcowej po raz pierwszy zadzwonił nowy dzwon i odtąd już w każdą niedzielę było słychać jego głos, unoszący się nad domami wioski. — W swoim prostactwie nie wahał się powiedzieć prawdy nawet mieszkańcom dworu — powiedział na najbliższym zebraniu księży proboszcz z Savigneux — i jakby w nagrodę za to otrzymał w podarunku nowy dzwon. Słowo daję, nic z tego nie rozumiem.: —

Widocznie hrabia darzy go wolnością, jaką cieszą się błazny — oświadczył proboszcz z Montmerle. — Ja raczej myślę, że ceni on szczerą właściwą świętym — odrzekł ksiądz Ducreux.

— Niewątpliwie poczciwy ksiądz Vianney przesadza — rzekł z kolei ksiądz dziekan z Trevoux. — Nie mogę też aprobować wszystkiego, co on mówi. Ale myślę, że on swoją brutalną szczerością zyskuje więcej niż my naszym duchem pojednawczym i skłonnością do kompromisów. W Ars, bowiem wiele zmieniło się na lepsze. — Być może, że nieraz siekiera jest lepsza niż rękawiczki — zakończył pełnym zadumy tonem ksiądz proboszcz z Miserieux.

### **DIABEŁ SIĘ WŚCIEKA (1823-1824)**

W mroźny grudniowy poranek 1823 roku ksiądz Jan-Maria Vianney klęczał w bocznej kaplicy, którą niedawno zbudował przy kościele na cześć swego patrona z bierzmowania. Przy nim stała sakwa podróżna, ponieważ prosto stąd miał udać się, do Montmerle, by pomagać w prowadzeniu tamtejszej misji parafialnej. Tymczasem w Ars miał go zastąpić ksiądz z Savigneux.

Ksiądz proboszcz utkwiał wzrok w obrazie Poprzednika Chrystusowego, nad którym widniał wypisany złotymi literami napis: *Jego głowa stała się zapłatą za tanięc*. On także, biedny proboszcz z Ars, nieraz już był bliski utraty głowy z powodu namiętności parafian do tańca. Pięć lat, jakie upłynęły od chwili przybycia do Ars, niewielką tylko przyniosły pod tym względem zmianę na lepsze. Dziś jednak inne troski skłoniły go do otwarcia z dziecięcą prostotą serca przed świętym Patronem.

— Pewno się uśmiechasz w niebieskiej chwale, pewno się cieszysz z pięknej kapliczki, jaką ci zbudowałem. Ale wygląda, że nie zdajesz sobie sprawy z tego, że ja dotychczas wypłaciłem zaledwie murarza i malarza. Ołtarz zaś, na którym jesteś, niestety, nie jest jeszcze zapłacony. I biedny proboszcz z Ars musi unikać spotkania ze stolarzem, który go zrobił, jak jakiś opryszek unika spotkania z policją. Przecież to ty powiedziałeś, że każda góra i pagórek zostaną zrównane, a każda dolina zostanie zasypała. Przecież łatwo mógłbyś mi pomóc zrównać górę moich trosk i kłopotów oraz zasypać dolinę moich długów. Czy ci nie wstyd tak tronować z ołtarza, za który stolarz nie dostał nawet jednego franka? Pomóż, mi, a będę ci wdzięczny do końca mego życia.

Ale święty w dalszym ciągu zdawał się uśmiechać, niewiele sobie robiąc z kłopotów swego pobożnego czciciela. Wreszcie ksiądz, ciężko wzdychając, wstał z klęczek i wyszedł z kościoła. We drzwiach spotkał Katarzynę Lassagne, która teraz wyrosła już na ładną dziewczynę.

— Moje dziecko, musisz mnie zastąpić przed ołtarzem świętego Jana Chrzciciela. Mam tyle kłopotów z jego powodu. — Wiem o tym. Stolarz przeklina księdza po wszystkich oberżach, bo nie dostał zapłaty za robotę. Chcę modlić się razem z księdzem. — Rób to, rób moje dziecko! Na razie zostań z Bogiem. Wróć za dziesięć dni. I z

zatrokaną miną i sakwą podróżną w rękę puścił się w drogę. Od gór pociągał mroźny, lodowaty wiatr. Księdzu, który szedł bez płaszcza, zrobiło się bardzo zimno. Był jednak tak pochłonięty myślami, że tego nie zauważył.

Na pewno wiele spraw w parafii zmieniło się na lepsze. Oberżyści narzekali, że ich lokale pustoszały coraz bardziej. Prawie wszędzie ustawała praca w niedzielę. Coraz więcej mężczyzn zapisywało się do Bractwa Najświętszego Sakramentu, a mężatki i panny tłumnie garnęły się do nowo założonego Bractwa Świętego Różańca. Nade wszystko zaś ludzie uczęszczali na Mszę świętą. Sporo też ludzi przychodziło na nieszpory, kompletę i wieczorne modlitwy, które ksiądz Vianney codziennie odmawiał z parafianami.

Ale taniec, taniec, to była zawsze ta sama śpiewka! Ani kazania, ani modlitwy, ani nawet surowe umartwienia, jakie sobie za dawał, zdawały się nie odnosić żadnego skutku. Taniec był ostatnim atutem, jaki Grappin trzymał w swoich brudnych diabelskich łapskach.

Mieszkańcy Ars z uśmiechem kiwali głowami, gdy czytali napis na sklepieniu kaplicy, i tańczyli dalej. — Ależ, Grappin, ja nie ustąpię. Nie ustąpię, dopóki demon tańca nie opuści Ars. Oby tylko nieopłacony stolarz nie kazał mi inaczej zatańczyć! Biedny proboszcz wiedział, że ten człowiek, źle usposobiony do religii, rozgłaszał po oberżach oszczerstwa i groził pociągnięciem proboszcza przed sąd biskupi. Winien mu jest pięćset franków. Ale skąd je wziąć? Chyba ukraść?... Pewnie, brat Franciszek od śmierci ojca przysłał mu, co roku trzysta franków, jako część spadku. Ale suma ta, razem ze skromnym uposażeniem proboszczowskim, została już wydana na opłacenie robót murarskich. Co będzie? Pieniądze na pewno nie spadną z nieba.

Tymczasem zaczął padać śnieg, i to tak gęsty, że na krok nie było widać drogi. Ksiądz Vianney posuwał się, więc z trudem naprzód, potykając się o kamienie i grudy zmarzniętej ziemi. Zatopiony w myślach, nie zwracał uwagi na drogę, i prawdopodobnie, dlatego zboczył z właściwej ścieżki. Teraz nie wiedział, gdzie się znajduje. Żeby skrócić drogę, chciał przejść polami na przełaj, i oto teraz szedł gdzieś na oślep po zoranej ziemi.

— Mój święty Aniele Stróżu, przyjdź mi z pomocą — powtarzał żarliwie. Ale godziny mijały, i zaczął ogarniać go lęk, czy przypadkiem nie chodzi w koło. Zauważył też, że dzień zaczyna się mieć ku zachodowi. Lada moment zapadnie zmrok i będzie zupełnie ciemno. Już dawno powinien być na miejscu, a on nawet nie wie, w którym kierunku ma iść.

Pomyślał o świętym Franciszku Regis, który też kiedyś zagubił się w czasie śnieżnej zawiei. Zaczął go, więc jak najserdeczniej przyzywać na pomoc. Tymczasem zgasł ostatni blask dnia. Na czarnym niebie nie świeciła ani jedna gwiazdka. W oddali usłyszał głos dzwonów i starał się iść w tym kierunku. Wreszcie pod nogami poczuł ścieżkę i postanowił iść nią dalej.

Po chwili jednak pociemniało mu w oczach. Zrobił jeszcze kilka chwiejnych kroków, potknął się, podniósł, potknął się znowu i runął jak długi, zupełnie wyczerpany. Zemdlął. Wkrótce śnieg go przysypał. Gdy przyszedł do przytomności, stwierdził, że jest w czymś łożku. Obok niego stał ksiądz proboszcz z Monttmerle i mówił: — Ładne rzeczy nam ksiądz wyprawia, kochany kontratrze! Gdyby przypadkowo ludzie nie napotkali księdza, przysypanego śniegiem, śpiewalibyśmy *Requiem* za spokój jego duszy.

— To święty Franciszek Regis przyszedł mi z pomocą — wyjąkał ksiądz Vianney. — Czy jestem na plebanii? — Nie, proszę księdza, gdyż wszystkie pokoje są zajęte. Jest ksiądz u zacnej pani Mondesert, na ulicy Minimitów. Ona zajmie się księdzem. Rzecz jasna, będziemy musieli prowadzić misje bez księdza. Ale oto i pielęgniarz księdza.

Stara kobieta weszła zatroskana, lecz zaraz uśmiech opromienił jej twarz, skoro ujrzała, że jej gość odzyskał przytomność. — Zaraz zaparzę bzu. Wywoła obfite poty i postawi księdza na nogi. Miejscowy ksiądz proboszcz wycofał się do czekającej nań pilnej pracy. Kiedy zaś pocziwa staruszka weszła ze swoim naparem, stwierdziła, że ksiądz śpi głęboko. Nie chciała, więc go budzić.

Jakież wielkie było zdziwienie księdza proboszcza z Montmerle, gdy nazajutrz rano ujrzał wchodzącego do kościoła proboszcza z Ars i, jakby nigdy nic, pytającego, co ma robić. — Pewnie z godzinkę spóźniłem się, ale zacna pani Mondesert nie obudziła mnie.

— Ksiądz powinien by zostać w łożku. Jeszcze nam się ksiądz bardziej rozchoruje. — Ależ nic podobnego! Chcę odprawić Mszę świętą, powiedzieć kazanie i spowiadać — odrzekł z uśmiechem ksiądz Vianney. — Proszę się o mnie nie troszczyć.

Szybko rozniósł się po wiosce, że proboszcza z Ars znaleziono w śniegu na wpół zamarzłego. Ludziska z niezwykłym wzruszeniem słuchali kazania odważnego księdza, który z ambony rzucał zdania pełne ognia i mocy. Gdy on przemawiał, kościół był zawsze wypełniony do ostatniego miejsca, a ludzie nie śmieli nawet oddychać, łowiąc każde jego słowo.

— To dziwne — powiedział na plebanii jeden z misjonarzy. — On mówi prosto jak dziecko. Gdyby ktoś z nas wygłaszał te same słowa, na pewno nie osiągnąłby żadnego skutku. Jego jednak ludzie, mężczyźni i kobiety, słuchają z zapartym tchem, a wielu ma łzy w oczach. — Dlatego, że on jest święty — odpowiedział ksiądz dziekan z Trevoux.

W mojej parafii spotkał się z takim samym przyjęciem. — Ale dlaczego to on nie jada razem z nami na plebanii? — zapytał któryś z księży. — Pani Mondesert zajmuje się nim — odrzekł proboszcz z Montmerle.

Ze swej strony pani z ulicy Minimitów była przekonana, że jej gość stołuje się na plebanii, albowiem zaledwie na kilka minut zjawiał się u niej około południa, a potem zaraz odchodził. Była jednak zaskoczona tym, że ksiądz Vianney zaraz pierwszego dnia poprosił ją, aby mu ugotowała garnek ziemniaków.

W czasie ostatnich dni misji proboszcz z Ars do późna w nocy pozostawał w konfesjonale, ponieważ prawie cała parafia chciała się spowiadać u tego świątobliwego

księdza. — Kiedy nasz sąsiad z Ars przychodzi na misję, my nie mamy nic do roboty — zauważył ksiądz dziekan z Trevoux. Pomimo to niektórzy księża nie mogli pozbyć się pewnego rodzaju zazdrości i księdzu Vianneyowi okazywali niezbyt pogodne oblicze.

Proboszcz zaś z Montmerle był bardzo zadowolony i przy pożegnaniu bardzo serdecznie księdzu Vianneyowi podziękował. — Niestety, nie mogę księdzu dać żadnej zapłaty, gdyż moja parafia jest bardzo biedna. Ale mam bardzo dobre spodnie z ładnego welwetu. Na mnie są one trochę za ciasne. Na księdza na pewno będą w sam raz.

Proboszcz z Ars z wahaniem przyjął podarunek, ale ubrał się w nowe spodnie, a swoje, całkiem wytarte, włożył do sakwy. W swojej wielkiej skromności nie dał poznać konfratrowi, że wolałby raczej kilka franków.

Ksiądz proboszcz z Montmerle udał się na ulicę, Minimitów, by podziękować zacnej pani Mondesert za użyczoną księdzu Vianneyowi gościnę. — Musiała go pani dobrze karmić, skoro nigdy nie jadał z na mi na plebanii. — Jak to? Przecież on u mnie nie jadał. Poprosił mnie tylko o garnek ziemniaków — odrzekła poczciwa kobieta, zdziwiona. — Ale... byłabym zupełnie zapomniała o tym garnku.

Poszła więc do pokoju gościnnego i znalazła za piecem opróżniony garnek. — O Boże! Toż to on przez cały czas misji żył tylko ziemniakami — zawołała, opadając na krzesło. Mniej więcej w tym samym czasie ksiądz Vianney spotkał na drodze zmarłego włóczęgę. I spodnie proboszcza z Montmerle spotkał ten sam los, jaki kilka lat temu spotkał spodnie podarowane przez kupca z Lyonu, pana Jaricot. Zdjął je za krzakiem, a z powrotem ubrał swoje zniszczone spodnie, gdy tymczasem żebrak wdział na siebie doskonały lionński welwet.

Kapłan pomyślał wtedy o słowach wypowiedzianych przez Poprzednika Chrystusowego nad brzegiem Jordanu: „Kto ma dwie suknie, niechaj jedną da temu, kto nie ma żadnej. — To samo musi się odnosić także i do spodni — powiedział sam do siebie, uśmiechając się ksiądz Vianney. — Ale w zamian, wielki święty Janie Chrzcicielu, pomożesz mi opłacić stolarza.

Ciężko westchnął biedny księżyna na widok ośnieżonych dachów i białej wieży kościoła swojej parafii. A nuż przed plebanią stoi stolarz z rachunkiem? Zaledwie jednak zrobił kilka kroków na ulicy wioski, gdy oto jakaś nieznajoma pani, ubrana z miejską, podeszła do niego i zapytała: — Czy to ksiądz jest proboszczem w Ars? — Tak, to ja — odrzekł ksiądz Vianney. Ku wielkiemu zdumieniu księdza nieznajoma pani wyjęła z torebki kopertę, mówiąc: — Niech to ksiądz przyjmie na jakiś dobry cel. Zaledwie biedny księżyna zdołał wyjąkać kilka słów podziękowania, gdy dama wsiadła do czekającego na skraju drogi powozu i odjechała. Gdy otworzył kopertę, stwierdził, że znajdowało się w niej sześć stufrankowych banknotów. — O Boże! Jak szybko przyszła pomoc?.. — jęknął. I nie zwlekając ani chwili pobiegł do kościoła, by podziękować za nią Poprzednikowi Chrystusa.

Stolarz był bardzo zadowolony, kiedy ksiądz proboszcz odliczył mu całą należność za pracę. — Ależ, księżu proboszczu, nic się nie spieszyło. Doskonale wiedziałem, że mogę na księdzu polegać. — A jednak, jak mi się zdaje, przedtem słyszałem inną śpiewkę — odrzekł z uśmiechem proboszcz. — Ale niech pan nie zaniesie tego wszystkiego do karczmy. — Nie ma obawy. Mam w domu siedem gąb do nakarmienia. — Tym bardziej jest mi przykro, że nie mogłem wcześniej panu zapłacić.

Tymczasem nowe plany dojrzewały w głowie proboszcza z Ars. Dotychczas wioska nie posiadała szkoły we właściwym tego słowa znaczeniu. Tylko podczas zimowych miesięcy przebywał tu jakiś nauczyciel, który wspólnie dziewczynki i chłopców poduczał nieco czytać, pisać i rachować. Tak bardzo troskliwemu duszpasterzowi nie podobała się szczególnie ta wspólna nauka. Ponadto dziewczynki potrzebowały innych wiadomości ze względu na to, że miały kiedyś zostać dobrymi gospodyniami.

— Muszę założyć szkołę dla dziewcząt — postanowił proboszcz, i zaraz zabrał się do poszukiwania odpowiednie go pomieszczenia. Znalazł je w bezpośrednim sąsiedztwie kościoła. Nie miał tylko potrzebnych pieniędzy na zakup domu.

— Kasiu — zwrócił się pewnego wiosennego poranka 1824 roku do młodej Lassagneówny — musisz się znowu razem ze mną modlić, bo mam nowy projekt. Młoda dziewczyna obiecała swoją pomoc w modlitwie, lecz z istic kobiecą ciekawością zaczęła wypytywać, na czym ten projekt polega.

— Chcę kupić dom, żeby założyć w nim szkołę dla dziewcząt. Ty będziesz w niej pierwszą nauczycielką. — Ja nauczycielką? — zawołała zdziwiona Kasia. I za niosła się śmiechem aż do łez. — Co w tym śmiesznego? — zapytał proboszcz, marszcząc brwi.

— Ależ ja ledwie, jako tako umiem pisać. Niewiele zdołaliśmy się nauczyć podczas zimy z nauczycielem. — Nauczysz się, czego trzeba. Po Wielkanocy pójdziesz do sióstr józefitek do Fareins. Te dobre zakonnice nauczą cię wszystkiego, co jest konieczne do prowadzenia szkoły. Gdy zdobędziesz odpowiednie wiadomości, wrócisz i będziesz nauczycielką. Nie mogę ci obiecać pensji, ale nad koniecznymi wydatkami będę czuwał.

— Jesteśmy biedni i tatuś nie będzie mógł płacić za naukę. — Biorę to na siebie. Ale, czy przypadkiem nie znasz jeszcze jednej dziewczyny, która by przystała na mój projekt? — Jest przecież Benedykta Lardet — odrzekła bez wahania Kasia.

— Rzeczywiście. Masz słuszność. Porozmawiam z nią. Ostatecznie obydwie dziewczyny udały się do Fareins, gdzie siostry józefitki zajęły się ich wykształceniem. Ksiądz proboszcz zaś rozpoczął kwestę. Hrabia des Garets przekazał mu znaczną sumę. Wójt, Fleury Treve, Michał Cinier i inni parafianie dołożyli swoją część. Jaricot oraz paru innych dobrodziejów z Lyonu też odpowiedziało na jego prośbę. I tak doszło do zebrania większej części kwoty, potrzebnej do zakupienia domu. Pomimo to, trzeba było jeszcze sporo pieniędzy.

Pewnego ciepłego październikowego dnia ksiądz proboszcz ujrzał przybywającego brata Franciszka. — Przynoszę ci twoją część — rzekł, wyjmując z kieszeni sakiewkę.

Zbiory w tym roku były dobre, a ponadto mogliśmy korzystnie sprzedać wino z 1822 roku. Dlatego, jeżeli ci to odpowiada, mogę ci z góry wypłacić za dwa lata. — Sądzę, że mi to będzie na rękę — odrzekł ksiądz Vianney rozpromieniony. — Pomyślałby jeszcze, kto, że i ty będę klepiesz — wtrącił z niedowierzaniem Franciszek. — A cóż ty myślisz? Biedny wiejski proboszczyna zawsze potrzebuje pieniędzy. I Franciszek wyłożył na stół dziewięćset franków.

—, Ale bądź oszczędny — dodał ze śmiechem, — bo przez następne dwa lata nic nie dostaniesz... — Oczywiście, proboszcz zapewnił, że oszczędnie będzie gospodarował pieniędzmi. Ale skoro tylko brat odszedł, natychmiast pobiegł do starego Lacôte'a, którego własnością był dom przy kościele, i wyłożył mu na stół należność.

W dzień świętego Marcina ksiądz Vianney mógł otworzyć swoją szkołę. Katarzyna Lassagne i Benedykta Lardet, po powrocie z Fareins, zamieszkały w nowo otwartym domu. Przyłączyła się do nich Joanna-Maria Chanay, młoda dziewczyna z Jassans, która miała uczyć dziewczynki robót ręcznych i czuwać nad stroną materialną pozostałych dwóch nauczycielek.

Oby tylko było co do garnka włożyć! Ale kuchnia i spiżarnia świeciły pustkami. I pewnie wszystkie trzy dziewczyny byłyby pomarły z głodu, gdyby nie zlitowały się nad nimi matki oraz inne miłosierne osoby.

Ludzie z Ars chętnie posyłali swoje córki do nowej szkoły. Były też uczennice z sąsiednich wiosek. Wkrótce trzeba było urządzić sypialnię dla szesnastu dziewcząt, pochodzących z dalszych okolic i stąd zmuszonych do zamieszkania na miejscu.

Było to źródłem wydatków dla nieszczęsnej kucharki. Ksiądz proboszcz, bowiem nie chciał od swoich podopiecznych żądać opłaty za naukę ani za utrzymanie. Poprzestawał na tym, co rodzice albo dobrodzieje dawali mu dobrowolnie.

— Nazwałem ten dom *Domem Opatrzności*. A więc Pan Bóg będzie się troszczył o rzeczy konieczne. I rzeczywiście żadna dziewczyna nie cierpiała głodu. Jednakże często wszystkie trzy nauczycielki musiały sobie łątać głowy, żeby wymyślić, co jutro podać wychowankom.

Codziennie około południa dobry ksiądz proboszcz przychodził odwiedzać szkołę. Cieszył się apetytem dziewczynek, podziwiał zapał do pracy, przeglądał uważnie wykonane przez nie prace.

— Mam dość tej całej historii — oświadczył później Andrzej Verchere. — Nie chcę już więcej mieć do czynienia z diabłem. Od tej pory ludzie coraz bardziej byli skłonni wierzyć, że rzeczywiście diabeł wyładowywał swój gniew na plebanii. Ksiądz proboszcz znalazł dwóch innych wartowników, którzy pilnowali go razem. Maciek, starszy syn wójta, rosły i tęgi parobczak, przyszedł spędzić noc ze swym kolegą, Janem Cotton, synem ogrodnika ze dworu, ale ich snu nic nie zakłóciło. Spędzili tak dwanaście nocy na plebanii, lecz nie słyszeli niczego podejrzanego.



Biedny jednak kapłan, który już teraz nie sypiał na strychu, ale w sąsiednim pokoju urządził sobie postanie z chrustu i słomy, myślał, że cały regiment kozaków wyprawia harce wokół jego nędznego legowiska. — Nic nie słyszeliście? — zapytał nazajutrz chłopców. — Nic, zupełnie nic. Może jest ksiądz ofiarą swoich nerwów, które płatają psie figle księdzu. A może raczej ten Grappin jest słyszalny tylko dla uszu księdza, ponieważ boi się naszych pięści — odrzekł Maciek Mandy. — Wielka szkoda — dodał, pokazując swoje mocne bicepsy. — Tak bardzo chciałbym mu przetrzepać skórę. Lecz wkrótce szatan miał uciec się do jeszcze gorszych metod niż dziecinny hałas w sypialni nieszczęsnego księdza proboszcza.

### «ECCE HOMO» (1826-1827)

Wieczorem w drugą niedzielę Adwentu 1826 roku pani Renard weszła do kościoła z oznakami wielkiego podniecenia i zaczęła wzywać proboszcza z Ars do chorej. — Chodzi o wdowę Martin, moją sąsiadkę. Nie chce umierać bez zobaczenia się z księdzem. Ksiądz wyszedł z konfesjonatu, poprosił długi rząd penitentów, w większości przybyłych z sąsiednich wiosek, żeby zechcieli cierpliwie poczekać, aż wróci, i opuścił kościół. Wprawdzie tego samego dnia rano zaopatrzył biedaczkę, ale nie chciał odmawiać jej ostatniego błogosławieństwa.

Umierająca, żółta jak wosk, leżała na łóżku i z trudem oddychała. Swoimi wielkimi, rozgorączkowanymi oczyma spojrzała na księdza Vianneya i wyciągnęła ku niemu drżącą rękę. — Jak ja się cieszę, że widzę księdza, księżę proboszczu. Ja się tak bardzo boję. — Niech pani będzie spokojna — odrzekł kapłan, siadając przy łóżku. — **Śmierć nie jest czymś złym. To postaniec Boży. Przychodzi po panią, aby ją zaprowadzić do Boga.** — Ja boję się o Krystynę — jęknęła umierająca. — Nie byłam dla niej dobrą matką. Spełniałam zawsze jej zachcianki. Ona nie jest na dobrej drodze. Bóg mnie o nią zapyta, a ja nie będę wiedziała, co odpowiedzieć.

— Gdzie jest pani córka? — W Savigneux. — Co tam robi? — Tańczy w oberży *Pod Czarnym Koniem*. Tak bardzo ją prosiłam, żeby została w domu, bo czułam, że mój koniec się zbliża. Ale ona nie chciała mnie posłuchać. Od dawna już mnie nie słucha. — Pójdę po nią. Pani Renard, niech pani tymczasem zostanie przy chorej. — Ależ mogłabym ja... — zaoponowała szwaczka. — Penitenci na księdza czekają. — Niech czekają. Tę sprawę chcę sam załatwić.

Dziki hałas uderzył w uszy księdza, gdy otworzył drzwi do oberży. Muzykanci, spostrzegłszy go, nagle przestali grać, a kilka dziewcząt wymknęło się z objęć swoich partnerów. Ale kawalerzy patrzyli spode łba na intruza.

— Tak to profanujecie święty czas Adwentu! — zawołał potężnym głosem ksiądz Vianney i równocześnie oczyma szukał młodej dziewczyny, aż ją znalazł w kącie sali. — Chodź ze mną. Twoja matka umiera. Dziewczyna, cała zmieszana, oprzytomniała i opuściła salę taneczną. Ci, co znajdowali się blisko, zrozumieli, co jej ksiądz powiedział, ale inni zaczęli się śmiać, nawet zanim ksiądz Vianney zdołał zamknąć drzwi za sobą.

— Widzieliście — zawołał wysoki, podziobany przez ospę dryblas — proboszcz z Ars przyszedł po swoją kochanicę. — Taki to ten wasz święty? — zawołało kilku chłopców do dziewcząt z Ars, które ze wstydu pokryły się po kątach. — Nie jest lepszy od innych. Nic dziwnego, że jest blady jak śmierć. Ma wypisane na twarzy wszystkie siedem grzechów głównych.

— Nic wstyd ci tańczyć, gdy twoja matka kona? — wyrzucał ksiądz, idąc długimi krokami obok dziewczyny, wśród lodowatej nocy. — **Ja tylko patrzyłam. — Tym gorzej, bo nawet, jeżeli ty nie tańczysz, tańczy twoje serce.** — Młodym jest się tylko raz — obstawała przy swoim.

Dalej szli w milczeniu. Lecz kiedy przyszedli do domu, zastali chorą nieruchomo leżącą na poduszce. — Dopiero, co skonała — oznajmiła pani Renard, patrząc z wyrzutem na dziewczynę. Ta ostatnia zaczęła przeraźliwie krzyczeć i rzuciła się na łóżko matki, płacząc rzewnymi łzami. — Przestań płakać — rzekł po chwili ksiądz. — Łzy tu już nic nie pomogą. Śmierć matki była ciężka z twojego powodu. Odmówmy wspólnie *Ojciec nasz* za spokój jej duszy. Następnie ksiądz Vianney wrócił do kościoła, gdzie penitenci cierpliwie wciąż czekali na niego.

W ciągu następnych miesięcy obserwował nieszczęsną Krystynę z rosnącym niepokojem. Zmieniła się zupełnie. Straciła swoje świeże rumieńce i, o ile mogła, unikała spotkania z proboszczem. Pewnego dnia jednak udało mu się ją spotkać z bliska. Z tajonym niepokojem zapytał ją: — Co ci jest, moje dziecko? — Lecz dziewczyna zrobiła tylko przeczący ruch głową i uciekła.

— Spodziewa się dziecka — wyjaśniła nieco później pani Renard księdza Vianneya. — Ta dziewczyna jest zgorszeniem dla całej wioski — ciągnęła dalej — i dlatego swojej zabroniłam z nią się zadawać. — Źle pani zrobiła — odrzekł ksiądz. — To biedne dziecko zgrzeszyło, ale teraz potrzebuje wielkiej miłości ze strony pani.

— Może ksiądz żądać ode mnie wszystkiego, księżo proboszczu, z wyjątkiem tego — odparła oburzona pani Renard. — Noga moja nie postanie w tym domu, gdzie mieszka grzech. Nie rozumiem, jak ksiądz, który potępia najmniejsze nawet przewinienia, może ode mnie żądać czegoś podobnego. — Dlatego, że nienawidzę grzechu, ale kocham grzesznika. Ta nieszczęśliwa dziewczyna została dostatecznie już ukarana za swoją lekkomyślność. Ale z powodu nieszczęścia ma prawo do naszej litości.

W ciemną wrześnieją noc Krystyna Matin wydała na świat dziecko. Tylko pani Renard, na formalne polecenie księdza proboszcza, była przy niej. Wcale nie ukrywała, że robi to wbrew woli. Nazajutrz przyniosła noworodka do chrztu.

Wiść o urodzeniu się dziecka lotem błyskawicy obiegła wioskę. Kobiety przy studni rozmawiały o nieszczęsnej matce z oburzeniem lub ze złośliwą uciechą. Pewnego wieczoru zebrało się kilku chłopców z sąsiednich wiosek, poszło pod jej dom i urządziło kocią muzykę. Podczas gdy ludzie przywoici na ogół trzymali się z dala od tej sprawy, najbardziej wyuzdani w ten hałaśliwy sposób wyrażali swoje oburzenie.

Wrzawa robiła się coraz większa. W końcu kilku szaleńców porwało za kamienie i powybijało szyby w oknach izby nieszczęsnej dziewczyny. Nagle aktorzy tej brzydkiej sceny rozbiegli się, jakby grom w nich uderzył. Zjawił się, bowiem wśród nich ksiądz proboszcz, błądzący ze świętego oburzenia, i zawołał potężnym głosem:

— Nie macie krzty wstydu w duszy, żeby mieć czelność naigrawać się z tej biednej dziewczyny! Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy w nią rzuci kamieniem? Gromada natychmiast się rozproszyła. Ale jeden z chłopców pozwolił sobie na następującą uwagę: — Patrzcie no, kto to teraz bierze w obronę tę dziwkę! — Tak, a nam nie pozwala na niewinny taniec... — dodał inny. — Czy nie wiecie, dlaczego to robi? — ciągnął dalej chłopak z sąsiedniej wioski. — Pamiętacie przecież, że przyszedł po nią pod *Czarnego Konia*. Wtedy byli i tacy, którzy nazwali ją jego kochanicą. Może, więc...

Inni chłopcy okazali niedowierzanie. Ale potwarz przeniknęła do tych wieśniaczych umysłów. Tu i ówdzie dało się słyszeć potwierdzenie, przypuszczenie, którego na razie nikt nie śmiał publicznie wypowiedzieć. Uczciwi ludzie we wsi potrząsali z oburzeniem głowami, słysząc takie niemądre osądzenie.

Antek Cinier, który wyrósł na porządnego chłopca, obiecał zbić na kwaśne jabłko każdego, kto by mu podobne brednie opowiadał. Pomimo wszystko szemrania nie ustawały. Mówiono o tym przyciszonym głosem w oberżach, a zwłaszcza *Pod Mrówką*.

Pewnego dnia rozeszła się wieść, że Krystyna Martin opuściła Ars, zostawiając dziecko, które niechybnie byłoby zmarło, gdyby nie pomoc pani Renard. Nikt nie wiedział, gdzie się nieszczęsna dziewczyna podziała. Ale w trzy dni później przywieziono jej zwłoki, wydobyte z Saony, koło Villefranche.

— Nie wiedziała, co robi — orzekł, głęboko wstrząśnięty, ksiądz Vianney. — To okrucieństwo ludzi pchnęło ją do samobójstwa. Nie była przy zdrowych zmysłach, skoro zostawiła dziecko i rzuciła się do wody. Nie wahał się, więc pogrzebać zwłok denatki w poświęconej ziemi na cmentarzu.

— Ksiądz proboszcz na pewno wie, co robi — mówili dobrze myślący ludzie. Lecz inni nie ukrywali oburzenia. — Samobójczynię pogrzebał na naszym cmentarzu. Złożył na wieczny spoczynek samobójczynię obok naszych krewnych. Cmentarz został sprofanowany. — Teraz łatwo można się domyślić, dlaczego to zrobił — stwierdził, wzruszając ramionami, oberżysta spod *Mrówki*. — Jeżeli rzeczywiście sprawy mają się tak, jak o nich się mówi, to jest jasne, dlaczego nie pochował jej w kącie przeznaczonym dla samobójców — rzekł jeden z bywalców oberży. I te bezmyślne plotki znalazły wkrótce nowy żer.

Pani Renard odmówiła schronienia u siebie w domu dla dziecka jawnogrzesznicy. Poprosiła, więc księdza Vianneya, aby poszukał dla niego innego przytułku. Zatem ksiądz proboszcz wziął dziecko na ręce i zaniósł je na drugą stronę ulicy do *Domu Opatrzności*. — Oto, co wam Bóg przysła — rzekł do Katarzyny Lassagne. — Dziecko grzechu? —

jęknęła, patrząc ze zdumieniem na księdza. — Dziecko Boże — poprawił ją ksiądz Vianney poważnie. — Osobiście je ochrzciłem. Bądź, więc dla niego dobrą matką.

Od tej chwili plotkarze nie uznawali już żadnych granic. Rzecz była zbyt oczywista. — To jego! — gardłowano w oberżach. — To dziecko jego grzechu. Dlatego też zaopiekował się i matką. Dlatego pochował samobójczynię w poświęconej ziemi. A na dodatek swoim dzieckiem kala *Dom Opatrzności* i chce, żeby nasze córki oddychały tym samym powietrzem, co i to dziecko grzechu.

Pewnego wieczora kawalerzy przedefilowali pod oknami plebanii, śpiewając obelżywe piosenki. Na koniec kamieniami powybijali szyby w oknach. Doszło wreszcie do tego, że wielu parafian, którzy z początku nie dawali wiary oszczerstwom rzucanym na proboszcza, zaczęło tracić do niego zaufanie. Kiedy ksiądz Vianney przechodził ulicą, niejedyn, który przedtem przyjaźnie go pozdrawiał, teraz zaledwie uchylał czapki. Na plebanię wysyłano obraźliwe listy, a na drzwiach przybijano obelżywe plakaty.

— Trzeba coś z tym zrobić, księżo proboszczu — rzekł pewnego dnia wójt. — Ci, którzy księdza znają, nigdy nie uwierzą w te brednie, lecz wielu nie wie, co o tym wszystkim sądzić, dlatego że ksiądz milczy. Niech się ksiądz broni z ambony przeciw oszczerstwom, a oszczerców niech pozwie do sądu. Skoro jednego czy drugiego rozrabiakę zamkną w więzieniu, zobaczy ksiądz, że dadzą księdzu spokój.

— Nie, nie! Nie będę się bronił ani nie będę nikogo pozywał do sądu. Owszem przewiduję, że przyjdzie czas, gdy mnie kijami wypędzą z wioski, kiedy nawet biskup zwątpi we mnie i cofnie wszystkie moje uprawnienia, kiedy zamkną mnie w więzieniu, żebym mógł opłakiwać moje nędzne życie.

— A więc — podjął znowu wójt — ksiądz nie chce się bronić? — Jakże mógłbym się bronić przed krzyżem, który mi Pan Bóg włożył na ramiona? Nie, nie będę się bronił. Błogosławię mój krzyż. Właśnie w krzyżu znajdę pokój. Całe nasze nieszczęście płynie stąd, że nie kochamy krzyża.

— Biedny mój księżo proboszczu, jak bardzo ksiądz musi cierpieć! — Tak cierpię, jak nigdy jeszcze nie cierpiałem. Wobec tego cierpienia wszystkie inne jakby nie istniały. Dzisiaj dziecko, które zazwyczaj wyciągało do mnie rączki, uciekło przede mną, jakbym był diabłem. — Całe dzieło księdza pójdzie na marne... Słyszałem, że niektórzy rodzice chcą zabronić swoim córkom chodzić do *Domu Opatrzności*, a wielu ludzi z sąsiednich wiosek ma zabrać swoje córki.

— Niestety, to prawda! Ale *Dom Opatrzności* jest w ręku Boga. Tak, cierpię do głębi mego serca, lecz jestem szczęśliwy z powodu tego cierpienia. Wiem jednak, że Bóg mnie nie odrzucił, skoro uznał mnie godnym dźwigać krzyż Jego sponiewieranego i zelźonego Syna.

W *Domu Opatrzności* zapanowała prawdziwa rozpacz. Katarzyna Lassagne bardzo często miała oczy czerwone od płaczu, gdy ksiądz Vianney przychodził w odwiedziny. Wtedy mówił do niej poważnym tonem: — Nie mamy żadnego powodu do płaczu.

Przeciwnie, powinniśmy się cieszyć... — Potem kazał podawać sobie malutkiego Bernardzia Matin. Brał go na ręce, pieścił i błogosławił.

— Oby to dziecko nie było nigdy weszło do naszego domu! — narzekała Joanna Chanay. Lecz Katarzyna odpowiadała: — Ksiądz proboszcz wie, co robi. A co on robi, my powinniśmy uważać za dobre.

Benedykta Lardet milczała. Ofiarowała, bowiem Bogu swoje życie za księdza Vianneya. Przez całą jesień obelgi i szykany nie ustawały. Taniec szalał bardziej niż kiedykolwiek, a wszystko, co ksiądz zbudował za cenę tak wielkich wysiłków w ciągu tylu lat, nagle zdawało się rozpadać. Był *Domu Opatrzności* został zagrożony. Obecnie, gdy proboszcz szedł po kweście, zastawał domy zamknięte. Nieraz mu odpowiadano, że owszem, gotowi są przyjść z pomocą szkole, ale pod warunkiem, że zostanie stamtąd usunięte dziecko grzechu.

— Zostanie tam dopóty, dopóki starczy mi tchu w piersi — odpowiadał ksiądz. — Niech ksiądz powie, choć słowo, księżu proboszczu — błagał pewnego dnia Antoś Cinier. — Niech ksiądz powie z ambony jeden jedyny raz, że wszystko, co się o księdzu mówi, jest kłamstwem i oszczerstwem, a uwierzmy księdzu. — Czy nie wierzysz mi bez tego oświadczenia? — zapytał ksiądz Vianney z bolesnym uśmiechem.

— Ależ tak, ja księdzu wierzę. Jeśli jednak ksiądz dalej będzie milczał, wtedy... wtedy... — I chłopak odszedł, wzruszając ramionami. — Nawet on — jęknął nieszczęsny ksiądz. — Nawet najwierniejszy z wiernych.

Pewnego dnia zjawił się na plebanii bardzo zatroskany ksiądz dziekan z Trevoux. — Co to się dzieje? Ksiądz biskup otrzymuje różne anonimy, napadające na cześć księdza, i polecił mi całą sprawę zbadać. Nie muszę chyba księdzu mówić, że żaden z konfratrów, którzy księdza znają, nie poddaje w wątpliwość jego niewinności.

— Dziękuję księdzu, księżu dziekanie. Niech, więc ksiądz bada. — Czy zna ksiądz ojca dziecka? — Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć. — Czy ksiądz nie ma żadnego pojęcia, najmniejszego podejrzenia? Ksiądz Vianney potrząsnął głową bez słowa.

— A zatem tylko Bóg jest w stanie wyjawić niewinność księdza — westchnął dziekan. — To naprawdę bardzo bolesna sprawa. We wszystkich wioskach jest ksiądz przedmiotem rozmów. Nawet w Trevoux mówią obelżywie po oberżach. Niech, więc ksiądz jakoś się broni.

—, Co na to mówi ksiądz biskup? — zapytał ksiądz Vianney po krótkim milczeniu. — Jego ekscelencja Devie; biskup diecezji Belley, do której od paru lat został przyłączony dekanat w Trévoux żąda, aby ksiądz poprosił go o przeniesienie, skoro ksiądz nie może publicznie udowodnić swojej niewinności. Uważa, że ksiądz nie może dłużej pozostawać w Ars. — A więc nawet ksiądz biskup? Dobrze. W takim razie zaraz poproszę go o przeniesienie.

— Mam jeszcze jedną propozycję — rzekł ksiądz dziekan. — Niech ksiądz urządzi misje parafialne. Może one skłonią parafię do opamiętania. — Misje parafialne? Tak, to

na pewno najlepsza rzecz, jaką można zrobić — odrzekł ksiądz Vianney. — Niech Bóg łaskawy pokieruje wszystkim jak najlepiej! — westchnął ksiądz dziekan i pożegnał się z proboszczem z Ars.

Dzwony w Ars zwiastowały godzinę łaski. Misjonarze z Lyonu nawoływali parafian do szczerego nawrócenia serca. Pomimo to, pierwsze dni misji nie przyniosły oczekiwanego skutku. Młodzież w najlepsze śpiewała obelżywe piosenki pod oknami księdza proboszcza. Złowrogi jakiś cień rozpościerał swe skrzydła nad wioską.

Oczywiście, kaznodzieje z ambony bronili czci proboszcza, zapewniali o jego niewinności i mocnymi słowami smagali niewdzięczną parafię. — Ale dlaczego on sam nic nie powie?... — pytali ludzie. — Jak w to uwierzyć?

Trzeciego dnia wdał się sam Pan Bóg. Parobka gospodarza Fleury Treve, który najwięcej po oberżach szydził z misjonarzy, kopnął koń, i to tak mocno, że do jego łoża trzeba było wezwać jednego z kaznodziejów. Po wysłuchaniu spowiedzi umierającego misjonarz polecił, aby natychmiast przyszedł wójt oraz paru jeszcze ludzi ze wsi, cieszących się poważaniem. Przyprowadził ich do łoża umierającego parobka i poprosił, aby wysłuchali jego wyznania.

Podtrzymywany przez misjonarza, chory dźwignął się nieco i przerywanym głosem złożył następujące oświadczenie: — To ja jestem ojcem dziecka, które urodziła Krystyna Matin. Już dawno wyznałem to księdzu proboszczowi Vianneyowi na spowiedzi. I dlatego on nic nie mówił. W takim razie ja muszę powiedzieć. Oby Bóg przebaczył mi mój grzech! Opadł z powrotem na poduszkę, a potok krwi buchnął mu z ust. W kilka chwil później umarł spokojnie.

— I powiedzieć, że to właśnie on rzucał najcięższe oskarżenia przeciwko naszemu księdzu proboszczowi! — powiedział Fleury Treve do głębi wzruszony. Wieść o tym wyznaniu rozniosła się po wsi z szybkością huraganu. Bez specjalnego nawoływania dzwonów kościół szybko zapełnił się ludźmi. Grobowe milczenie panowało, gdy jeden z misjonarzy wyszedł na ambonę i odczytał oświadczenie, podpisane przez niego samego, przez wójta, Treve oraz innych poważnych świadków, stwierdzające niewinność księdza Vianneya.

— Wyrządziliście waszemu proboszczowi straszliwą krzywdę — dodał potężnym głosem. — Proście go teraz o przebaczenie. Wiem, że wam przebaczy. A teraz odśpiewajmy *Te Deum*. Tymczasem drugi misjonarz udał się na plebanię, by powiadomić księdza Vianneya o szczęśliwym obrocie sprawy i poprosić go, by udał się do kościoła.

— Niech ksiądz idzie. Cała parafia czeka. — To już nie moja parafia. Dopiero, co otrzymałem przeniesienie. Ksiądz biskup mianował mnie proboszczem w Fareins. — Teraz już nie ma kwestii — odparł żywo kaznodzieja. — Ludzie z Ars księdza nie wypuszczą. Ksiądz Vianney ostatecznie uległ naleganiom misjonarza i w chwilę później, błąd jak śmierć, znalazł się w kościele na ambonie.

— Moi bracia, z pewnością sądzicie, że powinniście mnie prosić o przebaczenie. Nie potrzebujecie tego czynić, bo wiem doskonale, jak mało zasługuję na to, by być waszym duszpasterzem. Proszę was tylko o to, byście nie wywierali swego gniewu na niewinnym dziecku. Jakże nie mamy miłować kruszyny, którą sam Bóg umiłował? Wprawdzie ja was opuszczę, odjadę stąd, bo ksiądz biskup po wierzył mi inną owczarnię, to jednak módlcie się za mnie, a ja nawzajem obiecuję zawsze was nosić w sercu.

Parafianie słuchali tych słów ze łzami w oczach. Skoro tylko usłyszeli o wyjeździe, zaczęli potrząsać głowami na znak sprzeciwu. Oni, którzy jeszcze wczoraj wieczorem rozsiewali przeciwko niemu oszczerstwa, nie chcieli mu teraz pozwolić odjechać. Hrabia des Garets, który osobiście nigdy nie zwątpił w niewinność świętego proboszcza, też przeciwstawił się jego przeniesieniu. W towarzystwie wójta udał się nazajutrz do Belley, tak, że wieczorem tego samego dnia misjonarze mogli ogłosić parafii, iż biskup anulował przeniesienie proboszcza. Tego dnia dzwony w Ars biły fortissimo do późna w nocy.

Kiedy ksiądz Vianney wyszedł z kościoła, spotkał Antosia Cinier. — Księżę proboszczu, ja także zwątpiłem w księdza. Niech mi ksiądz wybaczy. Głupi byłem. — Chodź ze mną, a coś ci pokażę — rzekł z uśmiechem ksiądz. Wziął *Nowy Testament* i na głos odczytał urywek Ewangelii świętego Mateusza: «I hymn odmówiwszy, wyszli na Górę Oliwną. Wtedy rzekł im Jezus: „Wy wszyscy zgorszycie się ze Mnie tej nocy. Powiedzione jest, bowiem: Uderzę pasterza, a rozproszą się owce trzody...”»

—, Jeżeli apostołowie zgorszyli się ze swego Boskiego Mistrza, to czy ja mam prawo narzekać, że biedni ludzie z Ars zwątpili w swego niegodnego proboszcza? — rzekł, zamykając książkę. — Pomimo wszystko mogę szczerze zapewnić, że ani na chwilę nie przestałem miłować tych, którzy sztydzili ze mnie.

Misje więc w Ars przyniosły nieoczekiwany skutek. Prawie wszyscy parafianie wypowiedzieli się i nawrócili. Wielu z tych ludzi, którzy przedtem po oberżach gardłowali przeciw proboszczowi, omijało je teraz. Natomiast kilku najbardziej zagorzałych bywalców *Mrówki* lub *Dzika*, którzy nawet po misjach tam zaglądali, nie tolerowało w ustach oberżystów najmniejszego nawet słowa przeciwko swemu proboszczowi.

Pertinand, oberżysta spod *Srebrnej Róży*, zjawił się pewnego dnia na plebanii: — Wiem, księżę proboszczu, że każda oberża jest dla księdza cierniem w sercu. Żeby sprawić księdzu przyjemność, chciałbym bardzo moją zamknąć, ale mam do wyżywienia piętnaścioro dzieci.

— Pomimo wszystko proszę ją zamknąć — rzekł kapłan. — Macie przecież kawałek pola i ładną winnicę. Poza tym chciałbym coś dla was zrobić. Nie wiem, dlaczego, ale od jakiegoś czasu wielu obcych ludzi przybywa do naszej wioski.

— Przyjeżdżają do księdza — odrzekł żywo oberżysta. — Możliwe, ale to mało ważne. W każdym razie dyrekcja poczt w Lyonie poszukuje woźnicy, żeby zapewnić, co codzienne połączenie pomiędzy Ars i Trevoux. Niech się pan zgłosi do tej pracy. Na pewno

ją pan dostanie. Chętnie pana poprę i jestem przekonany, że w ten sposób otrzyma pan wynagrodzenie za zamknięcie oberży.

— Dziękuję księdzu z całego serca. — I rozradowany Pertinand uściskał dłoń księdzu. Rzeczywiście otrzymał służbę na poczcie i niebawem spostrzegł, że nie stracił na tej zamianie. Zresztą wkrótce miała również zamknąć swoje podwoje *Mrówka*, a po niej *Dzik*. Obydwaj oberżyści cichaczem opuścili wioskę.

Katarzyna Lassagne była uszczęśliwiona takim obrotem spraw. — Codziennie z dziewczętami modliłyśmy się za księdza. Ludzie mnóstwo pięknych rzeczy przynieśli dla naszego Bernardzia Matin. Janek Pertinand, ministrant, przyniósł nawet konia na biegunach, ale będzie musiał trochę poczekać, zanim Bernaś będzie mógł go dosiąść.

— Teraz znowu mamy spiżarnię dobrze zaopatrzoną — chwaliła się Joanna Chanay, kucharka. — Ponadto prawie wszystkie dzieci, które opuściły szkołę, chcą znowu wracać. Czy ksiądz nie ma nic przeciwko ich powtórnemu przyjęciu, księżę proboszczu? — zapytała Katarzyna. — Jakże bym mógł? Czyż Pan Jezus nie powiedział, że ten, kto przyjmuje jedno z tych maluczkich, którzy w Niego wierzą, przyjmuje Jego samego? Czyż mamy pokazać drzwi Panu Jezusowi?

Benedykta Lardet w milczeniu wyciągnęła rękę do księdza Vianneya. Ksiądz z niepokojem popatrzył na młodą nauczycielkę. — Nie czujesz się dobrze? — zapytał. — Ależ, księżę proboszczu, czuję się doskonale. Nie chciała, aby ktokolwiek wiedział, że od kilku dni była chora. Starannie ukrywała chusteczki, na których niedawno odkryła ślady krwi. Wiedziała, że Pan Bóg przyjął ofiarę jej młodego życia.

Wieczorem tego dnia ksiądz Vianney dłużej niż zwykle pozostał na klęczkach przed tabernakulum. — Panie — modlił się — zdjąłeś ze mnie krzyż. Czy jesteś ze mnie niezadowolony, skoro nie uznałeś mnie godnym, abym go dalej dźwiگاł?

Jeśli łaskawość Boża uwolniła swego sługę od cierpienia moralnego, to ksiądz Jan-Maria Vianney nie przestawał w dalszym ciągu znęcać się niemiłosiernie nad swoim ciałem. Skutki tego umartwienia nie pozostały długo w ukryciu. Dziedziczka uzyskała tyle, że proboszcz z Ars zdecydował się pójść do lekarza w Trevoux, doktora Timecourt.

Doktor, zbadawszy pacjenta, pokiwał głową: — Nie jest dobrze z księdzem. Zapiszę księdzu pewne leki. Ale przede wszystkim musi ksiądz jeść potrawy tłuste lub mleczne. Proszę także jeść mięso, owoce gotowane lub świeże, chleb z masłem i miodem oraz możliwie jak najwięcej dojrzałych winogron. Ksiądz Vianney uklonił się i wyszedł. Gdy tylko znalazł się na dworze, zalecenia lekarskie podał na drobne kawałeczki i rzucił na wiatr. Nawet przez chwilę nie myślał zastosować się do zaleceń lekarza. — Sądzę, że takie samo odżywianie się mógłby przepisać wielu biednym ludziom z naszej wioski — mruczał.

W ciągu następnych dni kościół w Ars wzbogacił się o nową ozdobę. Ksiądz Vianney przywiózł z Lyonu piękny obraz *Ecce Homo*, obraz Chrystusa w cierniowej



koronie, który umieścił na widocznym miejscu koło ołtarza. Odtąd całe godziny spędzał na klęczkach, ze wzniesionymi rękoma, przed tym świętym obrazem.

## **POMOCNIK MURARSKI - SPOWIEDNIKIEM (1828-1830)**

W piękny, słoneczny, wiosenny dzień dylizans, kursujący trzy razy w tygodniu między Trevoux i Ars zatrzymał się przed kościołem. Franek Pertinand, najstarszy syn byłego oberżysty, zeskoczył z kozła i otworzył drzwiczki pojazdu, a jego brat Janek, dziesięcioletni szkrab, jeszcze raz wesoło zatrąbił. Potem podskoczył do drzwiczek dylizansu, by pomóc szesnaściorgu pasażerom przy wysiadaniu, a równocześnie by zebrać od tego i owego po parę groszy napiwku.

Towarzystwo, które teraz wysiadło z pojazdu ze zdrętwiałymi od podróży kończynami, było bardzo urozmaicone. Byli wśród nich wieśniacy z Owernii, w chodakach i długich, sięgających poniżej kolan bluzach, byli mieszczanie z Trevoux, w wysokich o szerokim rondzie kapeluszach i barwnych surdutach, były damy modnie ubrane w peleryny z tasiemkami, był dziennikarz-krótkowidz z monoklem oraz jakiś duchowny w sutannie.

— Gdzie on jest? — pytali wszyscy małego Pertinanda, rozglądając się ciekawie na wszystkie strony. — Na pewno spotkamy go w kościele — zawyrokował ksiądz, który, jak się zdawało, nie po raz pierwszy przybywał do Ars. — Oczywiście, że go znajdziemy — zapewnił Pertinand. — Chodźcie za mną!

Rzecz dziwna, że kazał całej grupie iść za sobą, nie zatrzymując się ani przed kościołem, ani przed plebanią. Prowadził do budynku, znajdującego się z tyłu za kościołem. — O tej porze jest on w *Domu Opatrzności* — dorzucił znowu ksiądz. — Uczy katechizmu. Może nam się uda go posłuchać pod oknami.

Ale minęli nawet szkołę. Zatrzymali się dopiero przed budynkiem, którego ściany były w budowie. Kilku młodych chłopców kręciło się po rusztowaniach, podając cegły murarom. — To nowy budynek *Domu Opatrzności* — objaśnił Janek Pertinand. — Dawny stał się za ciasny, gdy zaczęto przyjmować także sieroty.

— Ale gdzie on? Gdzie jest on? — dopytywała się nie cierpliwie jakaś wieśniaczka. — Trzeba tylko otworzyć oczy — wybuchnął śmiechem chłopiec. — Stoi przecież przed wami. — To jest proboszcz z Ars? — wyjąkała kobieta, patrząc ze zdziwieniem na mężczyznę, który w długim niebieskim fartuchu, nałożonym na sutannę, mieszał piasek z wapnem.

— Szukacie proboszcza, a znajdujecie pomocnika murarskiego — zauważył ksiądz Vianney, ocierając z twarzy bryzgi zaprawy murarskiej. — Ksiądz pracuje, jako pomocnik murarski? — zawołał dziennikarz, wymachując notesem. — Co na to poradzić? — odparł ksiądz. — Gdy mnie zabraknie, te nicponie objiją się. — Nic podobnego! — Bronił się August Treve, mini strant pracujący na rusztowaniu.

Czy to prawda, że ksiądz żyje tylko zimnymi ziemniakami? — zapytał dziennikarz, gryzmołąc w notesie. — Nie, to nieprawda — odmruknął proboszcz. W rzeczywistości, bowiem od jakiegoś czasu spożywał swoje skromne posiłki w *Domu Opatrzności*, gdzie energiczna kucharka, Joanna Chanay, zmuszała go do jedzenia pokarmów bardziej pożywnych. Ponadto na formalny rozkaz biskupa codziennie wypijał szklanekę mleka.

— A czy to prawda, że ksiądz obywa się bez snu? — pytał dalej dziennikarz. — To także nieprawda. Śpię każdej nocy, gdy tylko po zwała mi zasnąć. — A kto księdzu nie pozwala zasnąć? — Grappin — zawołał August Trdve, który akurat dolewał wody do zaprawy. — Kto? — Diabeł. Na plebanii straszy.

— Uważaj, August — przerwał ksiądz. — Lejesz mi wodą po nogach. — Ołówek dziennikarza jak szalony biegał po papierze. — Szalenie ciekawe! — zauważył z uśmiechem reporter.

— Ukazywanie się diabła w pełni dziewiętnastego wieku! Mówią także, że ksiądz działa cuda, księżę proboszczu. Czy mogę dowiedzieć się, jak to się odbywa? — Tak jest — odrzekł kapłan. — A więc ksiądz działa cuda? — Nie. Powiedziałem tylko, że może pan pytać — odparł ksiądz Vianney, uśmiechając się znacząco. — Gdybym mógł działać cuda, nie musiałbym tu teraz mieszać zaprawy murarskiej. Mógłbym spokojnie pójść sobie do domu.

— Tak on działa cuda. — Powiedział Janek Pertinand, który wracał z pustym wiadrem. — Może pan pójść do *Domu Opatrzności* i zapytać Katarzyny Lassagne. — Proszę bardzo — rzekł proboszcz, zwracając się do pielgrzymów, którzy w osłupieniu wpatrywali się w niego. — Idźcie do kościoła. Jeżeli chcecie się wypowiedzieć, zaraz przyjdę do konfesjonału.

Z pewnym wahaniem podróżni odeszli do świątyni. — Nie tak sobie wyobrazałem świętego proboszcza — wyznał któryś z mieszczan. — Wygląda zupełnie zwyczajnie i jest pomocnikiem murarskim. — Do pioruna! Ale spryciarz! — przerwał mu wieśniak. — Jak szybko pozbył się dziennikarza! To mi się najwięcej podobało.

— Tak mi się zdaje, że jak na świętego, jest zbyt sarkastyczny — wtrąciła dama miejska. — Rzeczywiście, brak mu ogłady. — Rzadko ją można spotkać u świętych — odrzekł duchowny, który poczuwał się do obowiązku usprawiedliwienia konfratra.

Podczas gdy pozostali pielgrzymi zwiedzali kościół, dziennikarz zjawił się w *Domu Opatrzności*. — Chce pan oglądać cuda? — zapytała z uśmiechem Katarzyna Lassagne. — Ależ on sam jest jednym wielkim cudem. Naprawdę nie ma nic bardziej cudownego, jak proboszcz z Ars.

— Odniosłem raczej wrażenie, że jest człowiekiem zwyczajnym — podjął dziennikarz. — Czy dokonał kiedyś czegoś, czego nie da się wytłumaczyć w naturalny sposób? — Oczywiście. Były chwile, że z trudem mogliśmy na karmić tyle zgłodniałych ust. Pewnego dnia skończyły się wszystkie nasze zasoby. Przedstawiliśmy, więc nasz kłopot księdzu proboszczowi. Wtedy on polecił nam wyjść na strych i pozmiatać resztki

ziarna. Kucharka odpowiedziała, że nie ma już zupełnie nic. Kiedy jednak, pomimo wszystko, na formalne polecenie księdza poszła na strych i otworzyła drzwi, ujrzała dużą pryzmę złocistego zboża.

— Na pewno komuś kazał to zboże po kryjomu tam zanieść — zauważył z niedowierzaniem reporter. — Nie — odrzekła kierowniczką *Domu Opatrzności*. — Nie mógł tego zrobić tak, żeby nikt z nas nie zauważył. Poza tym nie pozwalał nam wierzyć, że stał się jakiś cud.

— Ile macie dzieci w zakładzie? — pytał dalej dziennikarz. — Nie wiem. — Jak to, pani nie wie? — Nie, rzeczywiście nie wiem. Pan Bóg wie, i to wystarczy. — A jeżeli któreś ucieknie? — O, znamy je wszystkie nadto dobrze, żebyśmy nie zauważyły tego natychmiast. — Szalenie ciekawe! — zdumiewał się dziennikarz, gryzmołąc w notesie. Potem odszedł, kręcąc głową.

Tymczasem ksiądz Vianney zdjął fartuch i poszedł do kościoła. Długo klęczał na stopniach wielkiego ołtarza z oczyma utkwionymi w tabernakulum. Następnie zasiadł w konfesjonale w kaplicy świętego Jana Chrzciciela. Wysłuchał spowiedzi wieśniaka, któremu przypomniał, iż nie oskarżył się z tego, że «chrzczył» mleko i dolewał wody do wina. Chłop przyznał się do wszystkiego i z żalem wyspowiadał się ze swoich uchybień przeciwko cnocie sprawiedliwości. Damie zbyt modnie ubranej święty proboszcz oświadczył: Ratuj duszę, która pławi się w światowości. Jakaż to wielka szkoda stracić duszę, za którą Pan Jezus musiał zapłacić tak wielką cenę!

Duchowny narzekał, że wyniki jego pracy są mizerne, mimo iż nie szczędzi trudu na ambonie. — Tak, mój przyjacielu, ksiądz mówi kazania. Ale czy ksiądz także się modli? Czy ksiądz pości? Czy ksiądz się biczuje? Jeśli ksiądz dotąd tego nie czynił, jakże może się uskarżać na swoją parafię?

Pan z miasta, którego czcza tylko ciekawość przywiodła do Ars, stał przy kropielnicy i znudzony oglądał kościół. Aż podskoczył, gdy ksiądz Vianney, wyszedłszy z konfesjonatu, podszedł do niego i zagadnął: — Dawno już, mój przyjacielu, nie byłeś u spowiedzi? — Zdaje się, że jakieś trzydzieści lat temu — odrzekł nieco zmieszany. — Tak, dokładnie trzydzieści trzy lata temu przyjął pan pierwszą Komunię świętą w hali tkalni w Lyonie.

— Rzeczywiście tak było — wyjąkał blednąc przybysz. — A więc niech pan pójdzie ze mną i wyspowiada się. — Ależ ja nie jestem przygotowany. A poza tym... ja nie wierzę. — Odzyska pan wiarę, gdy się wyspowiada.

W kilka minut później człowiek ten klęczał u kratek konfesjonatu. Spowiedź trwała dwadzieścia minut. Wstał z uczuciem niewypowiedzianego pokoju. Uklęknął następnie przed ołtarzem i podziękował Bogu, że odmienił jego serce.

Po kilku godzinach podróży na powrót zajęli miejsca w dylizansie. Dziennikarz odczytywał uważnie swoje notatki i zastanawiał się, jak napisać artykuł. Tylko jego jedynego nie nawiedziła łaska dobrej spowiedzi.

Został otwarty nowy budynek przy *Domu Opatrzności*, i stąd liczba jego szczęśliwych mieszkańców wzrosła. Do tego nowego domu ksiądz Vianney przyjmował tylko sieroty i dzieci nieślubne. Katarzyna Lassagne przygarniała te biedne kruszyny z iście macierzyńską miłością i niewyczerpaną cierpliwością. Pomimo to ksiądz proboszcz wystawiał na próbę młode dziewczęta, które w duchu prawdziwie apostołskim poświęcały się temu dziełu. Pragnął, bowiem, aby dusze jaśniały coraz większym blaskiem i dlatego nie szczędził im upokorzeń.

Pewnego razu Joanna Chanay, kucharka, zaczęła narzekać na przeciążenie pracą. — Nie dam rady — skarżyła się zniechęcona. — Szczególnie od chwili, gdy z Benedyktą jest coraz gorzej. Nie możemy liczyć na jej pomoc. — Nie macie już pierwszej gorliwości — odrzekł surowo ksiądz Vianney. — Nie jesteście jeszcze dostatecznie poddane woli Bożej. — Uwaga księdza może się odnosić do mnie, ale nie do moich obydwu towarzyszek. — Dobrze, dobrze. Wszystkie jesteście takie same — odparł proboszcz.

Joanna wróciła do *Domu Opatrzności* i zakomunikowała pozostałym gorzkie słowa księdza. — Ma słuszność — rzekła Katarzyna. — Gdybyśmy były bardziej poddane woli Bożej, na pewno wszystko szłoby lepiej. Nieraz zdarzało się, że także w nowym domu brakowało rzeczy najkonieczniejszych. — Będę naprzykrzał się świętym... — mawiał wtedy ksiądz Vianney. I modlitwa jego była zawsze wysłuchana.

Pewnego dnia Joanna Chanay zwróciła księdzu uwagę, że została zaledwie odrobina mąki, tak, że nie wystarczy jej na jeden wypiek chleba. — Trzeba miesić — odparł ksiądz Vianney — i to odpowiednio miesić.

Kucharka posłuchała. Do dzieży wsypała tę resztę mąki (normalnie wsypywała cały worek), dołała wody i zaczęła miesić. I stał się cud. Dzieża napełniła się ciastem jak zwykle, tak, że Joanna mogła upiec dziesięć dużych bochenków chleba, z których każdy ważył jakieś dwadzieścia do dwudziestu dwóch funtów. Kiedy o tym powiadomiła księdza proboszcza, ten odrzekł: — Pan Bóg jest dobry. Troszczy się o swoich ubogich.

Na wiosnę 1830 roku ciężkie doświadczenie spadło na *Dom Opatrzności*. Benedykta Lardet oddała duszę Bogu. Kiedy lekarz oświadczył jej, że nie ma już żadnej nadziei na wyzdrowienie, odrzekła z rozpromienionym obliczem: — Co za radość! Co za radość! Zobaczę Pana Boga. — I z tym uśmiechem na ustach opuściła ziemię.

Zastąpiła ją Maria Filliat, szwaczka z Miserieux, której władcze usposobienie stało się źródłem wielu cierpień dla Katarzyny Lassagne. Niosła jednak mężnie swój krzyż i nigdy nie poskarżyła się księdzu proboszczowi.

Śmierć świętobliwej Benedykty Lardet wypadła w roku trudnym i burzliwym. Zdawało się, że znowu wróciły czasy Terroru. W Paryżu wybuchła rewolucja. Na ulicach wzniesiono barykady. Przed pałacem królewskim doszło do krwawych potyczek rozjuszonego tłumu z wojskiem. L'Hôtel de Ville szturmem został zdobyty, pałac arcybiskupi złupiony, a Luwr wpadł w ręce rewolucjonistów. Karol X musiał abdykować, a korona przeszła na Ludwika Filipa, słynnego Filipa-Egalite.

Fale rewolucji z 1830 roku zalały najmniejsze nawet wioski. Diecezja w Belley również nie została oszczędzona. Puszczono w obieg najohydniejsze i najzjadliwsze oszczerstwa przeciwko duchowieństwu. Ktoś nawet puścił pogłoskę, że nowy rząd zamierza pozamykać kościoły i pousuwać krzyże przydrożne.

Podczas tych ponurych dni resztki niezadowolonych w Ars powstały przeciwko proboszczowi. Pewnego wieczoru, gdy wychodził z kościoła, został zaczepiony przez siedmiu mężczyzn. — Czego ode mnie chcecie, moi przyjaciele?... — zapytał przyjaźnie, wiedząc doskonale, że ci ludzie nie należą do najgorliwszych w parafii.

— Księżę proboszczu — rzekł jeden z nich w imieniu całej grupy — prosimy księdza, aby ksiądz opuścił naszą wioskę. Dłużej nie zniesiemy księdza w Ars. — Przemawiacie w imieniu władzy? — Nie, ale wielu mieszkańców jest z księdza niezadowolonych. Ze swoją surowością ksiądz nie pasuje do naszych czasów.

— Nigdy nie stawiałem sobie pytania, czy pasuję do naszych czasów, lecz raczej, czy odpowiadam Panu Bogu. — Boli nas nieustępliwość księdza — wtrącił inny z mężczyzn. — Wielu porządnym ludziom odmówił ksiądz rozgrzeszenia. — Nie dopuścił ksiądz do pierwszej Komunii dzieci z najlepszych rodzin. Przyjął ksiądz do *Domu Opatrzności* ladacznice.

— Nieustanna walka z tańcami... » — Napaści na oberże... — Długie kazania... — Wystarczy — przerwał ksiądz Vianney, który dotychczas słuchał cierpliwie. — Udowodnijcie mi, że większość ludzi w parafii jest tego samego zdania, co wy, a wyjadę z parafii, o ile mój biskup na to się zgodzi. Zbyt dobrze, bowiem znam moje braki.

Mężczyźni spojrzeli po sobie z konsternacją. Następnie uchyliłi czapek. Ksiądz Vianney podał każdemu z nich rękę. — Nie czuję się urażony waszymi słowami, a jeżeli komuś z was sprawiłem przykrość, szczerze przepraszam. Dziwnie szybko wiadomość o zajściu rozeszła się po wiosce i tak powszechny gniew zawrzał przeciwko tym siedmiu ludziom, że aż sam ksiądz musiał ich bronić przed zjadłością swoich parafian.

W kilka tygodni później udało się proboszczowi z Ars zdobyć relikwię świętej Filomeny, Ojciec de Magallon, przełożony klasztoru bonifratrów w Lyonie, po powrocie z Rzymu podarował Paulinie Jaricot, ciężko chorującej na serce, częśćkę posiadanej relikwii świętej Filomeny. Paulina i jej bliscy odprawili nowennę do świętej, i chora wyzdrowiała. Kiedy odwiedziła ją Katarzyna Lassagne, Paulina z kolei podarowała jej częśćkę tej relikwii. Gdy się o tym dowiedział ksiądz Vianney, zaraz ją zdobył dla siebie. Przeznaczył jej honorowe miejsce w kościele, budując młodej męczennicze specjalną kaplicę.

### **CUDOWNE ARS (1831-1837)**

Sława małej wioszczyny Ars i jej świętego proboszcza rozchodziła się daleko poza granice departamentu. Kobiety i dziewczęta rozmawiały o tym, przędąc na kołowrotkach! Mówiono o tym w oberżach wiejskich i miejskich kawiarniach. Mówiono o tym w ubogich izbach i w bogatych salonach.

Ówczesne dzienniki pod olbrzymimi nagłówkami donosiły o wszelkiego rodzaju sensacyjnych wydarzeniach: o wyprawie przeciw Abdel-Kaderowi, o cholercie w Marsylii i Paryżu, o zamachu Korsykanina Fieschi na króla Ludwika-Filipa i o jego piekielnej maszynie, o zamachu stanu Ludwika-Napoleona, który w 1836 roku został w Strasburgu ogłoszony cesarzem, lecz natychmiast został aresztowany i wywieziony do Ameryki.

Wśród skandalów, zbrodni, krytyki sztuk teatralnych, bez przerwy pojawiało się nazwisko biednego proboszcza z Ars. Jedni pisali o nim z szacunkiem i czcią, nieomal jako o wysłanniku Boga, który działa cuda i czyta w sercach. Inni, żeby zaspokoić ciekawość szerokiej publiczności, czynili z niego postać sensacyjną. Stale słyszało się ludzi, jak mówili o nim z zapałem. Wielu, których do tej zabitej deskami wioski sprowadzała prosta ciekawość, wracało z odnalezionym w konfesjonale świętego proboszcza pokojem.

Skoro tylko Franek Pertinand lub jego młodszy brat na placu Croix-Paquet w Lyonie zadął w trąbkę, dając sygnał do odjazdu, klienci kawiarni *Pod Trzema Delfinami* z ciekawością spoglądali na wielki żółty pojazd, z rzucającym się w oczy napisem: «LYON-ARS». Niejeden, nie wiedząc, co robić z czasem, w ostatniej chwili decydował się udać w drogę i zobaczyć tę ciekawą wioskę.

Napływ pielgrzymów wzrastał bez przerwy. Ksiądz Vianney długie godziny spędzał codziennie w konfesjonale. Często trudno mu było uwolnić się od pielgrzymów, by pójść do *Domu Opatrzności* na lekcje religii. W czasie lekcji wielu penitentów stało pod oknami i słuchało go.

Nie wszyscy jednak podróżujący do Ars nawracali się. Byli też i tacy, którzy wsiadłszy na powrót do dylizansu, jawnie naśmiewali się z biednego księdza w połatanej sutannie i dużych chłopskich butach, księdza, który przemawiał tak prosto. Inni natomiast wracali do domu rzeczywiście nawróceni. I ci z miejsca usadzali niewczesnych dowcipnisiów.

Także na plebaniach i w czasie dekanalnych konferencji wiele mówiono o tym dziwnym konfratrze. Jedni wyrażali poważanie i szacunek, inni natomiast zachowywali raczej milczenie lub nawet źle skrywane niezadowolenie. — Co tam znowu takiego ten proboszcz z Ars?... — mawiali niektórzy z pogardą. — Znamy go z seminarium. Była to słaba głowa i miał zawsze kłopoty z egzaminami. Zresztą jakież on odbył studia? Co on wie o świecie? Nie czyta nawet gazet.

— Jest aż nadto oczywiste, że poluje na oryginała. Dla czego łązi w nędznej sutannie i w buciorach sto razy naprawianych? Czy ksiądz nie powinien dbać o swoją powierzchowność, choćby ze względów czysto zewnętrznych?

— Cóż to za typy pędzą do tego Ars? Skrupulaci, osoby mające przewrócone w głowie, ciągle szukające nowego kierownika duchowego, prości chłopi i rozleniwieni mieszczanie. Zresztą ci, co przybywają do Ars, nie wszyscy się znowu nawracają! — To fanatyk, niewczesny zelant, jansenista...

Taką to brzydką litanię recytowano na niektórych plebaniach o nieszczęsnym proboszczu z Ars. — Ludzie nie przychodzą do nas do spowiedzi, ale są przekonani, że muszą swoje grzechy taskać do Ars — narzekał proboszcz z sąsiedniej wioski.

— Jakby jego rozgrzeszenie miało większą wartość niż nasze! — Trzeba otworzyć oczy biskupowi — zaproponował inny ksiądz. — Musi położyć kres temu obłudowi. — Oczywiście, musi w to wkroczyć władza. — A ja napiszę do Vianneya — stwierdził Jan Ludwik Borjon, młody pyszałkowaty ksiądz, który świeżo został mianowany proboszczem w Amberieux. — W każdym razie nie może to trwać długo. — Jednakowoż wielu ludzi po pielgrzymce do Ars staje się w naszych parafiach wzorami pobożności — zauważył nieśmiało ksiądz Blandon, by nieco złagodzić wypowiedzi konfratrów.

— Oby tylko Chrystus miał z tego chwałę, jak mówi święty Paweł — dodał któryś ze starszych księży. — Załóżmy — rzekł inny — że ten proboszcz z Ars jest rzeczywiście święty. Ale to wszystko. Nie jest on żadnym uczonym. — Mój drogi przyjacielu — wtrącił się profesor filozofii, który dotychczas nie zabierał głosu w dyskusji — posiada on także wiele mądrości. Widać to z jego rozmów na różne tematy. On patrzy na życie w świetle Ducha Świętego. — A jednak prawie wcale nie zna teologii — wyrwał się znowu ksiądz Borjon. — Gotów jest oprawić w ramki list, jaki do niego zamierzam napisać.

W kilka dni później wójt Mandy, wchodząc na plebanie, zastał księdza Vianneya czytającego list i uśmiechającego się słodko. — Sądząc z miny księdza, zdaje się, że ksiądz proboszcz otrzymał jakąś dobrą wiadomość. — O, tak! Wiadomość, za którą jestem niezmiernie wdzięczny temu, kto mi ją przysłał. Niech pan posłucha, co do mnie napisał ktoś, czyjego nazwiska nie mogę wyjawić: *«Prawie wszędzie nazywają księdza świętym, a mimo to nie wszyscy, którzy odwiedzają księdza, wracają nawróceni. Zrobi ksiądz dobrze, jeśli nieco pomiarkuje swoją nierozważną gorliwość. W przeciwnym wypadku, ku naszej wielkiej przykrości, będziemy musieli zwrócić się do biskupa. Ktoś, kto tak słabo zna teologię, nie powinien zasiadać w konfesjonale»*.

— Niewątpliwie ten list pochodzi od osoby bardzo źle wychowanej — stwierdził wójt, ściągając brwi. — Niech ksiądz wrzuci go w ogień. Nie zasługuje na to, by się nad nim zastanawiać.

— O tak, jest się, nad czym zastanowić! Pochodzi, bowiem od człowieka wykształconego. Zresztą on ma słuszność. To, co pisze, jest świętą prawdą. — Czyż to możliwe? — jęknął, Mandy. — Ależ tak. W każdej rodzinie jest dziecko mniej, zdolne. U nas w domu byłem nim ja.

— Księżę proboszczu, wśród pielgrzymów bywali także profesorowie i ludzie wykształceni, a jednak odchodzili niezwykle zbudowani. Niesłusznie. Czego pan chce? Przecież ja nie odbyłem regularnych studiów. Wprawdzie pocziwy ksiądz Balley zajmował się mną jakieś pięć czy sześć lat, ale był to trud daremny. Nic nie wchodziło do mojej zakutej głowy. Wszyscy moi współbracia w kapłaństwie są o wiele bardziej

wykształceni ode mnie. Wśród nich ja jeden jestem jak Bordin, ten półgłupek w naszej wiosce. — Ksiądz jest niesprawiedliwy wobec siebie, bo przecież wie, kim jest.

— Nie. Ja to mówię poważnie. — Mam nadzieję, że ksiądz da należną odprawę temu komuś. — Widzi pan, że już przygotowałem papier i pióro. Ale co pana do mnie sprowadza? — To sprawa dosyć niezręczna... — odpowiedział wójt po chwili wahania. — Wie ksiądz, że nie mamy obecnie we wsi żadnej oberży. Od czasu do czasu jakiś przybysz próbował otworzyć nową, ale za każdym razem musiał zwijać interes.

— Jestem z tego bardzo zadowolony — odrzekł ksiądz Vianney z satysfakcją. — Wszystko to bardzo piękne, ale teraz nie mamy gdzie przyjmować pielgrzymów, którzy coraz liczniej przybywają do Ars. Niektórzy nie są w stanie odbyć podróży tam i z powrotem w tym samym dniu. Musimy, więc jakoś ich za kwaterować. Niektórzy szukają gościny u gospodarzy, ale reszta musi spędzać noc pod gołym niebem. Potrzebna, więc byłaby jakaś oberża, albo raczej hotel. — Hotel? Hotel w Ars?

— Tak jest. Powiem, co myślę. Otóż stary Pertinancf mógłby go otworzyć w dawnej oberży, gdyby się ksiądz na to zgodził. Oczywiście, musiałby dać pewne gwarancje. — Hotel w Ars! — powtórzył ksiądz, kiwając głową. — Ale może ma pan i rację. Nie można pozwolić, żeby ludzie nocowali pod gołym niebem. — A więc widzi ksiądz, o dobrą rzecz chodzi.

— Pan Jezus sam mówi w przypowieści o gospodzie, do której dobry Samarytanin zawiózł poranionego przez zbójców podróżnego. *U Dobrego Samarytanina*, byłaby to piękna nazwa hotelu w Ars. — Pertinand nie należał do najgorszych oberżystów — rzekł wójt. — Poza tym ma piętnaścioro dzieci i, mimo że jest kurierem pocztowym, ma wiele kłopotów z ich wyżywieniem.

— Tak, Pertinand ma ładne dzieci. Ale mówił pan coś o gwarancjach. Żądam ich kategorycznie. — Jakich więc gwarancji ksiądz żąda? — Bardzo łatwo je wymienić: żadnych tańców, żadnych kart, żadnego alkoholu. Jadłodajnia ma być zamknięta w niedziele i święta; podczas Mszy świętych, a także wieczorem o dość wczesnej porze. Właściciel ma czuwać nad porządkiem i dobrym zachowaniem klientów.

— Pertinand na pewno się na to zgodzi. — W takim razie wszystko w porządku. Poświęcę hotel *U Dobrego Samarytanina*. Ale co innego jeszcze mi bardzo leży na sercu. — Co znowu takiego? — Szkoła dla chłopców. Dziewczynki już mają swoją, ale chłopcy są pokrzywdzeni. — Urządzamy im szkołę w zimie. — Tak, ale dzieci w niej nauczą się zaledwie napisać swoje nazwisko. One tymczasem potrzebują prawdziwej szkoły, aby kiedyś mogły zdobyć większe wykształcenie niż ich proboszcz. Nasz poczciwy nauczyciel, pan Dumas, nie nauczył nas wiele, a i to wszystko kulało na wszystkie strony. Ja zawsze byłem ostatni tak w łacinie, jak i w filozofii oraz teologii.

— A kto będzie nauczycielem? — Och, przecież kogoś znajdziemy. Skoro pan idzie do Pertinanda, niech mi pan przyśle Janka. Porozmawiam z nim. — Janek? — Tak jest, Janek. To chłopak zdolny i rozumny. Może, więc być materiałem na przyszłego



nauczyciela. — Plan księdza nie jest taki kiepski — rzekł wójt na odchodnym. — Poślę księdzu młodego Pertinanda. Ale niech ksiądz nie boi się odpowiedzieć ostro temu, kto do księdza napisał to oto... — dorzucił, wskazując na obelżywy list, otrzymany przez proboszcza z Ars. — Oczywiście. Może pan na to liczyć.

Kilka dni później proboszcz z Amberieux otrzymał list wysłany z Ars i szybko go przeczytał. Był on następującej treści: *Drogi i Czcigodny Konfratrze! Ileż mam powodów, by darzyć księdza miłością. Ksiądz jeden mnie dobrze zrozumiał. Skoro jest ksiądz tak dobry i miłosierny, że raczył zająć się moją biedną duszą niech mi, więc ksiądz pomoże wyjednać tę taskę, o jaką zabiegam od dłuższego czasu, a mianowicie, aby mnie ktoś zastąpił na moim stanowisku, jakiego nie jestem godzien, a ja bym mógł usunąć się do jakiegoś zakątka i tam opłakiwać moje nędzne życie. Ileż mam pokut do odprawienia, ile aktów wynagradzających do ofiarowania, ileż łez do wylania! Szczerze dziękuję za dobre rady, jakie mi ksiądz przesłał. Uznaję w pełni moją głupotę i brak zdolności. Jeżeli ludzie z sąsiednich parafii, którzy korzystali u mnie z sakramentów świętych, nie wrócili lepsi, bardzo mnie to boli. Niech, więc ksiądz napisze do naszego księdza biskupa, który — jak ufam - będzie tak dobry i zastąpi mnie kimś innym. Drogi księżu proboszczu, proszę, niech się ksiądz za mnie modli, aby Pan Bóg dał mi tę łaskę, bym mógł popełniać mniej zła, a czynić więcej dobra. Z wyrazami wdzięczności Jan-Maria Vianney, biedny proboszcz z Ars.*

Jeszcze tego samego dnia ksiądz Borjon poszedł do swego sąsiada, poważnego księdza i pokazał mu list. — Niech mi ksiądz powie, czy nie są to czyste kpiny, co on mi tu napisał? — "Nie, mój przyjacielu. To nie są kpiny ani fałszywa pokora. Proboszcz z Ars napisał to, co rzeczywiście myśli. Wydaje mi się, mój drogi, że powinien ksiądz przeprosić naszego świątobliwego konfratry. Będąc na twoim miejscu nie zwlekałbym ani dnia.

Ksiądz Borjon niezwykle wzruszony wrócił do domu. Nazajutrz skoro świt udał się w drogę do Ars i rzucił się do stóp księdza Vianneya, prosząc o przebaczenie. — Ależ, drogi konfratrze — zawołał proboszcz, podnosząc go i ściskając — nie potrzeba wcale przepraszać. Na prawdę jestem księdzu wdzięczny za otworenie mi oczu. — Wprost przeciwnie, to list księdza otworzył mi oczy. Widzę, jak bardzo zgrzeszyłem zazdrością i egoizmem. Oby Bóg zechciał mi przebaczyć.

W dalszej rozmowie zapytał księdza Vianneya, czy rzeczywiście zamierza zrzec się parafii i usunąć na samotność. — Prawdę mówiąc, całe życie miałem jedno tylko pragnienie, by służyć Bogu w samotności. I proszę codziennie, żeby Bóg raczył spełnić to najgorętsze pragnienie mego serca.

— Księżu proboszczu, kościół jest pełen ludzi, którzy chcą księdza zobaczyć i wyspowiadać się — zawołał jeden z ministrantów, wpadając do pokoju jak bomba. — Czy mogę powiedzieć, że ksiądz zaraz przyjdzie? — Tak, tak. Już idę — odrzekł proboszcz z Ars. — Gdy by ksiądz wiedział, jak mnie to zbiegowisko przeraża i jak mam niespokojne sumienie wobec tego rodzaju odpowiedzialności! — westchnął ciężko, zwracając się do konfratry. — Błagam księdza, niech się ksiądz za mnie bardzo modli.

— Niech się ksiądz modli również za mnie, aby Pan Bóg dał mi, choć cząstkę gorliwości i wielkoduszności księdza — odrzekł ksiądz Borjon głęboko wzruszony. Od tego dnia proboszcz z Amberieux ani sobie nie pozwalał, ani też nie tolerował w swojej obecności żadnego słowa przeciwko swemu konfratrowi z Ars.

Tymczasem na biurku księdza biskupa w Belley gromadziły się listy, gwałtownie napadające na księdza Vianneya. Wszystkie jednak pozostawały bez odpowiedzi. Z okazji zakończenia misji parafialnej w Trevoux ksiądz biskup Devie, który wziął w nim udział, okazał szczególne względy biednemu proboszczowi z Ars. Posadził go obok siebie.

— Widocznie chce go uhonorować — szeptali księża. — I powiedzieć, że ksiądz Vianney nie nosi nawet pasa — zauważył któryś z księży tak głośno, by biskup mógł to usłyszeć. Ciężkie niezadowolenia przemknęły po twarzy dostojnika Kościoła. — Ksiądz proboszcz z Ars bez pasa więcej znaczy niż niejeden z pasem — odparł ksiądz dziekan.

— Bardzo dobrze — potwierdził biskup. W chwilę później wziął na stronę kpiarza i zganiał go za brak taktu. — Ależ, ekscelencjo, to człowiek bez żadnej ogłady — tłumaczył się duchowny, zawstydzony. — Nie wiem, czy jest on człowiekiem z ogładą czy bez ogłady — odparł biskup, — ale wiem jedno, że sam Duch Święty zobowiązał się go oświecać. Wiem też, że traktuje się go jak szaleńca, ale życzylibym wszystkim moim księżom, by posiadali, choć odrobinę tego szaleństwa.

## **WIELKA POKUSA (1839-1840)**

Drzwi do szkoły chłopców cicho się otworzyły. — Ksiądz proboszcz! — zawołały naraz wszystkie dzieci, wyskakując z ławek i otaczając kołem księdza Vianneya. — Cicho! Dzieci! — zawołał młody nauczyciel. — Zostaw ich, Jasiu — rzekł, uśmiechając się kapłan. — Przeprowadzam wam gości, moje dzieci. Szybko wracajcie na swoje miejsca. Co sobie pomyśli ten ksiądz o chłopcach w Ars?

Dopiero teraz dzieci spostrzegły młodego księdza, który wszedł do klasy za księdzem proboszczem. Hałas natychmiast ustał, każdy wrócił do swojej ławki. — To ksiądz Tailhades, mój konfrater z Montpellier. Zostanie u nas kilka tygodni i będzie mi trochę pomagał. Będzie was także uczył religii, o ile będziecie grzeczni.

— A czy umie on opowiadać? — zapytał Bernaś Matin, chłopiec, którego dwanaście lat temu ksiądz Vianney przyniósł na rękach do *Domu Opatrzności*. — Oczywiście, że umie. I zobaczycie, że umie opowiadać ładniej niż ja. — Nie wierzę — oświadczył Józio Cotton, synek ogrodnika z zamku.

— Opowiadać! Opowiadać! — zawołały dzieci chórem. — Najpierw zobaczymy, czy się nauczyli. Co teraz robicie? — Piszemy wypracowanie o chodakach — odpowiedział Bernaś Matin poważnie. — Malcy zaczynają dopiero stawiać pierwsze litery — wyjaśnił nauczyciel. — A ponieważ uznali, że to dla nich za trudne, wolą śpiewać.

— Śpiewanie jest piękniejsze niż pisanie — stwierdził Piotruś Treve. — Kiedy urosnę, będę rolnikiem i nie będę potrzebował pisać? — Opowiadać! Opowiadać! — domagały się niecierpliwie dzieci.

Dobry ksiądz proboszcz nie pozwolił się długo prosić i zaczął opowiadać dzieje świętej Filomeny, młodej greckiej księżniczki, i jej bohaterskiego męczeństwa. Opisał ponure więzienie, do którego cesarz kazał ją wtrącić za to, że była chrześcijanką, mimo iż miała zaledwie trzynaście lat. Słuchacze zdawali się słyszeć szcęk łańcuchów i widzieć kata, jak wlecze ją ulicami Rzymu. Widzieli z przerażeniem ogniste strzały, wymierzone w serce męczenniczki. Ale, oto nagle, w połowie drogi strzały zawróciły i przeszły piersi tych, którzy je wypuścili.

— Dobrze się stało — zawołały dzieci. — A co dalej?... Co potem?... — Potem kat zaprowadził ją na miejsce stracenia, podniósł swój wielki topór, spuścił go błyskawicznie i uciął głowę dzielnej dziewczynce.

Oczywiście, wszystkie historie męczeństwa kończyły się tak samo. Lecz szczególnie ból przejmował na myśl, że ta biedna księżniczka miała zaledwie trzynaście lat. — Była to jeszcze mała dziewczynka — rzekł proboszcz na zakończenie. — Wy zaś jesteście chłopcami, ale nie wiem, czy potrafilibyście tak dzielnie umrzeć za Pana Jezusa, jak święta Filomena. — Czy ksiądz też tak ładnie umie opowiadać? — zapytał z niedowierzaniem młodego kapłana Józio Cotton. — Nikt tak nie umie opowiadać, jak nasz ksiądz proboszcz — orzekł z przekonaniem Bernaś Matin.

— Czas już. Musimy iść — stwierdził ksiądz Vianney. — Chłopcy, bądźcie grzeczni i sprawiajcie radość panu nauczycielowi. Proboszcz ze swoim konfratrem udał się następnie do *Domu Opatrzności*, gdzie jego odwiedziny wzbudziły nie mniejszą radość niż w szkole u chłopców. — Ziemia bez dzieci byłaby jak niebo bez gwiazd — rzekł po powrocie na plebanię ksiądz Vianney do księdza, Tailhades, którego biskup przysłał do pomocy w trudnych miesiącach zimowych.

— Jakież ksiądz powinien być szczęśliwy! — powiedział młody duchowny, patrząc z szacunkiem na proboszcza z Ars. — Ileż radości wnosi ksiądz do dzieci, ile wsparcia i pociechy daje ksiądz tym wszystkim ludziom, którzy cisną się do konfesjonału księdza!...

— Lecz oblicze biednego proboszcza zachmurzyło się i głosem znużonym odpowiedział: — Nie mów, mój przyjacielu, że jestem szczęśliwy. To całe poruszenie napawa mnie trwogą. O, gdybym mógł wyrwać się z tego wszystkiego i zakończyć życie gdzieś na samotności! Ciężar odpowiedzialności za tak wiele dusz jest dla mnie przygniatającym brzemieniem i drzę na myśl o chwili, gdy przyjdzie mi zdawać z tego rachunek.

— Ależ ksiądz nie ma się, czego obawiać. — W takim razie ksiądz jeszcze nie wie, co to znaczy I wyjść z plebanii i stanąć oko w oko z Bogiem! — odparł ksiądz Vianney wzdychając. Ksiądz Tailhades pozostał jeszcze przez dwa miesiące w parafii. Z dnia na dzień wzrastała w nim cześć dla proboszcza, którego świętość ujawniała się coraz

bardziej. Pomagał mu we wszystkim w miarę sił i możliwości: uczył religii, odwiedzał chorych na odległych fermach, głosił kazania, chrzczył, śpieszył do umierających z ostatnią posługą.

Pomimo to, ksiądz Vianney z trudem mógł znaleźć jakąś wolniejszą godzinę na przyjacielską pogawędkę lub krótki odpoczynek, wspólnie spędzony. Był, bowiem wprost zalewany przez nieustanną falę pielgrzymów, która nieco zmniejszała się podczas miesięcy zimowych.

Proboszcz z Ars przeżywał niewypowiedzianą mękę, jeżeli nie mógł znaleźć koniecznego czasu na samotną modlitwę przed tabernakulum. Grubo przed świtem udawał się do kościoła, gdzie często już czekali na niego penitenci. Jak bardzo czuł się szczęśliwy, gdy mógł znaleźć, choć chwilę, by uklęknąć na stopniach ołtarza i poadorować Boskiego Mistrza! Trwał tak bez ruchu, z rękoma złożonymi, z wzrokiem utkwionym w tabernakulum, zatopiony w kontemplacji do tego stopnia, iż trzeba mu było przypominać, że w kaplicy świętego Jana Chrzciciela czekają na niego penitenci.

Ksiądz Tailhades nie na próżno był w szkole proboszcza z Ars. W miarę swoich słabych sił próbował go naśladować, lecz ksiądz Vianney, który był tak niemiłosierny względem samego siebie, troskliwie czuwał nad konfratrem. — Mój drogi przyjacielu... — powiedział doń pewnego dnia, gdy ksiądz Tailhades zapytał go o sposoby ascezy — **Szatan nie przejmuje się wcale dyscypliną czy innymi narzędziami pokutnymi. Tym, co go pokonuje, to brak napoju, pożywienia i snu.** Niczego się bardziej szatan nie boi i nic nie jest Bogu miłsze. Ileż to razy doświadczyłem tego na sobie! Kiedy byłem sam i pocziwe dziewczęta z *Domu Opatrzności* nie zajmowały się mną, w sposobie odżywiania się mogłem iść za własnym natchnieniem. Nieraz cały dzień nie jadłem absolutnie nic. Wtedy otrzymywałem od Boga wszystko, o cokolwiek Go poprosiłem dla siebie i dla innych.

Księdzu Tailhades zrobiło się ciężko na sercu, gdy nadszedł czas wyjazdu i pożegnania z proboszczem z Ars. Biskupowi w Belley, który go zapytał, co sądzi o księdzu Vianneyu, odrzekł bez wahania: — Uważam go za świętego. — Takie też jest i moje zdanie — dodał biskup.

Następny rok przyniósł niezwyklej napływ wielu pielgrzymów do Ars. Ze wszystkich zakątków Francji przybywali ludzie, żeby zobaczyć świętego proboszcza i wypowiadać się przed nim z grzechów. Ale im więcej ksiądz Vianney przyczyniał się do odzyskania pokoju u innych, tym mniej znajdowało go jego własne serce i tym bardziej rosło pragnienie milczenia i samotności. W czasie bezsennych nocy czytał księgę o wielkich pustelnikach tebajdzkich. Jakże im zazdrościł szczęścia! Jakże wydawały mu się rozkoszne te ukryte zakątki, gdzie żyli i gdzie on także pragnął znaleźć schronienie, aby się modlić i, używając jego wyrażenia, aby opłakiwać swoje biedne życie»!

W czasie jednej z takich nocy przyszła mu do głowy po raz pierwszy myśl, która go w pierwszej chwili przeraziła, ale potem stawała się coraz bardziej natrętna, myśl

dotycząca opuszczenia Ars. Ale, czy opuszczając swoją owczarnię, nie stanie się najemnikiem? Czy w oczach parafii, biskupa, a nawet w oczach samego Pana Jezusa nie stanie się zbiegiem?

Skąd pochodziła ta myśl o ucieczce? Czy rzeczywiście od Boga, czy też może raczej szatan podsuwał mu ją z takim uwodzicielskim czarem? Na próżno biedny proboszcz męczył się nad poznaniem woli Bożej. Na próżno wzywał swoich szczególnie umiłowanych świętych i załamywał ręce przed obrazem świętej Filomeny.

Z każdym dniem twarz jego stawała się coraz bardziej blada. Pielgrzymi dziwili się, dlaczego ksiądz jest tak roztargniony, iż każe im w konfesjonale powtarzać grzechy, tłumacząc się tym, że ich nie dosłyszał. Jan Pertinand, Katarzyna Lassagne i wójt Mandy obserwowali go z niepokojem. Nawet dzieci zauważyły zmianę, jaka w nim zaszła. Nieraz daremnie prosiły go o piękne opowiadanie.

Doszło wreszcie do tego, że ksiądz Vianney, mimo całego ze swej strony oporu, uległ wielkiej pokusie. Pewnej nocy wstał około drugiej, aby wedle swego zwyczaju udać się do kościoła. Zamiast jednak do kościoła, z latarnią w ręce wyszedł z wioski i skierował się na drogę do Villefranche.

Szedł w nocy jak lunatyk. Świeca w latarni, pełnawszy po raz ostatni, zgasła. Otoczyły go nieprzeniknione ciemności. Żadna gwiazda nie świeciła na niebie. Pomimo to szedł coraz dalej, aż wreszcie doszedł pod wielki przydrożny krzyż. Nigdy nie zwykł przechodzić koło tego znaku, by nie pozdrowić cierpiącego Chrystusa. Osunął się, więc na kolana i złożył czoło na kamieniu. Jakaś nadzwyczajna cisza ogarnęła nagle księdza i w tej ciszy usłyszał głos Nieskończonej Miłości: — Dokąd idziesz, Janie?

— Panie, idę Cię szukać na samotności. Proszę Cię, pozwól mi odejść. Wtedy usłyszał odpowiedź Pana Jezusa, niewidocznego w ciemnościach: — Janie-Maria Vianneyu, nie szukaj Mnie na samotności, ale w duszach, które moje miłosierdzie sprowadza do ciebie. Jedna dusza więcej waży niż wszystkie modlitwy, jakie mógłbyś odmówić na samotności. Wracaj! Idź do swe go kościoła. Poranione dusze czekają tam na dobrego Samarytanina.

Wówczas proboszcz z Ars wstał i wrócił drogą, którą był przyszedł. Upadł na kolana przed tabernakulum i podziękował Bogu za światło, jakim go raczył oświecić wśród ciemności nocy.

### **CUD MAŁEJ ŚWIĘTEJ (1843)**

Ksiądz Vianney spędził cały dzień w konfesjonale. Opuścił go dopiero wieczorem, żeby odprawić nabożeństwo majowe. W kościele nabitym ludźmi wszystkie głowy zwróciły się w stronę księdza, który ciężkim i zmęczonym krokiem wstępował na ambonę. Ledwie dosłyszalnym głosem rozpoczął kazanie o Matce Bożej. Po paru zdaniach chwycił go straszny atak kaszlu. Twarz poczerwieniała na skutek czynionych

wysiłek, by odzyskać oddech. Rękoma uchwycił się kurczowo parapetu ambony, bo zaczął się chwiać i staniać, jak drzewo pod uderzeniami topora.

Słuchacze stali niczym porażeni. Jan Pertinand wbiegł szybko po schodkach na ambonę, by podtrzymać omdlewającego proboszcza z Ars. I przybył w samą porę. Wsparty się ciężko na ramieniu młodego nauczyciela, dowlókł się na plebanię. Trząśnięty całą z zimna i gorączki. Rozebrano go i położono na jego nędznym postaniu. Szybko wezwano lekarza. Kiedy przybył doktor Saunier, chory stracił przytomność.

—, Co mu jest? — zapytał drżącym głosem Jan Pertinand. — Pewno ostre zapalenie płuc — odrzekł lekarz, kiwając głową. — Potrzebuje dobrej opieki i nie można go na moment zostawić samego. — Czy stan chorego jest aż tak poważny? — zapytał jeszcze nauczyciel. — Jest bardzo poważny. Lada moment może przestać bić serce. Jest zupełnie zużyte. Przede wszystkim zaś trzeba mu się postarać o lepsze łóżko.

Jeszcze tego samego wieczora hrabia Klaudiusz des Garets kazał przynieść na plebanię wspaniałe materace, na których ułożono wychudłe ciało biednego proboszcza. Lekarz przepisał mu także środki na wzmocnienie serca. Zaraz postarano się o nie. Jan Pertinand czuwał przy chorym całą pierwszą noc, gdyż był nieprzytomny i trzęsły nim dreszcze. W nocy przyszedł stary Mandy i chciał zastąpić nauczyciela, lecz ten nie zgodził się na to.

— Dopóki mi sił starczy, nie opuszczę go. — Z nim i Pan Bóg opuści naszą wioskę — westchnął wójt. — Musimy wezwać księdza — podjął na nowo Pertinand. — Koniec może nastąpić wcześniej, niż myślimy. Będę niezmiernie panu wdzięczny, jeśli pan zechce się tym zająć. — Ależ oczywiście — odrzekł wójt, opuszczając pokój.

Nad ranem gorączka nieco opadła. Ksiądz Vianney obudził się, spojrzął wielkimi oczyma na Pertinanda i z trudem wypowiedział: — Mój Boże, to już biały dzień. Muszę iść do kościoła. Ludzie na mnie czekają przy konfesjonale. — Ksiądz jest chory, księżę proboszczu — odrzekł nauczyciel, przytrzymując księdza, który usiłował podnieść się. Opadł jednak z powrotem na poduszki, wydając bolesny jęk. — Moje biedne ciało już więcej nie może.

Ksiądz Valentin, proboszcz z Jassans i spowiednik księdza Vianneya, nie zwlekał z przybyciem. — Przychodzi ksiądz w samą porę. Właśnie chcę się wypowiadać — rzekł cicho proboszcz z Ars. Tymczasem kościół nie opróżniał się z modlących się ludzi. Pielgrzymi i parafianie klęczeli przed wszystkimi świętymi obrazami ze łzami w oczach. Z sąsiednich wiosek przybyli także księża: Renard i Lacote, obaj pochodzący z Ars, ksiądz Raymond z Savigneux, ksiądz Dubois z Fareins, dziekan z Trevoux, proboszcz z Miserieux.

— Wszyscy modlą się bez przerwy za księdza... — powiadomiła chorego Katarzyna Lassagne. — Dzieci składają swoje ofiarki w intencji księdza proboszcza. Pewna dziewczynka obiecała Panu Bogu swoją najpiękniejszą lalkę, jeśli przywróci księdzu zdrowie.

— Mój Boże, tyle hałasu z powodu jednego biednego starego proboszcza! — odrzekł ksiądz Vianney, uśmiechając się mimo cierpienia. — Ale dobrze, niech się modlą. Chciałbym jeszcze kilka lat pożyć. Inaczej stanę przed moim Sędzią z pustymi rękoma. Tak mało dobra zrobiłem.

— Ależ stanie ksiądz z rękami przepelnionymi dobrymi uczynkami — odrzekł ksiądz Valentin, spowiednik. — Obym się tylko mógł uchwycić sutanny księdza — westchnął ksiądz Blandon — a na pewno wszedłbym razem z księdzem do nieba.

— Nie rób tego, przyjacielu — odrzekł proboszcz z Ars, patrząc rozweselony na tuszę swego konfratra, — bo moja sutanna jest już dosyć licha, a brama niebieska jest ciasna. W takim wypadku obydwaj gotowi byśmy byli pozostać na zewnątrz.

Hrabia des Garets sprowadził z Lyonu trzech sławnych lekarzy. Ale oni także orzekli, że stan chorego proboszcza jest beznadziejny. Ksiądz był prawie cały czas nieprzytomny. Ósmego maja, w rocznicę urodzin, odzyskał przytomność i na widok doktora Saunier i jego trzech kolegów zażartował: — Teraz muszę stoczyć ciężką walkę. — Z czterema lekarzami. Gdyby przybył piąty, byłbym przegrany. — Jest księdzu lepiej, bo może żartować — zauważył z ulgą hrabia.

Jednakże tego właśnie dnia stan chorego pogorszył się do tego stopnia, że lekarze stracili wszelką nadzieję. Hrabia i Pertinand czuwali przy chorym, który prawie stale rzucał się na łóżku. Widocznie prześladowały go jakieś straszne zjawy. — Tej nocy — powiedział ksiądz Vianney, gdy rano opadła nieco gorączka — słyszałem triumfalne ryki szatanów: mamy go, mamy go, teraz on już jest nasz, wrzeszczeli mi do uszu.

Ludzie z Ars i pielgrzymi cisnęli się do drzwi plebanii, żeby się czegoś dowiedzieć o chorym. Tym zaś, którzy czuwali, nie zawsze udawało się powstrzymać tłum, który wdzierał się do pokoju.

— Pozwólcie im — mawiał dobry proboszcz — pozwólcie dzieciom przyjść zobaczyć ojca. Pielgrzymi chcieli spowiadać się z grzechów przed prawie konającym. Odsyłano ich, więc do księdza Lacote, który obsługiwał parafię, lecz konfesjonał w kaplicy świętego Jana Chrzciciela był pusty.

— Pozwólcie mi uklęknąć na progu jego pokoju — prosiła księdza Renarda pewna dama z Lyonu — żeby, choć na mnie spojrzeć i pobłogosławić. To błogosławieństwo wniesie nieco pokoju do mojej duszy.

Klaudyna Rymond-Corcevay, która straciła mowę na skutek ciągłej anginy, nie chciała opuszczać Ars, zanim Pan Bóg nie zadecyduje o życiu swego sługi. Znalazła gościnię u pani Favier. Rano jedenastego maja udało się jej dostać do pokoju chorego, który dopiero, co odzyskał przytomność. Podała mu tabliczkę, na której wypisała swoją prośbę.

Jan Pertinand na żądanie proboszcza, niezdolnego jej odczytać z powodu osłabienia wzroku, zakomunikował mu treść napisu. Wtedy ksiądz uniósł się nieco i polecił zbliżyć się niemowie. Następnie powiedział do niej cicho: Moje dziecko,

przepisane przez lekarzy środki są bezskuteczne. Zresztą za wiele ci ich dano. Ale dobry Bóg chce cię uzdrowić. Zwróć się do świętej Filomeny. Złóż tabliczkę na jej ołtarzu i powiedz jej, że jeśli nie chce przywrócić ci twojego głosu, niech ci odstąpi swój. Powiedz jej także, że to ja, jej proboszcz, daję takie polecenie.

Niemowa bez wahania udała się do kościoła. Przepchnęła się przez tłum wiernych do kaplicy Małej Świętej. Ale widząc płacz i błagania otaczających ją osób, zawahała się przez chwilę, czy pójść za radą proboszcza z Ars. Nagle, idąc za wewnętrznym natchnieniem, zmasała swoją poprzednią prośbę, a napisała słowa: «Święta Filomeno, uzdrów proboszcza z Ars». Następnie położyła tabliczkę na ołtarzu. W uniesieniu próbowała odmówić jakąś modlitwę, lecz jej niemy język wybełkotał tylko kilka niezrozumiałych słów. Potem jednak niespodziewanie krzyk wyrwał się jej z ust i pełnym głosem wymówiła następujące słowa: — Zapomnij o mnie, a uzdrów proboszcza z Ars...

— I stał się cud. Kobieta została uzdrowiona. — Cud! — zawołała pani Favier, która jej towarzyszyła. — Cud! — powtórzyły setki głosów w kościele. — Święta Filomena dokonała cudu. Kilku ludzi chwyciło za liny dzwonów, i wkrótce ich głos obwieścił cudowne zdarzenie. — Dziękuję ci, Mała Święta — powtarzał ksiądz Vianney. — Jesteś naprawdę moim posłusznym dzieckiem.

— Nowa nadzieja rozpała serca wszystkich. Skoro Święta uzdrowiła niemowę, to mogła również uzdrowić i swego najwierniejszego czciciela. Dlatego ludzie podwoili modły.

Lecz święta Filomena zdawała się być głucha na modlitwy. Wieczorem rozeszła się wieść, że święty proboszcz rozpoczął agonię. Ksiądz Valentin, jego spowiednik, zdecydował, aby mu udzielić Ostatniego Namaszczenia. Chciał jednak dokonać tego tak, aby nie dowiedzieli się o tym pielgrzymi i parafianie.

— O, nie! — sprzeciwił się temu ksiądz Vianney. — Trzeba, żeby się wszyscy za mnie modlili. Niech uderzą w dzwony! — Ksiądz proboszcz umiera — podawano z ust do ust. W kościele wierni płakali i modlili się. Na środku ulicy klęczeli ci, co nie mogli dostać się do środka. Mały Bernaś Matin przyrzekł, że nie ruszy się spod figury świętej Filomeny, dopóki ona nie uzdrowi księdza proboszcza.

W pokoju umierającego trwało na klęczkach siedmiu duchownych, a z nimi także hrabia des Garets, wójt Mandy, nauczyciel Pertinand i Katarzyna Lassagne. Ksiądz Vianney, otrzymawszy Sakrament Chorych, zwrócił się z ostatnią i pełną ufności modlitwą do swojej umiłowanej Świętej, polecając się jeszcze raz jej opiece. Następnie znowu stracił przytomność. — To już tylko kwestia minut — orzekł lekarz. — Serce bić przestało — dodał zaraz potem.

— *Requiem aeternam dona ei, Domine* — zaczęli księża. Lecz chory otworzył oczy i głęboko westchnął. Doktor ze zdumieniem stwierdził, że puls zaczął bić na nowo. — Czuję się troszkę lepiej — powiedział ksiądz Vianney ledwie dosłyszalnym głosem.



Święta Filomeno... — I uśmiech rozjaśnił mu rysy, gdy tymczasem wzrok szukał wiszącego na ścianie jej obrazu. Przez całe trzy godziny pozostawał tak bez ruchu, z rękoma złożonymi na piersi. Potem nowy nawrót gorączki pozbawił go przytomności. Noc mijała powoli. O świcie ksiądz Dubois udał się do kościoła, by przy ołtarzu świętej Filomeny odprawić Mszę świętą. Na stopniach znalazł chłopca, który ze zmęczenia usnął.

Poderwał się jednak zaraz i zapytał: — Jak mu?— To dziwne — odrzekł kapłan — ale wbrew wszelkiemu przewidywaniu stan jego nieco się poprawił. Na razie jednak ma wysoką gorączkę. Bernas Matin niezwykle pobożnie usługiwał do mszy świętej, niepokojąc swoimi modlitwami całe niebo i wszystkich świętych.

Tymczasem chory znowu zdawał się być bliski końca. Ledwie oddychał. W każdej chwili oczekiwano ostatniego tchnienia. Kiedy jednak kapłan odczytał ostatnią Ewangelię, ksiądz Vianney znowu otworzył oczy i, zdawało się, że widzi coś zakrytego przed tymi, którzy go otaczali. Wargi szeptały imię Świętej. Potem, patrząc na klęczącego przy łóżku Jana Pertinanda, powiedział dość mocnym głosem: — Jakaś dziwna zmiana dokonała się we mnie. Jestem uzdrowiony.

Lekarz, przybywszy natychmiast, pokręcił głową z niedowierzaniem, stwierdzając ogólną poprawę, jaka nastąpiła u pacjenta, którego uważał za straconego. — To zupełnie niewytłumaczalne — mruknął. — Niech pan raczej powie: cudowne — wtrącił, uśmiechając się, proboszcz z Ars. — Tak, to cudowne. Niebezpieczeństwo minęło.

W mgnieniu oka wieść o tym rozniosła się po wsi. Uderzyły dzwony, a ludzie śpiewali *Te Deum*. Przed figurą Małej Świętej pełno było kwiatów. Mała dziewczynka z *Domu Opatrzności* bez najmniejszego żalu wrzuciła w ogień najpiękniejszą lalkę, nie wiedząc, w jaki sposób przekazać swój dar Panu Bogu.

— Myślę, że Pan Bóg uzdrowił księdza proboszcza ze względu na moją lalkę — wyznała Katarzynie Lassagne. Nie był to jedyny ślub, spełniony w parafii w tym czasie. Dwudziestego maja, w dzień świętego Bernardyna ze Sieny, Jan-Maria po raz pierwszy nawiedził Najświętszy Sakrament w tabernakulum. Była druga godzina w nocy, gdy dzwony w Ars zaczęły dzwonić, ponieważ proboszcz, który koniecznie chciał odprawić Mszę świętą, nie mógł długo pozostawać na czczo. Podtrzymywany przez Jana Pertinanda, złożył przy ołtarzu świętej Filomeny Najświętszą Ofiarę. Bernas Matin usługiwał do niej.

Ksiądz Vianney nie mógł się powstrzymać, by nie rzucić okiem pełnym żalu na swój konfesjonał. Był jednak jeszcze zbyt słaby, żeby w nim zasiąść. Nastąpiło to dopiero w piętnaście dni później, kiedy to wbrew zakazowi lekarza rozpoczął znowu swoją pracę szafarza Bożego miłosierdzia. Doktor zgodził się przymknąć oczy na to nieposłuszeństwo swojego podopiecznego, lecz pozostał nieubłagany na innym punkcie, a mianowicie żądał całkowitej zmiany w sposobie odżywiania się. Odtąd ksiądz Vianney musiał spożywać dwa pełne posiłki dziennie, składające się z mięsa w południe i ze szklaneczki starego czerwonego wina przy każdym z nich.

Z pewnością rekonwalescent najchętniej byłby się uwolnić od zaleceń lekarza, gdyby do przestrzegania ich nie zobowiązał go biskup. A kiedy w *Domu Opatrzności* zasiadał za suto zastawionym stołem, labiedził: — I oto patrzcie, jak stałem się żarłokiem. Już nie uzyskam tylu łask.

— Pan Bóg nie po to uzdrowił księdza, żeby miał cofać swoje łaski — sprostowała tonem zdecydowanym Katarzyna Lassagne. — Tak, jeszcze dzisiaj odeślę materac do dworu. Będę bardzo zadowolony, gdy znowu będę mógł sypiać na moim sienniku — powiedział do siebie na pociechę.

## **DWUKROTNA UCIECZKA (1843)**

Od czasu ciężkiej choroby księdza Vianneya proboszcz z Savigneux, ksiądz Antoni Raymond, prawie stale przebywał na plebanii w Ars, gdy tymczasem jego parafię obsługiwał jeden z sąsiednich księży. Proboszcz z Ars przyjął go życzliwie, jako pomocnika i chętnie udzielił mu gościny.

Ksiądz Raymond, pochodzący z sąsiedniej parafii, Fareins, znał księdza Vianneya od swego dzieciństwa. W niższym seminarium w Maximieux dyrektor, ksiądz Maciej Loras, o proboszczu z Ars zawsze wyrażał się z największym szacunkiem. Proboszcz z Savigneux przypomniał sobie doskonale dzień, kiedy to dyrektor seminarium przestawił go księdzu Vianneyowi, jako jednego z najzdolniejszych uczniów. Pamiętał, że święty kapłan długo mu się przypatrywał, a potem powiedział: — Być zdolnym to wielki dar nieba. Mnie go zawsze brakowało. Twój ksiądz dyrektor wie o tym doskonale. Podziękuj, więc Bogu, że dał ci bystry umysł, ale strzeż się pychy.

Kiedy zaś proboszcz z Ars dowiedział się, że Raymond jest synem ubogich rodziców, wziął na siebie kosztą jego studiów seminaryjnych. Ksiądz Raymond był już kapłanem dobrych kilka lat, lecz mimo zdolności, pozostawał proboszczem w Savigneux, w tej byle, jakiej «dziurze».

Od dłuższego czasu ten dumny ksiądz narzekał na swój los i z źle ukrywaną zazdrością zaczął kierować swój wzrok na Ars, które stało się najbardziej uczęszczanym we Francji miejscem pielgrzymkowym. Każdego, bowiem dnia przybywały tu liczne gromady pielgrzymów, wśród których można było dostane osobistości: artystów, naukowców, wielkich pisarzy, dziennikarzy, a nawet biskupów i arystokratów.

Gdy proboszcz z Savigneux ujrzał księdza Vianneya łożu śmierci, zaczął żywić myśl, iż może zostanie jego następcą. I na pewno potrafi lepiej niż ten biedny proboszcz przyciągnąć te szeregi pielgrzymów do swojej parafii. Postawionego na świeczniku, nie omieszkają go wkrótce zauważyć i z całą pewnością jemu to, w proboszcza «dziurze», powierzą wysokie stanowisko wielkich kościołów w Belley czy nawet w Lyonit. Ksiądz Vianney znowu spędza całe dnie w konfesjonale i wkrótce ponownie znajdzie się u kresu sił i też znowu padnie, a wtedy...

Ksiądz Raymond zapalił lampę, bo zaczął zapadać zmrok. Po chwili postyszał na schodach ciężkie kroki proboszcza z Ars. Od paru tygodni ksiądz Rajmund zauważył u swego konfratra dziwną zmianę, a w ciągu ostatnich dni jakiś dziwny niepokój.

Wszedłszy do pokoju, ksiądz Vianney usiadł naprzeciw księdza Raymonda i po dłuższej chwili milczenia powiedział: — Chcę odejść z Ars. — Chce ksiądz odejść? — zawołał młody proboszcz a z czasem oczy mu jakoś dziwnie pojaśniały. — Tak jest. Napisałem prośbę do biskupa w Montmerle.

Będę tam tylko na świętą, a poza tym znajdę tam upragnioną radość, żeby opłakiwać moje biedne życie i przygotował się na śmierć, Czy będzie ksiądz taki dobry i zanieśe moją prośbę do księdza biskupa, a następnie jego odpowiedź przęśle do Dardilly? — Do Dardilly? — Tak jest, do domu mego brata. Wybieram się tam jeszcze dzisiaj w nocy.

— Dzisiaj w nocy? — powtórzył ksiądz Raymond ze źle maskowanym zadowoleniem. — Tak. Już wszystko przygotowałem. Mój brat także wie o moim przybyciu. — Czy mówił już ksiądz komuś o swoim zamiarze? — Z nikim, z wyjątkiem wychowawczyń z *Domu Opatrzności*. Nie miałem serca, by odejść bez pożegnania się z tymi dobrymi duszami.

— W *Domu Opatrzności* są trzy kobiety — rzekł ksiądz, marszcząc brwi. — Czy zachowają one milczenie? — Ufam, że tak — westchnął ksiądz Vianney. — Skoro parafianie powezmą choćby najmniejsze podejrzenie, co do projektu księdza, na pewno wszelkimi możliwymi sposobami nie dopuszczą do tego. Pójdę nieco się wywiedzieć.

Po dłuższej chwili ksiądz Raymond wrócił i rzekł tonem pełnym niezadowolenia: — Widziałem kilku mężczyzn i młodych chłopców, którzy kręcą się wokół plebanii. To mi się nie podoba. — To tylko przypadek. Idę jeszcze trochę się zdrzemnąć. Gdy będę wychodził, proszę sobie nie przeszkadzać.

Na wieży kościelnej wybiła pierwsza po północy, gdy Bernaś Matin, który stróżował za węglem domu, zobaczył, że otwierają się drzwi plebanii, wychodzące na ogród. Jakaś ciemna postać przesunęła się wzdłuż parkanu i wyszła przez furtkę. Był to proboszcz z Ars, który z brewiarzem pod pachą jak złodziej uciekał ze swego domu. Na chwilę przystanął, aby się rozejrzeć w sytuacji, a następnie kryjąc się w cieniu muru cmentarnego skręcił szybko w ulicę.

— Księżę proboszczu — zawołał chłopak, podbiegając — gdzie to się ksiądz wybiera o tak późnej porze? — Takie dzieci, jak ty, powinny być o tej porze w łóżku. Co tak późno robisz na ulicy? — Chciałem, żeby mi ksiądz poświęcił różaniec — wyjął chłopiec. — Ten oto... — To o północy z tym przychodzisz? Będziesz miał czas jutro.

— Na pewno chce ksiądz iść do kościoła? Niech mi ksiądz pozwoli nieść brewiarz. Ale ksiądz Vianney jeszcze mocniej przycisnął księgę pod pachą. — Nie zatrzymuj mnie dłużej. Nie mam czasu. Po tych słowach oddalił się, jak tylko mógł najszybciej. Chłopiec pobiegł do wartownika, który miał czatować przy murze cmentarnym.

— Poszedł — krzyczał zdyszany. — I nie zatrzymałeś go? — zapytał Antek Cinier, który drzemał oparty o mur. — Bałem się, żeby nie oberwać. — To nic. I tak go dogonimy. I obaj chłopcy biegiem puścili się w pogoń za księdzem. Chmury jednak przesłoniły księżyc. Poza tym zbieg najprawdopodobniej musiał się gdzieś przyczaić.

— Chodźmy dać znać nauczycielowi — zdecydował Cinier. Na nieszczęście, bowiem zapomniano go powiadomić o zamiarze proboszcza. Dlatego teraz trzeba było stracić sporo czasu, zanim otworzył drzwi. — Podejrzywałem to — rzekł Jan Pertinand, który natychmiast rzucił się w pogoń za zbiegiem. — Ja go sprowadzę z powrotem — krzyczał, biegnąc ulicą.

Tymczasem ksiądz Vianney minął już Fontblin i, aby zmylić ewentualny pościg, zamiast iść drogą w kierunku Villefranche, puścił się ścieżkami na przełaj przez pola. Wkrótce jednak, w ciemności, zabłądził. Dopiero po przeszło godzinie nauczyciel dostrzegł go na czymś świeżym ściernisku.

— Księżę proboszczu — zawołał zdyszany, — dlaczego ksiądz nas opuszcza? — Janku — odrzekł kapłan, biorąc swego dawnego ucznia pod ramię — proszę cię, nie zatrzymuj mnie. Pozwól mi odejść. — Ale gdzie ksiądz chce iść? — Do rodzinnego domu. Prosiłem księdza biskupa o pozwolenie na usunięcie się, i na odpowiedź będę czekał w Dardilly.

— A jeżeli ksiądz biskup się nie zgodzi? — W takim razie wrócę do Ars. — Zatem dobrze, odprowadzę księdza do Dardilly. — A dzieci? — Nie umrą ze smutku, że im się lekcje upieką. — Dziękuję ci — odrzekł ksiądz, Vianney, wzdychając z ulgą.

Wczesnym rankiem obaj podróżnicy przybyli na most w Trevoux. Poborca myta siedział przy zamkniętej rogate i spał. Pertinand chciał go obudzić, ale ksiądz Vianney powstrzymał go, mówiąc: — Niech sobie śpi biedak. Nadłożymy nieco drogi i przejdziemy Saonę w Neuville. W Neuville poborca myta także zdawał się drzemać, lecz poderwał się, słysząc zbliżające się kroki podróżnych i zażądał opłaty.

Ksiądz proboszcz w pośpiechu nie zabrał ze sobą pieniędzy, a i nauczyciel nie miał grosza przy duszy. Ksiądz, więc chciał dać mu w zastaw swój zegarek, lecz poborca nie przyjął go, żartując: — Zapłacicie innym razem. A jeśli nawet nie przyjdziecie, mniejsza z tym. — Podniósł szlaban i przepuścił obydwu.

Po czterech godzinach uciążliwej drogi dotarli wreszcie do Dardilly. Półżywy ze zmęczenia dowlóknął się ksiądz Vianney do progu rodzinnego domu. Brat i jego rodzina przyjęli go z radością. Bratowa chciała mu zaraz podać śniadanie, lecz ksiądz odmówił. Kazał się zaprowadzić do sypialni i ciężko opadł na łóżko.

Tymczasem w Ars zapanował istny koniec świata. Na ulicach i po domach nie mówiono o niczym innym, jak o ucieczce księdza proboszcza. Setki pielgrzymów błąkało się tam i z powrotem, nie wiedząc, co ze sobą począć. Na próżno ksiądz Raymond starał się uspokajać podniecone umysły oświadczając, że choćby nawet ksiądz Vianney nie

wrócił, to przecież w Ars zostanie on, tak, że w żadnym wypadku parafia nie zostanie bez księdza.

Ku swemu jednak zdziwieniu stwierdzał, że ludzie na jego słowa pozostają obojętni. Większość pielgrzymów zaraz odjechała. Owszem, byli nawet tacy, którzy wrócili tym samym dylizanssem, którym przyjechali. — Ależ święta Filomena na was czeka — zachęcał ksiądz Raymond, — dlaczego więc przerywacie pielgrzymkę, gdy jesteście u celu? — Przybyliśmy, żeby zobaczyć świętego proboszcza — odpowiadali ludzie.

Oczywiście, przy okazji odwiedzano także Małą Świętą, lecz prawdziwym celem pielgrzymki był wyłącznie on sam, Jan-Maria Vianney. Hrabia Klaudiusz des Garets, od niedawna wójt gminy, zjawił się na plebanii i zapytał księdza Raymonda, czy nie wie, gdzie się proboszcz podziewa. — Na pewno jest w Dardilly. Lecz mianował mnie swoim zastępcą. Do mnie, więc należy zająć się nabożeństwami i pielgrzymami.

— Niech się ksiądz raczej zajmie sprowadzeniem na powrót naszego proboszcza. Bez księdza Vianneya Ars nie będzie już Ars, i nie będzie już mowy o żadnych pielgrzymkach. — Nie wierzy pan, że pielgrzymki do świętej Filomeny będą odbywać się w dalszym ciągu? — zapytał niepewnie ksiądz Raymond.

— Czy ksiądz naprawdę nie widzi, że ludzie przychodzą tutaj tylko z powodu naszego proboszcza? — odpowiedział hrabia pytaniem, i opuścił plebanię, zostawiając młodego księdza z jego myślami. Jeżeli więc Ars odwiedza tak wielka liczba pielgrzymów tylko z powodu świętego proboszcza, to w takim razie co za sens jest starać się o następstwo po nim? Bez pielgrzymów Ars znowu stanie się zabitą dziurą, tak jak było do niedawna, jeszcze mniej interesujące, niż Savigneux. Ksiądz Raymond postanowił więc udać się do Belley, przekazać biskupowi list księdza Vianneya i poprosić o radę.

Po dwóch dniach wyczekiwania Pertinand wrócił do Ars i oznajmił, że na razie ksiądz proboszcz musi pozostać w Dardilly. Hrabia des Garets kazał zaprząć konie i w kilka godzin później stanął przed rodzinnym domem świętego. Franciszek Vianney okazał z tego powodu niezadowolenie i odmówił udzielenia jakichkolwiek informacji. Pozwolił jednak hrabiemu wejść do domu i napisać list do księdza proboszcza.

W wielkim pośpiechu wójt z Ars skreślił kilka zdań na papierze i wsiadł z powrotem do powozu. — Byłoby dziwne, gdyby tu jeszcze wrócił... — zauważył śmiejąc się Antoś, szesnastoletni, rosły chłopak, bratanek księdza Vianneya. — Tak i ja myślę, że zostawię twego biednego stryja w spokoju — westchnął jego ojciec. — Tato, jeśli chcesz, będę pilnował z widłami. Wtedy już nikt nie wejdzie.

Około południa listonosz przyniósł dwa listy, które Franciszek przekazał bratu wraz z listem hrabiego — Czy może pisze ksiądz biskup? — zapytał żywo ksiądz Vianney, zobaczywszy brata. — Nie wiem. Wiesz przecież, że nie umiem czytać. Proboszcz otworzył najpierw list wójta; *Drogi i Czcigodny Księżę Proboszczu! Jesteśmy do głębi wstrząśnięci niespodziewanym odejściem księdza i nie przestaniemy prosić Boga, by księdza do nas z powrotem sprowadził. Na razie niech ksiądz nie podejmuje żadnej*

*decyzji. Ksiądz potrzebuje odpoczynku. Wiem to lepiej niż ktokolwiek inny. Ale niech ksiądz nie zapomina o „Domu Opatrzności”, którego jest ksiądz jedyną podporą i który nie może istnieć bez księdza.*

Następnie ksiądz Vianney otworzył drugi list, w którym Katarzyna Lassagne zaklinała go, żeby wrócił, bo bez niego wszystko się rozleci, a „Dom Opatrzności” przestanie istnieć.

Ostatni pochodził od właściciela hotelu dla pielgrzymów, który niedawno wbrew woli proboszcza otworzył jakiś przybysz. *Księżę Proboszczu — pisał ten człowiek, zatroskany o swój interes — proszę księdza usilnie, by ksiądz nas nie opuszczał. Ksiądz wie, że zawsze oświadczałem i powtarzam to w tej chwili z całą szczerością, że jeżeli w moim domu działą się jakieś rzeczy niestosowne, poddam się w zupełności decyzji księdza.*

Ksiądz Vianney odłożył na bok list uśmiechając się. Następnie przeczytał jeszcze parę razy list Katarzyny Lassagne, który był prawdziwym wołaniem o ratunek. Nagle wpadł do pokoju Antoś, bratanek, z krzykiem: — Stryju, wyglądaj no przez okno. Cała karawana! Na Boga, muszę iść po posiłki. Ksiądz Vianney zbliżył się do okna i zobaczył tłum ludzi idących ulicą przez wieś. — Pielgrzymi z Ars! — jęknął.

— Czy mam ich rozpędzić? — zapytał chłopak. — Jeśli trzeba, zabarykadujemy drzwi kłocami dębowymi. — Nie, nie! Już idę. Nie wolno tym poczciwym ludziom kazać na darmo odbywać tak długiej drogi. Chodźcie ze mną do kościoła — dodał, zwracając się do pielgrzymów. Poszedł przed nimi i zasiadł w konfesjonale, skąd wyszedł dopiero po wielu godzinach.

W sobotę szesnastego września, grubo jeszcze przed świtem, gwałtowne łomotanie postawiło na nogi cały dom, Vianneyów. Antoś podskoczył do okna i zobaczył gromadę ludzi, złożoną z ponad dwudziestu młodych chłopców, którzy prosili o widzenie się z proboszczem z Ars. — Nie otworzymy! — krzyknął Antoś. — Ależ my przychodzimy z Ars — odparł Franek Pertinand, który był przywódcą całego tego poselstwa.

— Wracajcie, skąd przyszlście. Nam tu was nie po trzeba. — Otwórzcie nam — prosił Antek Cinier. — Na pewno znajdziemy naszego księdza proboszcza w kościele — rzekł z kolei najmłodszy z gromady, Bernaś Matin. — Powiedziałem wam, wynoście się — krzyczał Antoś Vianney. Lecz w tej samej chwili otwarło się drugie okno i ku swej wielkiej radości wysłannicy z Ars poznali głos swego proboszcza, który im przyjaźnie życzył dobrego dnia.

— Zaczekajcie chwilę. Już wam otwieram. — W takiej sytuacji nie mam tu nic do roboty — stwierdził młody Vianney, zamykając z całą siłą okno. W chwilę potem chłopcy z Ars ze swym proboszczem udali się do kościoła, żeby wysłuchać Mszy świętej. Po Mszy cierpliwie czekali przy drzwiach, aż ukazał się w nich ksiądz Vianney, który zaprosił ich na śniadanie.

— Ależ nic podobnego, księżę proboszczu — bronił się Pertinand. — Zrobiliśmy, co było trzeba, i nie chcemy być ciężarem dla rodziny księdza. Potem wszyscy delegaci zaklinali swego pasterza, by wrócił z nimi. — Nie możemy wracać do Ars bez księdza — stwierdził Antek Cinier. — Na razie nie mogę wam niczego obiecać. W najbliższy wtorek odprawię Mszę świętą w Fourvieres, w czasie której będę prosił Boga, by mi objawił swoją wolę. Wracajcie teraz do domu i módlcie się, aby Bóg mnie oświecił.

Tuż przed obiadem jakiś duchowny zjawił się na fermie. Ksiądz Vianney z otwartymi ramionami wybiegł na powitanie księdza Raymonda. — Czy przyniósł mi ksiądz odpowiedź biskupa? Ksiądz Raymond podał list, który ksiądz Vianney zaraz otworzył. Biskup z Belley odmawiał mu placówki w Monlmerle, o którą prosił, ale za to proponował kapelanie u Matki Bożej w Beaumont. Jednakże nalegał nań, jakkolwiek w sposób bardzo serdeczny, żeby się dobrze zastanowił i zapytał siebie poważnie, czy nie lepiej będzie wrócić do Ars.

Tymczasem ludzie z Dardilly zaniepokoiili się przedłużającą się rozmową księży. — Przyszedł z Ars i chce nam zabrać stryja — labiedził Antoś Vianney. Kiedy wreszcie ksiądz Raymond opuszczał fermę, odprowadzały go nieufne, a nawet wrogie spojrzenia.

Po południu proboszcz z Dardilly ostrzegł księdza Raymonda: — Niech ksiądz jak najszybciej opuści wioskę. Ludzie domyślają się celu odwiedzin księdza. Proszę zostawić księdza Vianneya w spokoju, jeżeli nie chce ksiądz mieć nieprzyjemności. — Jestem tu z polecenia księdza biskupa — odrzekł spokojnie ksiądz.

— Ludzie nie chcą go tu widzieć — rzekł proboszcz, zwracając się do księdza Vianneya. — Boję się, żeby to się źle nie skończyło. — O, proszę się nie martwić o księdza Raymonda. On tak łatwo nie da się zastraszyć.

Pod wieczór wójt z Dardilly w towarzystwie paru radców gminnych zjawił się u Vianneyów. — Niech się ksiądz przeniesie do rodzinnego domu i tu zamieszka — zaproponowali proboszczowi z Ars. — My na pewno uzyskamy dla księdza na to pozwolenie u biskupa w Belley. — Moi przyjaciele! Gdybyście tego dokonali, byłoby mi to bardzo na rękę — odrzekł z radością ksiądz Vianney.

Ludzie z Dardilly uznali, że pomyślnie załatwili sprawę i, podobnie jak delegaci z Ars, o zmierzchu wrócili do domów. Podobnie i warta, stojąca na straży domu Vianneyów też odeszła. Tymczasem proboszcz z Ars omawiał z księdzem Raymondem plan drugiej ucieczki, gdyż zanosilo się na to, że ludzie z Dardilly zatrzymają go siłą, gdy tylko zauważą przygotowania do wyjazdu. Wieczorem ksiądz Raymond udał się do Albigny, gdzie miał oczekiwać na proboszcza.

Dobrze przed wschodem słońca otworzyła się brama podwórzowa. Franciszek Vianney wyprowadził ze stajni konia i pomógł bratu go dosiąść, sam zaś prowadził konia za uzdę. Gdy tylko zobaczył wieś Albigny, Jan-Maria Vianney pożegnał się z bratem i dalej szedł już pieszo. W kościele odprawił Mszę świętą i w towarzystwie księdza Raymonda

udał się w drogę do Beaumont, miejsca pielgrzymkowego, położonego trochę na uboczu wśród dombeńskich stawów.

Po pięciu godzinach marszu przybyli do Satnt-Marcel. Wójt tej miejsciny, który poznał proboszcza z Ars, zaprosił go, wraz z towarzyszem, do siebie na krótki odpoczynek. Wieść o tym w mgnieniu oka rozniosła się po okolicy, tak, że przed domem zrobiło się zbiegowisko. Ludzie zaprowadzili księdza Vianneya do kościoła, gdzie wygłosił do nich kazanie o marności rzeczy ziemskich i szczęściu niebieskim. Potem woźnica odwiózł ich do Marlieux, parafii, do której należała kaplica w Beaumont. Ściemniało się już, gdy dotarli do celu podróży.

Nazajutrz rano ksiądz Vianney odprawił Mszę świętą w kaplicy. — I co ksiądz postanowił? — zapytał ksiądz Raymond, gdy proboszcz wrócił do zakrystii. — Jeszcze nic. Ale będę prosił Boga o światło, gdy będę księdzu służył do Mszy świętej. Kiedy ksiądz Raymond złożył szaty kapłańskie, ksiądz Vianney wyznał mu głosem pełnym lęku: — Pan Bóg nie chce, żebym tutaj został. — A zatem, gdzie się ksiądz teraz uda? — Wracamy do Ars — odrzekł ksiądz Vianney.

Furmanka podwiozła ich do Amberieuxen-Dombes. Tam ksiądz Vianney oświadczył, że nie służy mu jazda wozem i wołał ostatnie kilometry drogi do Ars odbyć pieszo. Przedtem jednak chciał nieco odpocząć w kościele i nawiedzić Najświętszy Sakrament. Gdy tak trwał zatopiony w modlitwie, ksiądz Raymond pchnął posłańca, żeby uprzedzić ludzi w Ars, że ich proboszcz za jakąś godzinkę wraca.

Około piątej pod wieczór, cały pokryty kurzem, o lasce, ksiądz Vianney dotarł wreszcie do swojej parafii, uroczyście witany przy biciu w dzwony. Prawie cała wioska wyległa na jego spotkanie. Wśród powszechnej radości zaprowadzono go triumfalnie na plac przed kościołem. Również pielgrzymi wzięli udział w tej radości, tak, że proboszcz z trudem mógł się obronić przed nadmiernym entuzjazmem tłumu.

—, Co było zginęło — odezwał się z dobrodusznym uśmiechem — odnalazło się. Już was, moje dzieci, nie opuszczę więcej nigdy. Już was nigdy nie zostawię. Potem udał się do *Domu Opatrzności*, gdzie powitały go nauczycielki i dzieci. Lecz ksiądz Vianney był tak zmęczony, że osunął się na krzesło.

Tego dnia na *Anioł Pański* oddzwoniono wcześniej niż zwykle, i cała parafia poleciała swego pasterza opiece Matki Bożej. — Teraz wiadomo, że to Pan Bóg sprowadził go do nas z powrotem — rzekł hrabia des Garets do Jana Pertinanda. — Ale i on przekonał się, że nigdzie nie znajdzie miejsca spoczynku, bo niepokój ludzki pójdzie za nim tam, gdzie on będzie — odrzekł poważnie kierownik szkoły. — Ale też wiem, jak bardzo on tęskni za samotnością. Oby Bóg raczył pocieszyć naszego pasterza!

## **POD KRZYŻEM (1846-1849)**

Mały Piotruś Cinier, jedenastoletni chłopak, podniósł się na swoim łożu boleści i wyglądnął przez okno na ulicę. A było, na co popatrzeć! Szli tamtędy do kościoła



pielgrzymi, śpiewając i modląc się. Wędrowni sprzedawcy powykładali swoje towary, owoce i gazety, różańce i medaliki, a także portrety księdza Vianneya. Akurat przejeżdżał pod oknem dylizans z Lyonu i najlepszy kolega Piotrusia, Robert Pertinand, nie zapomniał go pozdrowić, dając znak trąbką najpiękniej, jak tylko potrafił.

Nie tego jednak oczekiwał mały chory. Każdego dnia około południa oczekiwał odwiedzin, które mu pozwalały na chwilę zapomnieć o straszliwym bólu, jaki skręcał jego członki. W czasie zabawy podpalił stodołę swego ojca. W ostatniej chwili został uratowany z płomieni, lecz był tak straszliwie poparzony, iż cierpiał niewymownie, zwłaszcza w takie dni jak dzisiejszy, kiedy zmieniano mu opatrunki.

Nagle wydał okrzyk radości. Zobaczył księdza Vianneya, który o lasce szedł w kierunku domu Cinierów. — Jak się masz, moje dziecko? — zapytał kapłan, wchodząc do domu. — Dobrze — odparł chłopak, a radość opromieniła jego poranioną twarzyczkę. — Biedactwo, jak ty strasznie cierpisz!... — Nie, proszę księdza proboszcza. Wczoraj strasznie bolało, a już dzisiaj prawie nic nie czuję. — A co będzie dzisiaj? — Dzisiaj też będzie strasznie, ale jutro już nie będzie boleć.

— Ale na pewno chciałbyś szybko wyzdrowieć? — Ach, księżo proboszczu, przecież ksiądz wie, że to się stało z mojej winy. Byłem niedobry i gdybym wyzdrowiał, mógłbym znowu stać się takim. Dlatego wolę raczej być chory. A co więcej... — Co więcej?...

— Gdybym wyzdrowiał, ksiądz nie przychodziłby mnie odwiedzać. Niech mi ksiądz coś opowie. — A więc dobrze, słuchaj! W La Salette, w jednej z wiosek Delfinatu, objawiła się Matka Boża dwojgu małym pastuszkom: Maksyminowi, który jest w twoim wieku, oraz piętnastoletniej dziewczynce, która ma na imię Melania. Dzieci widziały Ją na łące, gdzie pasty krowy.

— A jak Ona wyglądała? — Cudnie! Była ubrana w suknię białą jak śnieg, ozdobioną perłami. Na głowie miała wianek z róż. Na nogach zaś złote buciki, przystrojone pięknymi kwiatami. Ale twarz ukrywała w dłoniach i płakała. — A dlaczego płakała? — Powiedziała to dzieciom. Płakała nad Francją i przepowiadała wielkie nieszczęścia, ponieważ ludzie nie szanują dni świętych, nie chodzą na Mszę świętą i swoimi bluźnierstwami pobudzają Pana Boga do gniewu.

— Przecież w Ars wszyscy ludzie chodzą na Mszę świętą w niedzielę i nikt nie przeklina. — Tak, ale nie wszędzie we Francji jest tak jak w Ars. Matka Najświętsza zapowiedziała czasy głodu i nędzy. Już na Boże Narodzenie ma zabraknąć ziemniaków, a winogrona zgniją na krzewach.

— Czy to były dzieci bardzo pobożne, te, którym ukazała się Matka Boża? — Nie wiem — odrzekł proboszcz, kręcąc głową. — Maksymin zaledwie umiał odmawiać *Ojcze nasz*, a Melania nie знаła nawet tej modlitwy. — I Matka Boska im się objawiła?... — zapytał Piotruś zamyślony.

— Pan Bóg udziela swoich łask, komu chce. Nie patrzy na nasze zasługi. Na swoje narzędzie może wybrać byle, kogo. Ale już muszę iść. Czekaają na mnie penitenci. Mój mały Piotrusiu, ofiaruj Panu Bogu wszystkie swoje cierpienia. Ksiądz pobłogosławił dziecko i odszedł.

Szedł wzdłuż ulicy pełnej ludzi, którzy pozdrawiali go z szacunkiem. Przechodząc obok pewnego straganu, usłyszał, jak młody chłopiec głośno zachwalał swój towar: — Portrety świętego proboszcza! Kupujcie portrety księdza Vianneya!

— Na miłość boską, Bernaś, co się tak wydzierasz, jakbyś miał nóż na gardle? zagadnął kapłan, podchodząc i biorąc do ręki jeden z portretów. — Ile kosztuje proboszcz z Ars? — Pół franka — odrzekł Bernaś Matin. — Za taki nędzny portret to za drogo. I to ma być proboszcz z Ars? Spójrz, jaką ma głupią minę, głupią jak gęś.

— Ludzie się o niego rozbijają — odrzekł młody sprzedawca, zadowolony. — W takim razie oni także są głupi — stwierdził proboszcz, odkładając z powrotem portret, i odszedł. — Po pół franka proboszcz z Ars — powtórzył sprzedawca.

Przez dłuższy czas ksiądz Vianney opierał się sprzedaży swoich portretów w kioskach. W końcu ustąpił, żeby nie pozbawiać sprzedawców znacznego zarobku. Nie lubił jednak tego rodzaju handlu.

Zresztą tej jesieni, 1846 roku, miał dosyć innych kłopotów. Kilka tygodni temu przyjechał do Ars podprefekt z Trevoux, żeby zwizytować *Dom Opatrzności*. Jeżeli z jednej strony stwierdził, że dzieci miały dobrą opiekę i były dobrze zapoznane ze sprawami potrzebnymi do prowadzenia gospodarstwa, to z drugiej, przeciwnie, były zaniedbane w innych dziedzinach wiedzy.

— Niech ksiądz patrzy, księżę proboszczu — zwrócił uwagę wysoki urzędnik — te dziewczęta nauczyły się prząść, szyć i robić na drutach, ale nie znają zupełnie ortografii. A co gorsza, że ich nauczycielka zdaje się niewiele więcej umieć.

— Czy nie uważa pan, panie prefekcie, że dla tych dzieci umieć prząść i robić na drutach znaczy więcej niż poprawnie pisać? — Księżę proboszczu, cóż to za szkoła, w której sama nauczycielka nie zna ortografii. — Po prostu, dlatego, że poczciwa Katarzyna Lassagne nie miała czasu na kształcenie się. Mogłem jej zapewnić zaledwie kilka miesięcy nauki.

Wobec tego trzeba ją zmienić. Nie możemy tolerować nauczycielki, która nie zna ortografii. Po tej rozmowie ksiądz Vianney nie mógł się powstrzymać, by nie zwierzyć się ze swego zmartwienia księdzu Raymondowi, który od roku był jego wikarym.

— Niech, więc ksiądz weźmie na nauczycielki zakonnice. Siostry Józefitki chętnie przyjdą do Ars. — W takim razie od razu mógłbym ubrać w habity nauczycielki z *Domu Opatrzności*. Wystarczy ufarbować na czarno ich ubrania i mamy gotowe zakonnice.

— Oczywiście, ale ten fakt automatycznie nie nauczy ich ortografii. Księdzu potrzeba prawdziwych sióstr nauczycielek, które mogłyby uczyć tak, żeby podprefekt nie miał nic do zarzucenia. — Pomyślę o tym — przerwał rozmowę ksiądz proboszcz.

Myśl o powierzeniu nauczania siostron zakonnym na pierwszy rzut oka nie była do pogardzenia. Ale co wtedy zrobić z tymi poczciwymi duszami, które dotychczas z tak wielką gorliwością i poświęceniem prowadziły *Dom Opatrzności*?

Ksiądz Vianney, bardzo zatroskany, udał się do kościoła. Ukłękął przed tabernakulum, błagając o światło Boże, a następnie poszedł do zakrystii, gdzie od kilku już lat słuchał spowiedzi mężczyzn. Kiedy bardzo późno wrócił na plebanię, zastał księdza, który czekał na niego. Był to kanonik Perrodin, rektor wyższego seminarium w Belley. Posłał go biskup. — Chodzi o wasz *Dom Opatrzności*, księżo proboszczu.

Podprefekt z Trevoux zwrócił się do księdza biskupa z prośbą o zmianę istniejącego stanu rzeczy. — Wiem, wiem. Chodzi o ortografię — odrzekł ksiądz Vianney, uśmiechając się. — Ten pan ma jednak słusność. Nie można przecież powierzać nauczania osobom, które same nie umieją poprawnie pisać. — Chłopi w Ars nie potrzebują uczonych żon.

— Oczywiście, ale szkoła musi posiadać nauczycielki z prawdziwego zdarzenia. Ja sam, będąc proboszczem w Bourg, założyłem szkołę, która szczęśliwie się rozwinęła pod kierownictwem siostr Józefitek. Niech, więc ksiądz zrobi tak samo.

— A co mam zrobić z poczciwymi dziewczynami, które dotychczas prowadziły *Dom Opatrzności*? — Na pewno siostry będą ich potrzebować. A gdyby nawet ich nie potrzebowały, można będzie przecież znaleźć im jakąś odpowiednią pracę. — Nie ma sensu omawiać dłużej tej sprawy — wtrącił się do rozmowy ksiądz Raymond. — Oczywiście, bierzemy do *Domu Opatrzności* zakonnice, i sprawa skończona. Trzeba być obranym z rozumu, żeby nie widzieć korzyści z takiej zamiany.

Ksiądz wikary powiedział to takim tonem, że aż ksiądz rektor, niemile dotknięty, znacząco spojrzął na niego. Następnie zwrócił się do proboszcza z Ars. — Rzecz jasna, musimy zostawić księdzu Vianneyowi czas do gruntownego przemyślenia całej sprawy i podjęcia decyzji z całkowitą swobodą. Tego rodzaju, bowiem decyzja, w braku wyraźnego rozkazu biskupa, należy wyłącznie do niego, jako do założyciela i kierownika *Domu Opatrzności*.

Ksiądz Raymond przyjął tę wyraźną aluzję bez zmruczenia oka i odparł tonem zdecydowanym: — Przecież sprawa jest już załatwiona. Szkoda dalej dyskutować. — I wyszedł z pokoju. — Ale ma ksiądz, księżo proboszczu, pewnego siebie wikarego — zauważył rektor, kręcąc głową. — Tak, on wie, czego chce. Jestem niezwykle wdzięczny księdzu biskupowi, że biednemu proboszczowi z Ars przysłał tak mądrego i zdolnego pomocnika.

Na pewno ksiądz Raymond był kapłanem gorliwym i aktywnym, lecz jego sposób bycia brutalny i władczy był dla starego proboszcza ustawicznym krzyżem, tym bardziej, że temu o przeszło dwadzieścia lat młodszemu od księdza Vianneya duchownemu brak było poczucia taktu. Skoro, bowiem tylko objął stanowisko wikarego, zaraz zajął pokój proboszcza na piętrze, a księdza Vianneya wyrzucił na parter do malej, wilgotnej i bez

powietrza izby. Gmina złym okiem patrzyła na te poczynania księdza, i stąd wójt oznajmił przedsiębiorczemu wikaremu, że ma natychmiast oddać księdzu proboszczowi pokój, jaki mu się należał.

Ksiądz Raymond, bardzo tym urażony, opuścił plebanię i znalazł sobie mieszkanie gdzie indziej. Z dnia na dzień okazywał się coraz bardziej brutalny względem proboszcza, uważając się za rządcę parafii, a nawet ośmielił się publicznie na ambonie przeciwstawić się jemu i otwarcie buntować parafian przeciwko jego zarządzeniom.

Ludzie najchętniej byliby zażądali opuszczenia parafii przez wikarego, gdyby ksiądz Vianney nie brał go w obronę. — Jeśli będziecie robić mi trudności, w takim razie i ja z nim opuszczę Ars — mawiał do wójta. — Ja mu zawdzięczam bardzo wiele. On mi ukazuje moje wady. Bez niego musiałbym się mocno głowić, by się dowiedzieć, czy choć trochę miłuję Pana Boga.

Ksiądz Vianney miłował swojego konfratra, jak miłował każdy krzyż, jaki Bóg mu zsyłał. Pewnego dnia, gdy biskup z Belley zapytał go o księdza Raymonda, proboszcz z Ars odpowiedział: — Ekszelencjo, zajmuje on w mym sercu szczególne miejsce. Zasluguje na nie przez swoją dobroć, jaką mi wyświadcza. Niech ekszelencja nie daje wiary złym językom, które go szkalują.

W lutym 1848 roku pięć siostr ze zgromadzenia świętego Józefa wprowadziło się do *Domu Opatrzności*. Ku wielkiemu zmartwieniu zacnego księdza proboszcza dotychczasowe nauczycielki musiały opuścić sierociniec z powodu braku miejsca.

Joanna Chanay przeniosła się do siostry, mieszkającej w Ars. Dla Katarzyny Lassagne i Marii Filliat ksiądz Vianney wynajął dwie małe izdebki. Zajęły się one teraz utrzymywaniem kościoła, przystrajaniem ołtarzy, naprawianiem bielizny kościelnej i prowadzeniem gospodarstwa księdza proboszcza. W wolnych chwilach przędły i tkwały dla ubogich lub też zajmowały się pielęgnowaniem chorych.

Ksiądz Vianney, widząc jak przede wszystkim Katarzyna Lassagne bolała z powodu odsunięcia jej od dzieła, które było jej tak bardzo drogie, pocieszał ją, jak umiał. — Możesz mi wierzyć, moje dziecko, że z wielkim bólem powziąłem decyzję powierzenia *Domu Opatrzności* zakonnikom, bo przewidywałem twoje cierpienie. Ale sam Bóg wymagał tej ofiary. — Teraz przynajmniej dzieci nauczą się poprawnie pisać — odrzekła Katarzyna. — Zresztą jesteśmy szczęśliwe, że możemy spokojnie przygotować się do śmierci. Bogu niech będą za to dzięki.

Następnego roku proboszcz z Ars także szkołę dla chłopców powierzył zakonnikom. Trzech braci ze zgromadzenia Świętej Rodziny z Belley podjęło się uczenia i wychowania dzieci. Wkrótce otworzyli oni również internat dla uczniów pochodzących z dalszych okolic. Przedtem jednak święty proboszcz znalazł odpowiednią posadę dla swego umiłowanego nauczyciela, Jana Pertinanda, w szkole jednej z okolicznych wiosek.

I odtąd siostry i bracia zakonni stali się najwierniejszymi pomocnikami biednego proboszcza z Ars, nawiedzanego przez wiele doświadczeń.

## WIZJONER Z LA SALETTE (1850-1852)

Kiedy wieczorem 24 września 1850 roku proboszcz z Ars wyszedł z konfesjonału i zmęczony wrócił na plebanie, zastał tam księdza Raymonda ze znakami najwyższego podniecenia? — Jest tutaj, księżę proboszczu. Przyjechał dylizansem. — Kto taki? — Maksymin Giraud, mały szarlatan z La Salette. Chciał się z księdzem zobaczyć. Ponieważ nie można było dotrzeć do księdza, przyprowadzono go do mnie, a ja wcale nie ukrywałem, co o nim myślę. — Wiem, że ksiądz nie wierzy w objawienia — odrzekł ze smutkiem ksiądz Vianney.

—, Dlatego, że cała ta historia jest czczym wymysłem. Ja zawsze to księdzu mówiłem i ostrzegałem przed La Salette. Ale ksiądz nie chciał mnie słuchać. Nawet święcił ksiądz medaliki z tego pielgrzymkowego miejsca. Podpisywał obrazki i rozdawał chorym wodę, pochodzącą z La Salette. — Na czym ksiądz opiera swój tak surowy osąd?

— Jak ksiądz wie, byłem na miejscu, żeby wyrobić sobie zdanie. Na tak zwanym wzgórzu objawień spotkałem Maksymina Giraud i zapytałem go, co widział, lecz mały urwis odpowiedział mi oschle: **«Wszyscy wiedzą, co widziałem, a jeżeli ksiądz nie chce w to wierzyć, niech mi ksiądz da święty spokój. Może nawet ksiądz uważać, że nic nie widziałem, że skłamałem. Wszystko mi jedno»**. Pytam, więc księdza, księżę proboszczu, czy tak odpowiada się księdzu? Smarkacz do tego stopnia drwi sobie z ludzi. — Gdzie on jest teraz? — Z siostrą i z paroma jeszcze osobami ze swojej wioski zamieszkał u *Dobrego Samarytanina*. Jutro rano będzie czekał na księdza w zakrystii.

Tej nocy ksiądz Vianney nie mógł zmrużyć oka. Wstał, więc, zapali lampę i zaczął przemierzać wzdłuż i wszerz pokój. Na ścianie wisiał obraz z La Salette, przed którym zatrzymał się dłuższą chwilę. Starał się modlić, lecz nie mógł skupić myśli. W każdym razie postanowił dokładnie wypytać chłopca, który jutro rano miał przed nim stanąć.

Zaraz po północy udał się do kościoła i dał znać dzwonem, że jest do dyspozycji penitentów. Potem dłużej niż zwykle klęczał u stóp ołtarza, gorąco prosząc o łaskę oświecenia. Około szóstej wyszedł z konfesjonału, by odprawić Mszę świętą. Po dziękczynieniu znowu jakiś czas spowiadał, tak, że dopiero, gdy na wieży wybiła ósma, wrócił do zakrystii, gdzie przy drzwiach tłoczyli się już mężczyźni.

Obok komody z paramentami liturgicznymi czekał na niego piętnastoletni chłopiec. — Jestem Maksymin Giraud — odezwał się chłopiec, nieco zalekniony. Kapłan długo wpatrywał się w młodego, o spalonej od słońca cerze, pastuszka, a ten z kolei patrzył na księdza swoimi dużymi, jasnymi oczyma.

— Moje drogie dziecko — zapytał ksiądz Vianney, a jego głos brzmiał tak poważnie, że Maksymin zmieszał się jeszcze bardziej — czy to prawda, że widziałeś Matkę Bożą? — Nie wiem, czy to była Matka Boża. Ja zawsze mówiłem, że to była jakaś piękna pani. Ale skoro ksiądz wie, że to była Matka Boża, w takim razie powinien ksiądz powiedzieć pielgrzymom, żeby też w to uwierzyli i poszli do La Salette.

— Czy już kiedyś w życiu skłamałeś, moje dziecko? — pytał dalej ksiądz Vianney, patrząc na Maksymina oczyma pełnymi jakiegoś tajemniczego blasku. — Tak, i to wiele razy skłamałem — chłopiec spuścił głowę. — A więc skłamałeś. A w jakich to było okolicznościach? — Kilka razy okłamałem księdza proboszcza, ale chodziło o sprawy mało ważne.

Pastuszek zacinał się coraz bardziej i mocne rumieńce wystąpiły mu na twarzy. — W takim razie musisz odwołać to, co powiedziałeś — upomniał go surowo ksiądz Vianney. — Ależ ja nie mogę. To nie ma sensu. Maksymin pomyślał o tym, jak się wykręcał proboszczowi, nie chcąc powiedzieć, gdzie bywał lub też chcąc uwolnić się od obowiązków. Co za sens miałyby odwoływanie tych drobiazgów, należących zresztą do przeszłości? Przecież proboszcz śmiałyby się z niego.

— Musisz to odwołać — powtórzył ksiądz Vianney.— Nie mogę. To było już bardzo dawno. Za bardzo się rozgadał Maksymin wobec żywiącego wątpliwości proboszcza z Ars. A przecież już tyle okazano mu nieufności. Wójt gminy traktował go, jako kłamczucha. Wstańcy biskupa bez przerwy go wypytywali i doszukiwali się sprzeczności w jego odpowiedziach.

A oto teraz święty proboszcz z Ars zwątpił w niego, i to po prostu, dlatego tylko, że przyznał się do kilku niewinnych, dziecinnych kłamstewek. Zacisnął, więc zęby, zdecydowany nie odpowiadać już więcej na żadne pytania. Tymczasem ksiądz Vianney pytał go nadal o objawienia i zaklinał, aby mówił prawdę.

Proboszcz po nieprzespanej nocy i upadający ze zmęczenia, a nadto nękany wątpliwościami, milczenie chłopca wziął za znak nieczystego sumienia i zakończył, pytając go ze smutkiem: — Czy chcesz się wyspowiadać? — lecz Maksymin potrząsnął głową bez słowa i szybko zwrócił się w stronę drzwi wyjściowych. Jeszcze raz święty proboszcz wziął chłopca za rękę i powiedział: — Słuchaj, mój przyjacielu, jeżeli ci się Matka Boska nie objawiła, musisz to jasno powiedzieć. Maksymin milczał — Sam wyznałeś, że już kilka razy skłamałeś. Jak więc mam ci wierzyć, skoro mi nic nie odpowiadasz?

Pastuszek, zdawało się, chciał coś powiedzieć na swoją obronę, lecz ostatecznie duma i wstyd zamknęły mu usta. Bąknął, więc tylko jakieś słowo pożegnania i wyszedł. Jeszcze tego samego wieczora wyjechał z Ars dyliżansem.

Kiedy ksiądz Vianney wrócił w południe na plebanię, milcząco tylko pozdrowił wikarego, wszedł do sypialnego pokoju, zdjął ze ściany obraz Matki Bożej z La Salette i schował go do szuflady w komodzie. — A więc ksiądz proboszcz wyzdrowiał? — zapytał ksiądz Raymond, gdy proboszcz zajął, ciężko wzdychając, miejsce naprzeciw niego. — Może ksiądz być spokojny. Nie będę już święcił medalików z La Salette.

Chyba ksiądz teraz widzi, że trzeba było wcześniej mnie posłuchać. Zawsze to księdzu mówiłem. — Tak jest, ksiądz mi to zawsze mówił. — Proboszcz z Ars ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się.

Księdzu Raymondowi na niczym bardziej nie zależało, jak na rozgłaszaniu, że jego proboszcz zmienił zdanie na temat La Salette. Zaraz napisały o tym gazety, a w Ars wywołało to wielkie zdumienie tak wśród mieszkańców, jak i wśród pielgrzymów.

Gdy ksiądz Vianney po Mszy zdejmował szaty liturgiczne, zapytał go Piotruś Cinier, który obecnie liczył już piętnaście lat: — Księżę proboszczu, czy to prawda, co podała gazeta, że objawienia w La Salette są oszustwem? — I niewinne oczy ministranta niespokojnie zawisły na ustach kapłana. — Już nie mogę w to wierzyć — odrzekł smutno ksiądz Vianney.

— A przecież ksiądz sam mi o tym mówił. Pamięta ksiądz, było to wtedy, gdy byłem chory. — Tak, ale wtedy nie wiedziałem tego, co wiem teraz. — Czy ma ksiądz niezbite dowody, że pastuszek skłamał? Czy wie to ksiądz na pewno? — Pod koniec nie odpowiadał wcale na moje pytania.

— Może zbyt wielu ludzi zadręczało go pytaniami — zauważył Cinier. — Ja też, gdy mnie bez przerwy pytają o to samo, a nie chcą wierzyć, zacinam się. Ksiądz Vianney ze zdumieniem popatrzył na ministranta. A może właśnie Piotruś lepiej rozumiał swego rówieśnika niż on, ponad sześćdziesięcioletni starzec. — Nie wiem — rzekł w końcu, kręcąc głową. — A więc można czy nie można w to wierzyć? — nastawał Piotruś.

— Rzecz jasna, że można wierzyć, dopóki Kościół nie wyda orzeczenia. — W takim razie ja wierzę. I ksiądz także, przyjdzie czas, że znowu uwierzy w La Salette — stwierdził zdecydowanie ministrant.

Pomimo wszystko ksiądz Vianney długo nie mógł odzyskać wiary w La Salette. Od tamtego dnia nie wypowiedział słowa ani za ani przeciw objawieniom. Pewnego dnia pierwszy wikary parafii świętego Sulpicjusza w Paryżu zapytał proboszcza z Ars o zdanie na temat objawień w La Salette. — Mój przyjacielu, trzeba bardzo kochać Matkę Najświętszą. — Tak jest. Ale co ksiądz myśli o objawieniach? — Że trzeba bardzo kochać Matkę Najświętszą. — Czy ksiądz wierzy, że Matka Boża rzeczywiście ukazała się dzieciom? — Tak, trzeba Ją bardzo kochać — odrzekł ksiądz Vianney po raz trzeci. Paryski zaś wikary odszedł, kiwając głową.

We wrześniu następnego roku Piotruś Cinier wpadł pewnego dnia na plebanię, wymachując gazetą. — Niech no ksiądz czyta, księżę proboszczu — wołał triumfalnie. *Biskup z Grenoble uznał cud w La Salette* — stało napisane wielkimi literami. — *Po szczegółowym zbadaniu sprawozdania ustanowionej przez siebie komisji, Jego Eksceleńcja Biskup de Bruillard orzekł, że opis objawienia nosi na sobie wszelkie znaki prawdziwości. Najprawdopodobniej dzieci nie oszukiwały ani też same nie zostały oszukane. Nie można podawać w wątpliwość ich szczerości. Zatem wolno wierzyć w objawienie się Najświętszej Maryi Panny w La Salette.* — I co ksiądz na to, księżę proboszczu. — Można wierzyć. — A ksiądz? Czy ksiądz wierzy? — Nie wiem — westchnął kapłan.

Na potwierdzenie przez Rzym nie trzeba było już długo czekać. «Widać tu prostotę i szczerść dziecka», stwierdził Pius IX, kiedy otrzymał do rąk spisane zeznania Maksymina. Obojgu wizjonerom udzielił swego błogosławieństwa, pielgrzymom przyznał różne odpusty, a we wszystkich kościołach diecezji pozwolił obchodzić rocznicę objawienia. Ponadto zachęcił wiernych do wybudowania kościoła ku czci Matki Bożej na miejscu objawienia.

Kiedy ksiądz Vianney dowiedział się o tej decyzji, powiedział do Katarzyny Lassagne: — Mam wyrzuty sumienia. Boję się, że zgrzeszyłem przeciwko Matce Bożej. Bardzo bym pragnął, aby mnie Pan Bóg oświecił w tym względzie. Cała sprawa miała jeszcze długie lata nie dawać spokoju proboszczowi z Ars, aż go wreszcie sama Matka Najświętsza cudownie oświeciła.

Tymczasem zaś ksiądz Vianney dalej dźwigał krzyż, jaki nań wkładało najbliższe otoczenie. Postawa księdza wikarego stawała się nie do zniesienia. Parafia coraz bardziej oburzała się na tego despotycznego księdza, który jawnie dążył do zajęcia miejsca świętego proboszcza. Często życzliwi ludzie prosili księdza Vianneya, aby poprosił o przeniesienie pysznego wikariusza.

W Wielkim Tygodniu 1852 roku brat Atanazy, kierownik szkoły dla chłopców, przyszedł ze skargą na księdza wikarego i zaklinał księdza Vianneya, by wreszcie dał znać księdzu biskupowi. Wysłuchawszy go cierpliwie, proboszcz rzekł do brata: — Ja nic nie poradzę przeciwko księdzu Raymondowi. — W takim razie ja napiszę. Ta sprawa coraz bardziej urasta do rangi publicznego skandalu. Ze względu na sianie niepokoju wśród dzieci przez niedorzeczne pomysły, zmiana jest nieodzowna.

— A więc niech już tak będzie. Niech brat napisze. Niech jednak brat będzie ostrożny w doborze słów. Proszę podkreślić to, że ksiądz Raymond jest kapłanem godnym i gorliwym, i że zasługuje na to, by zostać proboszczem jakiejś dobrej i dużej parafii. Brat Atanazy obiecał bez przekonania. — A potem proszę mi pokazać list. Muszę go koniecznie przeczytać, zanim zgodzę się na wystanie.

W Wielki Piątek około południa brat Atanazy przyniósł list. Proboszcz szybko go przeczytał i podał. — Niech brat wybaczy, ale właśnie o tej porze nasz Zbawiciel brał krzyż na ramiona. Dlaczegoż, więc ja, jego kapłan, miałbym go z siebie zrzucić?

W kilka tygodni później hrabia des Garets oznajmił księdzu Vianneyowi, iż ma zamiar udać się do kurii biskupiej i poprosić o usunięcie księdza wikarego. — Niech już pan robi, co chce, skoro nie może być inaczej — westchnął ksiądz Vianney. I wójt udał się do Belley. Skoro jednak przedłożył skargi swoich podwładnych, ksiądz biskup Devie wręczył mu list, w którym proboszcz z Ars zapowiadał mu odwiedzin wójtę, i zarazem prosił biskupa, żeby na miłość boską raczył łaskawie zostawić mu jego «kochanego księdza Raymonda». — Ten «kochany ksiądz Raymond» zapędzi naszego księdza proboszcza do grobu — odrzekł hrabia tonem pełnym niezadowolenia.



— Naprawdę nie mogę go przenieść wbrew wyraźnemu życzeniu jego proboszcza — odrzekł biskup, wzruszając ramionami. — Nie wypada zdejmować mu krzyża, który on tak bardzo zdaje się miłować.

### **MUCET Z GRONOSTAJAMI (1852-1853)**

25 października 1852 roku Ars przybrało szatę odświętną. Ulice i domy były przybrane wieńcami i kwiatami. W przedsionku kościoła ksiądz Raymond w otoczeniu ministrantów czekał zdenerwowany. Nagle ze szczytu wieży dał się słyszeć głos Piotрка Cinier, który czuwał tam od przeszło godziny.

— Jedzie! Jedzie! Akurat minął krzyż koło Combes. Jedzie dwukonną kolasą! — Natychmiast uderzyć we wszystkie dzwony! — rozkazał ksiądz wikary. — Czy nie należałoby powiadomić księdza proboszcza, żeby wyszedł na powitanie eksceleńcji? — zapytał hrabia des Garets, który jako wójt stał obok księdza wikarego, by powitać rządę diecezji.

— Zostawcie go w spokoju — odrzekł pogardliwie ksiądz Raymond. — Taki niezdara, jak on, popsułby tylko wszystko. — Niech się i on ucieszy, że ma tak zdolnego zastępcę — odparł hrabia z przekąsem. Wikary spojrział na niego gniewnie i pokrzyczał ministrantów, że zapomnieli wziąć wody święconej.

— W chwilę później biskup Chalandon, który zaledwie kilka tygodni temu objął rządy diecezji po biskupie Devie, wysiadł z powozu w towarzystwie sekretarza i wikariusza generalnego, księdza Poncet. Ksiądz Raymond ze czcią ucałował pierścień biskupi i zabierał się do wygłoszenia mowy powitalnej, którą starannie przygotował, gdy tymczasem ksiądz Vianney, utorowawszy sobie drogę przez tłum, uklęknął przed biskupem.

Ksiądz biskup Chalandon pochylił się nad starcem, podniósł go z klęczek i skierował do niego słowa pełne życzliwości. — Jestem szczęśliwy, że wizytuję księdza jako jednego z pierwszych w mojej diecezji. — Następnie dał znak sekretarzowi, który podał mu mucet z czerwonego jedwabiu, obsyty gronostajami.

— Mianuję księdza kanonikiem honorowym katedry w Belley — rzekł, zarzucając mucet na ramiona proboszcza z Ars. — Ależ, nie, nie! — bronił się przerażony ksiądz Vianney. — Błagam, niech ksiądz tego nie czyni. Proszę go raczej dać mojemu drogiemu księdzu wikariuszowi. Będzie mu w nim bardziej do twarzy niż mnie.

I równocześnie usiłował zdjąć mucet. — Co ksiądz robi? — szepnął wikariusz generalny. — Ksiądz obraża eksceleńcję. Biskup z Belley nie mógł więc pozapinać mucetu. Nieszczęsny proboszcz tak się bronił, że ostatecznie mucet zawisł mu w poprzek ramion.

Ksiądz biskup Chalandon zaintonował *Veni Creator* i wszedł do kościoła. Postać nowego kanonika była tak oszpecona, że hrabina z Ars szepnęła do męża: — Biedny proboszcz! Wygląda, jakby mu wokół szyi założono powróż przed powieszeniem.

Zaledwie przyszli do prezbiterium, a już ksiądz Vianney zniknął w zakrystii. Wójt, który wszedł tuż za nim, zastał go w trakcie zdejmowania mucetu. — Ależ, księżę proboszczu! Niech ksiądz nawet o tym nie myśli. Musi ksiądz go nosić przynajmniej dzisiaj, jeżeli ksiądz nie chce urazić księdza biskupa.

— Toż to istne pośmiewisko! — jęczał nieszczęsny. — Jak ekscelencja mógł coś podobnego zrobić! Jego poprzednik z pewnością byłby mi oszczędził takiej zniewagi. On mnie znał lepiej. — Niech ksiądz wróci do prezbiterium. Biskup nie może na księdza czekać — zdecydował hrabia des Garets.

Po krótkiej adoracji Najświętszego Sakramentu biskup Chalandon wszedł na ambonę i ogłosił parafii, jakie to odznaczenie otrzymał ich proboszcz. Ksiądz Vianney stał w drzwiach zakrystii. Najoczywieściej wstydził się pokazać w swoim zaszczytnym stroju.

— Księżę proboszczu — odezwał się brat Atanazy, kierownik szkoły dla chłopców — niech ksiądz nie stoi na przeciagu. — Jest mi tu dobrze — odparł ksiądz Vianney ponuro. Stał jak na rozżarzonych węglach, gdy biskup tłumaczył i wyjaśniał wiernym, że w ten sposób pragnął uczcić najczcigodniejszego i najświętobliwszego kapłana w swojej diecezji.

— Nigdy ksiądz biskup Devie czegoś podobnego nie byłby uczynił — powtarzał ksiądz Vianney, starając się skryć w zakrystii. Lecz brat Hieronim, zakrystian, stanął za nim i nie pozwolił mu wejść do niej. Wreszcie ceremonia dobiegła końca.

Wiem, ekscelencjo, że powinienem ekscelencji podziękować, ale niech mi Bóg wybaczy, nie potrafię. — Niech ksiądz nosi swój mucet ku chwale Boga i ku radości swojej parafii — odrzekł ksiądz biskup Chalandon, uśmiechając się. — Ksiądz biskup zrobił ze mnie istną kukłę — westchnął proboszcz, wchodząc z wikarym na plebanię. — To sam ksiądz zrobił z siebie kukłę — odparł ksiądz Raymond drwiąco. — Zachował się ksiądz zupełnie niewłaściwie.

— Wiem o tym, że ja nigdy niczego nie robię tak, jak należy. Ale niech ksiądz powie, czy nie można by sprzedać mucetu? — A niech ksiądz z nim robi, co chce. — I wikary, który ciągle jeszcze był zły z tego powodu, że nie mógł wygłosić swego przemówienia, odwrócił się plecami do proboszcza.

Hrabia des Garets wykorzystał sytuację, by poprosić biskupa o przeniesienie księdza wikarego do innej parafii. Po wysłuchaniu przedłożonych racji, biskup Chalandon obiecał przy najbliższej okazji przenieść księdza Raymonda na inną placówkę.

Tymczasem ksiądz Vianney przemyślał, jak tu się pozbyć mucetu, który go palił niczym ogień. Nazajutrz ksiądz Borjon z Amberieux przybył, by złożyć mu gratulacje z okazji otrzymanego odznaczenia.

— Czy przypadkiem ksiądz nie wie, gdzie mógłbym korzystnie sprzedać ten oto fatałaszek? — zapytał ksiądz Vianney. — Pieniądze chciałbym przekazać pewnej biednej rodzinie. Szewc Tornassoud ma dziewięcioro dzieci i wielkie kłopoty z ich wyżywieniem.

— Chce ksiądz sprzedać swój mucet? Chyba ksiądz nie mówi tego poważnie? — Ależ jak najbardziej poważnie. Naprawdę nie wiem, do czego mi on może służyć. Chce ksiądz? — Byłaby to dla mnie cenna pamiątka, chociaż, oczywiście, nie mógłbym go przecież nosić. — A więc, ile mi ksiądz daje?

— Jestem tylko biednym wiejskim proboszczem i do mnie nie przychodzą bogaci pielgrzymi. Ale jestem gotów dać księdzu za mucet dwanaście franków. — To za mało. Zobaczą, czy gdzieś nie dostanę więcej. Szewc naprawdę jest bardzo biedny i dwanaście franków niewiele mu pomoże.

— Nigdy bym nie pomyślał, że święty może być równocześnie człowiekiem interesu — zauważył ze śmiechem ksiądz Borjon. — W tej chwili nie chodzi o świętość, ale o interes. Ledwie proboszcz z Amberieux opuścił plebanię, gdy przyszła do księdza Vianneya pani Ricotier, osoba dobrze sytuowana, która zamieszkała w Ars z powodu świętego proboszcza.

— Przychodzi pani w sam czas. Chcę sprzedać mucet. Mój konfrater z Amberieux dawał za niego dwanaście franków. Pani na pewno da mi przynajmniej piętnaście. — Ależ on jest wart o wiele więcej — rzekła kobieta, nie mogąc ukryć zdumienia. — A więc dwadzieścia? — Daję księdzu dwadzieścia pięć franków. Zresztą popytam, ile on w rzeczywistości jest wart. I jeżeli będzie kosztować więcej, różnicę wyrównam.

W kilka dni później poczciwa pani powiadomiła księdza Vianneya, że w sklepie szat liturgicznych w Lyonie mucet kosztuje pięćdziesiąt franków. I dodała jeszcze drugie dwadzieścia pięć. — Cudownie! Zastanawiam się, czy nie mógłbym poprosić ekscelencji o drugi mucet? Może dałoby się go także sprzedać.

— Nie radzę księdzu — odrzekła pani Ricotier. — A więc ten mucet już do mnie należy? — Oczywiście. Niech go pani bierze. Nie chcę go dłużej widzieć w domu. — Zostawię go księdzu, żeby mógł go używać do końca życia. — Sądziłem, że chce go pani przerobić sobie na pelerynkę. Ale dobrze. Skoro już ksiądz biskup tak chce, żebym go nosił, to wiem, że zawsze będę go mógł znaleźć u pani.

Szewc nie mógł pojąć, co się stało, gdy ksiądz Vianney położył mu na warsztacie pięćdziesiąt franków. Po raz pierwszy od dłuższego czasu biedny człowiek mógł posłać synka do rzeźnika.

Wróciwszy na plebanię, proboszcz napisał do biskupa list następującej treści: *Ekscelencjo! Poczuję się do obowiązku podziękowania jeszcze raz za wszystko. Mucet, który Wasza Ekscelencja raczył mi w swoim wielkim miłosierdziu podarować, sprawił mi wielką radość, ponieważ nie mogąc inaczej zapobiec nagłej potrzebie, sprzedałem go za pięćdziesiąt franków. Z otrzymanej zapłaty byłem zadowolony.*

Oczywiście, biskup z Belley niemało był zaskoczony tego rodzaju listem, lecz pomimo wszystko zachował dla proboszcza z Ars głęboki szacunek. W następnym roku wysłuchał prośb wójta z Ars i księdza Raymonda mianował proboszczem w Jayat.

Na objęcie stanowiska dawny wikary otrzymał od proboszcza list, który odczytał z pewnym zażenowaniem: *Tak bardzo był mi ksiądz pożyteczny i tak wiele mi oddał usług, że zaskarbił sobie całą moją miłość.*

List świętego spowodował prawdziwe nawrócenie u tego zaślepionego pychą kapłana. Do Ars przybył nowy wikariusz, ksiądz Toccanier, mężczyzna silnie zbudowany i postawny, którego pobożność, szczerłość i skromność doskonale pasowały do usposobienia księdza proboszcza. W krótkim czasie zyskał sobie przywiązanie całej parafii.

### **OSTATNIA UCIECZKA (1853-1854)**

Minęło dziesięć lat od owej ciemnej wrześnieowej nocy, kiedy to ksiądz Vianney opuścił Ars, by wrócić doń z powrotem w kilka dni później, i kiedy obiecał parafianom, że już ich nigdy więcej nie opuści. Od dziesięciu lat codziennie bez szemrania dźwigał swój krzyż, który go mocno przygniatał, walcząc bez wytchnienia z szatanem i grzechem.

W ciągu bezsennych nocy jawił się przed oczyma jego duszy obraz, który nigdy nie dawał mu spokoju. Bez przerwy myślał o świeżo założonym klasztorze trapistów w La Neyliere, w którym mnisi, odłączeni od świata, prowadzili życie oddane modlitwie i pokucie.

W tajemnicy porozumiał się z ojcem Colin, przeorem klasztoru, który obiecał mu celkę w swoim opactwie. Wszystko, więc było gotowe. Proboszcz z Ars miał udać się do Lyonu, gdzie miał na niego czekać z furmanką szwagier Melin, żeby go stamtąd odwieźć do tak bardzo upragnionej samotni. Skoro raz już znajdzie się za murami klasztornymi, wtedy nawet sam biskup nie zmusi go, by wrócił do zgiełku świata.

Pierwszego września 1853 roku ksiądz Vianney wyjawiał zawsze wiernej Katarzynie Lassagne zamiar definitywnego opuszczenia Ars. — Tym razem muszę już odejść. Taka jest wola Boża. Puszczę się w drogę w poniedziałek wieczór. Nieszczęsna kobieta zaklinała proboszcza, żeby się wyrzekł tego zamiaru, bo na pewno nie pochodził on od Boga, lecz z całą pewnością podsunął mu go zły duch, żeby udaremnić to dobro, jakiego dokonywał w Ars.

— Nie, nie! Nie jest tak wcale, jak mówisz. Pan Bóg nie chce tego, żebym się ustawicznie męczył. Nawet swojemu Synowi pozwolił na zażywanie spokoju i ciszy na pustyni. Dlaczegoż mnie miałby tego odmówić? — Owszem, sprowadził z pustyni swego Syna do ludzi i zaprowadził go na Kalwarię — odrzekła zdecydowanie Katarzyna. — Nikt nie wie lepiej ode mnie, jak bardzo Ars jest dla księdza Kalwarią. I ksiądz chce z niej uciekać?

— Myśl o mnie, co chcesz. Zawsze byłem biednym i nieużytecznym człowiekiem, który nic dobrego nie zrobił. Pozwól mi usunąć się na samotność, by tam opłakiwać biedne moje życie. Katarzyna odeszła zasmucona. W niedzielę po południu spróbowała jeszcze raz wpłynąć na proboszcza z Ars, by zmienił decyzję. Z tajemnicy zwierzyła się

Marii Filliat, i teraz obie ze łzami w oczach błagały proboszcza, by ich nie opuszczał, lecz ksiądz Vianney trwał mocno przy swoim postanowieniu. W jego oczach widać było tak wielki smutek, że ostatecznie te pocziwe kobiety postanowiły nawet mu pomóc.

—, Ale co zrobić? — westchnęła Katarzyna. — Przecież nie jest ksiądz w stanie iść pieszo do Lyonu. Trzeba by po starać się o jakąś furmankę. — Żaden człowiek z Ars nie zechce przyłożyć ręki do wyjazdu proboszcza — zauważyła Maria Filiiat, kręcąc głową. — W takim razie ja już naprawdę nie wiem, co mam robić.

W tej samej chwili zobaczyły przechodzącego brata Hieronima, zakrystiana. — Może on coś nam poradzi — rzekła Maria Filliat. I w chwilę później brat już o wszystkim wiedział. — To niemożliwe — stwierdził zdecydowanie. I zaraz poszedł do *Domu Opatrzności*, gdzie z kolei powiadomił o wszystkim brata Atanazego. Obaj zakonnicy dali natychmiast znać księdzu Toccanier o zaplanowanej ucieczce.

— Pilnujcie plebanii i, jeżeli ksiądz Vianney będzie próbował uciekać, dajcie mi znać — zdecydował wikary. Wybiła północ, gdy usłyszał gwałtowne dobijanie się do drzwi. Kiedy mu powiedziano, że na plebanii zauważono światło, szybko się ubrał i wyszedł? Na pewno ksiądz, Vianney przygotowuje się do wyjazdu. Obie były wychowawczynie z *Domu Opatrzności* były już na ulicy i czekały na swojego pasterza.

— Nie traćmy czasu — rzekł ksiądz Toccanier, biegnąc szybko z braćmi na plebanie. Kiedy przybyli pod dom, proboszcz akurat wychodził z plebanii, niosąc ze sobą brewiarz, parasol i stary biret pod pachą. — Jesteście gotowe? — zapytał cicho pocziwe kobiety, które stały z koszykiem z żywnością i latarnią. — Dobrze! Więc idziemy!

Zaledwie jednak przekroczył próg, gdy nagle wyrósł przed nim jak spod ziemi brat Atanazy. — Gdzie się to ksiądz wybiera, księżo proboszczu? — zapytał ze źle udanym zaskoczeniem. — Zdradziłaś mnie — rzekł kapłan, rzucając wzrok pełen wyrzutu na Katarzynę. Biedna kobieta nie wiedziała, co odpowiedzieć, i rozplakała się. — Jeżeli ksiądz odejdzie, uderzymy na alarm — zagroził brat Atanazy. — Pójdziemy za księdzem w procesji — dodał zakrystian.

— A róbcie, co chcecie — mruknął proboszcz — tylko pozwólcie mi odejść. — Chodźmy za nim — rzekł ksiądz Toccanier do oby dwu braci. Brat Hieronim wziął z rąk Katarzyny Lassagne latarnię i szedł przed proboszczem, lecz zamiast przejść przez most i iść w kierunku Fontblin, wprowadził go na drogę do Villeneuve. — Chcecie mnie wyprowadzić w pole — rzekł ksiądz Vianney, i zawrócił.

Tymczasem pielgrzymi, którzy czekali na niego w kruchcie kościoła, przybiegli, otoczyli kołem proboszcza i zaklinali go z płaczem, żeby ich nie opuszczał. Także ksiądz, Toccanier starał się go nakłonić do zmiany postanowienia. Ale proboszcz nie chciał się nawet zatrzymać, wciąż szedł naprzód wzdłuż strumyka. Tym razem jednak ksiądz wikary zagroził mu drogę.

— Niech mnie ksiądz puści. Proszę księdza, niech mnie ksiądz puści. Wtedy ksiądz wikary wziął pod ramię księdza proboszcza, niby to chcąc mu pomóc przejść przez

mostek, lecz w rzeczywistości wyrwał mu z rąk brewiarz i podał Katarzynie Lassagne, mówiąc: — Niech pani to bierze, ucieka stąd i nie wraca.

— Oddajcie mi mój brewiarz! — wołał ksiądz Vianney. Potem dał znak Marii Filiat, żeby szła dalej. — Odmówię brewiarz w Lyonie. — Jakże to, księżu proboszczu — wtrącił się zgorszony wikary — chce ksiądz spędzić cały dzień bez brewiarza? Ładny przykład!

Ksiądz Vianney zawahał się przez chwilę, potem zaś rzekł: — Mam jeszcze jeden brewiarz u siebie w pokoju. Podarował mi go ksiądz biskup Devie. — Niech, więc ksiądz wróci po niego — podsunął wikary. Gdy proboszcz, drepcząc, wracał na plebanię, dzwon uderzył na alarm. Ze względu na coraz gęstszy tłum pielgrzymów z trudem dotarł do plebanii. Wszedł po schodach do pokoju i zaczął szukać brewiarza.

— Księżu proboszczu, dzwonią na *Anioł Pański* — zwrócił uwagę ksiądz Toccanier. Zatem ksiądz Vianney uklęknął i pobożnie odmówił modlitwę. — A może byśmy tak odmówili jeszcze różaniec o szczęśliwą podróż — podsunął dalej chytrze ksiądz wikary. — Odmówię w drodze — odparł ksiądz Vianney, nie chcąc się dłużej zatrzymywać.

— Zaraz wójt przyjdzie — szepnął brat Atanazy księdzu Toccanier. — Niech go ksiądz zatrzyma jeszcze chwilę. — Dobrze — odrzekł wikary. — A przy okazji niech brat poprosi Franciszka Pertinanda, żeby natychmiast posłał furmankę do Trevoux i przywiózł tu księdza wikariusza generalnego, księdza, Poncet, który chwilowo tam się znajduje. Niech zabierze też spowiednika księdza Vianneya, proboszcza z Jassans

Tymczasem ksiądz Toccanier tak pomieszał w biblioteczkę tomy brewiarza, że święty proboszcz musiał zużyć wiele czasu, zanim trafił na właściwą część. Wreszcie mu się to udało, i ksiądz wikary musiał znowu łamać głowę nad wymyśleniem innego sposobu przytrzymania go.

— Niech no ksiądz proboszcz spojrzy na portret świętej pamięci księdza biskupa Devie. Czy nie widzi ksiądz, jak z wysokości nieba surowo patrzy na proboszcza, który chce opuścić swoją placówkę? Czy nie pamięta ksiądz proboszcz, co mu dziesięć lat temu powiedział?

W pierwszej chwili ksiądz Vianney aż podskoczył, później jednak z dziecięcą prostotą odpowiedział: — Świętej pamięci ksiądz biskup Devie już mnie nie potrzebuje. Jest w niebie i wie doskonale, że powinienem odejść, by opłakiwać moje biedne życie.

Na schodach natknął się na wójta, lecz niewiele sobie robiąc z jego zaklęć, wyszedł. Jednakże dzwon na alarm postawił na nogi całą wioskę. Myśląc, że chodzi o pożar, ludzie wybiegli z domów z wiadrami, siekierami i widłami. Otoczyli plebanię i zastawili drzwi.

— Puśćcie mnie. Proszę was, puśćcie mnie — błagał ksiądz Vianney. — Czy chcecie pojmać swego proboszcza, jak kiedyś w Getsemani słudzy arcykapłana pojмали Pana Jezusa? Proszę was, puśćcie mnie...

Zawstydzeni mężczyźni cofnęli się nieco, tak, że święty proboszcz mógł postąpić kilka kroków naprzód, lecz wtedy zaszły mu drogę kobiety z Ars, a także przybyłe z pielgrzymką, które rzuciły mu się do nóg błagając, żeby ich nie opuszczał.

— Niech ksiądz przynajmniej jeszcze raz wysłucha naszej spowiedzi — prosiły niektóre kobiety. — Przyszliśmy tu z daleka i nie chcemy odejść bez rozgrzeszenia. — Pomimo wszystko ksiądz Vianney zdawał się być gotowym kontynuować swoją ucieczkę. Wtem podszedł do niego ksiądz Toccanier i zawołał głośno: — Jakże to, księżo proboszczu, ksiądz, który tak dokładnie zna żywoty świętych, mógł zapomnieć modlitwy świętego Marcina, który mając za chwilę otrzymać nagrodę niebieską, prosił Boga: *Panie, jeżeli jeszcze jestem potrzebny Twojemu ludowi, nie wymawiam się od pracy!* A ksiądz chce opuścić pole bitwy? Czy nie przypomina sobie ksiądz także słów świętego Filipa Nereusza, który powiedział: *Gdybym już był na progu nieba, a jakiś grzesznik poprosiłby mnie o spowiedź, zostawiłbym dwór niebieski, aby wysłuchać spowiedzi tego człowieka!*

A ksiądz, księżo proboszczu, odmawia sakramentu przebaczenia tym pielgrzymom, którzy z tak daleka przyszli i czekali tu od północy? — Niech ksiądz wejdzie do zakrystii — rzekł hrabia Klaudiusz des Garets. — Mam coś księdzu do powiedzenia. — Chodźmy do kościoła — odezwał się ksiądz Vianney. Po adoracji Najświętszego Sakramentu i po rozmowie z Boskim Mistrzem wszedł do zakrystii. Wójt chciał coś mu powiedzieć, ale ksiądz uśmiechając się dał mu znak, żeby nie mówił. Ubrał komżę i stułę i udał się do konfesjonatu.

O siódmej, jak zwykle, odprawił Mszę świętą. — Czy przyjechał ksiądz wikariusz generalny? — zapytał, wracając do zakrystii, ksiądz Toccanier. — Przyjechał i chce z księdzem rozmawiać. Po dziękczynieniu proboszcz z Ars, jakby nigdy nic, podszedł do księdza wikariusza generalnego i powitał go bardzo serdecznie.

— Jest formalnym życzeniem księdza biskupa, by ksiądz pozostał w jego diecezji — oznajmił ksiądz Poncet. Przybył również ksiądz proboszcz z Jassans, spowiednik księdza Vianneya. On również skierował kilka słów życziwych do proboszcza z Ars. Ksiądz Vianney jednak przerwał mu i powiedział: — Niech już ksiądz nic nie mówi, drogi konfratrze. Wiem, że nie miałem racji. Tej nocy postąpiłem jak dziecko.

Powoli parafianie i pielgrzymi ochłonęli z podniecenia. — A ksiądz postąpił ze mną jak prawdziwy Judasz — zwrócił się proboszcz do swego wikarego. Dzielny zaś ksiądz Toccanier odrzekł z uśmiechem: — Także Judasz swoją zdradą przyczynił się do spełnienia wyroków Bożych. I to mnie pociesza.

Od tego czasu pokusa ucieczki już nigdy więcej nie nawiedzała świętego proboszcza. Uznał ostatecznie, że był to ostatni atut, którym posłużył się Grappin w swojej diabelskiej rozgrywce. Pomimo wszystko szatan nie wyrzekł się całkowicie płatania mu figłów.

Pewnej letniej nocy 1854 roku przed probostwem w Ars zatrzymał się pojazd, zaprzężony w dwa czarne rumaki. Jacyś dwaj nieznajomi wyszli z powozu, obudzili

ksiądz Vianneya i powiedzieli mu:, — Jeśli ksiądz chce opuścić Ars, może ksiądz wsiąść z nami do powozu. Święty proboszcz dłużej czas się wahał, lecz ostatecznie potrząsnął energicznie głową i powiedział: — Nie mam pozwolenia od ksiądz biskupa. — Potem jak mógł najszybciej, jakby musiał uciekać przed jakimś wielkim niebezpieczeństwem, wyrwał się im i zbiegł do kościoła.

## **KORONA MATKI BOŻEJ I KRZYŻ KSIĄDZA PROBOSZCZA (1854-1855)**

**Ósmego grudnia 1854 roku Ojciec święty Pius IX ogłaszał dogmat Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny.** Do pochwalnego chóru wszystkich dzwonów świata dołączyły także swój srebrzysty głos i małe dzwony w Ars. Tego dnia dzwonił nie, kto inny, lecz sam ksiądz Jan-Maria Vianney. Jego starcze ręce pochwyciły tak mocno linę, jakby już nigdy miały jej nie wypuścić.

Przyszli ministranci, żeby zastąpić proboszcza, gdyż na skutek wysiłku ledwie dyszał, lecz odepchnął ich. Pragnął, bowiem w ten uroczysty dzień do końca wyśpiewać radość, jaka przepętniała jego duszę.

Ostatnie już światła pogasły na ulicy wioski. Ostatni też raz uderzył dzwon na cześć Matki Bożej i ksiądz Vianney, staniając się ze zmęczenia, podtrzymywany mocnym ramieniem swego wikarego, skierował swe kroki ku plebanii.

— Za bardzo się ksiądz zmęczył — rzekł ksiądz Toccanier. — Czoło ma ksiądz pokryte potem, a noc jest zimna. — Nie, mój przyjacielu. Noc jest rozgrzana miłością Maryi. Tam, gdzie spocznie Jej wzrok, na ziemi, nawet wśród mroźnej zimy, zakwitają kwiaty.

Z trudem wszedł po schodach do swego pokoju. Katarzyna Lassagne podała mu zaraz szklankę grzanego wina. — Proszę, niech ksiądz wypije. Jest ksiądz cały spocony i na pewno źle się czuje. Jeszcze może się ksiądz przeziębnić. Ksiądz Vianney uśmiechając się, przyjął szklankę wina.

— Czy wiesz, o co się dziś rano modliłem podczas Mszy świętej? — zapytał, wypiwszy jeden łyk. — Przez chwilę ogarnął mnie niepokój na myśl, że Pan Bóg mógłby się odwrócić ode mnie z powodu moich grzechów. Wtedy to zaniósłem do Niego taką oto modlitwę: *Panie, jeśli mnie opuścisz, zostaw mi przynajmniej swoją Matkę.* — Teraz musi się ksiądz położyć — zdecydowała Katarzyna. — Radość nie da mi zasnąć. Co za wspaniały Adwent zesłało nam niebo! Już niedaleko do Bożego Narodzenia.

Przyszło i Boże Narodzenie. Lecz z radością tego święta dla świętego proboszcza z Ars mieszał się głęboki ból. Listonosz przyniósł list, który ksiądz Vianney otworzył z pewną obawą. Domyślał się, że list musiał zawierać coś więcej niż zwykłe życzenia świąteczne. I rzeczywiście donosiła mu siostra Małgorzata, że brat jego Franciszek jest ciężko chory i pragnie się z nim zobaczyć.

Franciszka zawsze bardzo kochał. Ale jak tu się udać, do Dardilly akurat w czasie świąt Bożego Narodzenia? Siadł, więc i zaraz napisał do chorego list pełen serdecznego



z troskonia. *Mój kochany Franciszku! Przed chwilą dowiedziałem się o Twojej chorobie. Dotychczas ukrywano ją przede mną. Bardzo się tym zmartwiłem. Proszę cię, więc, daj mi znać, jak się naprawdę miewasz. Już bym się był wybrał w drogę, gdyby nie wypadły akurat święta Bożego Narodzenia. Daj mi znać jak najszybciej, bym nie żył w niepewności. Ufam, że będę Cię mógł wkrótce zobaczyć. Przesyłam moją serdeczną pamięć dla siostry, która na pewno bardzo się tym przejmuję.*

Tymczasem musiało się chyba zdrowie Franciszka poprawić, skoro całe tygodnie proboszcz z Ars na próżno czekał na jakąś wiadomość z domu. 26 stycznia przybył jednak do Ars jego bratanek Antoś i poprosił, aby zaraz przybył do Dardilly, ponieważ jego ojciec dogorywał.

Z wielkim pośpiechem Franciszek Pertinand przygotował powóz, w którym oprócz księdza Vianneya zajęli miejsca jego bratanek i ksiądz Toccanier. — Tylko przywieźcie go nam z powrotem — wołali do woźnicy ludzie ze wsi i pielgrzymi, patrząc na odjeżdżający pojazd. — Na pewno — odpowiedział Pertinand.

Dla biednego proboszcza droga okazała się prawdziwą torturą. W Parcieux, o trzy mile od Ars, oświadczył: — Nie mogę dalej jechać. W głowie mi się kręci. Chciał dalej iść pieszo, lecz ledwie mógł ustać na ośnieżonej drodze. Kolana pod nim się ugięły, tak, że musiał zrezygnować z dalszej podróży. Z płaczem zobowiązał bratanek, żeby bratu przekazał ostatni uścisk oraz zapewnił go o modlitwach. Następnie wsiadł z powrotem do powozu. I zupełnie wyczerpany wrócił do Ars.

Ksiądz Toccanier i Antoś Vianney poszli dalej piechotą. W Neuville najęli furmankę i o zmroku dotarli do Dardilly w chwili, gdy miejscowy proboszcz udzielał choremu Ostatniego Namaszczenia. Boleść Franciszka była ogromna, kiedy ujrzął wracającego syna bez umiłowanego brata. Lecz pobożny ten sługa Boży złożył w ofierze swój ostatni zawód życiowy. Żył jeszcze do Wielkiego Piątku, kiedy to jego dusza wróciła do Ojca.

Ksiądz Vianney zaś nie miał już więcej oglądać swojej wioski rodzinnej. Wieczorem piętnastego sierpnia 1855 roku ksiądz Toccanier powitał księdza Vianneya, po jego wyjściu z konfesjonału, z tajemniczym uśmiechem. — Matka Boża zawsze mnie obdarzała samymi radościami, i wspomnienie tych radości należy u mnie do najwcześniejszych w życiu. Ale co ksiądz chce przez to powiedzieć?

Ksiądz, Toccanier wyciągnął z kieszeni gazetę i rozłożył ją na stole przed proboszczem. — Niech ksiądz sam przeczyta. — Nigdy się nie interesowałem tym, co bredzą dziennikarze, zwłaszcza od czasu, gdy uznali za stosowne zajmować się biednym proboszczem z Ars. — Tak, ale to na pewno księdza zainteresuje. — A zatem niech ksiądz powie, o co chodzi. Moje oczy są już zbyt sfatygowane. — No dobrze, niech, więc ksiądz słucha: *Cesarz Napoleon raczył mianować księdza kanonika Jana-Marię Vianneya, proboszcza w Ars, kawalerem Legii Honorowej. W ten sposób zasłużony ten duchowny otrzymuje najwyższe odznaczenie francuskie...*

— I co ksiądz proboszcz na to? — Chciałbym raczej, żeby mi cesarz dał święty spokój. Czyż wszyscy muszą się ze mnie naśmiewać? Tego samego jeszcze wieczora hrabia des Garets zjawił się na plebani i wręczył proboszczowi dyplom nominacyjny.

— Jak to ludzie lubią naśmiewać się ze mnie! — westchnął ksiądz Vianney. Lecz nagle jakaś myśl rozjaśniła mu twarz. — Czy do Legii Honorowej jest przywiązana jakaś pensja? Czy dostanę jakieś pieniądze dla moich biednych? — Nie, księżo proboszczu, to jest tylko odznaczenie honorowe — odrzekł wójt.

— W takim razie, skoro moi biedni nic z tego nie skorzy stają, proszę powiedzieć cesarzowi, że nie chcę o niczym wiedzieć. — Ależ to niemożliwe — odrzekł śmiejąc się hrabia. — Księżo proboszczu — rzekł z kolei ksiądz Toccanier — wszyscy księża dekorują: po biskupie cesarz... Na pewno także Pan Bóg udekoruje księdza w niebie. — O to najwięcej się boję — westchnął ksiądz Vianney. — Jeśli stanę przed Bogiem obwieszony tymi wszystkimi świecidełkami, powie mi z pewnością: Wynoś się! Otrzymałeś już swoją nagrodę.

W parę dni później proboszcz z Ars otrzymał pocztą list i aż krzyknął z oburzenia: — Tego już za wiele! Cesarska kancelaria przysłała mi rachunek. Mam zapłacić dwanaście franków za krzyż kawalerski. Przecież ja go nie przyjąłem. Wolę dać tych dwanaście franków pierwszemu napotkanemu żebrakowi.

— Proszę pana, panie prefekcie, niech pan wręczy ten krzyż komuś godniejszemu. Wolałbym raczej, żeby cesarz podarował mi coś dla moich biednych. — Ależ cesarz nie zamierzał tym odznaczeniem uhonorować tylko księdza. — Kogóż, zatem? — Legię Honorową. — Może się zupełnie dobrze obejść bez takiego uhonorowania... — mruknął ksiądz Vianney.

— Prefekt chciał jeszcze dalej mnożyć komplementy, ale proboszcz urwał krótko: — Panie prefekcie, będę się modlił, aby Pan Bóg na długie lata zachował pana w departamencie Ain oraz żeby mógł pan dużo dobrego zdziałać dla departamentu przez swoje mądre decyzje, a nade wszystko przez swój dobry przykład. Teraz zaś najmocniej pana przepraszam, ale muszę iść do konfesjonału.

W kilka tygodni później ksiądz Toccanier został wezwany do biskupa w Belley. Zlecił mu doręczenie proboszczowi z Ars krzyża Legii Honorowej, który został mu przekazany. — Czy nie wypadałoby raczej, żeby ekscelencja dokonał tego osobiście? — zapytał ksiądz Toccanier. — Nie, nie. Niech to ksiądz uczyni — odrzekł biskup Chalandon, uśmiechając się. — Po doświadczeniu, jakie zdobyłem zawożąc mu mucet, tym bardziej nie odważyłbym się zawozić mu odznaczenia cesarskiego. Jeszcze naraziłbym się na to, że wasz proboszcz rzuciłby mi ten krzyż pod nogi.

I tak ksiądz wikary zjawił się wieczorem przed proboszczem i przekazał mu opieczętowane czerwonym lakiem małe pudełeczko. Za wikarym weszli do pokoju bracia z *Domu Opatrzności*, Katarzyna Lassagne i Joanna Chanay, żeby być świadkami sceny. —

Co tam znowu nowego? — zapytał ksiądz Vianney, patrząc podejrzliwie na pudełko. — Może ktoś przesyła księdzu relikwie — odrzekł wikary.

— A to by mi sprawiło dużą przyjemność — odrzekł ksiądz Vianney, otwierając drżącą ręką pudełko i wyjmując z etui krzyż Legii Honorowej. — To tylko to? — zapytał rozczarowany. — Ale ta odznaka ma na sobie prawdziwy krzyż — wtrącił szybko wikary w obawie, żeby proboszcz nie rzucił jej na ziemię. — Niech ją ksiądz poświęci. — I ksiądz Vianney zrobił znak krzyża nad orderem.

— A teraz niech ksiądz pozwoli, że go księdzu przypnę — poprosił ksiądz Toccanier. — Ależ nic podobnego! Nigdy tego nie dotknę. Mógłby mi jeszcze ktoś powiedzieć to, co święty Benedykt pewnego razu powiedział do koniuszego króla Totili, który, żeby go zwieść, ubrał się w purpurę swego pana: Zdejmij oznaki godności, do których nie masz prawa.

Następnie wziął krzyż i podał go wikaremu: — Weź no to, przyjacielu. Weź z taką samą radością, z jaką ja ci daję.

Kilka dni potem przedstawiono mu sławnego malarza, który głęboko kłaniając się przed księdzem Vianneyem, powiedział: — Otrzymałem polecenie od pewnej wysoko postawionej osobistości, abym namalował portret księdza kanonika Vianneya, kawalera Legii Honorowej. Proszę, więc, żeby mi ksiądz zechciał łaskawie przez kilka posiedzeń pozować. — Oczywiście, niech pan maluje mój portret w mucecie i z krzyżem, a pod spodem niech pan napisze: nicość i pycha — odparł ksiądz proboszcz z grymasem na twarzy.

— Kiedy będziemy mogli rozpocząć seanse? Niestety, nie mogę dłużej zabawić w Ars, gdyż mam czas mocno ograniczony. — Tym lepiej! Widzi pan, że i ja nie mam czasu. Mógłbym jedynie pozować w konfesjonale. — Ale ja tam nie mogę księdza malować. — A więc jeszcze lepiej. Obejdzie się bez tego — rzekł proboszcz odchodząc.

Inny artysta przedstawił mu się w konfesjonale. Postąpił tak, jakby chciał się spowiadać, lecz kiedy proboszcz podniósł rękę, żeby go pobłogosławić, powiedział: — Jestem rzeźbiarzem, Emilianem Cabuchet, i przybywam tu na polecenie waszego księdza biskupa, żeby zrobić popiersie księdza. Oto list ekscelencji. — Nie, nie, nie chcę! — wybuchnął ksiądz Vianney, otwierając drzwi od zakrystii.

Ale artysta nie pozwolił się tak łatwo zbić z tropu. Wyszukał w kościele odpowiednie miejsce i zabrał się do modelowania w wosku, który ukrył w swoim wielkim kapeluszu, proboszcza z Ars, podczas gdy ten każdego ranka wykladał pielgrzymom katechizm.

Przez kilka dni wszystko szło dobrze, lecz w końcu ksiądz Vianney zauważył, co się działo za szerokim rondem kapelusza. Przerwał, więc wykład i zawołał: — Ej tam, panie! Kiedyż pan wreszcie przestanie przeszkadzać mnie i innym słuchaczom? Rzeźbiarz uśmiechnął się. Akurat dokonywał ostatnich korekt we wzorze, według którego następnie miał wyrzeźbić popiersie świętego.

Kiedy wykończone dzieło pokazał proboszczowi z Ars w obecności braci zakonnych i księdza wikarego, ksiądz Vianney zawołał, zdumiony: — Przecież ja nie wyglądam na kukłę? — Potem popatrzył surowo na artystę. — Pan mnie nie posłuchał. Czy mam panu przebaczyć? — dodał nieco łaskawszym tonem. — Tak, niech mu ksiądz przebaczy — rzekł ksiądz Toccanier. — Zrobił to na polecenie naszego księdza biskupa.

— Dobrze, panie. Chętnie panu przebaczę, ale pod warunkiem, że przed moją śmiercią nie wystawi pan mego popiersia na widok publiczny. — Obiecuję to księdzu — przyrzekł rzeźbiarz. — A więc niech pan idzie z Bogiem — zakończył proboszcz, podając mu rękę

### **DZIESIĘCIORO Z JEDNEGO PRZEDZIAŁU (1856)**

Ekspres Paryż-Lyon pędził całą parą przez równinę burgundzką. W tyle zostały już wzgórza Côte d'Or, a teraz otwarła się przed nim dolina Saony. W jednym z przedziałów jechali razem: jakiś duchowny, który odmawiał brewiarz; dama w żałobie; inna dama, modnie ubrana, z dwoma synkami, sześciolatkiem i dziesięcioletnim, którzy nie mogli spokojnie usiedzieć na miejscu; nie pierwszej młodości już panna, która stale trzymała przy ustach poplamioną krwią koronkową chusteczkę; wiejska kobieta z niewidomą dziewczynką; dziennikarz, który z zawodową ciekawością obserwował swoich towarzyszy podróży; i wreszcie handlarz win, który szukał nabywców na swoje wyroby.

Duchowny skończył brewiarz, przeżegnał się, zamknął księgę i spojrzał na zegarek.— Przepraszam księdza — zapytała dama w żałobie — czy wnet będziemy w Lyonie? — Za dobrą godzinę dopiero. Dojeżdżamy do Macon, gdzie krótko się zatrzymamy. Następnie pociąg popędzi do Villefranche, a stamtąd do Lyonu już niedaleko. — Nie znam Lyonu — zaczęła znowu dama. — Zamówiłam pokój w Hotelu Angielskim. Czy na dworcu są bagażowi? — Na pewno — odrzekł ksiądz. — Ja wysiadam w Villefranche.

— Ja znam Hotel Angielski — wtrącił się dziennikarz. — Znajduje się niedaleko dworca. Jeśli pani pozwoli, mogę tam panią zaprowadzić, bo i ja tam jadę. — O, skoro hotel znajduje się blisko dworca, znajdę go łatwo sama. Ale dlaczego ekspres zatrzymuje się w Villefranche? Przecież to mała miejscowość. — Z Villefranche odjeżdża dylizans do Ars — wyjaśnił ksiądz. — Ars? — zapytała dama. — Cóż to za miejscowość?

— Jak to? — wtrącił dziennikarz, zdumiony. — Nic pani nie słyszała o Ars i jego świątobliwym proboszczu? Ależ Ars stało się miejscem pielgrzymkowym, i to jednym z najbardziej uczęszczanych we Francji. Jest nie do pojęcia, co zabobon potrafi naopowiadać na temat tej wioski!... — Zabobon? — zachnął się ksiądz, marszcząc brwi.

— Nie chciałem księdza urazić — odparł z uśmiechem dziennikarz. — Ale przecież nie będzie ksiądz utrzymywał, że te wszystkie cudowne historie, jakie są kolportowane na temat Ars, odpowiadają rzeczywistości?

— Za pozwoleniem! Byłem osobiście świadkiem nagłego uzdrowienia pewnego kaleki i widziałem, jak później tańczył z radości, wymachując kulami. Byłem też świadkiem uzdrowienia jednego człowieka głuchego i jednego niewidomego.

— Niewątpliwie. Ale można też produkować rzekome cuda. Oczywiście, nie chcę podawać w wątpliwość uczciwości księdza, którego cesarz odznaczył orderem Legii Honorowej. Niektóre jednak nieodpowiedzialne jednostki, które udają chorych, mogły sobie zadrwić z tego pocziwego staruszka.

— Owszem, znam przypadek — odrzekł ksiądz — gdzie coś podobnego się zdarzyło. Ksiądz Vianney jednak przejrzał na wylot udawacza, który chciał symulować chorego. Co zaś się tyczy przypadków, o których wspomniałem, zostały one zbadane przez lekarzy. W wielu jeszcze innych wypadkach nie da się zaprzeczyć cudu. Dziennikarz wzruszył ramionami.

— Proszę księdza, czy ksiądz rzeczywiście widział uzdrowienia? — zapytała matka niewidomej dziewczynki. — Tak jest. Widziałem na własne oczy. — A więc jest także nadzieja i dla mego biednego dziecka? Straciła zupełnie wzrok na skutek zapalenia opon mózgowych. — Trzeba mieć ufność, i to wielką ufność — odrzekł duchowny z powagą.

— Czy nie jest okrucieństwem robić tej kobiecie nadzieję, która na pewno nigdy się nie ziści? — podjął na nowo dziennikarz. — Skąd pan tak doskonale wie, że ona się nie ziści? Nie wiem, proszę pana, jakie sprawy wymagają pańskiej obecności w Lyonie, ale jeśli ma pan wolną chwilę, radzę panu wpaść do Ars. Może nawet o tej porze znajdzie pan jeszcze jakieś miejsce w którymś z hoteli.

— Po tym wszystkim, co ksiądz powiedział, mam ochotę zobaczyć Ars i jego świętego proboszcza — rzekła dama w żałobie. — Podróżuję ot po prostu dla rozerwania się i nie mam określonego celu. Może to się opłaci? — A ile jest w Ars hoteli? — zapytał nagle handlarz win, który dotychczas nie zabierał głosu. — Zdaje się, że pięć. Tylko w ostatnich paru latach otwarto trzy.

— W takim razie myślę, że dobrze zrobię, gdy pojedę do Ars. — My też jedziemy do Ars — zawołał sześciolatek chłopczyk. — Mój brat i ja chcemy o coś bardzo ważnego zapytać księdza proboszcza z Ars. — Słyszałam — dorzuciła matka dzieci, — że ksiądz Vianney potrafi udzielać dobrych porad w sprawach delikatnych.

— Ma pani rację — odrzekł kapłan. — Święty proboszcz czyta w sercach, a nieraz jasnym wzrokiem przenika przyszłość. I tak wszyscy pasażerowie tego przedziału wysiedli w Villefranche z pociągu, a wsiedli do dylżansu, stojącego przed dworcem.

— Zarezerwowaliśmy księdzu dobry pokój — zwrócił się Robert Pertinand do duchownego. — Jeżeli zajdzie potrzeba, odstąpię go tej oto damie — odrzekł ksiądz, wskazując na kobietę w żałobie. — Ja sam łatwo znajdę jakieś lokum u któregoś z konfratrów w sąsiedztwie. — Może znajdzie się jakieś miejsce i dla tej pani — od rzekł Pertinand.

W drodze dylizans dogonił tłum pielgrzymów, idących pieszo. Jakiś kaleka z trudem szedł o kulach. Obok niego kobieta pchała wózek z małym chłopcem, który prawdopodobnie nie mógł chodzić. Im bardziej zbliżano się do Ars, tym bardziej wzrastała liczba pielgrzymów. — I powiedzieć, że coś podobnego dzieje się w pełni XIX wieku! — zauważył dziennikarz z politowaniem.

We wsi panowała prawdziwa ciżba, tak, że dylizans z trudem mógł dojechać do *Dobrego Samarytanina*. Na szczęście tego dnia wielu pielgrzymów odjechało wcześniej, niż przewidywano. Stąd nie tylko ksiądz i pani w żałobie, ale także dziennikarz i handlarz win mogli znaleźć miejsce. Suchotnicę przyjęła do siebie pani Maria Ricotier. Inni natomiast znaleźli nocleg u gospodarzy.

Handlarz win zaraz poprosił o widzenie się z właścicielem hotelu i przedstawił mu bogatą ich listę. Kiedy jednak chciał z kolei polecić swój wyborowy koniak, Pertinand odpowiedział uśmiechając się, że w hotelach w Ars nie podaje się napojów wyskokowych.

Dziennikarz czuł się w swoim żywiole. Myślał o napisaniu dobrego artykułu, stąd zaczął biegać na wszystkie strony z ołówkiem w ręku. Chciał pytać Franciszka Pertinanda, lecz ten odesłał go do ojca, który przykutym przez podagrę siedział w fotelu. — On panu wszystko dokładnie opowie o pierwszych latach naszego proboszcza w Ars.

Rzeczywiście starzec opowiedział mu o zaciętych bojach, staczanych na początku przez księdza Vianneya wtedy, kiedy to jeszcze wszyscy byli nastawieni przeciwko niemu, a nade wszystko oberżysci. — Myśleliśmy, że nas zrujnuje zupełnie, lecz stało się wręcz coś przeciwnego.

— Czy pan rzeczywiście wierzy, że wasz proboszcz dokonuje cudów? — Z całą pewnością. Już dawno stwierdzono, że w Ars dzieją się cuda. To tylko nasz proboszcz twierdzi, że działa je święta Filomena. Jest nadto skromny, by sobie je przypisywać.

— Jednakże, jak widać, nie zdziałał cudu na pańską korzyść. — Jeśli ma pan na myśli moją podagrę, to ma pan rację. Ale jeśli chodzi o ukryte cuda, to jest pan w błędzie. Dobrodziejstwa, jakie spłynęły na moją rodzinę i na mnie samego, są w rzeczywistości jednym wielkim cudem. Lecz największym cudem w Ars jest sam nasz proboszcz. — Wasz proboszcz... cudem?! — Tak jest.

Jak w takim razie może pan w naturalny sposób wytłumaczyć, że jakiś człowiek nie jedząc prawie nic, nie śpiąc, — że tak powiem — wcale i zadając sobie najostrejsze pokuty, potrafi, mimo swoich siedemdziesięciu lat, codziennie wysiedzieć szesnaście do osiemnastu godzin w konfesjonale? Czy nie jest to prawdziwy cud?

Dama w żałobie wcześniej zamknęła się w swoim pokoju. Męczyło ją ciężkie zmartwienie, nie dając chwili spokoju. Lekarze, więc zalecili jej podróżowanie dla zmiany myśli. Lecz te właśnie smutne myśli nie opuszczały jej nigdy. Zbliżyła się do okna i popatrzyła na ulicę.

Kim byli ci ludzie, którzy setkami i tysiącami przychodzili do Ars? Na pewno wielu z nich ciągnęła tu prosta ciekawość. Większość jednak przynosiła tu swoje ciężkie brzemie. Widać było kaleki o kulach, niewidomych, paralityków, beznadziejnie chorych, opuszczonych, ludzi nad brzegiem grobu czy nad przepaścią rozpacz. Ostatni jakiś płomyk nadziei sprowadzał ich do Ars. Czy biedny wiejski proboszczyna potrafi i jej także przyjść z pomocą w jej gorzkim strapieniu?

Do późna w nocy nie ustawał napływ pielgrzymów. Wielu z nich musiało spędzać resztę nocy pod gołym niebem lub też szukać schronienia w sąsiednich miejscowościach.

O jedenastej wieczorem ksiądz Vianney wyszedł z konfesjonatu i powłókł się przed ołtarz swojej Małej Świętej, żeby przekazać jej swoje wieczorne pozdrowienie. Klęknął i zaczął z nią gawędzić, jak starszy brat ze swoją młodszą siostrzyczką. — W ostatnich dniach nieco przesadziłaś, Filomeno — mówił proboszcz z Ars. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś uzdrawiała chorych. Ale ileż to razy już ci mówiłem, żebyś robiła to gdzie indziej, a nie tu w Ars! Wywołuje to zbyt wiele sensacji i potem ludzie gadają wszędzie, że to ja jestem cudotwórcą. W Ars poprzestań na działaniu cudów duchowych. Obiecujesz mi to? Ja, twój proboszcz, ja ci to nakazuję. Zdawało się, że jakiś dziwny uśmiezek przemknął po twarzy Świętej.

Tej samej nocy ksiądz Toccanier został wezwany przez Marię Ricotier. Pani, która u niej zamieszkała, dostała silnego krwotoku. Najwidoczniej była suchotnicą w ostatnim stadium. Chora wielkimi oczyma popatrzyła na wchodzącego do pokoju księdza. Z nabożeństwem przyjęła Ostatnie Sakramenty.

Kiedy jednak ksiądz wikary udzielił jej ostatniego błogosławieństwa, zatrzymała go na moment i powiedziała cichym głosem: — Czy nie byłby ksiądz taki dobry i nie zechciał poinformować księdza proboszcza Vianneya o moim stanie?... A może... — Dobroć Boża ma panią w swoim ręku. Stanie się to, czego Pan Bóg zechce. Ale porozmawiam o pani z księdzem proboszczem.

Była już późna godzina ranna, kiedy po na pół przespanej nocy wstała dama w żałobie. W jadalni spotkała księdza, który dopiero, co odprawił Mszę świętą w kaplicy *Domu Opatrzności. i* — Chciałabym porozmawiać z księdzem Vianneyem — rzekła. — Czy mógłby mi ksiądz ułatwić spotkanie z nim?

— O tej porze będzie to bardzo trudne. Od pierwszej w nocy ksiądz proboszcz jest w konfesjonale. Odprawił Mszę świętą o szóstej rano, a potem znowu wrócił do konfesjonatu. O jedenastej będzie wykladał katechizm. Zresztą ja nie wiem nawet, czy jeszcze znajdziemy jakieś miejsce w kościele. W samo południe ksiądz Vianney wraca na plebanię na mały posiłek. Może wtedy uda się z nim zamienić parę słów, choć na pewno będzie to trudne z powodu dużego napływu pielgrzymów.

— A czy nie byłoby możliwe dostać się do niego w konfesjonale? To, co chcę mu powiedzieć, zupełnie dobrze nadaje się do konfesjonatu. — Tak, to jest możliwe, ale pod warunkiem, że ma pani dużo czasu i cierpliwości.

— A więc dobrze! Nawet gdybym miała czekać kilka godzin, jestem gotowa to zrobić. — Kilka godzin? Będzie pani musiała poczekać grubo więcej. Może nawet pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt godzin. Niektórzy pielgrzymi czekali trzy lub cztery dni i tyleż nocy, zanim przyszła na nich kolej. Niektórzy proszą biednych mieszkańców wioski o zajęcie im miejsca w tej niekończącej się kolejce. — Mój Boże, czy to możliwe? Widzę, że to na nic... — Niech pani nie traci nadziei. W Ars dzieją się rzeczy przedziwne — rzekł jakoś tajemniczo kapłan.

Przed kościołem tłoczyli się pielgrzymi, usiłując wejść do wnętrza, żeby posłuchać nauki katechizmowej świętego. Jakiś kaleka, wsparty na kulach, błagał na miłość boską, by go wpuszczono. — Pewnie pan spodziewa się cudu? — zapytał dziennikarz, który bardzo zaaferowany krążył wśród grup ludzkich. — Było już wiele uzdrowień w Ars — odrzekł kaleka z ufnością.

Kobieta, wioząca na wózku dziecko, także domagała się, by zrobić jej miejsce. — Popatrzcie na moje biedne dziecko. Jest sparaliżowane od bioder w dół i nie może chodzić. A może... — Ależ pani nie może wejść do kościoła z wózkiem — odpowiadano jej. — Mamo — zawołał chłopczyk — trzeba było wziąć ze sobą parę chodaczków dla mnie. Jeśli mnie święty uzdrowi, będę musiał iść w skarpetkach. — Czy nie może go pani wnieść? Nie musi się pani obawiać o wózek. W Ars nikt go nie ukradnie.

Ludzie na placu, o ile tylko było to możliwe, stłoczyli się przy drzwiach kościelnych, żeby przynajmniej móc widzieć, jeżeli nie słyszeć, proboszcza z Ars, gdy będzie wykladał katechizm. Nieco na uboczu stało kilku mężczyzn, z których jeden był w stroju myśliwskim, ze strzelbą na ramieniu i z psem na smyczy. — Czy nie zechce się pan wypowiedzieć, panie, Dorel? — zapytał jeden z mężczyzn myśliwego. — Nie myślę o tym wcale. Chciałem tylko trochę popatrzeć. Idę na kaczki nad dombeńskie stawy.

— Spróbujemy wejść do kościoła przez zakrystię — rzekł towarzyszący damie w żałobie kapłan. Poprosił, więc zakrystiana, brata Hieronima, i weszli oboje. Matka sparaliżowanego dziecka także skorzystała z okazji i wcisnęła się do zakrystii. Trzymała synka na rękach, więc dobry brat zakrystian polecił jej usiąść na stopniu konfesjonału.

Skoro wybiła jedenasta, ksiądz, Vianney wyszedł z konfesjonału w kaplicy św. Jana Chrzciciela i wszedł na ambonę. Rzucił krótko okiem na słuchaczy i zaczął mówić głosem załamującym się z powodu wieku. Mówił o ulubionym przedmiocie swojej starości, to jest o miłości Bożej. — Czym jest nasze nędzne ciało? Kruchym naczyniem, które rozsypuje się za dotknięciem palca śmierci. Czym jest światło naszych oczu? Czy nie wpatrują się one na tej ziemi raczej w zło niż w dobro? Na co się przyda dobry wzrok, skoro dusza trwa w ciemnościach? Ten, co nie widzi, nie poznaje, nie miłuje. A ten zaś, kto nie miłuje Boga, przywiązuje swoje serce do rzeczy ziemskich, które rozwiewają się jak dym. Gdyby zamiast oczyma cielesnymi, mógł widzieć oczyma duszy, poznałby wtedy całą znikomość tego, co miłuje na tej ziemi. Życie przemija. Szczęście ucieka. Zdrowie się niszczy. Jesteśmy unoszeni przez wiatr, miotani burzą. **Jeden tylko pozostaje niezmienny, godny miłowania z całego serca, Bóg i Pan wszystkich rzeczy.**



Wśród słuchaczy znajdowała się niewidoma dziewczynka z matką, ta z kolejowego przedziału. Nagle dostrzegł ją kapłan i po chwili milczenia tak zaczął mówić dalej: — Módlcie się, moje dzieci, módlcie się nie o światło dla oczu, ale o światło dla duszy. Wtedy, bowiem ujrzycie Boga i pokochacie Go.

Jakiś hałas, dochodzący od drzwi kościelnych, przerwał wykład kaznodziei. To kaleka o kulach torował sobie drogę przez tłum ludzi. Wtedy ksiądz Vianney, bez słowa wyjaśnienia, zszedł z ambony, przecisnął się przez tłum, podszedł do nieszczęśliwego kaleki i doprowadził go pod samą ambonę. — Siądź tu — rzekł, wskazując mu stołek. Potem skończył swoje przemówienie, stojąc na posadzce.

W południe skończył. Odmówił *Anioł Pański* i przecisnął się do zakrystii. Dama w żałobie, drżąc z przejęcia, rzuciła się na kolana, gdy święty proboszcz przechodził obok niej. Popatrzył na nią przez chwilę. — Księżę proboszczu — wyjąkała. Ksiądz Vianney pochylił się nad nią i szepnął: — Jest zbawiony. Dama, zmieszana, podniosła się. — Co ksiądz powiedział? — **Powiedziałem pani, że jest zbawiony. Pomiędzy barierą mostu a powierzchnią wody miał czas, by wzbudzić akt żalu. Matka Najświętsza wyjednała mu tę łaskę.** — Skąd to ksiądz wie? — Wiem, moje dziecko, wiem. W maju odmówił z panią jedno *Zdrowaś Maryjo* przed obrazem Matki Bożej. Przypomina sobie pani? Z powodu jednego *Zdrowaś Maryjo* dobra Matka Boża wyjednała mu łaskę pokuty i miłosierdzie Boże. Ale niech się pani za niego modli. Czeka na modlitwy pani w czyśćcu.

Dama znowu upadła na kolana i rozplakała się, po raz pierwszy od tamtego tragicznego dnia. Tymczasem proboszcz z Ars zwrócił się do kobiety, która trzymała na rękach sparaliżowanego synka. — Ależ to dziecko już jest za duże, żeby je nosić na rękach — zauważył żartując ksiądz Vianney. — On jest sparaliżowany od bioder w dół. Nie utrzyma się na nogach. Sam nie potrafi zrobić ani kroku. — Potrafi, potrafi. Trzeba tylko ufać świętej Filomenie. A jak ci na imię, moje dziecko?

— Jan-Maria, księżę proboszczu. — O, to mamy takie same imiona. — Nazywa się Jan-Maria Devoluet — poprawiła kobieta, wypuszczając z rąk dziecko. — Widzi ksiądz, on się przewraca, nie może utrzymać się na nogach. — Nie, niech pani go nie podtrzymuje. Idźcie oboje do ołtarza Świętej.

Podtrzymywany przez matkę, chłopczyk zawlókł się przez tłum do ołtarza świętej męczenniczki. Uklęknął tak, że matka nie musiała już go podtrzymywać. Pozostał tak przez dłuższy czas, zapatrzony w obraz Świętej. Obok niego matka płakała bez przerwy, na próżno starając się modlić.

Tymczasem do zakrystii przecisnął się kaleka o kulach. — Byłeś tu już kilka razy, mój przyjacielu, nieprawdaż? — zagadnął przyjaźnie proboszcz z Ars. — Tak jest. Przychodziłem tu i nie zostałem uzdrowiony — odrzekł Karol Blazy. — Ale, księżę proboszczu, czy tym razem nie mógłbym zanieść moich kul do świętej Filomeny? Niech mi ksiądz powie: tak czy nie. — Idź do niej — rzekł kapłan po krótkim wahaniu.

Wtedy kaleka wyprostował się, próbując stanąć na nogach i zrobić kilka chwiejnych kroków. Potem podniósł do góry kule i wydał okrzyk, który rozległ się echem po całym kościele. — Jestem uzdrowiony! Jestem uzdrowiony! — powtarzał, skacząc i wywijając kulami. — Nie skacz, ale módl się — upomniał go święty proboszcz. I były kaleka z płaczem rzucił się na kolana i zaczął całować ręce księdza Vianneya. — Idź i podziękuj świętej Filomenie — rzekł, cofając ręce.

Podczas gdy Karol Blazy, podnosząc możliwie jak najwyżej swoje kule, przeciskał się przez tłum, ksiądz Vianney opuścił zakrystię i podążył na plebanię. Zaczął padać deszcz, i stąd wielu pielgrzymów już się rozeszło.

Franciszek Dorel, myśliwy z Villefranche, akurat wtedy, gdy ksiądz przechodził, zagwizdał na psa, który na chwilę oddalił się od niego. — Ma pan ładnego psa — zagadnął poważnie proboszcz. — Tak mi się zdaje — odrzekł z dumą myśliwy.

— Należałoby życzyć, żeby pańska dusza była tak samo piękna jak ten pies — dorzucił ksiądz Vianney. — Co ksiądz chce przez to powiedzieć? — To, że pan podczas tak marnej pogody, zamiast polować na kaczki, powinien się wypowiedzieć. — Myśliwy aż oniemiał ze zdumienia.

Kiedy proboszcz chciał już iść dalej, pani z dwoma synkami, która również jechała w przedziale kolejowym, przedstawiła księdzu chłopców i poprosiła, żeby ich pobłogosławił? — Coś ci leży na sercu — zauważył ksiądz Vianney, patrząc na starszego. — Księżę proboszczu, ja chciałbym wiedzieć... — zaczął niepewnie chłopiec. — Tak, ty zostaniesz dobrym kapłanem. — Tego właśnie chciałem się dowiedzieć.

— A ty malutki — zapytał proboszcz, zwracając się do młodszego, sześciolatniego chłopczyka — masz także coś na sercu? — Tak, proszę księdza proboszcza. Chciałem się dowiedzieć, czy mam się uczyć, czy się bawić. — Bawić, moje dziecko, bawić. To bardziej wypada w twoim wieku. — Słyszałaś, mamu? — zawołał triumfalnie. — Ksiądz proboszcz powiedział, że mam się bawić.

W końcu ksiądz, Vianney dotarł do swego mieszkania, lecz ksiądz wikary oznajmił mu, że ktoś czeka na niego. Była to kobieta z niewidomą córeczką. Kapłan długo przypatrywał się tej ostatniej, następnie rzekł: — Moje dziecko, mogłabyś pójść do świętej Filomeny i poprosić o uzdrowienie. Myślę, że dokonałaby tego. Ale nie wiem, czy światło tego świata pomogłoby ci do zdobycia nieba. Przeciwnie, jeżeli pozostaniesz niewidoma, na pewno pójdziesz do raj. Owszem, ręczę, że otrzymasz tam dobre miejsce.

Dziewczynka przez chwilę milczała, potem zaś, chwytając świętego za rękę, odrzekła rezolutnie: — Pójdę i poproszę świętą Filomenę, żeby mi pomogła cierpliwie znieść moje kalectwo. Proboszcz ze łzami w oczach pobłogosławił ją.

Przed ołtarzem świętej Filomeny sparaliżowany chłopczyk wciąż jeszcze klęczał razem z matką. W końcu przeżegnał się i powiedział: — Chce mi się jeść. — Dobrze, dobrze, mój malutki. Zaraz wyniosę cię z kościoła.

— Ależ ja mogę sam iść, mogę chodzić — odrzekł chłopczyk wstając. I bez opierania się zrobił kilka kroków. — Cud! — jęknęła matka, a twarz jej zbladła, jakby za chwilę miała zemdleć. — Ojej, mamó — zawołał synek, — co ci jest? Oprzyj się o mnie.

Wtedy kobieta zaczęła krzyczeć. — Cud! cud! — wołali ludzie, którzy znajdowali się blisko nich. Wkrótce cały kościół powtarzał: — Cud! Dziecko zostało uzdrowione. Kilku mężczyzn chciało wziąć chłopca na ręce, ale on zaprotestował energicznie.

— Ja mogę chodzić. Mogę sam iść. Ojej, leje jak z cebra — rzekł, kiedy zbliżyli się do drzwi kościelnych. — Widzisz, mamó, mówiłem ci, żebyś mi kupiła parę chodaczków. Będę teraz musiał iść po wodzie w skarpetkach...

— Parę domów stąd jest sklep z chodakami — podpowiedział ktoś. — Chodź, chłopczyku, zaniosę cię tam. — Nie, pozwólcie mi go jeszcze ostatni raz nieść — zaprotestowała z płaczem matka. — Tak, ale będzie to naprawdę ostatni raz — dodało dziecko.

Kiedy wychodził ze sklepu w swoich nowych chodaczkach, deszcz przestał padać i znowu zaświeciło słońce. Chociaż ludzie w Ars byli przyzwyczajeni do cudów, to jednak uzdrowienie chłopca wywołało sensację. Ze wszystkich stron padały dociekliwe pytania, kierowane do matki i syna, tak że trzeba było bez końca zapewniać, że to ośmioletnie dziecko rzeczywiście było sparaliżowane, a teraz zostało uzdrowione.

— Jest tu sporo ludzi z Saint-Romain, którzy od lat znali chorobę mego dziecka — powtarzała kobieta. Także wiele osób z tej samej wioski, którzy jako pielgrzymi przyszli do Ars, potwierdzało prawdziwość cudu. Mały zaś Janek szybko uwolnił się od niekończących się pytań. — Przecież widzicie sami, że mogę biegać. A teraz zostawcie mnie. Chcę poskakać z innymi dziećmi.

Wiść o uzdrowieniu kaleki i sparaliżowanego dziecka doszła także do uszu chorej, leżącej w domu Marii Ricotier. — Czy i mnie także pomoże? — zapytała nieszczęsna suchotnica. — Ostatnio uzdrowił siostrę Dorotę z *Domu Opatrzności* w Vitteaux, która też chorowała na płuca. Lekarze ją opuścili, lecz wyjechała z Ars zupełnie zdrowa.

— Oby i na mnie dokonał się cud! Żeby tylko święty proboszcz przyszedł i położył na mnie ręce! — Wola boska! — odrzekła Maria Ricotier. — Niech się pani całkowicie zda na wolę Bożą.

Wtem drzwi się otwały. Nie był to jednak ksiądz, Vianney, ale ksiądz Toccanier. — Powiedział mu ksiądz o mnie? — zapytała chora. — Tak jest, opisałem mu dokładnie stan pani. — I co powiedział? — Powiedział: Osoba, o której mi ksiądz mówi, jest miła Bogu. Krzyż, jaki dźwiga, posłuży jej za drabinę do nieba.

Chora z powrotem opadła na poduszkę i zamknęła oczy. Po chwili jednak otworzyła je znowu i powiedziała do księdza Toccanier: — Dziękuję księdzu. Niech się dzieje wola Boża!

W tym samym czasie dama w żałobie, która po widzeniu się ze świętym proboszczem w zakrystii, zmieniała się nie do poznania, powiedziała do księdza, który jej

towarzyszył: — Jutro wyjeżdżam do Paryża. W Ars znalazłam to, czego na próżno szukałam wszędzie: pokój serca.

— Przepraszam za niedyskrecję, ale chciałem panią zapytać o przyczynę tej zmiany? Słyszałem jedno czy drugie słowo, skierowane przez panią do księdza Vianneya, ale sensu nie mogłem uchwycić. — To długa historia, którą mogę streścić w paru zdaniach.

Mój mąż, oficer, został wyrzucony z wojska za przewinienie, które mu mylnie zostało przypisane. Zrozpaczony, postanowił popełnić samobójstwo. Rzucił się z mostu do Sekwany. Byłam zupełnie załamana, kiedy stanęłam nad jego zwłokami. Byłam przekonana, że nieszczęsny przez swoje samobójstwo wraz z życiem ciała utracił również życie duszy. Ale święty proboszcz powiedział, że jest zbawiony.

— Czy ksiądz Vianney znał panią lub pani męża? — Nigdy nas nie widział ani nigdy o nas nie słyszał. — A zatem niech pani ufa. Rzeczy na pewno mają się tak, jak to święty powiedział. Cuda dotyczące duszy są większe niż cuda dotyczące ciała.

Ostatnim penitentem, jakiego późną nocą wyspowiadał ksiądz Vianney, był Franciszek Dorel, który wiele godzin czekał na swoją kolej. Jakkolwiek mężczyźni, którzy spowiadali się w zakrystii, nie musieli tak długo czekać jak kobiety w kaplicy świętego Jana Chrzyciela, to także ich cierpliwość bywała wystawiana na ciężką próbę.

— Dobrze, mój przyjacielu. Już dosyć długo miałeś serce przywiązane do próżności tego świata, ale teraz będziesz miał czas na pokutę. -- Co to znaczy? — zapytał myśliwy. — To znaczy, że zostaniesz trapistą. — I rzeczywiście Franciszek Dorel w kilka lat później wstąpił do klasztoru trapistów Notre-Dame d'Aiguebelle. Brat Arseniusz — takie otrzymał imię w zakonie — oświadczył pewnego razu, że swoje nawrócenie zawdzięcza dwom istotom: świętemu proboszczowi z Ars i swojemu psu.

Bardzo późno ksiądz Vianney opuścił konfesjonał i poszedł uklęknąć przed figurą świętej Filomeny. — Miałbym wiele powodów, żeby ci natrzeć uszu, moja droga Święta. Nie dotrzymałaś naszej ugody. Nie posłuchałaś swego proboszcza. Czy zapomniałaś, co ci poleciłem? Nie powinnaś więcej cudów działać w Ars.

Nagana proboszcza zdawała się nie wywierać żadnego wrażenia na Świętej. Ksiądz Vianney natomiast sądził, iż słyszy, jak ona mu odpowiada: — Mój dobry księżu proboszczu, czyż sam nie przysłałeś do mnie dwóch kalek? Dlaczego więc czynisz mi teraz wymówki? Powinieneś je sam sobie wziąć do serca.

— W rzeczywistości to ty masz rację. Jeżeli ja narzekam, to tylko z powodu tego hałasu, jaki powstaje na temat tych wydarzeń. Ale rób, co uważasz za słuszne.

### **ZNAK MADONNY (1857-1858)**

Niczym jakaś lawina, pielgrzymi z Francji i z sąsiednich krajów całymi tysiącami zalewali Ars. Wszyscy oblegali konfesjonał, którego ksiądz Vianney od wielu już lat był

więźniem. Często dostawał mdłości, tak, że na kilkanaście minut tracił przytomność. Czasem nawet trzeba go było, omdlałego, wynosić na plebanię.

Jednakże już pierwsza godzina nowego dnia zastawała go znowu w tym więzieniu, gdzie walczył z grzechem. Radził, ostrzegał, błagał, płakał, pocieszał, nawracał. Jednemu wystarczyło kilka słów, płynących z głębi serca, do innego trzeba było mówić długo i surowo, by rozniecić w nim iskierkę dobrej woli.

Najczęściej jego nauka była bardzo krótka, lecz rozbudzała w duszy odzew, który nie dawał spokoju. Pewnemu proboszczowi, uskarżającemu się na swoje kłopoty, ksiądz Vianney powiedział tylko tyle: — Mój przyjacielu, zanurz je wszystkie głęboko w cierpliwości Zbawiciela. Biskupowi, który całymi godzinami czekał w kolejce wśród penitentów, powiedział po prostu: — Kochaj swoich kapłanów! — Jaka szkoda — westchnął po spowiedzi pewnego młodzieńca, zadając mu pokutę i udzielając mu rozgrzeszenia. — Gorąco kochaj Pana Boga! — Tyle tylko powiedział pewnej młodej dziewczynie.

Jednakże jego krótkie napomnienia przenikały do dusz niczym ogniste strzały. Słuchając spowiedzi pewnego mężczyzny, któremu najwidoczniej brakowało żalu, święty proboszcz rozpląkał się i płakał tak długo, aż zaniepokojony tym penitent zapytał go o przyczynę łez. — Płaczę, dlatego, że ty nie płaczesz — odrzekł ksiądz Vianney.

Nieraz usiłował wyrwać grzech z korzeniem, żądając zerwania z okazją do grzechu. I tak pewnej modnej damie, której zmysłowość i pychę przejrzał na wylot, zabronił wracać do Paryża.

Pewnemu zaś młodemu mężczyźnie, który ze względów ludzkich nie miał odwagi wyznać publicznie wiary, zadał za pokutę wziąć udział w procesji Bożego Ciała. — Pójdiesz zaraz za baldachimem — polecił nieszczęsnemu, który już naprzód obficie się pocił.

Od dłuższego już czasu proboszcz z Ars nie był w stanie słuchać spowiedzi wszystkich pielgrzymów. Dlatego to paru księży było zawsze gotowych w sąsiednich kaplicach i kościołach do jego dyspozycji. Większość jednak pielgrzymów wolała poświęcać całe dnie i noce, aby tylko móc otworzyć serce przed świętym proboszczem.

— Grzesznicy nie dają mi chwili spokoju — powiedział pewnego dnia do Brata Atanazego. — Jestem więźniem konfesjonału. O Boże, kiedyż wreszcie znajdę samotność i ciszę, o jakiej tak bardzo marzę przez całe me życie? Brat spojrzał nań podejrzliwie, lecz ksiądz Vianney, który zrozumiał to spojrzenie, dodał zaraz, uśmiechając się: — Nie, mój drogi przyjacielu, nie bój się! Nie myślę już o ucieczce. Chciałem poprosić brata, żeby przyszedł do mnie i pomógł mi list napisać, bo ręce mi się trzęsą tak bardzo, że nie mogę utrzymać pióra.

—, Do kogo ma być ten list? — Do jego ekscelencji księdza biskupa Langalerie, nowego biskupa naszej diecezji. Niech, więc brat pisze: *Ekscelencjo! Coraz bardziej podupadam na zdrowiu. Muszę część nocy spędzać na krześle, a do tego wstawiać trzy*

*lub cztery razy na godzinę. W konfesjonale chwytają mnie mdłości, tak, że muszę wychodzić z niego, by odzyskać przytomność. Zatem ze względu na wiek i chorobę pragnę zrzec się probostwa w Ars. Ufam, że Wasza Dostojność udzieli mi tej łaski, o którą bardzo gorąco proszę. Ekscelencja wie przecież, że jestem tylko biednym nieukiem. Tak myślą wszyscy... Proboszcz drżącą ręką podpisał: Jan-Maria Vianney, biedny i nieszczęśliwy proboszcz w Ars.*

— Będę prosił z całego serca Matkę Bożą z La Salette, żeby ksiądz biskup nie przystał na prośbę księdza — rzekł brat Atanazy. — Matkę Bożą z La Salette! — powtórzył jak echo ksiądz Vianney. — O, gdybym wiedział, że Ona rzeczywiście się objawiła dzieciom! — Ksiądz nadal w to wątpi? — zapytał brat, zdziwiony.

— Niech brat na to nie zwraca uwagi. Wie brat przecież, że ja jestem nieukiem, głupcem i człowiekiem niemądrym, który powątpiewa nawet wtedy, gdy już nie powinien wątpić, a mianowicie po wypowiedzi Ojca świętego. Ja jednak proszę codziennie Matkę Najświętszą, żeby zdjęła ze mnie tę męczącą niepewność, albowiem bardzo cierpię na myśl, że mógłbym Ją obrazić moimi wątpliwościami.

— Czy słyszał ksiądz o Lourdes, gdzie Matka Boża ukazała się małej dziewczynce zupełnie tak samo jak dzieciom w La Salette? — Na ten temat nie podjęto jeszcze żadnej akcji. Trzeba się strzec przedwczesnych sądów. Gdybym przynajmniej wiedział, że można zaufać temu małemu nicponiowi Maksyminowi — westchnął, wstając i przechadzając się po pokoju.

— Może ksiądz poprosić Matkę Bożą o jakiś znak — zasugerował brat. — Znak? Tak, to byłaby dobra rzecz. A więc poproszę Matkę Bożą z La Salette, by natchnęła księdza biskupa do przyjęcia mojej dymisji. Jeżeli pozwoli mi odjechać z Ars, uwierzę w objawienia.

— Nie — przerwał z miejsca brat Atanazy. — To nie możliwe, ponieważ ja będę Matkę Bożą z La Salette prosił o coś wręcz przeciwnego... — W takim razie poszukam czegoś innego... Niech brat już idzie spać. Dochodzi północ. — Tak, ale jeszcze nie przeglądniętą ksiądz poczty — rzekł brat, wskazując na stos listów. — I tak większość z nich nadaje się do pieca lub do kosza. Niech brat już idzie spać.

Sam jednak ksiądz Vianney nie przestał chodzić po pokoju. Różnego rodzaju kłopoty ciążyły na nim. Już tylko piętnaście dni pozostało do świętego Marcina, a więc do daty, kiedy będzie musiał opłacić czynsz trzydziestu biednych komorników. Brakowało mu jeszcze 750 franków do wymaganej sumy.

A gdyby tak poprosić o te pieniądze Matkę Bożą z La Salette i o to, by ona sprawiła, żeby one nadeszły na wyznaczoną datę? Tak, to byłby ten znak, o który należało prosić. Wtedy na pewno się dowie, czy objawienia były prawdziwe.

Wtem zgasła lampa. Proboszcz poszukał świeczki. Wziął ze stołu kawałek papieru, odpalił go od ognia w kominku i zapalił świeczkę. Resztę zaś papieru wrzucił do popielnika. Przy świetle świecy wyciągnął z komody obraz Matki Bożej z La Salette i

wpatrywał się weń długo. — Postaraj mi się o pieniądze, a ja to uznam za znak, że objawiłaś się naprawdę — rzekł w uniesieniu.

Na drugi dzień w południe Katarzyna Lassagne, przynosząc posiłek, powiedziała: — Księżę proboszczu, oto, co znalazłam dzisiaj rano w popielniku. — I podała mu resztę upalonego listu. — To mało ważne. Wczoraj wieczorem zapalałem świecę, gdy mi zgasła lampa. Na pewno był to jakiś list z pochlebstwami, który, do czego innego się nie nadawał.

— Tak, ale w liście było coś więcej. Niech no ksiądz patrzy. W kopercie znajdował się banknot, z którego pozo stał tylko mały skrawek. Na dole jest napisane: pięćset franków. Reszta się spaliła. — O Boże! Akurat musiałem spalić te pieniądze, kiedy muszę czynsz płacić! To straszne!... Ale to nie takie straszne, jak choćby najmniejszy grzech powszedni. W każdym razie zrobiłem trochę popiołu, który mnie drogo kosztuje.

Ksiądz Vianney zabrał się zaraz do przeglądania reszty poczty. Niestety, listy zawierały same tylko pochwały i pochlebstwa. W konsekwencji wszystkie znalazły się w koszu. — Co za głupstwa!... i powiedzieć, że spaliłem akurat ten list, w którym były pieniądze.

Dzień świętego Marcina nadchodził, lecz na próżno biedny proboszcz otwierał wszystkie listy. Nie znajdował w nich żadnego banknotu. Na domiar złego także normalne ofiary pielgrzymów jakoś z malały.

— Teraz już tylko Matka Boska z La Salette może mi przyjść z pomocą — westchnął wieczorem dziesiątego listopada. Chyba przyjdzie zwrócić się do hrabiego des Garets lub des Cibeins, którzy niejednokrotnie już przychodzili mu z pomocą. Ale święty proboszcz zbyt mocno ufał Matce Bożej, żeby myśleć o proszeniu kogokolwiek innego o pomoc.

W południe jedenastego listopada pootwierał gorączkowo listy złożone na stole. Jeden za drugim znikły w koszu na śmieci. Został tylko jeden, pochodzący z Belley. Biskup powiadał go, że ku swojej wielkiej przykrości, ze względu na dobro dusz nieśmiertelnych, nie może zgodzić się na jego wyjazd z Ars.

— A więc tak — westchnął biedny proboszcz — ani pieniędzy, ani zgody na opuszczenie Ars. Obym tylko mógł znaleźć kogoś, kto mnie wybawi z kłopotu. Wstawał już, by wrócić do penitentów, gdy spostrzegł na podłodze list, który niepostrzeżenie musiał spaść ze stołu. Na kopercie nie było adresu nadawcy, ale za to pieczętka poczty nadania była bardzo wyraźna: «La Salette» — odczytał ksiądz Vianney, otwierając drżącą ręką kopertę. Zawierała ona jedynie paczkę banknotów. Kiedy je ksiądz policzył, okazało się, że jest ich dokładnie 750 franków.

— Znak... — wyjąkał. — Znak Matki Bożej z La Salette. Zawołał Katarzynę Lassagne i rzekł do niej rozpromieniony: — Teraz już wierzę, że Matka Boska objawiła się dzieciom. Dała mi znak, o jaki Ją prosiłem. i pokazał plik banknotów mówiąc: — Będę mógł zapłacić w terminie.

Potem wszedł do sypialni i zawiesił obraz na tym samym miejscu, skąd go zdjął przed ośmiu laty. Z duszy spadł mu wielki ciężar, który go przygniatał a jego miejsce zajęła znowu radość i pokój.

Tego samego dnia pod wieczór na plebanii zjawiła się Magdalena Mandy-Scipiot, by powiadomić proboszcza, że jej matka ciężko zachorowała. — Chciałabym bardzo polecić ją opiece Matki Bożej z La Salette, żeby uprosić jej zdrowie. Czy ksiądz zgadza się na to? — Jak najbardziej? — odrzekł z miejsca proboszcz. — Tak, tak, proszę ją polecić Matce Najświętszej. — Czy ksiądz wierzy w La Salette i w objawienia? — Tak jest. Wierzę mocno i z całego serca — odrzekł święty proboszcz z rozpromienioną twarzą.

## **OSTATNI AKT (1859)**

Ksiądz Vianney uklęknął przed ołtarzem świętej Filomeny, na którym przed chwilą złożył bukiet kwiatów. — To już ostatnia wiosna, którą spędzam na tym padole. Następną, jeżeli Pan Bóg pozwoli, będziemy obchodzić razem w chwale niebieskiej. W ciągu długich lat obsypywałaś mnie dobrodziejstwami, podczas gdy moje dary dla Ciebie były bardzo skromne. Bądź wyrozumiała dla mego ubóstwa. To, czego nie mogłem ja zrobić, uczynią moje duchowe dzieci, ozdabiając twój ołtarz. *Ave, Phiłomena, ave.*

W wielkanocny wieczór proboszcz z Ars zebrał jeszcze raz swoją trzódkę wokół siebie. — Zebrałem was jak Mojżesz swój lud pod koniec długiej wędrówki przez pustynię, zanim wstąpił na górę, na której miał umrzeć. Dziękuję wam za wasze przywiązanie, dziękuję, że znosiliście mnie przez tak wiele lat. Nie odmówiliście mi nigdy niczego, o cokolwiek was poprosiłem. Dzisiejszego poranka przygotowaliście mieszkanie Panu Jezusowi w swoich sercach....Niech łaska Wielkiej Nocy opromienia wasze dusze! Tego wam życzę.

W święto Bożego Ciała ksiądz Vianney, wsparty na lasce, szedł za Najświętszym Sakramentem, gdyż nie mógł już unieść monstrancji. Jednakże podnosił ją nieco przy każdym z czterech ołtarzy, by pobłogosławić lud. Była to ostatnia uroczystość tego rodzaju w jego życiu.

Pomimo upałów gorącego lata, dzień i noc spędzał w konfesjonale. Coraz bardziej jednak opuszczały go siły. Pewnego popołudnia czuł się zmuszony opuścić kościół. Chwiejnym krokiem skierował się do domu, w którym mieszkała Katarzyna Lassagne.

— O, moja pocziwa Katarzyno, już nie mogę — jęknął, opierając się na pół zemdlony o drzwi. — Niech ksiądz wejdzie i usiądzie. Przygotuję księdzu filiżankę ciepłego mleka. — Nie, nie o to chodzi. Po prostu muszę odpocząć. Pójdę, więc trochę się położyć... — I z trudem powłókł się na plebanię.

Tymczasem Katarzyna zagotowała mleko. Gdy jednak przyszła z napojem na plebanię, ksiądz Vianney akurat schodził już po schodach na dół. — Gdzie to znowu ksiądz się wybiera? Powinien ksiądz leżeć... — Przypomniałem sobie, że nie mam już wiele czasu, a tam w kościele czeka na mnie dużo ludzi.



— Niech ksiądz przynajmniej wypije filiżankę mleka. — Nie, nie. Nie chcę. — Księżę proboszczu, ksiądz musi wypić mleko. — Nie zwracaj mi głowy. — Ksiądz najpierw wypije mleko. — Puść mnie. — Najpierw mleko! Wreszcie ksiądz jakoś się wyrwał i podreptał na plac kościelny. Lecz Katarzyna biegła za nim.

— Ksiądz musi wypić mleko. Inaczej zaniosę je księdzu do konfesjonatu... — Katarzyno, ludzie patrzą. — W takim razie niech ksiądz nie daje zgorszenia i zrobi to, o co proszę. — A więc, daj mi filiżankę. — Ksiądz Vianney wypił mleko i szybko opuścił swoją nielitościwą gospodynię.

Wielu pielgrzymów ze współczuciem przyglądało się starcowi śpieszącemu do kościoła. Katarzyna jednak miała tę pociechę, że mogła usłyszeć wieczorem, jak proboszcz powiedział po powrocie na plebanię: — Na pewno, Katarzyno, bez twojej filiżanki mleka nie byłbym wytrzymał do końca.

Ostatnie dni lipca były gorące i parne. Mimo iż drzwi kościelne otwierano na oścież, żeby wpuścić nieco świeżego powietrza, jednak działo się coś wręcz przeciwnego: przez drzwi wdzierало się do kościoła powietrze nieznośnie duszne. Wielu pielgrzymów mdlało, inni wychodzili z kościoła zupełnie osłabieni, sam tylko święty proboszcz trwał w swoim ciasnym więzieniu.

Pewnego wieczora, około godziny szóstej, wyszedł z konfesjonatu, by się pomodlić przed tabernakulum. Długo tam klęczał, wsparty na lasce. Następnie dał znak starymu Oriolowi, bogatemu ziemianinowi z Pelussin, który przed kilkunastu laty osiedlił się w Ars i spełniał obowiązek kościelnego.

— Niech mi pan da świecę — poprosił ksiądz Vianney. Ze świecą w ręku przechodził od ołtarza do ołtarza, długo się wpatrując w obrazy świętych, jakby chciał się z nimi żegnać. Dobry kapłan wiedział, że zbliża się godzina jego odejścia. Dłużej zatrzymał się w kaplicy *Ecce Homo* przed obrazem Męża Boleści, który przypominał mu cierpienia całego życia. — Pozbierałeś wszystkie ciernie na mojej drodze, by sobie nimi ukoronować głowę — mamrotał płacząc.

**Przyszedł jeszcze raz do kaplicy świętego Jana Chrzciciela i oświecił napis: „*Jego głowa stała się zapłatą za taniec*”.** Jak strasznie tańce dręczyły mu serce, a teraz pod starymi drzewami orzechowymi odbywają się procesje i rozlegają się pieśni pielgrzymów. Ta kaplica, która dla świętego proboszcza była miejscem wielkiego męczeństwa, dla tak wielu dusz stała się źródłem pokoju. Teraz wiedział, że wszystkie jego boleści, cierpliwie znoszone, zmierzały do końca.

Pozdrowiwszy ostatni raz świętą Filomenę, położył świecę przed jej relikwiarzem. Tej nocy ksiądz Vianney nie zasnął wcale. Wstał zaraz po północy i powłókł się do konfesjonatu. Tu jednak chwyciły go mdłości i musiał wyjść z kościoła, żeby zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Około szóstej, wsparty na ramieniu swego wikarego, odprawił Mszę świętą. Po konsekracji, kiedy w rękach trzymał Ciało Chrystusa, odezwał się doń

cicho: — Panie, gdybym wiedział, że nie będę mógł kontemplować Cię w wieczności, nie puściłbym Cię teraz.

Trzęsąc się z gorączki, wrócił do konfesjonału. Chciał jeszcze w południe wyklądać katechizm. Poczł się jednak tak bardzo słaby, że dał znak staremł Oriolowi i poprosił go, by dał mu odrobinę wina. Nie czekając, aż kościelny znajdzie szklanke, wypił jeden łyk z dłoni. Następnie wszedł na ambonę i zaczął mówić. Głos jednak miał już tak słaby, że nikt go nie mógł zrozumieć. Stale odwracał się i wskazywał na tabernakulum. To było jego ostatnie kazanie.

Do późna w noc siedział jeszcze w konfesjonale. Potem wrócił na plebanię, wspierając się na ramieniu brata Hieronima. Po drodze spotkał hrabiego des Garets z żoną i dziećmi. Ukłękli, a on udzielił im błogostawieństwa.

Z wielkim trudem dobrnął wreszcie do swego pokoju. Zakrystian pomógł mu położyć się do łóżka, a następnie na formalne życzenia proboszcza, zostawił go samego. Katarzyna czuwała w sąsiednim pomieszczeniu.

Okolo pierwszej po północy ostatnim wysiłkiem ksiądz Vianney wstał, aby pójść do kościoła, lecz nie mógł już zrobić kroku. Nie zdając nawet sobie z tego sprawy, krzyknął. Przybiegła Katarzyna i pomogła mu położyć się z powrotem do łóżka.

— To już koniec — jęknął święty. — Sprowadźcie mi proboszcza z Jassans. — I Katarzyna natychmiast poszła szukać brata zakrystiana. — To już koniec — powtarzał ksiądz Vianney. — Proszę was, sprowadźcie mi spowiednika. — Wezwę także lekarza — powiedział brat Hieronim. — Już nie potrzeba. Żaden lekarz nic mi już nie pomoże.

Tymczasem nadszedł ksiądz wikary, którego także powiadomiono. — Święta Filomena, która księdza uzdrowiła szesnaście lat temu, i tym razem wróci księdzu zdrowie — rzekł ksiądz Toccanier. — Nie, teraz nawet Mała Święta nic mi nie pomoże.

Wczesnym rankiem przybył ksiądz Beau, proboszcz z Jassans. W chwilę po nim wszedł do pokoju lekarz. Doktor Saunier stwierdził kompletne wyczerpanie organizmu. — Jeśli upał nieco się zmniejszy, może jeszcze być jakaś nadzieja, jeśli zaś będzie taki jak obecnie, wszystko stracone.

Dzień 30 lipca nie przyniósł żadnej poprawy, ponieważ zaraz od pierwszych godzin rannych słońce zaczęło niemiłosiernie prażyć. W oknach pozawieszano mokre prześcieradła, a wokół plebani parafianie lali bez przerwy wodę, by nieco ochłodzić powietrze.

Święty proboszcz z największą pokorą wypowiadał się przed swoim konfratrem. — Czy boi się ksiądz śmierci? — zapytał ksiądz Beau. — Właśnie to dziwne — odrzekł chory. — Zawsze się bałem stanąć przed Bogiem, jako proboszcz. Teraz zaś ni czego się nie obawiam. Umieram bez lęku, ufając w miłosierdzie Boże.

Dzwony w Ars rozdzwoniły się, gdy ksiądz Beau przynosił umierającemu kapłanowi Wiatyk. Dwudziestu księży towarzyszyło mu z zapalonymi świecami. Łzy potoczyły się po pomarszczonych policzkach świętego starca.

—, Dlaczego ksiądz płacze, księżu proboszczu? — zapytał brat Elias, jeden z nauczycieli w szkole dla chłopców. — O, mój bracie, jak to smutno komunikować po raz ostatni! Z wielką pobożnością przyjęli też Ostatnie Namaszczenie. Ksiądz Dubois, proboszcz z Fareins, został, aby czuwać przy chorym. — Czuje się ksiądz złączony z Bogiem — rzekł do księdza Vianneya. — Tak, mój przyjacielu — i jakaś nadziemską radość promieniowała z oczu chorego.

W ciągu następnych dni upał nie ustawał. Muchy latały po pokoju. Siostra Józefitka starała się je odpędzać od spoconej twarzy umierającego proboszcza. — Zostaw je, moja siostro. Przykry jest tylko grzech.

Drugiego sierpnia ksiądz Raymond, dawny wikary, przybył do pokoju i z płaczem rzucił się do stóp nędznego pośłania, na którym na formalny jego rozkaz, ułożono księdza Vianneya. — Proszę księdza o przebaczenie — załkał ten, który tak wiele przykrości sprawił świętemu starcowi. Proboszcz z Ars uściskał go. — Odwiedziny księdza są dla mnie wielką pociechą. Czekałem na księdza.

Tego wieczora wpuszczono do pokoju dziewczynkę, która oznajmiła z płaczem, że jej dziadek umiera i prosi świętego o błogosławieństwo. — A kim jest twój dziadek, moje dziecko? — zapytał ksiądz Vianney.

— Nazywa się Antoni Givre. Zawsze opowiada, jak to kiedyś wskazał księdzu drogę do Ars i że ksiądz w zamian za to obiecał mu pokazać drogę do nieba. — Tak, pamiętam — odrzekł starzec, uśmiechając się. — Powiedz swojemu dziadkowi, że jutro zaprowadzę go do bram nieba.

We środę, 3 sierpnia, umierający cały czas trwał zatopiony w Bogu. Jedynie odwiedziny biskupa, który przybył pod wieczór, wyrwały go z ekstazy. Biskup Langalerie z płaczem uściskał go i obiecał, że się będzie za niego modlił w kościele. Ksiądz Vianney dał znak, że dziękuje mu, lecz nie mógł już wypowiedzieć żadnego słowa.

Około dziesiątej wieczorem koniec zdawał się nieuchronnie zbliżać. Ksiądz Toccanier odmówił modlitwy za konających i udzielił umierającemu odpustu zupełnego. Około północy ksiądz misjonarz Monnin, jeden z najwierniejszych pomocników księdza Vianneya w ostatnich latach, podał mu swój krzyż do ucałowania. Święty uściskał go i ucałował.

**Dzień 4 sierpnia 1859 roku;** dzień świętego Dominika, rozpoczął się straszliwą burzą. Błyskawice rozświetlały pokój chorego, a grzmoty wstrząsały domem. Po obliczu świętego przemknął uśmiech. Był to ostatni hałas, jakim Grappin chciał go jeszcze raz przestraszyć. Demon jednak nie miał już nad nim żadnej władzy. — *Aniołowie Pańscy, wyjdźcie na spotkanie, przyjmijcie jego duszę i stawcie ją przed Obliczem Najwyższego* — odmawiał wśród huku żywiołów ksiądz Monnin.

— Słyszysz, Grappin? Aniołowie Pańscy. Bóg posłał swojego anioła, żeby zabrał tego, którego ty, Grappin, chciałeś swoimi stopami wdeptać w proch świata. Z uśmiechem na ustach, około godziny drugiej po północy, ksiądz Vianney na rękach brata

Hieronima oddał ostatnie tchnienie. Stary Oriol zamknął mu oczy. Burza ucichła, a niebo pokryło się gwiazdami. Na wieży dzwon załkał żałością. Tę żałobną nutę pochwyciły dzwony we wszystkich wioskach, aż po Saonę.

Razem z parafianami i pielgrzymami, którzy tej nocy znajdowali się w Ars, cała Francja opłakiwała świętego proboszcza. Przez cały dzień ludzie przesuwali się przez pokój na parterze, gdzie złożono zwłoki zmarłego.

W otoczeniu niezliczonych rzesz wiernych biskup z Belley poprowadził kondukt pogrzebowy świętego. *Wiedz o tym, kochany i czcigodny księżu proboszczu — powiedział biskup, — że najpiękniejszym i najbardziej upragnionym dniem mego biskupstwa byłby ten, w którym nieomylny głos Kościoła pozwoliłby mi uroczyście zaintonować na twoją cześć: «Euge serve bonę et fidelis. Sługo dobry i wierny, wejdź do wesela swego Pana!»*

**14 sierpnia 1859 roku;** złożono ciało czcigodnego kapłana z w grobie, przygotowanym w nawie kościoła. Na tablicy z czarnego marmuru, nad wyrzeźbionym w kamieniu kielichem, wykuto taki oto napis: **TU SPOCZYWA JAN-MARIA CHRZCICIEL VIANNEY, PROBOSZCZ Z ARS.**



## BEATYFIKACJA I KANONIZACJA, PROBOSZCZA Z ARS

**Papież Pius X**, który wstąpił na stolicę Piotrową 4 sierpnia 1903 roku, w rocznicę śmierci świętego proboszcza z Ars, **8 stycznia 1905 roku ogłosił go błogostawionym.** Wszystkie kościoły Rzymu głosem swoich dzwonów pozdrowiły wielkiego syna Francji, a trzydzieści tysięcy pielgrzymów ze wszystkich krajów świata odśpiewało w bazylice św. Piotra uroczyste *Te Deum*.

**21 maja 1925 roku, w dzień Zielonych Świąt, Papież Pius XI**, w otoczeniu trzydziestu kardynałów i dwustu biskupów, **biednego proboszcza z Ars uroczyście ogłosił świętym.** Wówczas to w Rzymie, i na całym świecie miliony wiernych i kapłanów padło na kolana, powtarzając: „**Święty Janie-Maria Vianneyu, módl się za nami**”.

Tłumaczenie: Jan Efrem Bielecki

